

**MONIKA GÓRA**

**KRYPTONIM**

**SKÓRA**

**CZY O BRUTALNE  
MORDERSTWO ZOSTAŁ  
OSKARŻONY  
NIEWINNY CZŁOWIEK?**

**w**  
ydawnic  
**ab**  
two

Monika Góra

# KRYPTONIM SKÓRA

Czy o brutalne morderstwo został oskarżony  
niewinny człowiek?



Copyright © Monika Góra, 2023

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

## Spis treści

Motto

Prolog

Rankiem 4 października 2017 roku pogoda jest kiepska...

Cela jasnożółta 5,5 × 5,5 kroku...

Dziewiętnaście lat wcześniej...

Śniadania, kolacje. Rano pół chleba...

Bogusława rozwiesza ogłoszenia...

W więzieniu to jest ciężka sprawa...

Gdy Robert przychodzi na świat...

Dziś jest drugi dzień świąt Bożego Narodzenia...

Policjanci przeszukują bazę zaginionych osób...

Mama! Dziś jest 25.02.2018, niedziela...

Robert przenosi się do zawodówki...

W celi są pluskwy...

Gdy Robert jest w ostatniej klasie technikum...

Dzisiaj jest niedziela...

Robert w dalszym ciągu odwiedza w pracy Jakuba...

Jest mi bardzo smutno...

Tymczasem konflikt pomiędzy Józefem i Jadwigą...

[Mamo, Tato. Cierpię na straszną depresję...](#)

[W Szpitalu Zakonu Bonifratrów...](#)

[Każdy Twój list, Mama...](#)

[Leszek L. ma image militarysty...](#)

[Wczoraj \(24.12.2020\) Wigilia...](#)

[W 1997 roku Leszek związuje się z Marzeną...](#)

[Popatrz, co pisze w gorzkich żalach...](#)

[Jest czwartek 13 maja 1999 roku...](#)

[Ile Wy i ja doznaliśmy krzywd...](#)

[Robert wraca po dziesięciu godzinach...](#)

[Był u mnie ksiądz na oddziale...](#)

[Tymczasem choroba alkoholowa Leszka L. się nasila...](#)

[Mama. Ja codziennie myślę o Tobie...](#)

[„Najbardziej przywiązany jest do Kaśki...](#)

[Wczoraj byłem w sądzie \(jutro też jadę\)...](#)

[Pierwsza opinia psychologiczna...](#)

[Jako „stwarzającemu poważne zagrożenie...](#)

[Po śmierci Leszka L...](#)

[Dziś był na oddziale ksiądz...](#)

[Jesienią 2011 roku prokuratura...](#)

[Wczoraj \(niedziela\) ksiądz odprawiał trzy msze święte...](#)

[W przerwach między modlitwami...](#)

W Piotrkowie Trybunalskim...

Zanim funkcjonariusze zbliżą się do sprawcy...

Życie nasze nie może być wolne od smutku...

Kilka miesięcy później...

Cele są małe, koszmarne...

Śledczy wracają do Zygmunta A...

Wczoraj byłem w sądzie w Krakowie...

Śledczy kończą przeszukiwanie mieszkania...

Żadnych programów nocnych z okazji sylwestra...

Pod koniec stycznia 2018 roku Robert zostaje przewieziony...

Ja uczciwie wszystkim mówię, że jestem niewinny...

W lutym 2018 roku w odpowiedzi na kolejne skargi...

Ja wszystkim patrzę na salach...

Gdzie, zdaniem prokuratury, doszło do zabójstwa...

Epilog

Przypisy

*Jakie są różne drogi, jakimi Pan Bóg prowadzi ludzi do siebie. I tak sobie to tłumaczę, że może w tym, że tu jestem, w tych więzieniach, w tym pozornym bezsensie, może jest ukryty cel. Boski cel. Bo gdyby tak nie było, musiałbym pogodzić się z tym, że alkoholicy notowani dziś się śmieją ze mnie przy winie za trzy złote, że Janczewski jest kryminalistą. Myślicie, że mnie to nie boli? Ale może w tym jest dopust boży, a z takiej racji, że najważniejsza jest w rozrachunku końcowym dusza ludzka. Bo inaczej wszystko i całe moje życie ziemskie byłoby przegrane. No jasna sprawa, że mnie jako człowieka od małego dziecka zmarnowano. Ale w końcu sam doszedłem do takich przemyśleń. I mówię sobie: w Bogu nadzieja. [...]*

*Sprawa jest bardzo poważna. Ja po procesie albo będę uniewinniony, albo skończę swoje życie w celi.*

*Jestem już zamknięty trzeci rok. Zwróciłem się do Pana Boga już kilka razy, że jakbym miał być skazany na dożywocie, i to za coś, czego nie zrobiłem, za niewinność, to lepiej byłoby dla mnie, żebym po spowiedzi i komunii świętej położył się na żelazne łóżko i umarł podczas snu.*

Robert Janczewski, z listu do rodziców<sup>1</sup>

## Prolog

Pamiętam zimę 1998 roku, kiedy to się stało. Bałam się, tak jak inne kobiety w Krakowie. Morderca, który zabił i oskórował Kasię, studentkę Uniwersytetu Jagiellońskiego, pozostawał na wolności. Nie było wiadomo, kim jest, jak wygląda ani czy znowu zaatakuje. Do lipca 1998 roku mieszkalam w akademiku przy ulicy Bydgoskiej, w tamtejszej salce komputerowej pisałam pracę magisterską. W tym samym domu studenckim, w piwnicy, działały klub Pod Przewiązką i giełda płyt. W niedzielę przychodziła na nią Kasia. Być może kiedyś się minęłyśmy na ulicy przed akademikiem. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, że dwadzieścia trzy lata później będę na krakowskim Rynku rozmawiała z ojcem mężczyzny oskarżonego o jej zabójstwo.

Józef Janczewski, ojciec Roberta, na spotkanie wybiera kultową knajpę Vis-à-vis, zwaną Zwisem. To lokal aktorów, poetów, malarzy i wszelkiej maści krakowskich artystów. Długo szukam w pobliżu Rynku miejsca do zaparkowania. Gdy zziajana docieram do Zwisu, jest pięć minut po czasie. Józef Janczewski siedzi zniecierpliwiony w knajpianym ogródku.

– Punktualność jest grzecznością królów – słyszę na powitanie.

Na szczęście nie zostaję zdyskwalifikowana przed startem, gdyż – jak się dowiaduję – pięć minut jest wybaczone.

Po chwili okazuje się, dlaczego Józef Janczewski wybrał właśnie to miejsce. Ledwo zaczynamy rozmawiać, podchodzi do nas kręcący się po Rynku starszy mężczyzna. Wylewnie wita się z Józefem. Zostaje mi przedstawiony jako doktor habilitowany, poeta. Umawia się z Janczewskim, że zrecenzuje jego ostatni tomik wierszy. Kilka minut później podchodzi kolejny krakowski artysta i dowiaduję się, że Józef dostał od prezydenta odznaczenie Honoris Gratia przyznawane osobom zasłużonym.

– Najbardziej boli mnie, że nasze nazwisko zostało obrzucone błotem – mówi rozżalony Józef. – Moja duma i duma pokolenia.



Obsmarowano nas. Jeszcze bym to mógł ścierpieć, ale ja wiem, że on jest niewinny. Ja wiem. Na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent.

Józef przypomina akwizytora starej daty. Wemniany sweter w serek, pod nim koszula z kołnierzykiem, spodnie w kant. Mocne okulary w srebrnych oprawkach, skórzany neseser. Zdecydowany ton głosu. Po krótkim sprawdzeniu moich intencji i zakazie nagrywania „dopóki mi nie zaufa” walizeczka ląduje na stoliku. Ze środka Janczewski wyjmuję dwa opasłe segregatory, jakby chciał ze mną podpisać umowę na prąd. W pierwszym są wpięte wszystkie troski związane ze sprawą jego syna: pisma Józefa do prokuratury i odpowiedzi, postanowienia i zażalenia na postanowienia, protokoły przeszukań – całość ułożona w idealnym porządku, poprzedzielana pocztowymi potwierdzeniami nadania. W drugim pękatom segregatorze – listy od Roberta z więzienia. Wszystkie ponumerowane. Pierwszych kilkunastu nie ma, bo zatrzymała je prokuratura. W kolejnych całe fragmenty są zamazane – podobno Robert ujawniał w nich informacje ze śledztwa. Są napisane dużymi, drukowanymi literami, pewnie po to, żeby starszym rodzicom łatwiej było je czytać. Nie ma błędów. Józef wypożyczy mi najpierw jeden segregator, potem drugi, i poprosi przy tym, aby żaden dokument przypadkiem nie zmienił swojego położenia względem innych.

Następnie na stoliku ląduje album ze zdjęciami. Rodzice Józefa, Matylda i Antoni Janczewscy, siedzący na fotelach jakby wypożyczonych z Wawelu w salonie ociekającym złotem. Na ścianach wymyślne świeczniki, obrazy świętych w bogato zdobionych złotych ramach, wielkie lustra. W stylizowanych na Ludwika XVI komodach zastawy obiadowe, na meblach rzeźby aniołów. Na kolejnym zdjęciu upozowana na gejszę Matylda gra na pianinie, czemu przysłuchuje się wpatrzony w nią, odziany w złotą kamizelkę małżonek. Następne zdjęcie – żona Józefa w welonie ślubnym. Piękna, przyznaję. Kolejne – Józef na spotkaniu autorskim w Wiedniu, podczas którego wręczane są mu złote medale.

Kilka zdjęć Roberta. Na wszystkich siedzi z poważną miną. Ma krótko ostrzyżone, ciemne włosy i okrągłą twarz. Na nosie

prostokątne okulary w ciemnych oprawkach. Umięśniona sylwetka dziwnie kontrastuje z ładną, trochę dziewczęcą twarzą.

I te smutne, ciemne oczy, w których widać mieszaninę żalu, niechęci i bezgranicznego cierpienia.

## Rankiem 4 października 2017 roku pogoda jest kiepska...

Rankiem 4 października 2017 roku pogoda jest kiepska. W Krakowie pada przelotny deszcz i wieje zimny wiatr. W południe temperatura dochodzi do kilkunastu stopni, ale niebo jest dalej zachmurzone. Później znowu się ochładza. Przed trzecią po południu na ulicy Trynitarzkiej w dzielnicy Kazimierz stoi kilkanaście samochodów. Niektóre to nieoznakowane radiowozy. W jednym z nich, furgonetce koloru niebieski metalik, funkcjonariusze z brygady antyterrorystycznej obserwują okolicę. Na ulicy są rozstawione profesjonalne światła, jakby zaraz miało zacząć się przedstawienie.

Nagle antyterrorystyci naciągają na twarze kominiarki. Technik policyjny z tylnego siedzenia nagrywa ich rozmowę.

– Prowadzi rower?

– Jest!

– Teraz!

Nieoznakowany radiowóz włącza syrenę i gwałtownie rusza. Stojący na ulicy dźwiękowiec jakiejś telewizji z mikrofonem na tyczce ucieka spod kół. Auto z piskiem opon podjeżdża przed klatkę niepozornego peerelowskiego bloku. Stoją tu już dziennikarze i kilkunastu zamaskowanych policjantów. Trzech kryminalnych przyciska do szyby drzwi wejściowych Roberta Janczewskiego, który nie stawia żadnego oporu. Obok dwóch kolejnych policjantów w kominiarkach moro osłania akcję; trzymają ręce na broni, na wypadek gdyby mężczyzna nagle wyjął spod szarej puchówki kałasznikowa i rozpoczął ostrzał. Robert Janczewski ma rozłożone po bokach ręce, z pomarańczowo-czarnym plecaczkiem wygląda jak rozplaszczona na szybie wielka mucha. Obok stoi jego oparty o ścianę budynku rower.

Całą akcję nagrywają podekscytowani operatorzy i dźwiękowcy telewizyjni stojący tuż za policjantami.

Niebieski van, który przed chwilą pędził ulicą Trynitarską, zatrzymuje się obok zbiegowiska. Siedzący w nim antyterrorysty wyskakują z auta i podchodzą do unieruchomionego Roberta. Technik filmuje zakładanie mu kajdanek, do których jest przymocowany gruby łańcuch. Antyterrorysty odwracają mężczyznę i na żelaznej smyczy prowadzą do vana.

Gdy oglądam później filmik z tej akcji, zastanawiam się, jaki był cel tej szopki. Po co ściągnięto brygadę antyterrorystyczną, skoro zatrzymanie dokonali kryminalni? W jakim celu policyjny van pędził na sygnale ulicą Trynitarską, skoro nikogo nie ścigano? Odpowiedź na te pytania wydaje się oczywista: celem było nagranie efektownego filmiku, który później rzecznik policji wyśle do wszystkich redakcji.

Tymczasem antyterrorysty z włączonym kogutem jadą przed miasto i kawalkadą wjeżdżają przed budynek komendy wojewódzkiej policji.

Tu Robert Janczewski dostaje łańcuch na nogi. Policjanci sprawdzają go detektorem metalu. Coś piszczy. Przeszukują go – znajdują klucze do mieszkania. Wjeżdżają windą na piętro komendy. Eskortowany przez pięciu policjantów, skuty mężczyzna małymi krokami posuwa się do pokoju przesłuchań. Siada na krześle. Czeka.

W tym samym czasie Maria Janczewska, kompletnie nieświadoma tego, co się dzieje przed blokiem, zabiera się do jakiejś domowej pracy. Nagle ktoś dobija się do drzwi.

Pewnie jakieś łazęgi, myśli. Przecież to nie do mnie, a Robert wyszedł...

Otwiera drzwi, widzi policjantów. Oznajmiamą zdumionej kobiecie, że zabierają ją na komendę na przesłuchanie.

– Syna wywabili podstępnie – opowiada Maria. – Najpierw przyszedł dzielnicowy i przyniósł zawiadomienie, że ma wziąć okulary i stawić się na ulicy Grzegórzeckiej do badania. Więc syn zabrał całą teczkę papierów, bo może to w sprawie renty? No bo o co innego by im chodziło? Wywabili go na dół, a tam już czekali: policja, pełno dziennikarzy. I zrobili pokazówkę na całą ulicę.

Na komendzie Maria dowiaduje się, że jej syna aresztowano. Jest oszołomiona. Ktoś ją rewiduje, pyta, czy nie ma ostrych narzędzi,

tasaka, peruki.

– Peruki? – dziwię się, gdy mi to opowiada.

– No żeby się maskować – tłumaczy. – Bo jako współwinna na pewno się maskuję. – Prowadzą ją do pokoju, prokurator, przesłuchanie. – Co chwilę mi się odgrażał – wspomina Maria. – Bo ja z tego wszystkiego zapominałam różne fakty, plątałam się, więc on mi mówił, że za fałszywe zeznania grozi mi osiem lat więzienia.

Pytania prokuratora latają w pokoju jak pociski:

„Czy znalazła pani jakieś ślady na podłodze?”

„Czy były szczątki ciała lub skóry?”

„Czy były ślady krwi?”

„Czy miała pani maszynę do szycia, jak wróciła z Kanady?”

„Czy coś pani szyła Robertowi?”

„Czy Robert umie szyć?”

„Czy się przyglądał, jak pani szyje?”

Na koniec śledczy mówią: „Pani już do domu nie wróci. Proszę dać klucze. I proszę wyrazić zgodę na opuszczenie mieszkania, bo gdzie panią musimy umieścić”.

Wywożą Marię, tak jak stoi, do Domu Pomocy Społecznej przy ulicy Helclów w Krakowie. Spędzi tam prawie trzy miesiące.

– Zgodziłam się, bo byłam w takich nerwach... Poza tym gdzie indziej bym poszła?

– Prosto z komendy zawieźli panią do domu opieki społecznej? – upewniam się.

– Tak! Tak było. – Maria ciągle się denerwuje.

– A miała pani jakieś rzeczy osobiste, ubrania?

– Nic. Tak mnie przerazili masa tych chłopów i ten prokurator zamaskowany, że nic z sobą nie zabrałam. Dopiero po długim czasie dostałam jakieś majtki i rajtki, małe biustniki, sweterek i jakąś szmatę mi policjantka przyniosła, bo nie wiedziała, co jest na mnie dobre. Butów nie miałam, czapki nie miałam, szalika nie miałam. Wszystko trzeba było kupić.

Tego samego dnia wieczorem rozgrywa się trzecia scena spektaklu. Jedenastu policjantów przychodzi do mieszkania Józefa. Do dziś dźwięczą mu w uszach ich słowa:

„Czy pan wie, że pana syn jest aresztowany?”

„A czy pan wie, że chodził na cmentarz i zostawił tam dwa listy pisane własną krwią?”

„A czy pan wie, że znaleziono notes, w którym było sto sześćdziesiąt adresów różnych kobiet?”

Ojcu Roberta włosy jeżą się na głowie. Kompletnie baranieje.

Policjanci wchodzą w butach na dywany. Ciągają wielkie maszyny. Jeżdżą nimi po ścianach, przesuwają meble. Janczewski z nerwów musi do toalety. Jeszcze nie kończy, a funkcjonariusz już otwiera drzwi i patrzy.

Funkcjonariusze zabezpieczają trzydzieści jeden pozycji, w tym jego komputer i telefon komórkowy, części od zegarków, baterie, kamyki montowane w bransoletkach, aparat fotograficzny. Kolejnego dnia znowu przychodzą i zabierają cholewę buta, w którym chodziła na grzyby jego znajoma.

Telefon i uszkodzony komputer oddadzą mu po kilku miesiącach.

Gdy trwa rewizja mieszkania, policyjny filmik z zatrzymania Roberta ogląda cała Polska.

## Cela jasnożółta 5,5 × 5,5 kroku...

*Cela jasnożółta 5,5 × 5,5 kroku, potężne kraty, stół maleńki, stołek, łóżko wąskie, twarde sienniki żelazne, umywalka, kibel. No i takie życie. [...] Ile razy człowiek wychodzi za kratę z celi, jest procedura. Przychodzą strażnicy. Zdejmuje się bluzę (czerwoną), spodnie (czerwone), skarpetki, klapki. Bluzę więzienną (popielatą) sprawdzają wykrywaczem do metalu. Dostaje się bluzę więzienną (popielatą), zdejmuje się majtki i kuca, a majtki są sprawdzane detektorem (wykrywaczem metalu). Gdy się idzie do łaźni – wszędzie kamery – bierze się ręcznik, majtki zapasowe czyste, szamponik. Wychodząc tyłem z celi, przy murze, głową do ściany. Nie wszyscy, ale niektórzy biorą człowieka za ręce skute z tyłu, po bokach obydwaj naciskają tak, że głowę ma się na wysokości kolan i tak się idzie. A jak nie na łaźnię, to jeszcze w butach bez sznurówek. Na golenie się jest wyznaczony czas. Rozkucie, rozbieranie, golenie się (maszynką jednorazową w poniedziałki i czwartki), na tempo prysznic, mycie głowy, wycieranie się, ubieranie się. Wszystko ma zająć 10 minut, bo już następny czeka. Zakuwanie, otwieranie drzwi. Dwaj po bokach, blokada rąk, nacisk na barki, głowa do kolan i do celi.*

## Dziewiętnaście lat wcześniej...

Dziewiętnaście lat wcześniej, w czwartek 12 listopada 1998 roku, Katarzyna jak każdego ranka wygląda przez okno. Ohyda. Niebo zakryte chmurami, pada deszcz ze śniegiem. Mroźny wiatr dosłownie czuć przez szybę. Dziewczyna wzdycha.

Podchodzi do półki z kasetami. Queen, Sheryl Crow, Kate Bush, Enya, Peter Gabriel, Genesis... Co by tu puścić? Może Kate Bush? Pasuje do sennego, ciemnego, deszczowego dnia. Kasia wsuwa kasetę do magnetofonu. Łagodne dźwięki rozlewają się po pokoju.

Wkłada granatowy welurowy golf i czarne dżinsowe spodnie. Patrzy w lustro. Krytycznym spojrzeniem omiata swoje krągłości. Wciąga brzuch. W końcu wyjmuje sweter ze spodni, tak jest lepiej. Przenosi wzrok na rozjaśnione, kręcone kosmyki włosów. Ładnie podkreślają błękit oczu. Kasia niepewnie uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze.

W przedpokoju zakłada długą, granatową, sztruksową kurtkę, zapina ją na metalowe klamry. Nogi wsuwa w czarne trzewiki, na plecy zarzuca czarny skórzany plecak.

– Idę na zajęcia! – krzyczy w stronę kuchni.

– A śniadanie? – słyszy głos matki.

– Nie jem – odpowiada.

– Pamiętaj o lekarzu wieczorem. – Kobieta wychodzi do przedpokoju. Patrzy zatroskana na córkę.

– Pamiętam – mówi Kasia i zamyka za sobą drzwi.

Wychodzi z bloku, idzie na przystanek. Zimno. Siąpi. Mocniej otula się kurtką.

\*

O szóstej wieczorem Bogusława, matka Katarzyny, stoi przed przychodnią na osiedlu Uroczym na Nowej Hucie. Czeka na córkę. Dziewczyna ma umówioną wizytę u lekarza.



O tej porze roku jest już ciemno. Robi się coraz chłodniej. Bogusława rozgląda się nerwowo, ale córka nie nadchodzi. W końcu zaniepokojona wraca do mieszkania.

– Kasia? – nawołuje od progu.

Zagląda do wszystkich pokoi. Pusto. Sprawdza w notesie numery do koleżanek córki, podnosi słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Dzień dobry, Ulu, tu mama Kasi. Jest może u ciebie? Umówiłam się z nią w przychodni, ale nie przyszła. No dobrze, dziękuję.

Bogusława rozłącza się, wykręca kolejny numer.

– Ania? Dzień dobry, tu mama Kasi. Nie ma jej przypadkiem u ciebie? Nie wiesz, gdzie może być? No nic, jakby zadzwoniła albo przyszła, daj znać, dobrze?

Późnym wieczorem matka Katarzyny idzie na komisariat policji. Przez szybę mówi do dyżurnego:

– Córka do tej pory nie wróciła do domu. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy. Musicie jej szukać...

– Ma pani jej zdjęcie? Proszę podać rysopis.

Bogusława wyjmuje z torebki fotografię Kasi. Dziewczyna ma na niej lekko kręcone, farbowane blond włosy.

– Jest dość wysoka, ma sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Studiuje religioznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim.

– Jak była ubrana? – pyta policjant.

– W granatową kurtkę i granatowy golf. Do tego czarne spodnie i czarne trzewiki.

Policjant zapisuje.

– Przyjmę zgłoszenie, ale wie pani... Córka jest dorosła. Może gdzieś pojechała? Do rodziny? Do koleżanki?

– Wszystkich już obdzwoniłam.

– Musi pani czekać.

Bogusława nie może zasnąć, stoi w oknie, w ciemności próbuje wypatrzeć sylwetkę córki. Rano jest już pewna, że stało się coś złego. Przed południem idzie do dominikanów na Starym Mieście. Działa tu Ośrodek Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach. Zakonnicy podpowiadają Bogusławie adresy, które powinna sprawdzić, ale nigdzie nie ma Kasi.

Kobieta miota się. Chodzi po całym mieście i wypytuje o córkę. W końcu ktoś jej podpowiada, żeby poprosiła o pomoc Grzegorza Bohosiewicza, prywatnego detektywa, który ma biuro nieopodal ulicy Bydgoskiej. Jest byłym bokserem Towarzystwa Sportowego Wisła Kraków i byłym kapitanem milicji z wydziału dochodzeniowo-sledczego komendy policji zwanej Biały Domek. Tę informację warto zapamiętać, bo być może detektyw nie trafił do tej sprawy przypadkiem.

Bohosiewicz przyjeżdża do mieszkania Bogusławy, chce zobaczyć pokój jej córki. Naprzeciwko wejścia znajduje się klasyczna peerelowska meblościanka, na półce kasety magnetofonowe i książki. Wyjmuje kilka, ogląda.

– Lubi fantastykę... – zwraca się do Bogusławy.

Kobieta kiwa głową. Detektyw przegląda leżące na wierzchu kasety Grateful Dead.

– Przegrywane.

– Jeździła na giełdę płyt, do akademika na Bydgoskiej.

– Pod Przewiązkę?

– Chyba tak...

Detektyw zagląda do szafy, widzi, że nie ma w niej zbyt wielu ubrań. Te, które wiszą, są ciemne: czarne, brązowe, granatowe.

– Niczego nie brakuje?

– Nie, tylko tego, co założyła.

Bohosiewicz siada na krześle przy biurku.

– Proszę mi opowiedzieć o córce.

– Cóż, jest raczej zamknięta w sobie, skryta, wycofana. Ostatnio trochę zagubiona... Nie wiedziała, co chce robić w życiu. Szukała, miotała się... – Bogusławie głos grzęźnie w gardle.

– Gdzie spędzała czas?

– Chodziła na zajęcia z religioznawstwa, do Collegium Broscianum przy Grodzkiej 52. Lubiła spotkania w Dyskusyjnym Klubie Filmowym przy kinie Pasaż. Czasem odwiedzała sklep muzyczny przy Szpitalnej, Księgarnię Hetmańską przy Rynku Głównym...

Detektyw zapisuje wszystko w notesie.

– Miała chłopaka?

– Nie, chociaż ostatnio zafarbowała włosy... Była na diecie...

– Może kogoś poznała?

Bogusława wzrusza ramionami.

– Nikogo mi nie przedstawiła.

„Była taka mądra, odcytana. W szkole nigdy nie miała problemów z nauką – powie potem dziennikarzom. – Była dla mnie intelektualnym partnerem. Potrafiłyśmy długo rozmawiać – o przeczytanej książce, filmie, sztuce teatralnej. Kochała góry, razem tam jeździliśmy. Była taka spokojna, nieagresywna, przyjazna. Nikomu nic złego nie zrobiła...”<sup>2</sup>

Religioznawstwo to trzeci kierunek studiów Katarzyny. Po liceum wybiera psychologię, pewnie dlatego, że taki zawód wykonuje jej matka. W 1994 roku przez błąd systemu informatycznego na ten kierunek dostaje się ponad trzysta osób zamiast kilkudziesięciu. Między nimi Maciej Stuhr. Przez pierwszy rok trwa odsiew studentów. Katarzyna rezygnuje po semestrze. Nie podchodzi do któregoś egzaminu i skreślają ją z listy.

Na uczelni utrzymuje kontakt tylko z jedną koleżanką. Włóczy się z nią po muzeach i wystawach. Przyjaciółka jest zaskoczona, że Kaśka w ogóle nie zna swojego miasta, mimo że mieszka w nim od dziecka.

Poza znajomą ze studiów Kasia ma jeszcze dwie koleżanki z liceum. Urszula Ł. pracuje dziś w krakowskim sądzie rejonowym jako referentka, Anna G. jest nauczycielką angielskiego. Próbuje z nimi porozmawiać, ale żadna się na to nie zgadza. Reakcja Anny jest wręcz paniczna, jakby się czegoś bała.

Po rezygnacji z psychologii Katarzyna zdaje na historię. Tu też nie zagrzewa długo miejsca i przenosi się do szkoły pomaturalnej.

W październiku 1998 roku zaczyna studiować religioznawstwo. Zawsze siada w ostatniej ławce. Na wykładowcach robi wrażenie zamkniętej w sobie.

Dziewczyna jest przygnębiona i apatyczna od śmierci ojca. Kilka lat wcześniej wybrała się z nim na wspólną wędrowkę po górach. Podczas wspinaczki mężczyzna poślizgnął się i uszkodził kręgosłup. Po wypadku zaczął poważnie chorować. Zmarł w 1996 roku. Kasia obwinia się o jego śmierć.

W chwili najgorszego nastroju próbuje odebrać sobie życie. Staje na moście, ale nie skacze.

11 grudnia 1997 roku przychodzi do domu brudna i mówi mamie, że jakiś facet ją zgwałcił pod mostem Grunwaldzkim.

\*

Mija kilka kolejnych dni, ale Kasia nie wraca do domu. Bogusława odkrywa, że od trzech tygodni nie chodzi na zajęcia. Co wtedy robi? Raczej nie spaceruje po mieście. Jest późna jesień, zimno. Często pada.

Może pracuje? Na przykład w Instytucie Biochemii Lekarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ulicy Kopernika 7. Dziennikarz Onetu Dawid Serafin napisze wiele lat później: „Według relacji Kasia miała zostać w nim zatrudniona jako sprzątaczką. Kto i dlaczego miał pomóc jej znaleźć pracę, nie wiadomo. Pokazujemy zdjęcie kilkunastu pracowników, którzy pod koniec lat 90. byli zatrudnieni w instytucie. Rozpoznają postać, jednak pod imieniem Agnieszka”<sup>3</sup>.

Śledczy uznają potem, że te trzy tygodnie to prawdopodobnie był okres jej znajomości ze sprawcą.

\*

Maria Janczewska, matka Roberta, to niska kobieta o siwych włosach spiętych w gładki kok. Jest ubrana w spódnicę i obcisłą

bluzkę odsłaniającą ramiona. Ma mocny makijaż i dużo biżuterii. Ręce i nogi całe w ranach po nerwowym drapaniu.

Spotykamy się w trójkę – razem z jej byłym mężem – w mieszkaniu przy ulicy Trynitarskiej. Józef Janczewski tym razem jest ubrany w koszulkę i dresowe spodnie, bo właśnie przyjechał naprawić Marii kran. Opowiada, co się działo po odwiezieniu jej do domu pomocy społecznej.

– Była w bardzo złym stanie. Oni ją kąpali, myli, czesali, przebierali, bo leżała jak bezwładna. Tylko w ścianę patrzyła. I być może to, że przychodziłem niemal dzień w dzień, podtrzymywało ją na duchu.

– No jasne, że tak – przytakuje kobieta.

Po kilku dniach przyjeżdża po nią radiowóz. Policjanci zabierają ją w jakieś miejsce, gdzie długo czekają na prokuratora.

– Wreszcie przyprowadzili mnie tutaj, całe schody były zastawione dryblasami w tych białych uniformach. Prokurator mówi, żebym otworzyła drzwi, a przecież oni mieli klucze.

Prokurator Tomasz Dudek, delegowany z Prokuratury Okręgowej w Krakowie do krakowskiego wydziału Prokuratury Krajowej, wręcza kobiecie postanowienie o żądaniu wydania rzeczy. Maria czyta: „Na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego i uzyskanych w toku niniejszego postępowania informacji stwierdzono, iż osobą mogącą posiadać wiedzę lub przedmioty mające znaczenie dla niniejszego postępowania lub mogącą być związaną z powyższym czynem jest Maria Janczewska, matka podejrzanego Roberta Janczewskiego”.

Maria pyta prokuratora, jak można zabić kogoś, kogo się nigdy nie znało ani nie widziało na oczy. Ale śledczy jest niewzruszony. Ekipa techników wchodzi do mieszkania, a Janczewska zostaje odwieziona z powrotem do ośrodka.

– Mogłam sobie zabrać jakieś rzeczy, ale nie myślałam o tym – opowiada – bo byłam pod taką presją psychiczną, że w ogóle nie wiedziałam, jak się nazywam.

Później Maria dostanie pismo informujące, że czynności procesowe w miejscu jej zamieszkania prowadzone były od 4 października – czyli od zatrzymania Roberta – do 20 listopada 2017

roku. Po co więc 10 października policjanci wieźli kobietę do mieszkania, nie wiadomo.

Śledczy zaczynają poszukiwanie śladów zabójstwa. Nikt im nie patrzy na ręce, bo Maria jest w domu pomocy społecznej, a na udział Józefa w przeszukaniu się nie zgadzają. 11 października policja przywozi do mieszkania zakonnika wskazanego przez Janczewską, ale ten szybko wraca do swoich obowiązków.

– Tu była piękna tapeta, bardzo droga. Zerwali. – Janczewscy oprowadzają mnie po mieszkaniu. – Wykładziny robiliśmy razem, Robert mi pomagał. Zerwali i zabrali. Potem zerwali też płytki PCV, które były pod wykładzinami.

Na podłogach zostaje goły beton. Na ścianach widać cegły.

– Łazienkę też skuli do betonu? – pytam Marię.

– Wszystko do betonu – potwierdza. – Wanę, muszlę, toaletę, całe wyposażenie. Wszystko to wywieźli dużymi autami.

W pokoju Roberta zostają tylko kanapa, rower, dwie figurki świętych, a na ścianie w złotych ramkach zdjęcie ślubne Marii.

Prokurator zabiera niemal wszystkie ubrania.

– Nawet moje majtki, które były w nakastliku w łazience, zostały zabrane. Do badania – opowiada kobieta.

Śledczy zabezpieczają jej kapelusze, lisie ogony, igły, nici, nożyczki. Całą szufladę biżuterii srebrnej i sztucznej. Noże. Modlitewniki, encyklopedie, książki religijne. Fotografie i obrazy.

– Najpierw zabrali taśmy magnetowidowe, a później przyszli z nakazem prokuratora i zabrali magnetowid – przypomina sobie Józef.

– Wszystko. Wszystko trzeba było kupować – unosi się matka Roberta. – Któryś z policjantów się wygadał, że było ponad pięćset pozycji.

Zarekwirowane zostają wszystkie klucze – w tym do skrzynki pocztowej i wiaty śmietnikowej. Józef nie może wejść do mieszkania. Funkcjonariusze siedzą przed blokiem dzień i noc i pilnują.

– A przecież do skrzynki przychodziły rachunki za mieszkanie, które trzeba było zapłacić – bulwersuje się Janczewski.

Józef boi się, że gazownia, która jest właścicielem bloku, wypowie Marii lokal. Po ciemku zakrada się do klatki i szybko, najciszej, jak potrafi, przez wąski otwór w skrzynce wyjmuje wszystko, co zdoła.

Ostatniego dnia przeszukania śledczy zabezpieczają jeszcze obrączkę ślubną matki Roberta.

– Zawołali nas, jak wszystko było rozkopane, zrujnowane – opowiada Maria. – Żebyśmy powiedzieli, co chcemy, żeby kupili.

Policjanci wiozą Janczewskich do Leroy Merlin w krakowskiej galerii Bonarka i każą im wybrać asortyment.

– Dali nam najgorszy. Nie to, co powiedzieliśmy – narzeka Józef.

Następnie prokuratura wynajmuje kilku Ukraińców, żeby doprowadzili gruzowisko do porządku.

– Podłogi położyli, wymalowali – relacjonuje dalej Józef. – Jeszcze musiałem poprawiać po nich.

Po prawie trzech miesiącach śledczy oddają im jeden komplet kluczy. Maria wciąż jest w ośrodku przy ulicy Helclów. Józef przez trzy dni sprząta.

– Szkoda gadać, ile było roboty – denerwuje się. – Myłem, odkurzałem, meble przesuwałem.

Maria wraca do mieszkania przed świętami Bożego Narodzenia 2017 roku.

## Śniadania, kolacje. Rano pół chleba...

*Śniadania, kolacje. Rano pół chleba, wieczór pół chleba. Rano odrobina margaryny Kasia, wieczorem kawałek margaryny na 10 kromek chleba. Rano herbata plus trochę cukru, który wygrzebuje z miski palcem na koniec jako przysmak. Potem przez resztę dnia już herbata gorzka. Jedzenie i picie trzy razy dziennie. Obiady typowo więzienne. Je się, żeby nie być głodnym i przeżyć.*

*Rewizje każdego dnia, dwa do czterech razy dziennie, do naga. W celi było tak strasznie duszno, że można było z niedotlenienia zemdleć. [...]*

*Za kartkę okolicznościową dziękuję Ci, Mama. Pięknie to napisałaś: „Niech Cię Bóg chroni, niech Cię wyzwoli Twój duch, mimo krat, kajdan i łańcuchów jest wolny i nic go spętać nie może”.*



## Bogusława rozwiesza ogłoszenia...

Bogusława rozwiesza ogłoszenia ze zdjęciem zaginionej córki i swoim numerem telefonu w sklepie muzycznym Rock-Serwis przy Szpitalnej 7, kinie Pasaż, na drzwiach Wydziału Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego i gdzie tylko się da.

Pewnego dnia dzwoni telefon. Kobieta szybko podbiega do aparatu, odbiera.

– Twoja córka szlaja się po pubach w Zakopanem – oznajmia męski głos.

Rozmówca chce się spotkać z Bogusławą na krakowskim Rynku. Matka dzwoni do detektywa, mówi mu o telefonie, ale ten odradza jej spotkanie, twierdząc, że najpewniej ktoś próbuje wyłudzić od niej pieniądze. Jak powie potem sam Bohosiewicz, mimo wątpliwości obserwował umówione miejsce, ale informator się nie pojawił.

Niedługo później mężczyzna ponownie telefonuje do Bogusławy.

– A jednak pani nie przyszła – ogłasza, po czym odkłada słuchawkę.

Matka Kasi mówi policjantom o tajemniczych telefonach. Cała sytuacja wydaje jej się dziwna. Śledczy ustalają tylko, że mężczyzna dzwonił z budki telefonicznej w centrum Krakowa.

Notka o zaginięciu Katarzyny ukazuje się w „Dzienniku Polskim”<sup>4</sup>. Według gazety pięć dni przed Kasią zniknęła też inna studentka, Kinga W. Dwudziestotrzylatka dopiero co rozpoczęła studia zaoczne na Wydziale Marketingu i Zarządzania w Akademii Górniczo-Hutniczej, a jednocześnie pracowała w sklepie przy ulicy Solaskiego. Tydzień przed zaginięciem wzięła urlop, a po nim nie pojawiła się ani w pracy, ani w domu. Kinga jest podobnego wzrostu co Kasia, ma ciemne włosy do ramion i niebieskie oczy. W dniu zaginięcia była ubrana w zielone dżinsy, flanelową koszulę w zieloną kratę i czarny, obszerny płaszcz. Na głowie miała niebieską jedwabną chustkę w kwiaty.

Co ciekawe, dziewczyny mieszkają przy sąsiadujących ulicach – Kasia przy Lublańskiej, a Kinga przy Strzelców w Krakowie. Są w tym samym wieku.

Usiłuję się dowiedzieć, jak potoczyły się losy Kingi. Pytam rzeczniczkę Akademii Górniczo-Hutniczej, czy dziewczyna ukończyła studia. Anna Żmuda-Muszyńska odpisuje, że osoby o takim nazwisku nie było na liście studentów. Być może zrekrutowała się na akademię, ale nigdy nie rozpoczęła nauki. Z całą pewnością w październiku 1998 roku nie wróciła na uczelnię.

Próbuję więc się dowiedzieć od rzecznika małopolskiej policji, jak zakończyły się poszukiwania Kingi. Młodszy inspektor Sebastian Gleń informuje mnie, że „przeprowadzone żmudne sprawdzenia wykazały, że Archiwum KWP w Krakowie nie dysponuje w swoich zasobach żadną dokumentacją na temat »poszukiwań Kingi W.«”.

Po kilku kolejnych miesiącach Komenda Miejska Policji w Krakowie ustala, że poszukiwania Kingi zostały zakończone 16 grudnia 1998 roku, bo kobieta powróciła do domu. Nie udaje mi się tego potwierdzić.

\*

Józef jest jedynakiem. Przychodzi na świat w Czerniowcach, wówczas w Rumunii. Jego starsza siostra Lidia umiera jako niemowlę, zanim jeszcze Józek się urodzi. W czasie wojny rodzina ukrywa się przed Niemcami w małej miejscowości wśród gór. To miejsce chłopak zapamięta jako scenerię pierwszego lania, które dostaje od ojca: „Kiedyś zimą rodzice powiedzieli mi, że mam leżeć w łóżeczku, oni idą szukać roboty. Nie wolno mi było wstawać, gdyż się przeziębę. Pozostawili mnie w ciemnym i zimnym pomieszczeniu. Kiedy wyszli, bardzo się bałem, podsunąłem taboret i przez okienko w drzwiach zobaczyłem, jak rodzice, idąc gęsiego krętą, wąską ścieżką w odgarniętym śniegu, oddalają się coraz bardziej. Zacząłem krzyczeć, walić piąstkami w drzwi. Wołać: mamó, tatusiu... Ojciec zawrócił, wyciągnął pas ze spodni i bardzo

mnie zbił za nieposłuszeństwo. Powiedział: *marsz do łóżka, i wyszedł*”<sup>5</sup>.

Po wojnie cała rodzina przeprowadza się do Bydgoszczy. Ojciec Józefa Antoni zaczyna tu pracować jako zegarmistrz. Pewnego dnia chłopak dostaje od ojca kulę z kości słoniowej, którą rzuca po chodniku. Raz robi to tak niefortunnie, że wybija szybę sklepową. Za karę dostaje od ojca solidne lanie. Kiedy indziej próbuje wyłowić łódeczkę z papieru pływającą w studziencie, ale zamiast tego sam wpada do wody. O mało nie tonie, ale nie czyni go to mniej winnym. Za nieposłuszeństwo – nie bawił się w pobliżu sklepu ojca – znów obrywa baty.

Kolejne ciągi zbiera w Lednicy Dolnej koło Wieliczki, dokąd rodzina kolejny raz się przeprowadza. Na przykład za to, że biega bosy po rynsztoku czy sika z okna do ogrodu. Za to ostatnie przewinienie ojciec strzela go w ucho, drugie wykręca i mocno kopie. Na koniec Józek musi przeprosić oboje rodziców, całując ich w rękę.

Od babci dostaje pięścią w nos – aż puszcza mu się krew – za zagładanie jej pod spódnicę.

Po kilku latach pracy w Wieliczce ojciec Józefa kupuje od pośrednika pożydowską kamienicę przy Zamkowej 5, tuż przy rynku. Budynek ma wspólną ścianę z parafią, przy której stoi zabytkowy kościół Świętego Klemensa. Janczewscy zajmują jedno z mieszkań w kamienicy. Urządzają je na bogato. Od potomkini hrabiów Miczyńskich nabywają meble do salonu w stylu Ludwika XVI, które zostają odrestaurowane, pokryte dwudziestoczerokaratowym złotem i nowymi chińskimi brokatami. Do sypialni kupują secesyjne łóżko w kolorze kości słoniowej, a do kuchni olbrzymią jadalnię z rzeźbami z okresu międzywojennego.

Mieszkanie zaczyna przypominać muzeum.

– Pochodzę z domu, w którym nie wolno mi było niczego ruszyć, bo mogę zepsuć, bo może mi wypaść z ręki – opowiada Józef. – W wielkim mieszkaniu nie miałem swojego kąta, najwyżej parapet. Byłem karany za najmniejsze przewinienia.

Oprócz zegarków Antoni naprawia też monstrancje i relikwiarze. Wykłada pieniądze na chorągiew kościelną i przebudowę głównego ołtarza. Ofiarowuje parafii wielki zegar, który stanie w kościelnej nawie.

– Był bardzo dobrym zegarmistrzem. Tu, w Wieliczce, był najlepszy – opowiada mieszkanka miasteczka Maria Gawęda. – Pamiętam też, że miał piękną wystawę zegarów w dużym salonie na parterze kamienicy. Te zegary zwracały uwagę, wszyscy je oglądali.

\*

Ojciec Józefa zajmuje się też złotnictwem. Skupuje od miejscowej ludności złoto zostawione przez Żydów i wytwarza z niego obrączki. Jego żona Matylda nigdzie nie pracuje. Maria Gawęda pamięta ją jako mocno wymalowaną, podobną do Cyganki kobietę, która mówiła po polsku z dziwnym akcentem.

W okrutnych metodach wychowawczych Matylda nie ustępuje mężowi. Józef po latach wspomni: „Pewnego dnia odkryłem, że krople wody wyciekające spod pokrywki, kapiąc na rozpaloną do czerwoności blachę pieca kuchennego, podskakują, sycząc, by po chwili całkowicie zniknąć. Więc naplułem na blachę, uzyskując podobny efekt. Mama to zauważyła i powiedziała: *Nie pluj!*, a ja znów. A mama, *nie pluj, bo będziesz miał pryszczę na ciele*. A tylko się odwróciła, to ja znów. Jednym doskokiem znalazła się przy mnie, złapała moją rękę, otworzyła drzwiczki piecyka i włożyła moją rękę w żar. To były ułamki sekund. Sparzoną rękę nasmarowała olejem i kazała trzymać pod zimną bieżącą wodą. Więcej nie plułem<sup>6</sup>”.

I doda: „Matka była hochsztaplerem, lubiła w życiu grać komedie; śpiewając w kościele, zawsze wyprzedzała kontynuowaną melodię o jedną szesnastą wartości nuty, tym samym jakby intonując. Codziennie gorąco modliła się w kościele przed różnymi ołtarzami, ale wychodząc na zewnątrz, gardziła ludźmi gminu. Owszem, wspomagała biednego przy kościele, co robił też bardzo często ojciec, ale już chwilę potem, nie stojąc w kolejce, pchała się do lad sklepowych, żądając natychmiastowej obsługi. Tu się wyklócała,

przy tym kalecząc język polski. Mówiła: »ja z chamami stać nie będę«. Bywało, że ojciec tuszował sprawę, bywało, że wrogość ludzka i na mnie była przelewana, kiedy jej towarzyszyłem. Idąc z matką do sklepu i wiedząc już, jak się zachowa, ukradkiem wychodziłem przed sklep i czekałem. Ale wtedy matka wychodziła i dostawałem po twarzy, że jej nie broniłem»<sup>7</sup>.

Raz, gdy Józef choruje na szkarlatynę, rodzice zostawiają go samego i zabraniają mu wychodzić z łóżka. Chłopakowi się nudzi, więc wymyka się po *Baśnie* Andersena. „W tym momencie wszedł tata i zobaczył, jak wskakiwałem do łóżka. Sprzął mnie pasem. Do bicia zawsze byli skorzy, ale żeby pomyśleć, że trzeba pozostawić mi nocnik koło łóżka, nie pomyśleli. Wspólne ubikacje były na ganku, za drzwiami wejściowymi. Zachciało mi się siusiu. Długo ich nie było. Obok łóżka leżała kolorowa puszka po sardynkach. Tak bardzo mi się chciało, że nasikałem do puszki, a co się nie zmieściło, wypięłem. Bałem się wyjść z łóżka, by poszukać nocnika»<sup>8</sup>”.

W pierwszej klasie starsi chłopcy dokuczają Józefowi i go biją. Wołają za nim: „Rumun, burżuj, co tu robisz?”. Koledzy strzelają do niego z łuku strzałami, na których są zastrzone groty z drutu.

– Józek to było takie *enfant terrible*, chodził po ulicy i śpiewał – opowiada Maria Gawęda. – Ciągłe miał konflikty w szkole, podobno go wyśmiewali. Dziwak z niego był.

Pewnego dnia syn nauczycielki szepcze coś kolegom. Ci dopadają Józka, przyciskają go do ławki i chcą mu zdjąć spodnie. Chłopak wyrywa się i spuszcza łomot prowodyrowi. Gdy ten idzie na skargę do matki, nauczycielka wywołuje Józka na korytarz i tak mu przykłada w twarz, że ten upada na kosz na śmieci.

W starszych klasach podstawówki Józef słabo się uczy. Wie, że po wywiadówce ojciec go zbije, więc ze strachu chowa się u cioci. Po latach będzie wspominał: „Ciocia mnie uspokoiła, dała jeść i położyła spać u siebie. Tata mnie szukał po ulicach, a potem przyszedł do cioci. Ciocia prosiła, by mnie nie budził, on mnie zerwał z łóżka i zaczął bić. Ciocia stanęła w mojej obronie, więc jak ją pchnął, to osunęła się po ścianie. Chwycił mnie za ucho i prowadził przez centrum Wieliczki do mieszkania. Tam kazał mi

zdząć spodnie, przywiązał mój tyłek do taboretu i lał pasem, a ja z taboretom fikałem koziołki. Potem, pod pretekstem, że jestem chory, nie ćwiczyłem na gimnastyce, bo widzieliby krwawe i sine ślady po pasach. To byłoby straszny wstyd. Kiedy indziej za to, że się spóźniłem, rozsypał gwoździe do papy na ziemi. Mnie kazał klęczeć na nich i jeszcze trzymałem dwunastolitrowy gar pełen wody nad głową, w wyprostowanych rękach. Ręce mi zaczęły mdleć. On w tym czasie siedział obok i trzymał pas na kolanach, mama lepiła obok pierogi. Więc jak próbowałem oprzeć gar na głowie, uderzał mnie mocno pasem po plecach, woda się wylewała, lecz znów podnosiłem gar. Po dziesięciu minutach, kiedy wstałem, to jakby gwoździe wrosły w kolana<sup>9</sup>”.

W domu panuje system kumulacji przewinień. Za niegrzeczną odpowiedź matce Józek dostaje dwa pasy, za dwóję w szkole, niepunktualność, kłamanie – pięć pasów. W którąś sobotę suma kar wynosi siedemdziesiąt osiem. „Mama poszła do kościoła, tata do zakładu. Miałem przygotować miejsce kaźni. Odsunąć stół i krzesła kuchenne. Nadszedł ojciec. Kazał się rozebrać. Przywiązał za przeguby rąk do kółek umocowanych w górnej futrynie drzwi, pomiędzy kuchnią a pokojem. Podciągnął na sznurkach tak, że dotykałem palcami od nóg podłogi. Otrzymałem 78 uderzeń pasem. Potem, nie rozwiązując mnie jeszcze, zażył kropli walerianowych, następnie napełnił dużą miskę zimną wodą i chlusnął na mnie. Rozwiązał i wyszedł. Moim zadaniem było wytrzeć podłogę do sucha i ustawić meble”<sup>10</sup>.

O biciu Józek nie może nikomu powiedzieć. Matka ostrzega, że jeśli piśnie komukolwiek słowo, wywiezie go do Warszawy i weźmie sobie inne dziecko. Lepsze.

\*

Detektyw Grzegorz Bohosiewicz ustala, że Kasia od kilku tygodni jeździ na giełdę płyt do studenckiego klubu Pod Przewiązką. Giełda organizowana jest w każdą niedzielę przez dziennikarza muzycznego Radia Kraków Jerzego Skarżyńskiego. Można tu

sprzedać, kupić, wymienić lub przegrać na kasetę wydawnictwa niszowych zespołów, których nie ma w sklepach.

Na giełdzie Kasia najczęściej pojawia się z koleżanką Anią. Poszukuje nagrań pochodzącego z San Francisco zespołu Grateful Dead – w dosłownym tłumaczeniu „wdzięczny nieboszczyk”. Grupa została założona w latach sześćdziesiątych i początkowo grała muzykę określaną jako psychodeliczny rock. Jego członkowie tworzyli hippisowską komunę i eksperymentowali z narkotykami. W późniejszych latach zainteresowania zespołu skierowały się bardziej w stronę muzyki folk, country i bluesa. Wierna grupa fanów Grateful Dead nazywana była Deadheads, co można przetłumaczyć jako „martwe głowy”, choć śmierć w ich tekstach nie jest zbyt często poruszonym tematem, a melodie są raczej pogodne. Szczególnym uznaniem cieszą się albumy koncertowe zespołu z początku działalności. To właśnie ich szuka na giełdzie Katarzyna.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych przez krótki okres kierownikiem programowym klubu Pod Przewiązką jest Tadeusz T. Ma wówczas długie włosy i charakterystyczne okulary w metalowych oprawkach. Czasami pomaga przy organizacji koncertów, za co dostaje darmowe wejścia do klubu.

– Gdy przychodziły jakieś ładniejsze panienki, zapraszał je: „Mam wejściówki, mogę was wpuścić na koncert” – opowiada Jerzy Skarżyński. – Później przychodził z nimi do biura i opowiadał im, jaką ważną rolę odgrywa. Trochę nas to wszystkich wpieprzało, delikatnie mówiąc.

W którąś jesienną niedzielę 1998 roku Tadeusz T. poznaje Katarzynę. Wspomina to tak: „Staliśmy przed drzwiami w kilkanaście osób. Giełda rozpoczynała się o godzinie 10. Miałem w ręce katalog od kolegi, który przywoził płyty z Niemiec. Ona [Kasia – przyp. red.] zaczęła zaglądać mi przez ramię. Zapytałem, czego szuka. Powiedziała, że Grateful Dead. Dałem jej katalog. Powiedziała, że te wszystkie płyty już ma. Obiecałem, że zaprowadzę ją do K.”<sup>11</sup>.

K.<sup>12</sup> to prawdziwy kolekcjoner płyt i książek. Jako jedyny na giełdzie ma koncertowe nagrania Grateful Dead, na które poluje

Kasia.

– Wiele osób go znało, bardzo żeśmy go lubili, bo to sympatyczny człowiek – mówi o nim Skarżyński.

K. nie ma na giełdzie własnego stolika, krąży po sali, czasami się do kogoś przysiada. W ostatnią wrześniową niedzielę podchodzi do niego Kasia z koleżanką. Pytają o kasety Grateful Dead. Dziś K. opowiada:

– Ucieszyłem się, że ktoś wykazał zainteresowanie tym niszowym w Polsce zespołem. Zaskakujące było, skąd się w ogóle o nim dowiedziała, bo nie był puszczany w radiu.

– Jakie zrobiła na panu wrażenie? – pytam.

– Dziwne.

– To znaczy?

– Tak jakby nie do końca kontaktowała. Przynajmniej takie miałem odczucie.

– Jakby była pod wpływem czegoś?

– Patrząc z dzisiejszej perspektywy, można byłoby tak przypuszczać, ale mogę się całkowicie mylić. Wie pani, jak się czegoś szuka i nagle znajduje, tak jak w przypadku płyt tego zespołu, to człowiek cieszy się: „O, fajnie, super, rewelacja!”. A ona tak: „Jest? No to dobrze”.

K. prosi, żeby Kasia przyniosła czyste kasety, to przegra jej płytę. Tydzień później dziewczyna przynosi taśmy i prosi, żeby przegrał jej kolejny koncert. Za tydzień następny. K. ocenia, że przychodziła przez pięć kolejnych niedziel. Ostatni raz dziewczyna odwiedza giełdę prawdopodobnie pod koniec października lub na początku listopada, kilka dni przed zaginięciem.

– Przyniosła kolejną partię kaset, no i następnym razem już się nie zjawiała – wspomina mężczyzna. – Uplłynął miesiąc. Cisza. Te kasety zostały u mnie, później policja je zabrała.

Ostatnich płyt K. już nie przegrał, bo nie mieściły się na kasetach, które Kasia przyniosła.

– Z tym zespołem jest taki problem, że gra utwory improwizowane i numer potrafi trwać pięćdziesiąt minut – tłumaczy. – Nie było wtedy kasety, która by miała taką długość



z jednej strony, żeby się cały utwór zmieścił. Dlatego zostawiłem je czyste.

Kasia już nigdy nie pojawia się na giełdzie Pod Przewiązką. Jakiś czas później K. widzi ogłoszenie o jej zaginięciu w sklepie Rock-Serwis.

– Na zdjęciu wyglądała inaczej niż w realu – opowiada. – Chyba miała inną fryzurę. Nie dam sobie głowy uciąć, ale wydaje mi się, że w rzeczywistości nie miała blond włosów. Nie wiem, nie zwracałem na nią uwagi. Powiem pani szczerze, ona była nieatrakcyjna.

Kilka tygodni później K. znów krąży na giełdzie między stoiskami.

– I nagle słyszę: „To ten!”. Ktoś mnie łapie. A to pan detektyw z tą jej koleżanką. No i konsternacja, bo ja go dobrze znam, mieszkaliśmy po sąsiedzku. Wypytał mnie, co i jak. Powiedziałem, że nie znam dziewczyny, nagrałem jej te płyty, i tyle.

Jednak w przypadku K. na tych wyjaśnieniach się nie kończy.

– Ktoś życzliwy głupot nagadał – opowiada. – Spotkałem się z taką wersją, nie wiem na ile prawdziwą, że jej koleżanka naopowiadała komuś, policji albo detektywowi, że ta Kaśka się we mnie zakochała.

\*

Kapitan pchacza Łoś siedzi w sterówce zajęty cumowaniem barki ze zwirem do nabrzeża Wisły. Jest mroźny zimowy wieczór, 6 stycznia 1999 roku. Nagle obroty maszyny gwałtownie spadają. Rozlegają się dziwne trzaski.

– Psiakrew! Znowu coś się nawinęło na śrubę.

Pewnie jakaś gałąź lub opona, myśli. Ciemno już, jutro się tym zajmiemy.

Następnego dnia o świcie razem z mechanikiem i marynarzem otwierają pokrywę w biało-czarne poprzeczne pasy i świecąc latarkami, schodzą pod pokład. Zaglądają do śruby. Widzą, że nakręciły się na nią jakieś szerniałe śmieci. Okropnie śmierdzi.

Wychodzą na górę, odkręcają dekiel i pogrzebaczem wyciągają kawałki na pokład.

– Co to jest?

– Kawalek ucha – mówi nagle jeden z nich.

Szok.

– To chyba ludzkie zwłoki – wydusza z siebie kapitan.

Marynarz dzwoni do dyżurnego portu rzecznego, zawiadamia go o znalezisku. Ten informuje komisariat wodny przy ulicy Tynieckiej. Na barcę przyjeżdżają policja i lekarz sądowy, który przeprowadza wstępne oględziny. Stwierdza, że to ludzka skóra z przedniej części korpusu bez tkanek kostnych, z widocznym pępkiem i fragmentem owłosienia łonowego.

Oprócz skóry zostają wyłowione: pukiel włosów, spruty fragment ciemnego swetra, kwadraty wycięte ze sztruksowych czarnych spodni, urwane ramiączko stanika, a także fragment flanelowego materiału w drobną, biało-ciemnozieloną kratkę.

Co ciekawe, w dniu zaginięcia Kasia była ubrana w granatowy golf, taką samą kurtkę i czarne spodnie. We flanelową koszulę w kratkę ubrana była zaginiona pięć dni wcześniej Kinga.

Po kilku godzinach na miejsce zjeżdża się liczna ekipa dochodzeniowa. Między innymi młody policjant Bogdan Michalec, który kieruje oględzinami. „Tylu prokuratorów i policjantów tu jeszcze nigdy nie było – powie później pracownik firmy, do której należy Łoś. – Chodzili, oglądali. Kazali wyciągnąć na brzeg pchacz i też go dokładnie badali”<sup>13</sup>.

Kilka dni później prokurator przeprowadza wizję lokalną. Razem z kapitanem schodzą pod pokład pchacza i zagląдают do śruby.

„– Pan zeznał, że do ujawnienia tych szczątków doszło przez zdjęcie dekla. Ma pan na myśli to kółko?

– Tak, ten dekiel. To się wyciąga do góry. – Kapitan pokazuje element konstrukcji statku.

– Zauważył pan pływające szczątki. One gdzie się znajdowały?

– No znajdowały się na wierzchu tej rozpórki. – Kapitan pokazuje śrubę.

– I pan tutaj przez ten otwór wyciągał to pogrzebaczem, tak?

– Innej możliwości nie było. Ten dekiel my odkręcili i tą drogą to wyciągnąłem tu, na wierzch”<sup>14</sup>.

Tomasz Konopka, lekarz medycyny sądowej, wstępnie wyklucza rozkawałkowanie ciała przez osoby trzecie. Zakłada, że ofiara mogła popełnić samobójstwo, skacząc do rzeki, a skórę z jej ciała ściągnęła śruba pchacza. Jednak po umieszczeniu płata skóry w pozycji anatomicznej medycy sądowi zmieniają zdanie. Stwierdzają, że jest to cała powłoka kobiecego ciała z warstwą tłuszczu podskórnego, która została odseparowana chirurgicznie.

To pierwszy taki przypadek w historii światowej kryminalistyki.

\*

Po sekcji szczątków w Zakładzie Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego zostaje sporządzony protokół, z którego wynika, że czynu zbrodniczego dokonała osoba lub osoby, które zawodowo praktykują preparację tkanek i organów. Medycy dochodzą do takiego wniosku, ponieważ skóra jest bardzo umiejętnie oddzielona od korpusu, a kończyna dolna fachowo odcięta od pozostałej części ciała ofiary.

Sprawę prowadzi sekcja do spraw zabójstw złożona z policjantów dochodzeniowych i kryminalnych Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Śledczy ustalają, że – jeśli całe ciało dostało się do rzeki – pozostałe fragmenty powinny być gdzieś pomiędzy stopniem wodnym Bielany a stopniem wodnym Dąbie. Przeszukują więc koryto i brzegi Wisły. Tego samego dnia, pół kilometra dalej, w pobliżu tamy na Dąbiu, śledczy znajdują unoszące się w rzece odcięte pośladki z warstwą tłuszczu i mięśniami. Obok nich pływa fragment zwierzęcej sieci większej. To „fartuch” znajdujący się pod żołądkiem i pokrywający jelita ssaków.

– Informację o tym, że wyłowiona z Wisły skóra była owinięta w taką właśnie sieć, skutecznie ukrywano przez dwadzieścia lat – mówi Michał Fuja, dziennikarz *Supervizjera* TVN. – Podobnie jak tę, że znaleziona sieć swoimi rozmiarami już od pierwszych oględzin w Zakładzie Medycyny Sądowej w Krakowie nie wyglądała na

ludzką. Miała zbyt duże rozmiary. Z dokładnym zbadaniem jej zwlekano aż do 2014 roku. To wtedy naukowcy z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu porównali ekshumowaną tkankę z sieciami dzika, sarny i krowy. Zdobyć takiego materiału tkankowego w czasie zabójstwa mogło być możliwe za pośrednictwem rzeźni, zakładów utylizacyjnych albo z uboju własnego zwierzęcia.

Co ciekawe, policjanci nie znajdują wówczas nogi, która zostanie wyłowiona z Wisły w tym samym miejscu tydzień później.

## W więzieniu to jest ciężka sprawa...

*W więzieniu to jest ciężka sprawa odmawiać modlitwy. Wchodzą, wychodzą. Dzwonią kluczami, trzaskają drzwiami. Przeklinają, bo drzwi dwudziestoletnie znowu się zacinają. Tłuką pięściami, a nieraz zamki trzeba rozkręcać. Ogólnie klną wszyscy: oddziałowi, więźniowie, policjanci. Pisałem Wam, że był tu za ścianą więzień, którego potem gdzieś zabrano, ale niestety on znowu wrócił. I wczujcie się. On i jego słownictwo. „O kur...”, „ja pierd...”. I on tak potrafi od rana do wieczora. A teraz już mówi tak: „ja pierd...”, „ja pierd...”, „ja pierd...”. Nieraz mało mnie nie trafi, bo przecież odmawiam daną modlitwę, a tu jego „kur...” zza ściany.*

*Albo byłem kiedyś przy odmawianiu piętnastej już modlitwy (Tajemnicy szczęścia – modlitwa roczna) i przy końcu, zabrakło mi minuty, otwierają się drzwi do celi. No i odmawianie od początku. Dwa dni potem ta sama historia. Znowu końcówka – piętnasta modlitwa i znowu to samo. Cztery dni potem byłem przy siódmej modlitwie. I znowu od początku. Wielkie mnie nerwy kosztuje, aby się pomodlić dzień w dzień w takiej atmosferze. Ale ja się nie dam wyprowadzić z równowagi.*

## Gdy Robert przychodzi na świat...

Gdy Robert przychodzi na świat, Maria i Józef zajmują mikroskopijne mieszkanko w przybudówce kamienicy przy ulicy Siennej w Krakowie. Do małego pokoiku na drugim piętrze wchodzi po metalowych schodach, po drodze zaglądając w okna dużych mieszkań bogatszych ludzi. Ponieważ nie mają na czym spać, Józef znajduje gdzieś ramy szpitalnego łóżka. Własnoręcznie robi dno, przycinając deski i układając je tak, żeby zmieściły się dwie osoby.

– Jak Robert się urodził, to leżał w kartonie po makaronie – opowiada.

Maria ma wtedy osiemnaście lat. Historia ich znajomości zaczyna się rok wcześniej, też przy Siennej.

Jest późny wieczór, Józef biegnie, żeby zdążyć na ostatni pociąg do Wieliczki, gdzie wciąż mieszka z rodzicami.

– Nagle spod ziemi wyrasta jakaś dziewczyna, łapie mnie za łokieć i mówi, że jej się strasznie podobam – opowiada. – Że chciałaby się ze mną zobaczyć.

Janczewski jest zaciekawiony, ale śpieszy się na pociąg. Dziewczyna rzuca, że mieszka niedaleko, na Wielopolu. Józef obiecuje, że wpadnie, kiedy będzie następnym razem w Krakowie. Po kilku dniach zaintrygowany idzie pod wskazany adres. W oknie jednego z mieszkań dostrzega dwie dziewczyny. Tę, która go zaczepiła, i jej koleżankę.

– Ona mi się kompletnie nie podobała, za to koleżanka bardzo – wspomina.

Przyczają się za rogiem. Po chwili widzi, że dziewczyny wychodzą razem, ale na ulicy się rozdzielają. Idzie za koleżanką. Dochodzą na Sienną, gdzie ona mieszka z matką.

– Zobaczyłem to straszliwe zderzenie luksusu w naszym domu: marmury, kryształ z prawdziwym złotem, srebra, dziesiątki zegarów i dywany, i tę straszną biedę: szesnastometrowy pokoiczek i maleńki wychodek, gdzie król chodzi piechotą.

Józef dyga i mówi grzecznie „Dzień dobry” matce Marii, a ta, ignorując go, do córki ostro: „Gdzie byłaś?!”.

– Wzięła kabel od żelazka i się na nią zamachnęła – opowiada Józef. – Ja się podstawiłem i dostałem po plecach. I tak to się zaczęło, proszę pani.

Maria kończy wtedy zasadniczą szkołę odzieżową. Dostaje dwadzieścia jeden złotych stypendium, za które musi się wyżywić. Rano, w południe i wieczorem je bułkę, którą smaruje pastą z sosem pomidorowym. Gdy młody Janczewski mówi rodzicom o pięknej, ubogiej dziewczynie, ci zgadzają się, aby Maria zamieszkała u ciotki Józefa w Wieliczce.

Miesiąc później matka dziewczyny umiera. Wtedy jej trzy siostry, „bidne takie, czorne jak Cygany”, jak je opisuje Józef, przyjeżdżają do Wieliczki i oznajmiają jego ojcu: „Pan ma naszą siostrzenicę, my powinniśmy coś za to dostać”.

– Tata na to: „Wy, żebraki, weźcie ją sobie i powieście się na jednej gałęzi” – wspomina Janczewski. – Więc one uciekły i już więcej się nie pokazały.

Wkrótce Maria zachodzi w ciążę. Żeby nie było wstydu, rodzice Józefa organizują ślub. Znana wielicka żydowska rodzina Schnurów darowuje młodej parze zastawę obiadową.

Jednak Janczewski nie może wytrzymać z ojcem. Dlatego po przyjściu na świat Roberta przeprowadzają się z żoną do opuszczonego mieszkania przy Siennej.

– Rodzice mi nic nie dali, nic – oznajmia z goryczą. – Z takiego domu, takiego bogactwa, nic mi nie pomogli. Potrafili nawet powiedzieć: „Chciałeś dziadówkę, ty ją masz”. Mówiłem do ojca: „Ja bym chciał mieć taki ścienny zegar”. To mi dał zegar, ale zepsuty. „Przecież jesteś zegarmistrzem, to sobie napraw”. Taki był.

\*

Następnego dnia po wyłowieniu szczątków w „Dzienniku Polskim” ukazuje się informacja:

„Zwłoki pływały w Wiśle. Zostały wciągnięte i zmasakrowane przez płynącą barkę. Policja wiąże wczorajsze odkrycie ze zgłoszeniem z 17 grudnia. Przypadkowy świadek informował wówczas, że ktoś skoczył do Wisły z mostu Grunwaldzkiego. Do dzisiaj jednak nie ustalono personaliów samobójcy lub samobójczyni. Mimo poszukiwań nie znaleziono również zwłok”<sup>15</sup>.

Mija tydzień. W czwartek 14 stycznia na kracie stopnia wodnego Kraków Dąbie, wśród konarów i śmieci, pracownicy znajdują ludzką prawą nogę ze stopą, z widocznymi śladami skórowania.

Na policyjnym nagraniu udostępnionym przez telewizję TVN widzimy czynność zabezpieczenia nogi. Zanurzony w Wiśle mechanizm jest wyciągany wraz ze śmieciami, które naniósł rzeka. Na górze, w pomieszczeniu stopnia wodnego, czeka już trzech umundurowanych policjantów. Pracownicy elektrowni łopata wygrzebują z mechanizmu śmieci. Technik policyjny odkłada na bok fragmenty plastikowych butelek, gałęzi i reklamówek. Widzimy, że pod nimi znajduje się ludzka noga<sup>16</sup>.

Lektor w materiale TVN mówi: „Policjanci z Archiwum X podejrzewali, że zabójca zaczął pozbywać się rozkawałkowanych wcześniej zwłok. Być może chciał zwrócić na siebie uwagę. Być może obserwował pracę policji i rozpoczął z nimi grę”<sup>17</sup>.

Z badań porównawczych wynika, że noga należy do tej samej osoby, której szczątki wyłowiono przed tygodniem. Wiadomo także, że ofiarą jest młoda kobieta. Lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego stwierdzają, że szczątki leżały w Wiśle nie dłużej niż kilka tygodni. Wrzucono je do rzeki mniej więcej w połowie grudnia 1998 roku.

Prokuratura Okręgowa w Krakowie wszczyna śledztwo w sprawie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem osoby o nieustalonej tożsamości. Postępowanie prowadzi prokurator Zbigniew Górszczyk. Śledczy zastrzega, że bierze pod uwagę także kilka innych wersji, między innymi nieszczęśliwy wypadek lub samobójstwo.

Do wydziałów kryminalnych komend wojewódzkich policji w Kielcach, Rzeszowie i Lublinie zostają wysłane telefonogramy



z poleceniem, by wszelkie przypadki odkrycia fragmentów ludzkich włosów, które spłyną w dół Wisły, natychmiast przekazywać do wydziału kryminalnego KWP w Krakowie<sup>18</sup>.

Postępowanie jest otoczone wielką tajemnicą, co bardzo dziwi. Wydaje się, że policji powinno zależeć na nagłośnieniu sprawy. Przede wszystkim po to, aby dotrzeć do świadków, którzy widzieli osobę wyrzucającą do Wisły podejrzane pakunki.

Oficjalna wersja brzmi, że śledczy nie chcą straszyć mieszkańców Krakowa i wywoływać paniki. Jednak w marcu 1999 roku dowiadują się o nim dziennikarze. „Nie ma takiej sprawy, to nieprawda”<sup>19</sup> – dalej idzie w zaparte Małgorzata Wilkosz-Śliwa, ówczesna rzecznik Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

Reporterzy zwracają się więc z pytaniem do profesora Tadeusza Hanauska, kierownika Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ten niechętny potwierdza: „Nie mogę nic powiedzieć, jestem w środku tej sprawy”. Dzień później w „Super Expressie” ukazuje się tekst *Tu znaleźli skórę z kobiety*.

Podczas konferencji prasowej prokurator Małgorzata Wilkosz-Śliwa wciąż bagatelizuje zagrożenie: „Brak jest jakichkolwiek podstaw do snucia katastroficznych wersji o działalności seryjnego mordercy w Krakowie”<sup>20</sup>. Jednak profesor Józef K. Gierowski, psychiatra z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który jest jednym z ekspertów w śledztwie, stwierdza: „Było jasne, że zbrodnia miała motyw seksualny. Istniało więc ryzyko, że wkrótce przestępca powtórzy atak”<sup>21</sup>.

\*

Popołudniami Maria chodzi do liceum ogólnokształcącego dla pracujących, Józef jest samodzielnym referentem handlowym w ogólnopolskiej hurtowni papierniczej. Z malutkim Robertem wciąż mieszkają na szesnastu metrach kwadratowych.

– Warunki były koszmarne – wspomina kobieta. – Toaleta zamarzająca na korytarzu, zimna woda w kranie. Tragedia.

Pewnego dnia w budynku pęka ściana. Po rodzinę Józefa i małżeństwo z dzieckiem mieszkające poniżej przyjeżdża wóz zaprzężony w dwa konie. Pakują meble i jadą na ulicę Józefa na krakowskim Kazimierzu.

– Pod numerem 16 dostaliśmy kuchnię i pokój – opowiada Józef.  
– Pokój myśmy zajęli, a kuchnię oni. Przez trzy lata myśmy się męczyli tam strasznie, bo on w dodatku pił.

Robert jest chorowity, do przedszkola chodzi w kratkę. Dlatego gdy ma trzy lata, rodzice oddają go na wychowanie ciotce mieszkającej w Wieliczce.

Gdy chłopiec ma sześć lat, kobieta niespodziewanie umiera. Józef pamięta, że po pogrzebie jego ojciec przyszedł do jej mieszkania.

– Zaglądał wszędzie – opowiada. – Ja mówię: „Tatusiu, a czy mógłbym sobie wziąć talerze?”. „A weź sobie, weź”. I jak brałem te talerze, wypadło pięćset złotych. Tata, jak to zobaczył, zrobił taki skok i chap te pieniądze. Schował sobie do kieszeni. Tak się zachowywali.

Mimo traumatycznych wspomnień z dzieciństwa po śmierci ciotki Józef oddaje Roberta swoim rodzicom. Przez kilka kolejnych lat chłopiec mieszka w zabytkowej kamienicy w centrum Wieliczki. Gdy przyjeżdżam tu trzydzieści lat później, budynek jest odrestaurowany. Dziś na pewno jest wart majątek. W stojącym obok kościele Świętego Klemensa trwa właśnie msza święta. Całą ulicę wypełnia donośny głos kapłana:

Spowiadam się Bogu wszechmogącemu  
i wam, bracia i siostry,  
że bardzo zgrzeszyłem  
myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem:  
moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.  
Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze dziewicę,  
wszystkich aniołów i świętych,  
i was, bracia i siostry,

o modlitwę za mnie do pana Boga naszego.

Codziennie rano i wieczorem Robert musi klękać obok babci i się modlić.

– Bili go, tak – przyznaje Józef. – Może już nie tak jak mnie, ale też dostawał lanie.

Dziadek chwyta go za nos i mocno ściska. Babcia zmusza do gry na pianinie. Bije wnuka po palcach, gdy mu nie wychodzi. Zamyka chłopca w szafie.

Wiele lat później w wywiadzie medycznym Robert podaje przykłady znęcania się nad nim przez babcię Matyldę: wiązała mu nogi na noc. Zmuszała do zakładania „worka pokutnego” – był to worek na ziemniaki z wyciętymi otworami na głowę i ręce. Musiał w nim chodzić, gdy coś zawinił, a nawet w nim spać. Przebierała go za dziewczynkę. Wbijała mu paznokcie w rękę. Zmuszała do śpiewu w kościele. Uderzała go nożami i widelcami oraz deską. Wciskała mu cycki do ust. Obnażała się przed nim. Bawiła się jego genitaliami do jedenastego roku jego życia. Dziadek Antoni kopał go i bił dotkliwie, czasem też w krocze.

Gdy spotykamy się kolejny raz, pytam Józefa, czy wspomnienia Roberta mogą być prawdziwe.

– Połowa z tego to jest prawda – potwierdza. – Bo i ja oberwałem niejeden raz deską. Albo nożem mnie ciachnęła, bo akurat kroїła, a ja się zasłoniłem ręką. Gdzieś tutaj, o.

Józef pokazuje wciąż widoczną bliznę na ręce.

– Albo mnie uderzyła makohonem, co się mak trze. Guza miałem wielkiego.

– Wiazała mu nogi na noc?

– Mnie też wiazała nogi, jak byłem mały, żebym nie miał krzywych na starość. Tak mówiła.

– Przebierała go za dziewczynkę?

– Tego to ja nie wiem, nie byłem przy tym.

– Pana przebierała?

– Nie, mnie nie przebierała.

– Zmuszała do śpiewu w kościele?

– Zmuszała, mnie tata też zmuszał. Raz, pamiętam, były gorzkie żale, pełno ludzi w kościele. Ponieważ nie śpiewałem razem z nimi, tata ścisnął mi palce tak, że aż kucnąłem w tym tłumie.

– Dziadek kopał go i bił dotkliwie?

– Może być. Mnie też kopał. Niejednego kopa dostałem.

– W krocze?

– To jest możliwe. Raz otworzył ladę zakładu, wyszedł i chwycił mnie, a był dosyć silny, kolanem kopnął mnie w interes i wypchnął za drzwi.

– Babcia Matyllda ubierała go w worek pokutny, gdy coś zawinił?

– Mnie nie dawali worka, miałem inne pokuty. Ale wszystko jest możliwe.

Józef mówi, że jemu też matka wciskała pierś do buzi, gdy miał dziesięć lat. Widział nawet, że podawała go dziecku sąsiada.

– Ale to dla mnie nie jest molestowanie – twierdzi Janczewski. – To jest jakieś dziwne zachowanie. Infantylnizm, zdziecinnienie, a może przebudzone uczucia macierzyńskie.

– Obnażała się przed nim? – pytam.

– No nie, nie. Ja pamiętam, jak byłem mały, a mama nie mogła sobie zapiąć gorsetu, to stawała tyłem, a ja musiałem odkręcić głowę i jej zapinałem. Chociaż może, może, nie wiem...

– Bawiła się genitaliami wnuka do jedenastego roku jego życia?

– A skąd, to niemożliwe.

Jednak Robert nie skarży się rodzicom.

– On dopiero jak miał czternaście lat, to się otworzył i powiedział, że dziadkowie go bili – twierdzi Józef. – Przywiózł całą kasetkę złotych monet. Wtedy zapytałem: „A skąd to?”. I tak to z niego wyciągnąłem.

Chłopiec wyznaje ojcu, że dziadkowie płacili mu złotymi jednogroszówkami za milczenie i donoszenie.

– Robert miał być szpiclem i informować, co takiego mówiłem na rodziców, czy może się na coś skarżyłem. Wtedy się z nimi pokłóciłem. Nie pozwolili mi przez miesiąc do nich przychodzić.

W 1971 roku Robert rozpoczyna naukę w Szkole Podstawowej nr 2 w Wieliczce. Oceny ma bardzo dobre lub dobre, tylko czasami zdarzy się na świadectwie jakiś dostateczny. Zachowanie również bardzo dobre, na koniec piątej klasy nawet wyróżniające się. Józef przyjeżdża do syna raz w tygodniu, w środę.

– Czuł się porzucony przez rodziców – mówi późniejszy psychiatra Roberta Jacek Matkowski.

Chłopak wraca do domu rodziców, gdy ma dwanaście lat, po piątej klasie. Matka zapisuje go do podstawówki przy ulicy Wąskiej w Krakowie. Dziś znajduje się tu VI Liceum Ogólnokształcące.

– Już coś się zaczęło z nim dzieć w szkole podstawowej – opowiada Józef. – W czasie przerwy chował się do szafy. I siedział tam. Może dlatego, że mówili na niego, że jest gruby.

Gdy ojciec chce się z nim przywitać, pogłaskać po głowie, pocałować, to syn jest sztywny. Niechętny do przytulenia. Niekomunikatywny.

– Robert był skryty – potwierdza Maria. – Jako dziecko był nieśmiały, bojaźliwy, chował się za innymi. Gdy miał kilkanaście lat, coś mu się w głowie przelewało, dostał zwolnienie z powodu depresji. Ale wtedy nie zwracał na to uwagi, bo nie wiedział, że to może być jakaś choroba.

Józef zostaje przewodniczącym komitetu rodziców. Wchodzi też do trójki klasowej.

– Ja zarządziłem, żeby rodzice przyszli i myli okna, a tam jest ich ponad sto – wspomina. – Ja też myłem, żeby mu pomóc. Starłem się, ile mogłem. Chodziłem na wywiady. Więc nie można powiedzieć, że go zostawiłem, jak miał trzy lata.

Józef dużo pracuje. W hurtowni, którą prowadzi, przebija wszystkie normy i obejmuje stanowisko kierownicze.

– Przecież ja zarabiałem, ja wszystkich utrzymywałem – tłumaczy się. – Jak miałem samochód, to nawet jeździłem jako taksówkarz.

W dzieciństwie Robert dwa razy dostaje od ojca lanie.

– Raz za to, że ukradł zegarek, a raz za to, że wziął dziesięć srebrnych monet – przyznaje Józef. – Wziął je bez pytania i przehandlował.

Żonę, jak twierdzi, Janczewski uderzył raz.

– Ale potem bardzo ją za to przeproszałem. Na każde zawołanie byłem, nigdy nie brakowało na jedzenie, a nasze mieszkanie było najpiękniejsze ze wszystkich innych.

## Dziś jest drugi dzień świąt Bożego Narodzenia...

*Dziś jest drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Jest mi tak strasznie ciężko i smutno. Właśnie była w telewizji msza święta, no to ja w płacz, bo tak bardzo bym chciał przytulić Twoją biedną matczyną głowę. Ile Ci jeszcze Pan Bóg życia da? Tak bardzo tęsknię. A jeszcze jestem w więzieniu. Ale zapewniam Was, że ktoś taki jak ja doskonale rozumie położenie Świętej Rodziny, która nie miała nic. I nad tym też płakałem. Bardzo Cię kocham, moja ziemską matko Mario.*

## Policjanci przeszukują bazę zaginionych osób...

Policjanci przeszukują bazę zaginionych osób. Odnajdują zgłoszone przez Bogusławę zaginięcie jej córki Kasi. „Wysłałem ludzi do jej domu – wspomina Karol Suder, wtedy zastępca naczelnika krakowskich kryminalnych. – Mówiłem: nie róbcie nikomu nadziei i starajcie się nie wystraszyć rodziny, ale musicie znaleźć jakieś jej komórki. Ze szczoteczki do zębów, do włosów. Pozbierali stamtąd ślady biologiczne i zawieźli do Zakładu Medycyny Sądowej. Wyodrębniono DNA i okazało się, że to ona”<sup>22</sup>.

W kwietniu 1999 roku śledczy potwierdzają, że odnalezione w Wiśle pozostałości ciała należą do Katarzyny.

„Moim zdaniem zabójca nam tę skórę zostawił w prezencie: zobaczcie, jaki jestem dobry. Złapcie mnie”<sup>23</sup> – powie później Suder.

Bogusława odbiera od policjanta wezwanie do prokuratury. „Było na nim napisane, że będę przesłuchiwana w sprawie z artykułu 148 paragraf 2 – opowiada. – Dowiedziałam się, że dotyczy morderstwa ze szczególnym okrucieństwem. Dopiero wtedy to do mnie dotarło. Kiedy zobaczyłam wyniki badań DNA, musiałam uwierzyć, że to ona...”<sup>24</sup>

Kobieta wpada w rozpacz. Boi się wychodzić z domu. W co drugim mężczyźnie widzi mordercę. Śledczy zaczynają sprawdzać osoby z pierwszego kręgu kontaktów Kasi. Rodzinę, znajomych i miejsca, w których bywała. Problem w tym, że nie wiadomo, dokąd chodziła i z kim nawiązała kontakt w pierwszych tygodniach listopada 1998 roku.

Tymczasem Zakład Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie przeprowadza szczegółowe badania odnalezionych szczątków. Oględziny wykazują, że skóra została odpreparowana z korpusu kobiety w całości, czyli obejmuje cały, nierozcięty obwód tułowia



z widocznym pępkiem. Górna część płata skóry obejmuje szyję i dochodzi do lewej małżowiny usznej. W zachowanym fragmencie płatka ucha widoczny jest otwór od kolczyka. Po lewej stronie z przodu znajduje się rozcięcie biegnące od szyi w dół, dalej pomiędzy piersiami i skosem do prawego boku. Dokonano go narzędziem ostrym tnącym – prawdopodobnie nożem albo skalpelem.

Po stronie grzbietowej – czyli w dolnej części pleców – krawędź skóry jest odcięta poziomo. Od strony brzusznej dolna krawędź płata skóry została starannie wycięta w odwrócony trójkąt o kształcie zgodnym z widocznym wzniesieniem łonowym, kończącym się wargami sromowymi. Powierzchnia tego obszaru skóry jest pokryta włosami łonowymi.

W okolicy obydwu piersi skóra jest pozbawiona tłuszczu. Brodawki sutkowe są wycięte, pozostały okrągłe otwory. Ręce ofiary są symetrycznie odcięte na poziomie stawu barkowego, a nogi w poprzek pachwin. Pośladki zostały amputowane, z pozostawionym wąskim pasmem skóry w okolicy krocza. W lewym dole pachowym znajduje się rana owalna, przebijająca skórę na wylot, długości półtora centymetra. Podobna jest widoczna przy brzegu pośladka.

Odnaleziona prawa noga składa się ze stopy, z podudzia, uda oraz części miednicy. Na grzbiecie stopy naskórek ma odciśnięty drobny, siateczkowaty wzór, przypominający fakturę tkaniny. Są na nim widoczne dwa ciemne równoległe pasma przypominające odbarwienia od obuwia. Z kolei okolice piersi i krocza mają przebarwienia w ciemniejszym odcieniu przybierające dokładne odwzorowanie kształtu bielizny – stanika i majtek.

Skóra ma rozległe, głębokie otarcia. Nie ma widocznych siniaków, ale tkanka jest już zgniła. Zdjęcia rentgenowskie, a następnie szczegółowe badania wykonane po maceracji kości wykazują liczne złamania kości kończyn dolnych i górnych. Lekarze stwierdzają, że sprawca przed śmiercią nie podawał ofierze żadnej trucizny ani substancji odurzających.

Zdaniem śledczych pozostawienie fragmentów miejsc intymnych i pozbawienie ofiary sutków świadczy o seksualnym motywie

zbrodni.

\*

Koleżanka Katarzyny mówi detektywowi Bohosiewiczowi, że Kasi bardzo podobał się K. z giełdy płyt. Detektyw donosi o tym policji. Pewnego ranka czterech funkcjonariuszy przyjeżdża do mieszkania mężczyzny. K. wyjechał już do pracy, ale śledczym udaje się wystraszyć jego żonę. Następnie policjanci zmierzają do głównej siedziby banku, w którym mężczyzna pracuje. Okazuje się, że tu też go nie ma, bo jest zatrudniony w filii. Za to o sprawie dowiadują się dyrektor, księgowa i inni pracownicy centrali.

Wreszcie policjanci docierają do oddziału banku. Ściągają w trybie natychmiastowym pracownika, który zastępuje K., a mężczyznę zabierają na przesłuchanie. W komendzie pobierają od niego ślady.

Jakiś czas później znowu go wzywają. Pytają, czy podda się badaniu poligraficznemu. K. się zgadza. Jest pewny, że po wariografie śledczy dadzą mu spokój. Okazuje się, że jest wręcz przeciwnie. Badającemu wychodzi, że K. kłamie.

Łącznie mężczyzna jest wzywany do komendy jakieś siedem razy. Raz daktyloskopowanie, dwa razy wariograf, trzy przesłuchania, pobieranie DNA z jamy ustnej. Na policję wzywani są też żona K. i drugi mąż jego matki. Po tych wydarzeniach mężczyzna musi zmienić pracę.

– K. było mi żal, bo to jest fajny chłopak, sympatyczny, pogodny. Zniszczyli go – mówi Jerzy Skarżyński. – Jak go pani pozna, to pani zobaczy, że trzeba było mieć źle w głowie, żeby myśleć, że ktoś taki mógł to zrobić... Miał pecha, że akurat tej dziewczynie nagrał kasetę.

Rzeczywiście, K. do dziś drży głos, gdy mi o tym opowiada. Widać, że kosztowało go to wiele zdrowia. Trudno się dziwić – był podejrzewany o brutalne zamordowanie i oskórowanie młodej dziewczyny.

Śledczy podejrzewają też Tadeusza T., nieformalnego kierownika programowego klubu Pod Przewiązką. „To najprawdopodobniej on dzwonił dwukrotnie do matki dziewczyny tuż po zaginięciu – napisze w październiku 2017 roku dziennikarz Onetu Dawid Serafin. – Nie przedstawił się. Chciał się spotkać z nią na krakowskim Rynku. Nie przyszła. Odradził jej to detektyw”<sup>25</sup>.

Tadeusz T. wyzna Serafinowi, że Kasię widział tylko trzy lub cztery razy, a rozmowa z nią była lakoniczna, ponieważ dziewczyna była trudna w kontaktach. Jednak dziennikarz zauważy, że mężczyzna „podczas rozmowy stara się kontrolować to, co mówi. Zapędza się tylko raz, kiedy wyznaje, że Kasia mogła się związać z kimś, kto lubi praktyki sado-maso. Dopytywany, temat urywa”<sup>26</sup>.

Chcę porozmawiać z Tadeuszem T. Proszę K. o numer do niego, ale ten od lat się z nim nie kontaktuje.

– Czuliśmy się tak zaszczuci, że nawet nie dzwoniliśmy do siebie, żeby ktoś nie pomyślał, że coś spiskujemy razem, że ustalamy jakąś wersję wydarzeń – tłumaczy K. – Bo oni chyba myśleli, że my we dwóch to zrobiliśmy. Słyszałem, że Tadek też został dobrze przeczołgany.

„Zrobiono wtedy mnie i rodzinie K. wielką krzywdę – doda Tadeusz T. – Bardzo to przeżywałem”<sup>27</sup>.

W końcu udaje mi się namówić K., żeby wysłał chociaż SMS-a do Tadeusza. Jednak mężczyzna stanowczo odmawia jakiegokolwiek kontaktu. Ma dość tej sprawy.

\*

Gdy Robert wraca z Wieliczki do rodziców, ich związek zaczyna się sypać. A może zabierają go od dziadków właśnie dlatego, że im się nie układa?

– Po prostu byliśmy za młodzi na małżeństwo – mówi Maria.

– Sprawy męsko-damskie – wyjaśnia Józef. – Cały czas bolała ją głowa. W mieszkaniu zawsze musiało być ciemno i cicho. Nie było

między nami bliskości. Moja żona jest bardzo uczciwa, pracowita i bogobojna, ale przy tym niezwykle oschła i zimna w relacjach z bliskimi.

Pewnego dnia trzydziestopięcioletni Józef przechodzi obok pomnika Mickiewicza na Rynku Głównym. Obok idzie kobieta z żyłkową siatką.

– I tak nią wywijają – opowiada mężczyzna. – I ta żyłka złapała mnie za guzik. Uśmiechnęliśmy się do siebie, powiedzieliśmy parę słów. „Gdzie pani idzie?” „A, tu brat pracuje w Sukiennicach”. „No to pójdziemy razem”. No i poszedłem do tego brata.

W ten sposób Józef poznaje Jadwigę, która prowadzi sklep z pamiątkami przy ulicy Floriańskiej i samotnie wychowuje córkę Ewę. Jej brat ma stoisko w Sukiennicach. Józef zaczyna przywozić mu towar, za co dostaje procent od sprzedaży. Spotyka się też z Jadwigą, a nawet zostaje ojcem chrzestnym Ewy.

Robert, który dopiero co wrócił do domu rodzinnego, źle znosi zdradę ojca. Odreagowuje agresją. Świadkowie Zofia i Monika S. zeznają później, że widziały go, jak szedł ulicą Kalwaryjską w Krakowie i „kopnął z całej siły w kostkę przypadkowo napotkaną dziewczynę”. Kiedyś miał też mocno uderzyć łokciem Monikę w rękę. Zofia S. jest wówczas funkcjonariuszką Milicji Obywatelskiej w komendzie Biały Domek przy ulicy Lubicz.

Robert kończy podstawówkę i zapisuje się do zasadniczej szkoły ogrodniczej przy ulicy Pędzichów w Krakowie. Już w pierwszej klasie wpada w kłopoty z matematyką.

– Wiem, że dzieci były zastraszone, że ta nauczycielka na nie wrzeszczała, wyzywała je. Biła książką po głowie – twierdzi Józef. – I że była tam jedna dziewczynka, która była tak nerwowa i tak strasznie się bała tej nauczycielki, że mdlała. Robert mi to powiedział dopiero, jak był dorosły.

Chłopak też się czuje dyskryminowany przez matematykę. Zaczyna się stawiać, jest agresywny. Nie uczy się. Nauczyciele sobie z nim nie radzą i wysyłają go na rozmowy do wicedyrektora Zygmunta A. „Byłem trochę jak jego psychoterapeuta, zresztą lubiłem pracować z trudną młodzieżą – opowie później. – Robert wpadał w taki słowotok, miotał przekleństwa, był bardzo

pobudzony. Sądziłem, że jak pozwolę mu się wygadać, rozładuję w ten sposób jego agresję”<sup>28</sup>.

Robert nabiera zaufania do wicedyrektora. Zaczyna mu się zwierzać ze swoich problemów w domu. Nauczyciel współczuje uczniowi i wstawia się za nim u innych nauczycieli. Bez efektów. Robert zawala kilka przedmiotów i zostaje usunięty ze szkoły.

– Dowiedziałem się, że bardzo pyskował – wspomina Józef. – Dziwna rzecz, bo taki zamknięty, a tu hardy był. Dopiero po latach się dowiedziałem, że za to go wywalili.

Chłopak uznaje, że to wina matematyki, więc przychodzi pod pokój nauczycielski, wyzywa kobietę, kopie w drzwi.

– I wie pani, co potem zrobił? – zapyta mnie Jakub<sup>29</sup>, nauczyciel z kolejnej szkoły Roberta. – W wakacje chodził i odkręcał śrubki z boazerii, aż w końcu spadła. On sam mi to opowiadał. Wendetę sobie taką wymyślił w stylu włoskim.

Później Robert wyjaśni, że nie odkręcił wszystkich śrubek, tylko kilka. I żadna boazeria nie spadła.

– Nie wiem, czy ja jestem winien, czy nie winien, że to wszystko scedowałem na żonę. – Józefa Janczewskiego dręczą wyrzuty sumienia. – Zawsze tak było, że jak przychodziłem do domu, to wszystko było wyprasowane, pościelone, był obiad. Potem żona pracowała, ale zawsze na niedzielę było ciasto. A więc było normalnie, nic się nie działo. A teraz się okazuje, że on nie przeszedł do następnej klasy, miał jakieś podwójne życie. Natomiast nigdy nie brakowało go w domu, nigdy nie pyskował do matki. Nawet się zginał do mnie i buty mi chciał sznurować. Raz poleciał i umył mi rower. Proszę pani, to znaczy, że jakiś szacunek jest.

Zanim chłopak zmieni szkołę, poznaje uczniów, Leszka S. i starszego od siebie o dwa lata Leszka L. Ten pierwszy zezna potem, że Robert był najślabszy w klasie, a L. chronił go przed przemocą innych.

– Podobno L. do niego pierwszy podszedł, podał mu rękę i coś tam do niego zagadał – opowiada Maria Janczewska. – Robert się z nim zaprzyjaźnił i odtąd uznawał go za swojego wielkiego przyjaciela.

\*

Leszek L., jak napisze o nim później prasa, to „tajemniczy przyjaciel Roberta, który pojawił się w życiu podejrzanego pod koniec czasów szkolnych. Inteligentny, atrakcyjny, zafascynowany dzikimi zwierzętami, kolorowo ubierający się chłopak miał bardzo imponować Robertowi J.”<sup>30</sup>.

Leszek mieszka wówczas z rodzicami i siostrą w małym mieszkaniu na osiedlu Podwawelskim w Krakowie. „Od najwcześniejszych lat, gdy chodziłem z rodzicami do zoo, zawsze zostawałem przy egzotarium, podczas gdy oni pędzili dalej, do małp, tygrysów i słońca. Gady fascynowały mnie, wręcz hipnotyzowały” – opowie po latach<sup>31</sup>.

W piątej klasie podstawówki przynosi do domu zaskrońca, którego sam złapał. Gdy staje w progu z węzem na szyi, matka o mało nie dostaje zawału. „Strzeliła drzwiami tak mocno, że mało mnie nimi nie zabiła – wspomni. – Musiałem ukryć biedaka. Trzymałem go w pudełku pod łóżkiem, a po miesiącu przyznałem się rodzicom”<sup>32</sup>.

Jako nastolatek Leszek chodzi na zajęcia do osiedlowego koła przyrodników. Co tydzień wykłady dają w nim podróżnicy, między innymi pracownicy Polskiej Akademii Nauk. W klubie młodzież hoduje małe zwierzęta. Zdobywa dla nich pożywienie, opiekuje się nimi.

– On też coś hodował, jakąś jaszczurkę czy chomika – opowiada opiekun grupy Jan Bajger. – Był niezwykle ambitny, zawsze chciał być najważniejszy. Zaczęły się wewnętrzne walki i Leszek L. po kilku latach zrezygnował z naszej współpracy. Jednak już zdobył dużą wiedzę i zaczął sam w domu hodować zwierzęta.

Do mieszkania w bloku zaczyna znosić jadowite gady.

– Cały jeden pokój był zajęty klatkami – wspomina jego matka. – Drzwi były zrobione na zamówienie i wysoki próg. Myśmy przeszli tragedię, bo to strach jest.

Robert Janczewski czasem odwiedza kolegę w mieszkaniu. Leszek nadaje mu ksywę „Kulturka”.

– Zawsze miał spuszczone głowę, nie mówił „dzień dobry”, tylko od razu szedł do pokoju syna – pamięta matka Leszka. – Przynosił mu króliki, bo trzeba było karmić to „gadostwo”. Wynosił śmieci, zmieniał wodę. Był taki „przynieś, podaj, pozamiataj”.

Leszek określa Roberta mianem pachółka. Śmieje się z niego, że jest mały. On jest wysoki, więc babki na niego lecą.

– Wiem, że mój tata nazywał go przydupasem – dodaje córka Leszka. – Pan Janczewski był zafascynowany moim tatą, a on się nim wysługiwał, na przykład wysyłał go po jedzenie dla węży. Jak moja mama się spotykała z ojcem, to tata mówił „spadaj” i ten pan Robert wychodził. Według relacji mojej mamy pan Janczewski był przez moją tatę traktowany jak popychadło.

– Później Robert mi opowiadał, jak L. go wykorzystywał – potwierdza Maria Janczewska. – Po to się z moim synem „kolegował”, żeby się nim wysługiwać. A to Robert nosił mu piasek do terrariów, a to przynosił mu co innego. Traktował go jak przyjaciela.

Mama! Dziś jest 25.02.2018, niedziela...

*Mama! Dziś jest 25.02.2018, niedziela. Ja każdego dnia jestem myślami i sercem przy Tobie. Codziennie przy różańcu wnoszę intencje za Ciebie. Dzisiaj w radiu więziennym (radiowęzeł) o 9.00 słuchałem mszy świętej. Straszliwie cierpię, bo tu obok biją dzwony. Musi być gdzieś blisko kościół. A ja nie mogę iść na mszę świętą.*

*Módlcie się oboje, ile możecie, bo jest bardzo źle. Od pierwszej rewizji mieli 19 lat na to, żeby powynajdywać na mnie, co się dało i od kogo się dało. [...] Dzisiaj (jak niemal codziennie) wypłakałem swoje, bo przecież to są Wasze ostatnie (prawdopodobnie) lata życia. Ja bym, Mamo, chciał przy Tobie być, nacieszyć się jeszcze Tobą, a tu widzisz, co i jak. [...]*

*Będę jeszcze dzisiaj odmawiał, jak codziennie, koronkę do Miłosierdzia Bożego, a potem na kolanach drogę krzyżową i gorzkie żale.*



## Robert przenosi się do zawodówki...

Robert przenosi się do zawodówki w zespole szkół przy ulicy Podbrzezie w Krakowie na kierunku elektromechanik pojazdów samochodowych.

– Raz poszedłem do zakładu zobaczyć, jak on pracuje – opowiada Józef. – Stał, ręce założył do tyłu. Inni siedzieli pod autem, a on sobie stał i patrzył.

Mimo że chodzi już do innej szkoły, wciąż odwiedza w pracy wicedyrektora Zygmunta A. Zwierza mu się z problemami z ojcem, który zostawił matkę dla innej kobiety. I z własnych kłopotów sercowych. „Bardzo chciał sobie znaleźć dziewczynę – opowie pedagog. – Ale nie mógł. Był bardzo natarczywy, kobiety się go bały. Kiedyś opowiadał mi, że wpadła mu w oko kobieta pracująca w kwiaciarni. Chodził za nią, więc kobieta powiedziała mu, żeby dał jej spokój. Wpadł więc do kwiaciarni i zwyzywał ją przy klientach. Potem mówił mi, że dał jej nauczkę”<sup>33</sup>.

Robert przychodzi też do Zygmunta do domu. Nauczyciel będzie twierdził, że nie chciał awantury, więc wpuszczał byłego ucznia do mieszkania.

– Ja bym nie pozwalał, żeby uczeń przychodził do mnie – zgłasza swoje zastrzeżenia Józef. – Dlaczego Robert znalazł sobie konfesjonał u Zygmunta, to ja tego nie rozumiem.

Janczewski czyta nauczycielowi fragmenty książki, którą pisze, i swoje notatki. „Były bardzo mroczne. Biła z nich niechęć do ludzi i do otoczenia” – wspomni potem wicedyrektor<sup>34</sup>.

W szkole mechanicznej Robert znajduje sobie kolejnego powiernika – wychowawcę klasy, młodego nauczyciela Jakuba. Gdy się z nim spotyka, długo i z dużym zaangażowaniem opowiada o byłym uczniu.

– Nie miał w nikim oparcia, był zagubiony – wspomina. – W szkole też się tak zachowywał, z nikim się nie kumpłował, izolował się od wszystkich. „Matoły, nieudaczniki” – tak mówił

o innych. Wszystkich traktował z góry. W uczniach się rodził bunt. I jak wychodził na przerwę, to zdarzało się, że ktoś podleciał i go strzelił. Albo, jak nikt nie widział, to kopnął go, odepchnął.

Wychowawca próbuje pomóc Robertowi. Mówi do niego po krakowsku:

– Idźże się skumpluj z kimś, z Kazimierza czy skądś. Będziesz się lepiej czuł. Nie możesz się tak izolować.

– Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego – rzuca Robert.

Krakowski Kazimierz w latach osiemdziesiątych to dzielnica biedy i patologii. Opuszczone pożydowskie kamienice są mieszkaniami socjalnymi dla najuboższych.

– Awantury, burdy, pijackie wrzaski po nocach i za dnia – wspomina Janczewski. – Roberta szykanowali, wyzywali go, rzucali pomidorami w okna. Dwa rowery mu ukradli. Bo on ma w sobie coś takiego, nazwijmy to „wyższość”.

– Taki indywidualista – dodaje Maria.

– Takie coś w spojrzeniu, że odpycha – dorzuca Józef. – A po drugie, on się nie zadawał z plebsem.

Raz Jakub daje Robertowi do przygotowania wypracowanie na godzinę wychowawczą.

– Chciałem, żeby zaimponował klasie, i dałem mu referat na temat religii: rodzaje religii, wiara. I on to bardzo fajnie zrobił. Jak zaczął czytać, to brzmiało jak praca dyplomowa, a nie wypracowanie w szkole zawodowej. To go ciekawiło.

W końcu wychowawca wysyła Roberta na rozmowę do szkolnej pedagog. Chce, żeby kobieta namówiła go do większej asymilacji z klasą.

– Ale on poszedł i bajerował tę kobietę: „A pani to mi się najbardziej podoba. Panią uważam za najlepszą nauczycielkę”.

Pedagog stwierdza, że Robert jest całkiem normalny.

Po ukończeniu zawodówki Janczewski kontynuuje naukę w wieczorowym technikum mechanicznym, które mieści się w tym samym zespole szkół. Wciąż utrzymuje kontakt z nauczycielem Jakubem. Imponuje mu, że młody pedagog ćwiczy podnoszenie ciężarów i gra w piłkę ręczną. Gdy zaczepki wyrostków z Kazimierza stają się nie do zniesienia, nauczyciel radzi mu:

– Weźże ćwicz kulturystykę. Jak się trochę wzmocnisz, to dadzą ci spokój.

Robert daje się przekonać. Jakub uczy go różnych ćwiczeń, w tym wyciskania w leżeniu. Pod jego wpływem chłopak zaczyna chodzić na siłownię. Zapisuje się też do różnych klubów sztuk walki, między innymi ćwiczy karate kyokushin.

– Bardzo mocny był. Później, jak się witaliśmy, to mi rękę gniótł – wspomina nauczyciel.

Ponieważ w sklepach nie można kupić sprzętu do ćwiczeń, Robert zaczyna sam go składać. Znajomy z zakładu gazowniczego, który ma dostęp do warsztatu ślusarskiego, po godzinach spawa mu elementy.

– Chodził na złom, kupował metal – opowiada Jakub. – Znosił go później do jakichś tokarzy, którzy toczyli mu z tego sztangę i talerze. I on sobie na tym sprzęcie ćwiczył. Raz mnie zaprosił, żebym zobaczył, jak to wygląda. To poszedłem. Bardzo fajnie to zrobił. Później nawet trochę tego sprzedawał.

Robert sam konstruuje i składa też sprzęt muzyczny – wzmacniacze, przestery i głośniki.

– Biedny chłopak, on nie czuł miłości rodzicielskiej, w nikim oparcia nie miał – wspomina Jakub. – Ojciec przychodził w nocy i awantury robił, Robert się go strasznie bał. Chłopak był zagubiony, szukał w kimś oparcia.

– Robert opowiadał panu, że ojciec przychodził i się awanturował? – upewniam się.

– Tak, tak, na sto procent. Ja mówię: „Robert, coś ty, przecież ty jesteś silniejszy od ojca, przecież ty kulturystykę ćwiczysz. Jesteś chłopisko takie, jak go odepchniesz, to przecież ścianę nim rozbijesz. Co ty się martwisz?”. Robert na to: „To wariat. Nóż w plecy mi wbije przez sen i co zrobić?”. Cały czas żył w stresie. Cały czas chodził podbuzowany. Nic mu się nie układało w życiu. Miał same problemy, nie miał nikogo bliskiego. Matka miała kochanka...

– Jest pan pewny?

– Na sto procent. Robert mówił: „Mama ma przyjaciela, spotyka się z nim”. Teraz udają, że się nim opiekują, a w dzieciństwie, najważniejszym okresie, kiedy się wszystko kształtuje w człowieku, go opuścili. Widzi pani, jak to jest.

Pewnego dnia Robert czeka na nauczyciela przed szkołą: „Gdzie pan jedzie?” – zagaduje. „No, do domu” – odpowiada Jakub. Chłopak na to: „Nie mam co robić, mogę się z panem przejechać?”.

– Nie będę go odtrącał, nie? – tłumaczy były wychowawca. – Zabrałem go do domu. Czasem mi nawet odkurzył, posprzątał.

Zdarza się, że Robert przychodzi też do matki nauczyciela, która mieszka niedaleko. Gdy widzi auto wychowawcy pod jej domem, wchodzi na górę i pyta: „Jest pan Jakub?”.

– Już później miałem go dość, mówiłem: „Mamo, powiedz, że mnie nie ma” – wspomina nauczyciel. – Bo wie pani, to było tak natrętne, że byłem tym zmęczony.

Gdy mama Jakuba mówi, że syna nie ma, Robert rzuca, żeby nie kłamała, bo widział auto przed kamienicą.

– Czasami był chamski – stwierdza Jakub. – Na pewno nie miał szacunku dla ludzi.

– Po co do pana przychodził? Pogadać? – pytam.

– Pogadać – potwierdza nauczyciel. – Ja mu doradzałem. Mówiłem: „Znajdź sobie dziewczynę. Zmienisz w ogóle podejście do życia, zakochasz się”. Wie pani, jaka była jego teoria? „Kobiety to kurwy, a dzieci to wymioty”. Mówił to z wielkim namaszczeniem. I dodawał: „Jak ja bym miał tą kurwę, to tak bym ją strzelał”. – Nauczyciel pokazuje gest okładania kogoś rękami. – Ja mówiłem: „Weźże nie gadaj takich bzdur”.

Przez krótki czas Robert spotyka się z pewną dziewczyną. Kiedy ta chce zakończyć znajomość, uczeń prosi nauczyciela, żeby z nią porozmawiał. Jakub do niej dzwoni.

– Chciałem mu trochę pomóc, żeby miał jakieś zajęcie – tłumaczy. – Spotkałem się z nią. Robiła wrażenie, jakby była narkomanką. Młoda dziewczyna, podobno studentka, ale niechlujna. Ja byłem sporo starszy od niej, ale nie widziałem w niej nic jako w kobiecie.

Dziewczyna mówi Jakubowi, że Robert jest nienormalny i nie będzie się z nim spotykać. Nauczyciel namawia: „On ma teraz maturę, kończy technikum, niechże pani raz w miesiącu się z nim spotka na pół godziny. Na kawę z nim pójdzie, żeby on się nie czuł taki odtrącony”. Dziewczyna na to: „Przemyślę to, ale raczej nie będę się z nim spotykać”.

Pewnego dnia Robert przychodzi do domu do nauczyciela i podaje mu dwie kartki formatu A4. „List do niej napisałem” – mówi.

– Wziąłem go do ręki. Wyglądał, jakby był pisany kałem. Taki brąz – opowiada Jakub. – Mówię: „Co ty mi tu dajesz? Weźże to!”. A on: „Co pan się wygłupia? To krwią pisane”. Własną krwią list napisał do tej dziewczyny.

– I co w nim napisał?

– No żeby go nie odtrącała.

Wychowawca próbuje wyperswadować uczniowi zainteresowanie dziewczyną. Mówi: „Robert, jeżeli ona nie chce, to dajże sobie spokój, chłopie, przecież na siłę nic nie zrobisz. Znajdziesz sobie inną. Powiem ci, że ona nieciekawa jest”. A on oburzony: „Co pan?!”.

– Okazało się, że on nawet był u niej w domu. Z ojcem tej dziewczyny się o mało nie pobił, bo tamten powiedział mu „spieprzaj” – relacjonuje nauczyciel.

Ostatecznie Robert nie zalicza ostatniego, szóstego semestru technikum i nie dostaje dyplomu. Mimo to dalej utrzymuje kontakt z Jakubem. Nauczyciel ma garaż przy ulicy Skawińskiej, zaraz przy bulwarach wiślanych. Obok garażu stoją baraki, do których eksmitowane są osoby niepłacące czynszu, alkoholicy i inny element. Pewnego dnia nauczyciel maluje drzwi tego garażu i zjawia się Robert. „Masz czas?” – pyta go Jakub. „No pewnie, nie mam co robić” – odpowiada chłopak. „To weźże pomaluj te drzwi, ja sobie odkurzę w samochodzie” – prosi.

Robert zajmuje się malowaniem, a Jakub odkurza. W pewnym momencie nauczyciel słyszy śmiech dwóch nastoletnich dziewczyn, które stoją obok garażu i zaczepiają Roberta. Jakub wie, że jedna z nich mieszka obok, w barakach. Mniej więcej o siódmej wieczorem Janczewski stwierdza, że musi już iść. W tym samym czasie znikają też dziewczyny.

Następnego dnia przychodzi do Jakuba matka jednej z nich i mówi z wyrzutem: „Co to za sku... u pana był? Wie pan, co on nawyprawiał?”. Po czym relacjonuje Jakubowi, co zaszło. Opowiada, że jej córka poszła odprowadzić koleżankę na

przystanek. Robert ruszył kilka metrów za nimi, nie odzywając się ani słowem. Dziewczyny szły bulwarami wiślanymi, po czym na wysokości mostu Grunwaldzkiego się pożegnały. Córka kobiety wróciła do baraku, a jej znajoma poszła dalej na autobus.

– I Robert ruszył za tą, która szła w kierunku przystanku – twierdzi nauczyciel. – Na zejściu z mostu zaczął ją szarpać, chciał ją ściągnąć na dół. Ale ponieważ ona zaczęła krzyczeć, a na przystanku byli ludzie, spłoszył się i uciekł na dół nad Wisłę.

Przestraszony nauczyciel podaje kobiecie nazwisko Roberta i jego przybliżony adres.

– Jak to usłyszałem, byłem zaskoczony, ale stwierdziłem: niech go wezwą. Jak będzie notowany, to będzie się bał, jeśli ma jakieś nieczyste zamiary – wspomina. – Nie wiem, czy go przesłuchali, czy nie, ale sądzę, że raczej był na policji, bo jak o tym później mówiłem w prokuraturze, to o tym wiedzieli.

Wiele lat później na moją prośbę podczas widzenia w więzieniu Józef zapyta syna, czy napastował tę dziewczynę. Robert odpowie pytaniem: „Co rozumiesz przez pojęcie »napastował«”? Józef wyjaśni, że to znaczy, że zrobił coś wbrew jej woli.

Robert zamyślił się i ostatecznie nie odpowie ojcu.

\*

W 1979 roku umiera dziadek Roberta Antoni. Józef przejmuje po nim zakład zegarmistrzowski w Wieliczce. Matylda Janczewska ma wtedy sześćdziesiąt osiem lat.

– Jak tylko tata zmarł, do mojej mamy jak do miodu zaczęli się zjeżdżać panowie – opowiada Józef. – Naprzód powiedziała, że już nigdy się nie umyje i będzie chodzić na czarno ubrana. A później coś jej odbiło i zaczęła wędrować po biurach matrymonialnych.

Józefa to drażni. Pewnego dnia idzie za matką do agencji i dowiadyuje się, że kobieta poznała ostatnio pięciu panów. Józef nachodzi wszystkich absztyfikantów i próbuje ich zniechęcić do kontynuowania znajomości z jego matką. Bez skutku. Krótco po śmierci męża do Matyldy wprowadza się pan Kwiatek.

– Ksiądz proboszcz, którego kościół parafialny łączył się z naszym domem, powiedział jej, że to nie wypada – pamięta Józef. – Dopiero co jej mąż zmarł, a ona z innym chodzi za rękę. Zasugerował, że nie powinna przychodzić do tego kościoła.

Matylda przestaje więc chodzić do świątyni, którą ma niemal za ścianą, i maszeruje na msze do franciszkanów reformatów, kilometr dalej. Dla zachowania pozorów pan Kwiatek drepcze pięćdziesiąt metrów za nią. Kobieta jest wściekła na syna.

– Moja mama powiedziała: „Jak nie zamkniesz pyska, to zostaniesz z gołą dupą” – wspomina Józef. – Ja na to: „A niech mama wyjdzie choćby za diabła!”. Nie trzeba było długo czekać, wyszła za borutę.

Dziesięć lat młodszego Stanisława B. Matylda również poznaje w biurze matrymonialnym.

– I ten cwaniaczek zaczął ją urabiać – opowiada Józef. – Strasznie pobożny, woził ją do kościołów, na krok jej nie odstępował. Tak jej zawrócił w głowie, że zapisała mu cały majątek. A mnie wydziedziczyła.

Matylda przejmuje zakład zegarmistrzowski w Wieliczce. Józef zostaje z niego wyrzucony. Odchodząc, zabiera jedynie kasę pancerną i krucyfiks.

Stanisław B. zezna potem, że Matylda musiała sprzedać kamienicę w Wieliczce za półdarmo i wynieść się z miasta, bo bała się, że syn ją zabije. Jak twierdzi, wcześniej Józef pobił rodziców i rzucał synem o ścianę.

– A na policję napisał, że mój syn podnosi ciężary, więc on się nas boi. Żeby policja nas pilnowała – mówi Józef.

Janczewski przypomina sobie tylko jeden raz, kiedy podniósł rękę na ojca.

– Uszyłem sobie piękne ubranie – opowiada. – Wtedy były nowością koszule non-iron. Kupiłem sobie taką i buty też miałem pod kolor, ładne. Była pora obiadowa, jak przyjechałem do nich. Popatrzyli na mnie, mama coś tam do mnie powiedziała, odpowiedziałem jej, a tata jak podskoczył do mnie i mnie strzelił, tak mi się puściła krew i zaczęła się lać po tej koszuli. Mnie to tak

zabolało, że go chwyciłem w pól, podniosłem i tak o ziemię... Już nigdy więcej nie podniósł na mnie ręki.

Matylda Janczewska sprzedaje piękną kamienicę w pobliżu rynku wielickiego i kupuje mieszkanie w peerelowskim bloku przy alei Pokoju w Krakowie. W pierwszym odruchu Józef podaje matkę do sądu, ale w końcu unosi się honorem.

– Powiedziałem, że jak mama da mi dziewięćset tysięcy złotych, na stare pieniądze, to ja odstąpię. A majątek, jakby dobrze policzyć, był wart ze dwadzieścia dwa miliony. I na drugi dzień mama dała mi dziewięćset tysięcy. A trzy tygodnie później nastąpiła dewaluacja. Pieniądze straciły wartość.

Matylda umiera w 1990 roku. Józef idzie na pogrzeb.

– Zobaczyłem, że mama ma podwiązaną szczękę – opowiada. – Dowiedziałem się, że B. wyrwał jej sześć złotych zębów.



## W celi są pluskwy...

*W celi są pluskwy. Jestem cały pogryziony. Tak swędzi, że się można wściec, więc człowiek się drapie. Bez żadnej przesady, mam na sobie ponad 200 ugryzień po pluskwach. Jedzenie jest podłej jakości i stale dają to samo, więc zamawiam paczki. [...]Do tego są codzienne „spacery”, czyli chodzenie w koło po brudnych zaplutyh „spacerniakach”. To są tak zwane „grupy spacerowe”. Oni gadają między sobą, ja odmawiam za każdym razem różaniec. Do tego jest łaźnia 8–9 razy w każdym miesiącu między obcymi, nagimi chłopami, co jest straszne. I wstydę się, i brzydzę. Prawdziwy koszmar.*

## Gdy Robert jest w ostatniej klasie technikum...

Gdy Robert jest w ostatniej klasie technikum, w 1986 roku, jego ojcu i Jadwidze rodzi się córka Joanna.

– Ziutek bardzo chciał mieć drugie dziecko, ale z żoną nie było mowy, bo kładła się do łóżka ubrana – relacjonuje Halina Kutyła, późniejsza przyjaciółka Janczewskiego. – Mówił: „Wiesz, nawet bym nie potrafił, bo czułbym się jak gwałciciel”. Dlatego zakotwiczył u tej kobiety i miał z nią córeczkę.

Józef prowadzi wówczas zakład zegarmistrzowski w dzielnicy Biały Prądnik, tuż obok mieszkania kochanki. Ale i w tym związku mu się nie układa.

– Ojciec u mnie na pewno nie mieszkał na stałe, tylko przychodził – opowiada jego córka. – Mówił, że póki babcia żyła, to z matką się jeszcze szło dogadać. A kiedy umarła, to jej odbiło. Wtedy już mogła sprawować swoje rządy. Nie dostała – jak mówił – po pysku od tamtej, więc już było inaczej.

Kilka lat później Robert napisze w liście do sądu:

Jadwiga K. w sklepie rozmawiała z moją matką i ze mną kilka razy. Parę razy dawała mi pod opiekę swoją córkę Ewę, która wtedy miała około 8 lat. Chodziłem z nią nad Wisłę i z ojcem też. Ojciec zabierał Ewę do Wieliczki do swoich rodziców. Wyjeżdżał z Ewą i K. na wczasy. Często u nich mieszkał. K. kilkakrotnie umawiała się z moim ojcem i ze mną, by w czwórkę, tj. z Ewą, iść na spacer. Dwukrotnie czekaliśmy po 45 minut i nie przychodziła w umówione miejsce. Raz byłem częstowany obiadem w mieszkaniu K. Wychodząc, pocałowałem ją w rękę. [...] Ojciec dużo pomagał K. Robił na działce, ja też. Raz dostałem za robotę 35 \$. Nosił i nosi do dnia dzisiejszego towar dla brata K. do Sukiennic i ja też. Od 1989–1990 ojciec pracował za K. w sklepie przy Grodzkiej. Ona też powinna tam być, ale nigdy nie

przychodziła, tylko brała pieniądze. Na ojca prośbę kilkakrotnie razem z ojcem robiłem w tym sklepie remanent.

Robert próbuje też sprzedawać pamiątki w stoisku brata Jadwigi. „Pamiętam, jak podczas jednej z pielgrzymek naszego papieża do kraju pomagałem koledze w handlowaniu pamiątkami w Sukiennicach – opowiada Józef. – Poprosiłem Roberta, żeby na chwilę stanął za ladą. Nagle zauważyłem, że u wszystkich sprzedawców ustawiają się kolejki, a u syna jest pusto. Stał oparty rękami o ladę i patrzył się tym swoim nieprzyjemnym wzrokiem na ludzi. Wszyscy go omijali”<sup>35</sup>.

Chłopak pomaga też Jadwidze w ogródku przed jej blokiem. Kopie ziemię, sadi rośliny.

– Ale potem się wkurzył i to wszystko jej zniszczył – słyszał Janusz Kutyla, mąż przyjaciółki Józka. – I ona z mściwości zeznawała przeciwko niemu.

– Zachowywała się okropnie i sama nie wiedziała, czego chce – dodaje Halina Kutyla. – Ziutek nawet był skłonny się rozwieść, bo Jadwiga bardzo na to parła. Złożył wniosek do sądu, ale jak przyszedł z nim do Jadwigi, to ona: „Co ty pieprzysz, jaki wniosek złożyłeś? Ja mam przyjaciółkę w sądzie, nic nie złożyłeś”. I wtedy on jej pokazał ten złożony wniosek, z pieczętką sądu: „Nie złożyłem?! No to już nie złożę!”. Podarł wniosek, a z sądu wycofał.

Józef przypuszcza, że przyczyną nagłego ochłodzenia uczuć Jadwigi było wydziedziczenie go przez matkę.

Jadwiga zaczyna utrudniać mężczyźnie kontakty z córką. W urzędzie stanu cywilnego ojciec Joasi jest „nieznany”. Józef dowiaduje się, że brat Jadwigi, kawaler, chce adoptować dziewczynkę. W 1988 roku Janczewski składa wniosek o uznanie dziecka, nadanie mu jego nazwiska i częściowe pozbawienie Jadwigi władzy rodzicielskiej nad Joasią. Pisze:

Z wypowiedzi i zachowania uczestniczki oraz jej żądań wreszcie zrozumiałem prawdę i poznałem prawdziwy charakter tej kobiety.

W tym mieszkaniu nigdy nie byłoby dla mnie miejsca ani serca, nie brano by mojej osoby i pracy na serio. [...]

Już wiele dni nie widzę mojej córeczki, a kiedy jest za szybą, a ja chciałbym zwrócić jej uwagę na mnie, matka dziecko porywa, aż leci jej głowa do tyłu i nie pomogą płacze dziecka. Nie ma litości. Na Dzień Dziecka kupiłem lalkę i inne zabawki, ale pozostaje mi się na nie patrzeć. Wiem, że dziecku skończyła się oliwka do nacierania, a i smoczek do zabawy stracił swoją kondycję. Ile dałem z siebie wysiłku, by kupić te artykuły. Obszedłem kilkanaście sklepów różnej branży i nic. Udało mi się kupić na Tandecie [popularne w tamtych latach krakowskie targowisko – przyp. aut.] i natychmiast zawiozłem i włożyłem na balkon. Na drugi dzień rzuciła w moją stronę tymi zakupami, że aż część się rozbiła. Moja praca zawodowa wymaga spokoju i pewnej ręki. Staję się coraz bardziej nerwowy, lekarz stwierdził zaawansowaną nerwicę serca, a do tego na potęgę zaczyna mi się psuć wzrok – też przez nerwy.

Józef wylicza w piśmie, że matka nie ochrzciła córki, nie myje jej, nie szczepi, nie wychodzi z nią na spacer, nie wietrzy mieszkania, które jest przegrzane, zagracone i duszne. Dziecko zasypia około północy i jada tylko dwa razy dziennie. Matka nie stawia się z nim do kontroli lekarskiej.

„W chwilach uniesień nerwowych krzyczy słowa karcące wprost do ucha dziecka, że aż dzieckiem szarpie, co odnosi wręcz odwrotny skutek. Uczy dziecko, by na pytanie: »Gdzie tata ma kuku?« pukało się w czoło, co wzbudza jej aprobatę. [...]

Teraz pozostaje mi czekać na wyrafinowaną zemstę”.

Józef się nie myli, ta zemsta wkrótce nadejdzie.

\*

Po szkole Robert zaczyna pracować w Instytucie Zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się tam zwierzętami – szczurami, królikami i nornicami. Karmi je, wymienia im ściółkę,

czyści klatki, wyrzuca padlinę. Pracę tę załatwia mu kolega Leszek L., który potrzebuje żywych stworzeń do karmienia swoich gadów.

– L. się do mnie zwrócił, czy może przychodzić i brać niepotrzebne zwierzęta do karmienia węży – opowiada profesor Zbigniew Dąbrowski, wówczas kierownik jednej z pracowni w zakładzie. – Powiedziałem, że jeśli tylko pracownik stwierdzi, że są zupełnie niepotrzebne, to może sobie brać. No i on rzeczywiście systematycznie przychodził i brał te szczury czy myszy do karmienia swoich węży.

Po zwierzęta przychodzi też inny hodowca, biolog Łukasz Sułowski, który pod kierunkiem profesora Dąbrowskiego pisze pracę magisterską.

– Kiedyś nie można było kupić mrożonych szczurów dla swoich węży w sklepie zoologicznym, tylko trzeba było mieć kontakty w zwierzętarniach – tłumaczy. – Tylko stamtąd można było brać większe ilości gryzoni: królików, szczurów, myszy.

Profesor Dąbrowski w tym czasie prowadzi badania nad hematopoezą węży. Dzięki Leszkowi L. ma dostęp do gadów.

– Później Robert Janczewski dostarczał mu te zwierzęta ze zwierzętarni – opowiada profesor. – To nie był człowiek otwarty, radosny, był raczej zamknięty w sobie. Często odwiedzał innych kolegów w pracy, lubił u nich przesiadywać. Pytał się koleżanek, jak by mógł znaleźć dziewczynę. Starał się pomagać studentkom; przynosił, wynosił zwierzęta. Spełniał swoje obowiązki, chociaż wiem, że były konflikty z jego bezpośrednią przełożoną, panią Ewą G.

– Na czym polegały? – pytam profesora.

– Już nie pamiętam, może na tym, że nie usunął martwych zwierząt albo nie oczyścił klatki... Ona była bardzo wymagająca, a on nie chciał się podporządkować. To był taki twardy charakter. Dziwak trochę.

Profesor postanawia przy mnie zadzwonić do swojego pracownika, który wtedy prowadził badania. Po krótkiej rozmowie z nim uściśla swoją opowieść o pracy Roberta w zwierzętarni:

– To była trudna hodowla, bo robili specjalne badania na nornicach. To są dzikie zwierzęta, często wyskakują z klatek. I te

zatargi były dlatego, że Robert dostawał same ciężkie prace, w każdą sobotę i niedzielę musiał przychodzić. Kolega sobie przypominał, że jak Robert odszedł, to połowa tych myszy zdechła, bo jego szefowa nie potrafiła się do tego zabrać. On bardzo dobrze tę hodowlę prowadził. Trochę się zbuntował, chyba dlatego odszedł.

Media napiszą później, że zadaniem Janczewskiego w instytucie było skórowanie zwierząt, a został zwolniony z pracy, kiedy uśmiercił wszystkie króliki doświadczalne.

Pytam profesora Dąbrowskiego, jak to było z tymi królikami.

– Bez porozumienia z kolegą, który pobierał od nich krew na surowicę, zabił króliki, parę sztuk – mówi.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo uważał, że on do nich nie przychodzi, a przysparzają mu pracy. I bez pytania je zabił. Cztery czy pięć królików. To był tylko taki jeden incydent. Nawet o tym nie mówiłem w sądzie, bo to właściwie nie była kwestia znęcania się, tylko niesubordynacji.

– Uznał, że są już niepotrzebne, tak?

– Tak. Raz też zwróciłem mu uwagę, że przy studentach nie powinien w niehumanitarny sposób zabijać szczurów.

– Jak to robił?

– Przez dyslokację rdzenia. Pociąga się wtedy za ogon, trzymając szczura czy mysz za potylicę. To tak jak śmierć przez powieszenie, oderwanie rdzenia od mózgu. Pamiętam, że wtedy zareagowałem, bo studentki powiedziały, że on uderza głową szczura o kant stołu i tak go zabija. Nie zawsze się to udaje za pierwszym razem. To było bardzo drastyczne dla przyrodniczek z wydziału biologii. Więc zwróciłem mu uwagę, żeby tak nie robił. Zresztą miał trochę ewipanu, barbituranu, mógł podać zastrzyk i je w ten sposób uśpić. Ale myślę, że on zabijał zwierzęta przez dyslokację rdzenia, bo szczurami zabitymi barbituranem pan L. nie mógł karmić węży.

– Czyli on zabijał te szczury dla pana L.?

– No, mogło tak być, tak. Myślę, że uśmiercał te szczury i myszy dla L.

– Miał prawo uśmiercać zwierzęta?

– Mógł to robić, zwłaszcza jeśli dotyczyło to zwierząt niepotrzebnych. Ten sposób uśmiercania zwierzęcia jest przyjęty,

szczególnie jeżeli do badań na szczurach i myszach są konieczne tkanki niczym nietraktowane. Hodowcy królików też zabijają przez dyslokację rdzenia, przez złapanie za tylne nogi i silne uderzenie za uszami. Nie mogą uśmiercać przez barbiturany, zwłaszcza jeśli jest potrzebne mięso tych królików. Najpierw je oskórowują, a później zabijają przez dyslokację rdzenia.

– Robert miał tu do czynienia z oskórowaniem zwierząt?

– Nie, nie, absolutnie. Mógł tylko czyścić klatki, karmić i zabijać. Nic więcej.

Profesor Dąbrowski próbuje odnaleźć Ewę G., żeby uściślić z nią szczegóły odejścia Roberta z pracy, ale nikt nie ma do niej kontaktu. Ja również szukam byłej kierowniczkii zwierzętarni. Ustalam tylko, że od 2006 do czerwca 2015 roku była zatrudniona w Pracowni Zwierząt Laboratoryjnych Akademii Medycznej w Warszawie, a potem przeszła na emeryturę i wróciła do Krakowa. Podobno prokuratura proponowała jej status świadka incognito. Po tym zapadła się pod ziemię. Nie udaje mi się do niej dotrzeć.

W zwierzętarni Robert poznaje Izabellę Jankowską, studentkę. Zakochuje się w niej. Kobieta zezna później, że wystawał pod jej domem, „wręcz zasypywał ją kwiatami”, zostawiając je nawet pod drzwiami na wycieracze. Raz zatarasował jej wejście do mieszkania, a innym razem chwycił ją mocno za rękę i nie pozwolił przejść. Mówiła mu, że nic do niego nie czuje i nie są parą, ale on nie rezygnował. W końcu zaczęła się go bać. Zgłosiła nagabywanie policji.

Niedługo potem wyjechała do Stanów Zjednoczonych i już nigdy nie wróciła na stałe do Polski.

– Zerwała z nim dziewczyna, w której był zakochany – opowiada prowadzący go lekarz psychiatra Jacek Matkowski. – Później mówił, że mu na tym nie zależy albo że można się sparzyć. Mawiał: „Nie znajdę nikogo, kto by się zainteresował kimś takim jak ja”.

Po zawodówce ogrodniczej Leszek L. kontynuuje naukę w liceum dla pracujących. Jego hodowla gadów się rozwija. „Młode okazy zamieniał na dojrzałe, ciekawsze. Dobierał je w pary i czekał, aż urodzą młode. Gdy węże nie miały się ku sobie, podsuwał wybrednej samiczce nowego partnera. Podczas rozwiązania trzymał ją za ogon i patrzył, jak wijące się nowo narodzone gady wpadają do wiaderka. Liczył je, segregował i zamykał w terrariach”<sup>36</sup> – napisze o nim dziennikarz.

Jedna żmijka spada na podłogę. Leszek odnajduje ją tydzień później, gdy w poszukiwaniu zapalniczki wkłada rękę pod łóżko. Nagle czuje jakieś gładkie ciało, a potem silny ból w palcu. Zdąży jeszcze wezwać pomoc, założyć opaskę uciskową, naciąć ukąszone miejsce i spuścić skażoną krew, po czym zapada w stan śmierci klinicznej. Jest marzec 1980 roku. Zostaje odratowany.

Miga się od służby wojskowej. W 1983 roku trafia na obserwację do szpitala wojskowego po tym, jak – podobno – wylewa komendantowi na przyrodzenie wrzącą kawę.

Kilka lat później Leszek potwierdzi, że leżał na obserwacji psychiatrycznej w szpitalu wojskowym, bo chciał uniknąć poboru. I doda: „Za łapówkę załatwiłem sobie odroczenie, a za następną łapówkę załatwiłem sobie całkowicie wojsko. Ale nie byłem leczony”<sup>37</sup>.

Kategorię E – trwale niezdolny do służby wojskowej – uzyskuje w 1987 roku.

W tym czasie hodowca dużo podróżuje. Od 1983 roku w każde wakacje wyjeżdża do Bułgarii, oficjalnie jako instruktor sportu zatrudniony w Domu Kultury na osiedlu Podwawelskim.

– To była fikcja – przyznaje Wiesław Kałuża, wtedy kierownik klubu, który przybijał mu pieczętki na wnioskach paszportowych. – Była komuna. Jeśli ktoś nie miał możliwości wyjechać w inny sposób, jak tylko za pomocą mojej pieczętki, to czemu mu nie pomóc?

W 1987 roku Leszek jedzie na dwa miesiące do Hiszpanii jako pracownik Związkowej Agencji Artystycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki. W następnym wyjeżdża na miesiąc do Sudanu przez Egipt,



Czechosłowacką Republikę Socjalistyczną, Węgierską Republikę Ludową, Białoruską Republikę Ludową, Turcję, Syrię i Jordan jako „artysta treser, autor tekstów własnych”.

Pytam Wiesława Kałużę, skąd Leszek miał środki na te wyprawy.

– Na tych gadach można było całkiem nieźle zarobić – tłumaczy. – Na pytonach, kobrach, gekonach, jaszczurkach. To wszystko można było przywieźć i sprzedać.

– Na pewno je przemycał – dodaje była żona kolegi Leszka, Marka Kopcia. – Mój mąż też raz przywiózł węża w spodniach. Włożył go do woreczka i między nogi do spodni, bo tam nie macali.

Leszek z kolei przemycił z Sudanu krokodyla.

– Pod koszulą go przewiózł – słyszał Paweł Słowiński, weterynarz.

– Pod koszulą, krokodyla? – dziwię się.

– Tak. Malutkiego, żywego krokodyla sobie wsadził za pazuchę.

Przez cały czas Leszek i Robert Janczewski utrzymują znajomość. „Jeszcze gdy miałem kontakt z Robertem, opowiadał mi, że ten chłopak to jego najlepszy przyjaciel – wspominał Zygmunt A. – Nagle coś się stało. I ten chłopak stał się największym wrogiem Roberta. Strasznie na niego kłął. Pytałem, co się stało, ale Robert nigdy nie chciał tego zdradzić. Był już wtedy na celowniku policji. Chwilę potem nasze kontakty się urwały”<sup>38</sup>.

– Wiem, że się potem pokłócili – potwierdza córka Leszka. – Nie wiem, o co poszło.

– Robert pożyczał mu pieniądze – słyszał jego były wychowawca Jakub. – A ten nigdy mu ich nie oddawał. Robert mówił na niego „ten skurw...”.

Pewnego dnia Janczewski udaje się po zwrot długu do Leszka. Widzi go w oknie mieszkania na osiedlu Podwawelskim. Wchodzi na górę, dzwoni, ale L. nie otwiera drzwi. Robert się wścieka. „Jesteś w domu, to mnie wpuść! – krzyczy na klatce schodowej. – I oddaj mi pieniądze, złodzieju!”

– L. później okazał się skończonym draniem, wyszło na jaw jego prawdziwe oblicze – opowiada Maria Janczewska. – Stał się bardzo

agresywny. Kiedyś Robert mówił, że przyszedł do niego, a on złapał go za rękę i wypalił mu papierosem dziurę na skórze.

W 1989 roku Robert definitywnie zrywa kontakt z Leszkiem. Gdy widzi go na ulicy, przechodzi na drugą stronę.

## Dzisiaj jest niedziela...

*Dzisiaj jest niedziela. Piękne są dni na zewnątrz. Ja dopiero wczoraj, pierwszy raz, odkąd jestem w Raciborzu, wyszedłem na spacer. Spacerem nazywane jest to samo, co w Rzeszowie, czyli jednogodzinne chodzenie wkoło po bunkrze betonowym 10 × 5 kroków. Wysoki na około trzy metry. Więc każdy ma swój bunkier. Więźniowie „N” (niebezpieczni) nie widzą się. Całkowita pustelnia. Również nic nie widać świata, tylko kawałeczek nieba przez kraty u góry. Więc chodzę w kółko ubrany na czerwono, strażnik u góry, a w butach nie mam sznurówek, bo mi w Krakowie specjalnie zabrali z butów więziennych, które dostałem. Ale nie chodzę bez sensu. Odmawiam koronki do Miłosierdzia Bożego i różaniec, tak jak robiłem w Rzeszowie.*

*Jak wracam do celi (po wyjściu i po przyjściu), kontrola do naga. [...] Jeśli przyjeżdża do mnie pan aplikant adwokacki, to w sumie siedem razy do naga jest w jednym dniu rewizja.*

## Robert w dalszym ciągu odwiedza w pracy Jakuba...

Robert w dalszym ciągu odwiedza w pracy Jakuba, swojego byłego wychowawcę. Ten wciąż go namawia: Weźże, chłopie, poznaj dziewczynę.

– A gdzie mam tę dziewczynę poznać, gdzie? – denerwuje się Robert.

– Weźże sobie napisz matrymonialne, przecież jesteś kawalerem.

– Nie mam mieszkania, nie mam pracy... – wątpi w swoje siły Janczewski.

– Może poznasz dziewczynę, która ma mieszkanie – przekonuje nauczyciel. – Próbuj, chłopie, próbuj.

Mnie Jakub opowiada:

– Ja mu to mówiłem na podstawie własnego doświadczenia, bo myśmy z kolegą też pisali matrymonialne. Pisaliśmy to jako jedna osoba. Wie pani, ile było ogłoszeń chętnych dziewczyn? Jedno takie nasze ogłoszenie to było ze czterdzieści zgłoszeń. Dlatego mówiłem Robertowi: „Napisz, może będziesz miał dwadzieścia. Któraś cię na pewno zaciekawi, może akurat coś z tego wyjdzie”.

Tymczasem Jakubowi (i jego koledze w jednej osobie) odpisuje kobieta, która mieszka w bloku naprzeciwko Roberta, Iwona<sup>39</sup>.

– Taka czarna, ładna dziewczyna – wspomina Jakub.

– I panowie się z nią spotkali?

– A nie pamiętam – odpowiada szczerze. – Wie pani, było tyle zgłoszeń, że ciężko było to przerobić. Myśmy się z kolegą dzielili. Może nawet się z nią spotkałem, bo to naprawdę ładna kobieta była. Ale wtedy tę ofertę znalazła moja dziewczyna, z którą chodziłem prawie sześć lat. I afera. Mój związek zaczął się rozpadać.

Robert, kierując się radą byłego wychowawcy, też zamieszcza ogłoszenia. Czy Iwona była jedną z kobiet, które mu odpisały? Nie wiadomo. Wiadomo za to, że na początku 1992 roku zaczyna do niej smalić cholewki. Okna na trzecim piętrze bloku są dokładnie naprzeciwko jego okien, po drugiej stronie ulicy Trynitarńskiej.

Używając długiego metra, Robert oblicza, że dzieli go od niej dwanaście metrów i kilka centymetrów. To żadna przeszkoda dla miłości.

Zaczyna podbój. Kupuje starszej od siebie o dwanaście lat kobiecie kwiaty, które kładzie pod drzwiami jej mieszkania. Biega na pocztę i wysyła jej listy i kartki z życzeniami. Chodzi za nią i namawia, żeby poszła z nim do jakiegoś lokalu albo żeby odwiedziła go w mieszkaniu. Czasem podchodzi i pyta, jak może pomóc. Wystaje przed jej blokiem, a jak kobieta jedzie do pracy, idzie za nią i wsiada do tego samego tramwaju. Dzwoni do niej, a czasem tylko wykonuje „głuche” telefony.

– Lornetkę kupił i ją podglądał – relacjonuje Jakub.

Kobieta jest zmuszona zainstalować rolety w oknach.

– I wszystko było dobrze do momentu, kiedy on zobaczył, że jakiś inny facet do niej przychodzi. I wtedy: „Aaa, to kurwa!”. Takie opinie o niej wyrażał.

Zdenerwowana Iwona dzwoni do matki Roberta i mówi:

– Pani syn za mną chodzi. Jak nie przestanie, zadzwonię na policję.

– Proszę pani, ja z nim porozmawiam, zapytam się, jak to wygląda – uspokaja ją Maria.

Robert kupuje kwiaty i idzie do Iwony z przeprosinami, ale kobieta go przegania.

– Ja przecież tylko chciałem z nią porozmawiać – żali się później rodzicom.

Józef wspomina:

– Potem zrobił sobie dziurkę w kotarze i przez nią ją obserwował. Mówiłem: „Robert, dajże sobie spokój”.

Iwona traci cierpliwość i idzie na komisariat. Policjanci wzywają Roberta na przesłuchanie. Józef maszeruje do kobiety, żeby załagodzić sytuację.

– Ona nawet mnie przeprosiła, ale powiedziała, że sobie tego nie życzy – wspomina Janczewski senior.

Kiedy kobieta odrzuca zaloty Roberta, ten głośno publicznie ją lży, wypina do niej przez okno gołe pośladki i podrzuca pod drzwi śmierdzące przedmioty.

10 marca 1992 roku stwierdza, że „ta sąsiadka, szmata francowata, nie potrafiła odezwać się do nikogo, z kwiatami do niej chodziłem i właśnie dlatego, że nie chciała ze mną rozmawiać, wystawiłem przez okno piątą część ciała, przez cztery lata tak robiłem, ale przecież wystarczyło wyartykułować, że jej się nie podoba, tobym przestał”.

Po śmierci matki kobieta wyprowadza się z mieszkania przy Trynitarzkiej. Próbuję z nią porozmawiać, ale zdecydowanie odmawia kontaktu.

– Prokuratura ją wezwała i jest świadkiem przeciwko Robertowi – mówi Józef. – A co mój syn jej takiego złego zrobił? Po prostu mu się podobała.

– On z jednej strony chciał się spotykać, a z drugiej strony był zniechęcony tym, że go odtrącają – wspomina Jakub. – Ta niechęć była bliska agresji. Wtedy to się może przerodzić w nienawiść. Być może.

\*

Pewnego dnia po lekcjach Jakub wychodzi przed szkołę, patrzy, a przy jego samochodzie stoi Robert. „Rany boskie, znowuż będzie mi gitarę zawracał”, myśli.

– Robert, śpieszę się, nie mam czasu – rzuca do byłego ucznia.

– Muszę się panu z czegoś zwierzyć – wyznaje strapiiony Janczewski.

– Stało ci się coś?

– Nie. Proszę pana, jestem impotentem.

Dziś Jakub opowiada:

– Dwudziestokilkuletni chłopak stoi przede mną i tak do mnie mówi. Zacząłem się śmiać. Mówię: „Nie przejmuj się, chłopie, jak ci coś nie wyszło, zmień dziewczynę”. Nie chciałem tego rozplątywać, bo mi się śpieszyło. Na to Robert rzucił ze złością: „Pan się śmieje ze mnie? Dla mnie to jest tragedia życiowa!”. On kupował anaboliki na przyrost masy mięśniowej, jakieś tańsze, ukraińskie chyba. Podróbki. I stąd miał te problemy – przypuszcza nauczyciel.

\*

Robert przestaje pracować w zwierzętarni Instytutu Zoologii w połowie 1987 roku. W kolejnym dostaje powołanie do wojska. Zastępczą służbę wojskową odbywa w Szpitalu Zakonu Bonifratrów w Krakowie, który znajduje się blisko jego mieszkania. Jest to praca na stanowisku placowego. Sprząta podwórko i pomaga przy innych pracach fizycznych.

– Mył okna, znosił sienniki, wnosił bandaże do śmietników, sprzątał ulice – opowiadają jego rodzice.

Wśród tych obowiązków jest również noszenie zwłok. Ze szpitalem sąsiaduje prosektorium, do którego Robert czasem zagląda.

– Odwiedzał człowieka, który miał na imię Edek – potwierdza Maria. – Mówił mi: „Daj spokój, co to jest za praca? Ja bym psychicznie nie wytrzymał”.

Edward B. zezna potem: „Pracowałem w prosektorium, przychodził tam młody mężczyzna odrabiający wojsko, był bardzo zainteresowany sekcją zwłok. Wypytywał o szczegóły czynności i o narzędzia: jak się tnie ciało, co się robi z wnętrznościami, jak się spuszcza krew, jak się ubiera trupa, nie śmierdział mu trup”.

Inny świadek doda, że w prosektorium Janczewskiego „interesowały tylko zwłoki, pytał, jak się je rozcina, co się robi z wnętrznościami, dopytywał się o noże do skóry i piły do kości, dłuta. Bywał tam codziennie. Szczególnie interesowały go zwłoki kobiet, którym często i długo się przyglądał, oraz sekcje zwłok”.

Próbuję odnaleźć tych świadków, żeby potwierdzić ich zeznania, ale większość z nich już nie żyje. W szpitalu dowiaduję się, że Edward skończył jako bezdomny alkoholik nocujący w Przytulisku dla Bezdomnych Mężczyzn.

Sam Robert powie: „widziałem, jak w prosektorium Wacki rozkładające się zwłoki zabierali albo jak rozmrażali w ciepłej wodzie ciało kobiety i współżyli z nim”. „Wackami” nazywa dwóch pracowników fizycznych, być może powyższych świadków.

Koledze z siłowni Rafałowi opowie: „Leżały sobie trupki z dziwnymi minami i tak dziwnie patrzyły... Kim oni byli za życia?”.

– Ciężko powiedzieć, czy to było złośliwe, czy niezłośliwe – mówi dziś Rafał. – Jak się przez cały dzień napatrzył na tych nieboszczyków, to miał trochę inne podejście. Był natomiast zbulwersowany tym, jak tam traktują ludzkie szczątki, a to przecież są czyjś rodzice, czyjeś matki, żony.

„Jakieś worki leżały, w tych workach były części ciał ludzkich z sekcji zwłok. Jak one tak mogą leżeć?” – mawia Robert. Denerwuje się, że w szpitalu nie mają szacunku dla ludzkiego ciała.

– Sprawiał wrażenie, że ma niezdrowy stosunek do tych zwłok? – pytam Rafała.

– Nie, nie, w ogóle tego nie mogę potwierdzić. Jedyne niezdrowy stosunek miał do tych min, kiedy opowiadał, że leżą sobie trupki i dziwne miny robią. Mnie to się nie podobało, skarciłem go wtedy. Ale bardziej się bulwersował brakiem szacunku dla ludzkiego ciała, niż naśmiewał się z tych dziwnych min.

W osobistych notatkach Robert napisze później, że żałuje, iż w prosektorium przeprowadzali z kolegą konkurs wśród zwłok „miss półki”. Ocenia swoje zachowanie jako pogardliwe wobec żywych i zmarłych, potępia siebie, że kobiety określał jako „kurwy i dziwki, traktując je jedynie jako narzędzie pożądania i rozkoszy”.

Kilkanaście lat później biegła w śledztwie dotyczącym zabójstwa Katarzyny Z. doktor habilitowana Renata Włodarczyk, wykładowczyni Wyższej Szkoły Policyjnej w Szczytnie, napisze w swojej naukowej książce: „Zgodnie z ustaleniami policjantów Robert J. w ramach służby wojskowej, w prosektorium szpitala zakonnego uczestniczył w sekcjach i zajmował się przygotowaniem zwłok do pochówku, a później przez kilka miesięcy pracował w Instytucie Zoologii, gdzie jego zadaniem było skórowanie zwierząt. Kiedy jednak uśmiercił wszystkie króliki doświadczalne, został zwolniony z pracy”<sup>40</sup>.

Tymczasem, jak już wiadomo, Robert nie wymordował wszystkich doświadczalnych królików w instytucie ani nie został z tego powodu



zwolniony z pracy. Skórowanie zwierząt nigdy nie należało do jego obowiązków. W prosektorium nie uczestniczył w sekcjach zwłok, ale jedynie czasem je obserwował.

Te celowo wypuszczane nieprawdziwe informacje nigdy jednak nie zostaną sprostowane.

## Jest mi bardzo smutno...

*Jest mi bardzo smutno, jestem bardzo samotny – tak jak całe życie byłem. Kocham Cię, Mama. Bardzo tęsknię. W nocy jest w celi zimno. [...]*

*Ktoś mi tu powiedział: „Masz drogę krzyżową”. I żebyście wiedzieli, że tak jest właśnie. Dwa lata. Nieraz było mi tak ciężko, że liczyłem upływające minuty. Ale oboje jesteście moimi rodzicami, dlatego nie za kogoś innego, tylko za Was, w pierwszej kolejności za Ciebie, Mama, rok i za Ojca rok więzienia poświęcam – tak zdecydowałem postąpić.*

## Tymczasem konflikt pomiędzy Józefem i Jadwigą...

Tymczasem konflikt pomiędzy Józefem i Jadwigą się nasila.

Już kilka miesięcy po wniesieniu przez Janczewskiego sprawy do sądu Jadwiga zawiadamia prokuraturę, że Józef „bierze dziecko na kolana i podnieca się seksualnie”, co prowadzi do „degeneracji Joasi”. Jej zdaniem „dziwne metody wychowawcze Józefa biorą się stąd, że ojciec w młodości katował go pejczem i zamykał związanego w komórce bez jedzenia i picia”.

W kolejnym piśmie, tym razem do sądu, Jadwiga twierdzi, że Janczewski podczas kłótni rzucał w nią dzieckiem, a gdy je złapała, przewracał ją, bił i dusił oraz że podtapiał córkę w basenie.

Kobieta przytacza zasłyszane gdzieś plotki, że biologicznym ojcem Roberta nie jest Józef, lecz jego dziadek Antoni. Maria zaś w jej relacji to nieletnia prostytutka z krakowskich Plant, którą rodzina zmusiła do małżeństwa z Józefem po tym, jak dziewczyna zaszła w ciążę z Antonim.

Kobieta podaje także, że w rozmowie z matką Józefa Matyldą dowiedziała się, że Antoni zdobywał złoto do swojej pracowni między innymi przez zaprzyjaźnionych grabarzy, którzy przynosili mu w tajemnicy złote wyroby. Matylda podejrzewała, że pochodzą z grobów. Jak twierdzi Jadwiga, podobnie czynił Józef po przejęciu zakładu złotniczego po ojcu, dlatego Matylda nazywała go hieną cmentarną.

Jadwiga pisze ponadto, że Robert Janczewski był wykorzystywany seksualnie w Wieliczce przez znajomego rodziców o nazwisku Sznur, który dawał mu za to za drobne pieniądze. Miało się to dzieć za zgodą dziadków Roberta.

Wszystkie te „informacje” bez jakiegokolwiek weryfikacji znajdują się w późniejszym profilu psychologicznym Roberta Janczewskiego. Czy są prawdziwe?

Spotykam się z dorosłą już dzisiaj Joanną, córką Józefa. Przychodzi na spotkanie z kilkuletnią córką. Jadwiga od wielu lat

nie żyje.

– Jakaś jej znajoma oskarżyła swojego byłego partnera, że jest zboczony, więc matka napisała w pozwie o uregulowanie kontaktów ze mną, że ojciec ma dewiacje seksualne i podnieca się, kiedy bierze mnie na kolana – opowiada. – No i od tego się zaczęło. Sądzi się chyba przez jedenaście lat. Raz matce ograniczyli prawa rodzicielskie.

– Dlaczego?

– Bo gadała bzdury w sądzie. Ojciec sam się bronił, bez adwokata. Matka przeznaczala wszystkie pieniądze na obrońców i łapówki. Ja myślę, że miała do niego żal, że się nie rozwiódł i z nią nie ożenił. Od tego wszystko się zaczęło.

– Czyli te zarzuty o molestowanie wymyśliła, tak?

– Według mnie tak. Nie pamiętam takich sytuacji. Przecież później ojciec też przychodził, a jeśliby coś takiego było, toby nie pozwoliła na jakikolwiek kontakt ze mną. A jednak jak coś się działo, nie mogła sobie ze mną poradzić, to od razu po niego dzwoniła. Potem dostał opiekę, miał mnie brać na weekendy, ale nigdy nie otwierała mu drzwi.

Joanna mocno zaciąga się papierosem, niełatwo jej wracać do tamtych wspomnień.

– Zawsze mnie straszyla, że pójdę do ojca, a on nie wiadomo co ze mną zrobi – mówi po chwili. – Będzie mnie bił, jeśli ona przegra sprawę. Jak bylam starsza, to opowiadała jeszcze większe bzdury. Na przykład o tym, skąd się wzięlam na świecie. Stwierdziła, że ojciec ją zgwałcił. Co ona tam jeszcze mówiła? Na przykład, że ojciec nie jest heteroseksualny, tylko biseksualny, i że jak rodzice mu nie dawali w dzieciństwie pieniędzy, to chodził i na dworcu zarabiał ciałem. Że jest hieną cmentarną, że wygrzebywał obrączki i inne złoto z grobów, które sam otwierał. Przeróżne rzeczy. Zdrowa psychicznie to ona na pewno nie była.

Sprawdzam, czy to możliwe, że mieszkaniec Wieliczki, niejaki „Sznur”, mógł molestować Roberta.

Pola i Szymon Schnurowie to znana wielicka żydowska rodzina. Przed wojną rodzice Szymona byli właścicielami fabryki papieru i introligatorni, które po 1945 roku upaństwowiono i stworzono

w nich spółdzielnię Promień. Należący do rodziny duży sklep w rynku przekazano księgarni Dom Książki. W mniejszym, znajdującym się na rogu rynku i ulicy Zamkowej, Schnurowie prowadzili sklep papierniczy.

Dzieci uwielbiały tam przychodzić, bo w powojennych, biednych, siermiężnych czasach znajdował się tam kolorowy, bajkowy świat. Opowiada o nim Maria Gawęda, mieszkanka Wieliczki: „W karnawale można było u nich nabyć kotyliony, maski karnawałowe, konfetti i serpentyny. Potem pojawiły się zabawki i, nowość na rynku, pocztówki dźwiękowe. W sklepie, w mycce na głowie, urzędował pan Schnur. Codziennie rano przed ósmą przechodził koło naszego domu w drodze do sklepu, a za nim, tym samym tempem, dreptał czarny pies Sambuś, który towarzyszył panu w pracy. Sambuś, podobny do szpica, czasem wysypiał się na zapleczu, ale najczęściej leżał na schodkach przed sklepem. Pan Schnur o pierwszej zamykał sklep na pół godziny i odgrzewał sobie obiad przyniesiony z domu; o Sambusiu też nie zapominał. Pani Pola zajmowała się zaopatrzeniem sklepu. Jako osoba wymowna i łatwo nawiązująca kontakty nie miała kłopotu z dostawcami i wszystko, co można było sprowadzić do sklepu, sprowadzała. Oprócz tego zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem jedynej córki Anusi” [41](#).

Schnurowie przyjaźnili się z rodzicami Bogdana Śmigielskiego, którzy od zakończenia wojny prowadzili sklep z artykułami gospodarczymi w pobliżu wielickiego rynku. Jako dziecko Bogdan widywał Schnurów na imieninach rodziców, czasem sam przychodził do ich sklepu papierniczego. Nigdy nie słyszał, żeby jakieś dziecko było przez Szymona Schnura wykorzystane.

– Nie, przypisywanie mu czegoś takiego byłoby wysoce obraźliwe i nieprawdziwe – oburza się. – Nigdy się nie spotkałem z czymś takim.

Rozmawiam też ze znawczynią wielickich Żydów, Anną Krzeczowską.

– Spotkała się pani z zarzutem, że zachowania państwa Schnurów wobec dzieci były niestosowne?

– Nie, nie, nigdy nic takiego do mnie nie doszło.

Schnurowie znajdują się również z rodziną Janczewskich, są gośćmi na ich imieninach.

– Schnur lubił moich rodziców i mnie też – opowiada Józef. – Żartował do mnie: „Kochany mój zięciu, wkręć śrubkę w dupkę mojemu ukochanemu dziecięciu”. Miał na myśli swoją córkę Anię. Ta Anna wykształciła się na farmaceutkę, później wyszła za Żyda, który był lekarzem, i wyjechali za granicę.

Jakiś czas później Józefowi się przypomina, że jego rówieśnik z czasów, gdy był nastolatkiem w Wieliczce, powiedział mu, że za drobne opłaty Schnur namawiał chłopców, którzy mieszkali w jego kamienicy, żeby spotykali się z nim na zapleczu. Nie wiadomo, co tam robili.

Nie udaje mi się tego potwierdzić.

\*

Józefa pochłania wojna o córkę. Tymczasem po śmierci Matyldy Janczewskiej Jadwiga zaczyna się spotykać ze Stanisławem B. Dostaje od niego wszystkie dokumenty, które matka Józefa użyła do wydziedziczenia syna.

Nie pomagają jej. W marcu 1991 roku przed krakowskim sądem zapada wyrok, w którym zostaje uznane ojcostwo Józefa i otrzymuje on prawa rodzicielskie do Joanny. Dwa lata później dostaje prawo do widzeń z dzieckiem w soboty i niedziele oraz miesiąc wspólnych wakacji. Jednak nikt nie jest w stanie tych orzeczeń wyegzekwować.

W końcu Jadwiga staje przed sądem oskarżona o „uniemożliwianie przemocą kontaktów córki z ojcem”. Sąd orzeka, że kobieta dokonała czynu zabronionego, ale umarza sprawę ze względu na nikłą szkodliwość społeczną czynu.

Po odwołaniu sąd wojewódzki pisze w uzasadnieniu: „Oskarżona nie tylko wyrządza krzywdę dziecku, ale także łamie przyjęte na siebie zobowiązania oraz wykazuje lekceważenie prawomocnych orzeczeń sądu”.

Maria ma wszystkiego dość, postanawia wyjechać.

– Ją to bolało jako kobietę i ja to rozumiem – wyznaje Józef. – Jadwiga chciała, żebym się rozwiódł, i zaczęła mnie złośliwie nie dopuszczać do dziecka. Mówiłem w domu, co się dzieje, i moją żonę to mogło zboleć. I może dlatego wyjechała, żeby mieć święty spokój. Ja to rozumiem, tylko mogła powiedzieć prawdę.

Pewnego sierpniowego dnia Maria oznajmia, że jedzie na wczasy.

– Jeszcze jej kupiłem lody, zaniósłem walizkę na dworzec autobusowy i pojechała – opowiada Józef. – A za miesiąc dowiedzieliśmy się, że jest w Kanadzie.

Ona sama twierdzi, że zamieszkała u koleżanki, wdowy. Jednak były nauczyciel Roberta słyszał, że była u przyjaciela.

– Na sto procent – zapewnia Jakub. – Ja powtarzam to, co mi Robert mówił.

Dla jej syna to szok. Jest bardzo związany z matką.

– I wtedy wszystko się uzewnętrzniło, nasiliło – wspomina Józef. – Zobaczyłem, że coś jest nie tak.

Robert zaczyna się obnażać w autobusach i tramwajach. Chodzi do parków albo nad rzekę Rudawę i tam również odsłania intymne części ciała. Zaczyna wypowiadać treści urojeniowe i prześladowcze. Twierdzi, że za ekshibicjonizm poszukuje go policja. Funkcjonariusze rzekomo śledzą go i wpływają na jego psychikę promieniami z urządzeń nadawczych. Diagnozuje siebie jako dotkniętego „ilościowym zaburzeniem elektromagnetycznym mózgu wywołanym przez policję manipulującą elektroniką i ludzkim zdrowiem”. Odczuwa silny lęk. Chodzi po mieszkaniu i odpowiada na głosy, które słyszy w głowie.

– Raz ognisko z dokumentów na środku pokoju zapalił – opowiada jego ojciec. – Jak można coś takiego robić? Przecież tu są płytki PCV, to się może stopić. Tak z nim było. Ale nigdy go nie brakowało w domu. Zawsze w nocy był, a nawet wieczorami.

Młody Janczewski ma obsesję, że ktoś przegląda jego rzeczy.

– Wszystko było zalepione taśmą – mówi Józef. – Szafa zalepiona taśmą. Wieczorem sobie ją odlepił, a później zalepił.

Jednocześnie chce się ukarać. Okłada się kijami po plecach.

W końcu sam przychodzi na policję i wyznaje, że jest ekshibicjonistą. Zgłoszenie tego nakazują mu głosy w głowie. Robi

to też – jak później zezna – w ramach walki ze złymi nawykami. Dzieje się to osiem lat przed zabójstwem Katarzyny.

Zimą Józef, zaniepokojony stanem psychicznym syna, przychodzi do poradni środowiskowej po pomoc. Psychiatra Jacek Matkowski udaje się do niego na wizytę domową. Po badaniu kieruje Roberta do szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie.

Jednak mężczyzna nie chce zostać na oddziale. Kilka miesięcy później Józefowi udaje się zaciągnąć syna do poradni Kliniki Psychiatrycznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie przy ulicy Kopernika. Ale nawet siedząc w kolejce, Robert dalej protestuje: „Nie pójdzie do lekarza od głowy!”.

– A ja mówię: „Robert, trzeba” – wspomina Józef.

W kolejce do lekarza czeka też Bożena, matka kilkorga dzieci.

– Przepraszam pana, jak on ma na imię? – pyta Józefa.

– Robert – odpowiada zdenerwowany ojciec.

– Roberciku, Roberciku, trzeba iść, trzeba. – Kobieta zaczyna tłumaczyć jak dziecku. – Pan doktor ci pomoże. Widzisz, ja też chorowałam. Nocą mi się wydawało, że jest dzień, a w dzień, że noc. I popatrz, już jestem zdrowa. Teraz idę tylko na kontrolę.

Józef widzi, że kobieta ma dobry wpływ na syna, zaprasza ją do swojego mieszkania.

– Pomyślałem: a niech sobie posiedzą, niech ona mu przemówi do rozsądku – opowiada.

Z Bożeną spotykam się po zajęciach terapeutycznych, w których uczestniczy. Dziś to starsza kobieta. Jest bardzo spokojna, łagodna, mówi cicho.

– W kuchni siedzieliśmy i rozmawialiśmy kilka razy – potwierdza.

– Robert sprawiał wrażenie zagubionego, ale lgnął do ludzi. Mówił, że trudno mu się porozumieć z kobietami, że nie ma dziewczyny. Był bardzo wyobcowany. Trudno było z nim rozmawiać, bo był w swoim świecie.

– Mówił, dlaczego trudno mu nawiązać kontakty z kobietami? – pytam.

– Bo jest niski, bo jest gruby. Mówił, że musi poprawić sylwetkę, że nad tym pracuje. Ma dietę, robi sobie specjalne jedzonka. Mówił też, że bardzo chciałby kogoś poznać. Chciał kogoś mieć, z kimś się



spotykać. Po prostu nie być sam. Chciał żyć jak normalny człowiek. Nie widziałam w tym niczego dziwnego, nie wyczułam niczego nienormalnego.

– Nie był w stosunku do pani agresywny?

– Nie, nie, był bardzo miły, sympatyczny. Bardzo chciał ze mną rozmawiać.

Bożena zaczyna spotykać się z Józefem, a zimą 1992 roku Robert zostaje przyjęty do kliniki przy Kopernika. Diagnoza brzmi: schizofrenia paranoidalna, zaburzenia osobowości oraz zaburzenia popędu i zachowania.

W szpitalu przebywa ponad miesiąc, a ponieważ nie chce kontynuować leczenia w oddziale dziennym, zostaje skierowany do leczenia środowiskowego.

\*

W tym czasie często chodzi na siłownię Champion w pobliżu mostu Grunwaldzkiego. Trenerem i recepcjonistą jest tam Rafał.

– Robert był zamknięty w sobie, nie uśmiechał się – wspomina. – A jak wchodził na tematy bardziej poważne i zaczynał wypowiadać swoje teorie, wszyscy patrzyli na niego jak na dziwaka.

Rafał jest jedyną osobą, która chce z nim rozmawiać.

– Siadał na recepcji przed treningiem albo po treningu i sobie rozmawialiśmy o wszystkim. Dużo o życiu, o mamie, która pracowała w Kanadzie, trochę o jego dzieciństwie. Mówił o swoich problemach z kobietami, że nie może sobie nikogo znaleźć.

Robert próbuje zagadywać dziewczyny ćwiczące na siłowni, ale nie wychodzi mu to najlepiej.

– Nie robił tego delikatnie, tylko natarczywie wypytywał: skąd jest, co robi, jakie ma wykształcenie – opowiada trener. – Chciał rozmawiać z kobietami inteligentnymi. Dziewczyna nie była dla niego obiektem seksualnym, tylko osobą, z którą może porozmawiać. Widać było, że imponują mu kobiety, które są mądre.

Jednak jego starania o ich uwagę przynoszą odwrotny efekt.

– One były urażone tym, że natarczywie zwracał na siebie uwagę i na siłę chciał podtrzymywać konwersację – mówi Rafał. – Albo że przynosił im kwiaty, których one nie chciały. Gdy im je wręczał, a inni w siłowni na to patrzyli, kobiety czuły się niezręcznie. Robert tego nie rozumiał.

Znowu czuje się odrzucony i wyobcowany.

W rozmowie z reporterem Jackiem Bazanem, zapytany, czy miał jakieś nieprzyjemne sytuacje z kobietami, odpowie: „No pewnie, że miałem, przecież jest wyraźnie napisane, że ja wręcz, można powiedzieć, nie cierpię kobiet. Ale ja uzupełniłem i opowiedziałem, że chodzi o niektóry rodzaj kobiet, nie chodzi o wszystkie kobiety, uogólniając, chodzi o pewien niektóry rodzaj kobiet...”.

Chodzi mu o kobiety, które w jego opinii zachowują się niemoralnie, „puszczalskie”.

Tymczasem dziewczyny składają skargę do właściciela siłowni i Robert zostaje ostro upomniany. Grozi mu zakaz przychodzenia na treningi.

– Żadna się nie skarżyła, że wygaduje coś zboczonego albo nieprzyzwoitego – mówi Rafał. – Po prostu zaczepiał, chciał, żeby ktoś z nim rozmawiał.

Gdy Rafał zmienia miejsce pracy na sklep z odżywkami dla sportowców, Robert dalej do niego przychodzi i przesiaduje godzinami.

– Jak był męczący, to po prostu mu mówiłem: „Robert, nie chce mi się już z tobą rozmawiać”. Coś tam pod nosem mruknął, ścisnął mi rękę, bo on zawsze bardzo mocno ścisnął rękę na powitanie i pożegnanie, i wychodził. Czasami mówił, że przyszedł się do mnie trochę pokiwać. Musiał połknąć leki, a źle się po nich czuje i chciał sobie posiedzieć, aż mu przejdzie. Więc siedział godzinę, półtorej i się kiwał. Patrzył na klientów, słuchał, co mówią, po czym wstawał, zegnał się ze mną i wychodził.

Z treningów karate Robert często przychodzi poobijany. Narzeka, że traktują go jak worek treningowy.

– Ale mówił, że dzięki temu uczy się przyjmować ciosy – wspomina Rafał. – Bo w życiu trzeba być twardym. Bo życie nie jest proste i ciosy trzeba umieć przyjmować.

Czasem przynosi koledze do przeczytania dziennik, który prowadzi. Na początku pisany odręcznie, potem przepisany na maszynie.

– Było w nim coś na temat niechęci do kobiet? – pytam.

– Nie, nie. To, co czytałem, nie wyrażało żadnej agresji, to była bardziej rozprawa filozoficzna na temat życia. Zresztą w Robercie nigdy nie było agresji. Bardziej on był bity przez świat, życie i ludzi, niż bił kogoś. Frustracja, zażenowanie, żal do świata w jego wypowiedziach, tak. Ale nigdy nie był agresywnym facetem.

Rafał zapamiętał go jako osobę bardzo religijną.

– Dużo mówił o Bogu, o modlitwach, o chodzeniu do kościoła, dawał mi święte obrazki – opowiada. – Dostałem od niego poświęcony medalik. Był naprawdę dobrym człowiekiem i chrześcijaninem. A ludzie go traktowali jak dziwaka. Często mi się żalił, że koledzy wykorzystali go finansowo... We mnie wzbudzał żal i współczucie. Uważałem, że jest krzywdzony przez świat.

Tymczasem w późniejszej opinii psychologicznej przygotowanej na zlecenie prokuratury znajdzie się zapis, że do roku 1998 Robert nie był osobą religijną. To twierdzenie opiera się na zeznaniu jego kolegi Witolda B., o którym będzie jeszcze mowa, że Janczewski „nie był religijny, raczej był ateistą, nic nie wspominał, że chodzi do kościoła”.

W konsekwencji śledczy przyjmą hipotezę, że dopiero po zabójstwie Katarzyny Robert przeszedł przemianę duchową i zaczął leżeć krzyżem w kościele. Biegłe z zakresu psychologii mgr Teresa Jaśkiewicz-Obydzińska i mgr Ewa Wach napiszą w swojej opinii: „W osobistych notatkach Roberta Janczewskiego zabezpieczonych w aktach sprawy znajduje się notatka z 1998 roku, w której autor relacjonuje swoje odczucie »potężnego natężenia świętości« oraz »obecności kogoś z innego świata i doznanie łaski«. Zwraca uwagę zbieżność (niewykluczone, że przypadkowa) w czasie tego mistycznego doświadczenia Roberta Janczewskiego z zaginięciem i śmiercią Katarzyny Z. Oba zdarzenia miały miejsce w 1998 roku”.

Biegłe nie odnotowują, w którym miesiącu Robert doznał mistycznego odczucia, ani nie tłumaczą, dlaczego skojarzyły

odczucie „potężnego natężenia świętości” i „doznania łaski” z dokonaniem przez Janczewskiego brutalnego zabójstwa.

„Od tego czasu często się modlił, chodził do kościoła, spowiadał się wielokrotnie, telefonował do kilku różnych spowiedników (najczęściej do zakonników z klasztoru na Bielanach), sporządzał dla nich spowiedzi na piśmie, gdyż inaczej nie był pewien, czy podczas ustnej spowiedzi zapamiętał wszystkie istotne grzechy” – piszą dalej biegłe.

W tym czasie Robert odwiedza też pracującego w punkcie ksero mężczyznę, krakowskiego aktora i radnego. Ponieważ mężczyzna nie zgodził się na ujawnienie swojego prawdziwego imienia, nazwę go Andrzejem. Janczewski przynosi mu do skopiowania zeszyty, w których spisane są jego przemyślenia o życiu. To pewnie te same prace, które pokazuje nauczycielowi Zygmuntowi A. i trenerowi Rafałowi.

– Widziałem, że ten człowiek chce się przed kimś wygadać – opowiada Andrzej. – Bo raczej nie było takich, którzy chcieliby słuchać tych jego wywodów. A on miał nie tylko dużą wiedzę na wiele tematów, ale też bardzo ciekawe przemyślenia. Były to refleksje bardzo mądrego człowieka, który chciałby zmienić świat. Bo świat w jego przekazach był generalnie zły.

Robert opowiada mężczyźnie swoje dzieciństwo. Wspomina o babci i problemach z ojcem, który go nie toleruje. Gdy poznają się bliżej, zaprasza Andrzeja do mieszkania, żeby się pochwalić sprzętem audio, który sam złożył. Mężczyzna poznaje wtedy jego matkę, a przy okazji ogląda fotografie zrobione przez Roberta.

– Fantastyczne zdjęcia Kazimierza, gdzie mieszkało bardzo dużo meneli – wspomina Andrzej. – Brud, smród i ubóstwo.

Jedno zdjęcie szczególnie utkwilo Andrzejowi w pamięci: – To była fotografia rozbitego pisuaru. Okropnego, zasikanego, w jakiejś melinie. Robert pokazał mi ją i powiedział: „Tak wygląda Polska”. Wie pani, to było mocne. Zdjęcie na okładkę „Time’a”.

## Mamo, Tato. Cierpię na straszną depresję...

*Mamo, Tato. Cierpię na straszną depresję, nawet do modlitw codziennych się zmuszam, aby odmówić. Na siłę piszę do Was. Słusznie, Mama napisałaś, że jestem w klatkach wożony, jak zwierzę w cyrku.*

*Są takie dni, że wstać nie mogę, tak jestem już całością mego życia wykończony. A tu dzwonek, okrzyki i wstać znowu trzeba do nowego dnia. Dziś była pobudka w więzieniu o godzinie 5.43. Dni powszednie, niedziela i największe święta. To nikogo nie obchodzi. Tu jest oddział „N”. [...]*

*Ach, co się działo wczoraj między 13.20 a 13.35. Co za jęki, wrzaski, krzyki, darcie się. Jakiś więzień dostawał od strażników „wycisk”.*

## W Szpitalu Zakonu Bonifratrów...

W Szpitalu Zakonu Bonifratrów Robert poznaje Witolda B., wnuka sławnego profesora Akademii Górniczo-Hutniczej. Próbuje go odnaleźć. W internecie znajduję kilka firm założonych na jego nazwisko, ale pod żadnym z adresów nikogo nie zastaję. Udaje mi się za to odszukać jego byłą żonę, jednak kobieta nie chce mieć z Witoldem nic wspólnego. W końcu dowiaduję się, że mężczyzna mieszka obecnie w Katowicach. Dzwonię pod podany w sieci numer. Przedstawiam się i mówię, że chciałabym porozmawiać o Robertcie Janczewskim.

– Skąd pani ma mój numer? – rzuca podejrzliwie, po czym oświadcza: – Nie znam żadnego Roberta Janczewskiego. O co pani chodzi? Chce pani pieniędzy?

Mówię, że nie chcę żadnych pieniędzy i chciałabym tylko pomówić z nim na temat Roberta.

– Nie znam nikogo takiego – upiera się i dodaje: – Ja już wiem, o co pani chodzi. Widziałem takie rzeczy w programie 997. Ktoś dzwoni i niby o coś pyta, a tak naprawdę chce oszukać. Nie będę z panią rozmawiał. – I się rozłącza.

Dwadzieścia kilka lat wcześniej w Szpitalu Zakonu Bonifratrów Witold B., podobnie jak Robert, odrabia zastępczą służbę wojskową. Zaczynają razem robić interesy.

– Były różne giełdy staroci, płyt. I oni gdzieś tam się pojawiali, kupowali, sprzedawali – wspomina Lucjan Kopeć, dawny kolega Witolda B.

Pewnego dnia w 1990 roku Witold B. i Robert idą razem do domu studenckiego.

– I ten Witold zaczął nieładnie się zachowywać wobec dziewczyn, które tam były – relacjonuje Józef. – Robert napisał na kartce: „Strzeżcie się człowieka, z którym przyszedłem”. I wsadził kartkę jednej z tych dziewczyn do ręki.

Tej historii nie udaje mi się potwierdzić.

Witold B. jest wtedy trenerem karate, podnosi też ciężary. Lucjan z kolei prowadzi z żoną małą siłownię. Jest zainteresowany składanym przez Roberta sprzętem do ćwiczeń.

– Witold zabrał mnie nawet do niego do domu – opowiada Kopeć.  
– Robert pokazywał mi sprzęt, na którym ćwiczył.

Lucjan zamawia u Roberta pojedyncze elementy wyposażenia, których brakuje mu w sali. Jakiś czas później Janczewski zapisuje się do niego na siłownię. Chodzi tam przez kilka miesięcy.

– Jak przychodził rano, około dziewiątej, dziesiątej, to ćwiczył do czwartej po południu – opowiada właściciel. – Przez osiem godzin tutaj siedział. Jedzenie sobie przynosił, do wszystkich zagadywał, korzystał z sauny. To mi się wydawało nienormalne, ale nie zwracałem mu uwagi, bo każdy mógł ćwiczyć, ile chciał.

W listopadzie 1992 roku Robert zostaje dwukrotnie poturbowany przez wyrostków z Kazimierza. Pierwszy raz zaczepiają go na placu Wolnica, drugi przed sklepem przy ulicy Krakowskiej, w pobliżu jego mieszkania. Rozbijają mu okulary. Janczewski składa zawiadomienie do prokuratury, ale sprawców nie udaje się wykryć, a sprawa zostaje umorzona.

Żeby się przed nimi bronić, Robert trenuje jeszcze intensywniej. Inni ćwiczący zgłaszają Lucjanowi, że ten mężczyzna jest jakiś dziwny.

– Mówił dosyć szybko, nie można go było zrozumieć, zwłaszcza jak coś komuś tłumaczył, a chciał go przekonać – wspomina właściciel siłowni. – Wydawało mu się, że wie, jak ćwiczyć, znał wszystkie metody treningów, pouczał innych. Mówił, że ktoś źle ćwiczy. Niektórych to irytowało.

Poza tym znowu zaczepia kobiety. Jedna z nich skarży się żonie właściciela, że Robert zachowuje się nachalnie. Zostaje upomniany. Po jakimś czasie inna dziewczyna rezygnuje przez niego z korzystania z siłowni. Lucjan Kopeć widzi, że Robert odstrasza mu klientki.

Po kolejnej skardze żona właściciela wyrzuca go z klubu. Kobieta zezna potem, że ćwiczące na sali narzekały, że bezpodstawnie i wulgarnie je obrażał. Bały się go, bo po zajęciach wychodził i szedł za nimi.

– Potem chciał wrócić – opowiada Lucjan. – Powiedziałem, że nie mogę go przyjąć. I żeby sobie inną znalazł siłownię. No i tak się skończyło.

Lucjan nie wie jeszcze, że dopiero się zaczęło.

Naprzeciwko siłowni jest murek. Robert przyjeżdża na rowerze, siada na nim i obserwuje wejście do sali ćwiczeń.

– Rower sobie postawił i przez godzinę, dwie, a czasami trzy siedział i nic nie robił, tylko się patrzył – opowiada Lucjan. – Później napisał donosy na nas wszystkich: na mnie na uczelnię, do żony do szkoły. To były pisma do dyrekcji z obraźliwymi słowami, zapieczętowane, dostarczone przesyłką poleconą.

Przychodzi też przed dom Witolda B. Stoi i patrzy.

– Jego żona bała się wyjść z dziećmi na spacer, bo nie wiedziała, czy on jest zrównoważony, czy nie – opowiada Kopeć.

Cierpliwość mężczyzn się wyczerpuje, postanawiają działać. Najpierw na własną rękę. Pewnego dnia Józef Janczewski jest sam w mieszkaniu przy Trynitarzkiej. Nagle ktoś wali w drzwi.

– Otworzyłem, a tu dwóch młodych mi próbuje wparować – opowiada. – Jak mnie zobaczyli, to trochę zgłupieli. „O co wam chodzi?”, pytam. A oni mówią, że chcą dorwać Roberta. Podobno poszedł i nagadał żonie Witolda, że kiedy jej nie ma, to on się spotyka z innymi kobietami. Na koniec powiedzieli, że go znajdą i namówią Ukraińców, żeby mu przestrelili kolana.

Po tej akcji wściekły Robert idzie do Witolda B.

– Powiedział mu, że kupił sobie od wschodnich gości broń i załatwi nas wszystkich – opowiada Lucjan. – Mówił, że ma broń i że jak będzie potrzeba, to jej użyje.

Robert nie ma wtedy żadnej broni, ale chce wystąpić o pozwolenie na pistolet gazowy. Mówi psychiatrze, że musi pogrozić komuś, kto go poniżył.

– W ramach prewencji napisałem pismo do komendy wojewódzkiej, żeby nie wydawać mu pozwolenia na broń gazową, bo jest w leczeniu i byłoby to niewskazane – opowiada Jacek Matkowski, lekarz psychiatra prowadzący Roberta od końca 1991 roku.



Witold B. i Lucjan Kopeć składają zawiadomienie na policji, że Robert grozi im użyciem broni. Janczewski z kolei zgłasza, że dawni koledzy straszą go ukraińską mafią. W 1994 roku prokurator kieruje Roberta na sześciotygodniową obserwację sądowo-psychiatryczną w oddziale psychiatrii sądowej w krakowskim Szpitalu Klinicznym imienia doktora Józefa Babińskiego w Kobierzynie.

– Kupił wielką walizkę, gruby łańcuch i zamknął ją na kłódkę – wspomina Józef. – Mówię: „Człowieku, przecież i tak ci to każą otworzyć”. Nie, on z tą kłódką pojechał. Zawiozłem go, a potem brałem go na sobotę i niedzielę na własną odpowiedzialność, pilnowałem. Siedział u mnie w domu, a później rano w poniedziałek go odwoziłem.

Robert opuszcza szpital z rozpoznaniem schizofrenii paranoidalnej przewlekłej ze współwystępującymi mieszanymi zaburzeniami osobowości i patologią skroniową. Opinię sporządza dla prokuratury doktor Stanisław Teleśnicki. Psychiatra uznaje, że w chwili popełnienia czynu Robert miał zniesioną poczytalność. To druga hospitalizacja psychiatryczna Roberta.

\*

Tymczasem Leszek L. załatwia sobie pozwolenie ministerstwa na organizowanie tak zwanych żywych lekcji biologii. Nie udaje mi się dowiedzieć, kto i na jakiej podstawie mu go udzielił.

– On nie był do tego przygotowany, pamiętam, że przekręcał nazwy zwierząt – opowiada Jan Bajger, który znał go z kółka przyrodniczego. – Pytam go: „Jak to jest możliwe, że dostałeś takie zezwolenie, a przecież nie masz studiów”. Nawet nie wiem, czy miał skończoną szkołę średnią. „A bo ja mam znajomości w prokuraturze” – odpowiedział. Powoływał się na to wiele razy. Teraz mi się przypomina, że chodził z jakąś dziewczyną i chyba to była córka prokuratora.

W tym samym czasie Leszek poznaje B., córkę sędzi wydziału rodzinnego krakowskiego sądu.

– Jej mąż był prawnikiem, ale rozeszła się z nim, jeszcze jak dzieci były małe. Chyba był prokuratorem – słyszę od dobrze poinformowanego źródła.

B. i Leszek biorą ślub i w 1986 roku przychodzi na świat ich córka. Prawdopodobnie nigdy nie mieszkają razem. We wnioskach paszportowych jako adres zamieszkania mężczyzna podaje mieszkanie rodziców na osiedlu Podwawelskim. Później B. zostanie notariuszem, a po rozwodzie z Leszkiem żoną ważnego krakowskiego polityka.

W końcu jednak matka każe się Leszkowi wyprowadzić. Hodowca pyta koleżankę z liceum dla pracujących Anetę<sup>42</sup>, czy nie pomogłaby mu znaleźć mieszkania.

Aneta mieszka wówczas z rodzicami w secesyjnej kamienicy z 1910 roku przy ulicy Smoleńsk, w ścisłym centrum Krakowa. Na pierwszym piętrze mieszka starsza kobieta Halina Szyposz, która podnajmuje pokoje studentom. Jej mąż Gwidon wraz z ojcem Kazimierzem (doktorem praw, przed wojną sędzią Sądu Apelacyjnego w Krakowie) w czasie wojny zginęli w obozie koncentracyjnym w Auschwitz.

Halina jest samotna. Leszek wprowadza się do jej mieszkania.

– Z jakimiś dwoma typami wszedł tam na siłę – opowiada Łukasz, ówczesny sąsiad. – Panią Szyposzową wcisnął do najmniejszego pokoju razem z meblami.

Kobieta kilka razy wzywa policję i pogotowie.

– Bo on tłukł się do niej, a ona się darła – wspomina matka Anety.  
– Starsza pani, na pewno się go bała. Lekarka pogotowia go postraszyła, że jeśli sytuacja jeszcze raz się powtórzy, to ona się tym zajmie.

Jednak jej groźby nie robią na hodowcy gadów wrażenia. Przenosi do mieszkania starszej kobiety swoje terraria i wymienia zamki.

– Czekał, aż ona umrze. Nie pamiętam, ile ona tam dogorywała – dodaje Łukasz.

Po siłowym przejęciu mieszkania Haliny Szyposzowej i jej śmierci Leszek chodzi po mieszkańcach kamienicy i pyta, kto ma udziały w nieruchomości. W końcu znajduje kogoś, kto jest skłonny sprzedać swoją część. To Marta, matka Łukasza. W kamienicy słyszę, że kobieta nadużywała alkoholu i sprzedała Leszkowi swój udział za grosze.

Długo szukam Marty. Po wyprowadzce z kamienicy zajmuje wynajmowane mieszkania. W końcu udaje mi się znaleźć w internecie, na stronie zawierającej listę dłużników, nazwisko jej syna. Obok niego podana jest nazwa ulicy: Stroma. To niewielka uliczka w Podgórzu. Po obu stronach ciąg kamienic, na żadnym domofonie nie ma nazwisk. Podchodzę do kobiety, która wyjmuje zakupy z samochodu. Podaję jej nazwisko chłopaka i pytam, czy słyszała o takim. Nie kojarzy.

– A jaki numer kamienicy?

– Nie wiem – mówię skonsternowana.

– A mieszkania?

– Też nie mam.

– Tak to go pani nie znajdzie. Tu są dziesiątki mieszkań.

Raz kozie śmierć, myślę, zadzwonię pod pierwszy lepszy numer. Podchodzę do najgorzej wyglądającej klatki, wybieram numer ze środka spisu przy domofonie. Mówię, że szukam chłopaka o takim nazwisku.

– Proszę wejść na górę – słyszę.

Okazuje się, że to kamienica, w której Marta przez jakiś czas mieszkała z synem. A kobieta, która mi otworzyła, utrzymuje z nią kontakt. Cud. Jednak umówić się na rozmowę z Martą nie jest łatwo. Nie przychodzi na umówione spotkanie ani nie odbiera telefonów. Oddzwania dopiero po jakimś czasie.

Kobieta nie czuje się oszukana. Twierdzi, że wiedziała, co się dzieje, gdy podpisywała akt notarialny.

– Inna kwota była na umowie, a inną dostałam – mówi. Potwierdza wersję sąsiadów Leszka: – On sobie tam panienki sprowadzał, zaglądał w kieliszek. Szyposzowa później zmarła i on to mieszkanie po prostu przejął.

Po wykupieniu udziałów w kamienicy Leszek już legalnie zajmuje duże mieszkanie po starszej kobiecie: salon, drugi pokój, kuchnię i łazienkę. Potem dowiaduje się, że w przyziemiu kamienicy są piwnice, które przed wojną były mieszkaniami w suterrenach. To spore pomieszczenia z oknami. Zajmuje jedno z nich i zakłada w nim sklep zoologiczny. Prowadzi mu go kolega ze szkoły ogrodniczej Leszek S. Firma nosi oficjalną nazwę Zakład Dydaktyczno-Rozrywkowy „Echis”. *Echis* to rodzaj małej jadowitej żmii.

Sprzedają tam różne zwierzęta: króliki, chomiki, węże, rybki, również papużki. Na wystawie przysypia ogromny pyton tygrysi o imieniu Kaśka.

Leszek zaprzyjaźnia się z Martą, od której kupił udziały w kamienicy. Często razem piją. Gdy mężczyzna wyjeżdża z gadami do szkół, sąsiadka robi mu zakupy, gotuje obiad.

– Dawał mi za to parę groszy, bo wiedział, że moje dzieci potrzebują – tłumaczy kobieta.

Na drzwiach mieszkania hodowca wiesza tabliczkę: „Akwizytorom, inkwizytorom, egzekutorom, kolaborantom, uzurpatorom, kombinatorom, denuncjatorom i wszystkim innym insynuatorom wstęp wzbroniony<sup>43</sup>”.

Mieszkanie po Szyposzowej zaczyna wyglądać jak muzeum przyrodnicze. W salonie panuje lekki półmrok. Szyby w oknach są zaklejone wylinkami gadów z kolekcji Leszka. Ściany wyłożone boazerią zdobią wypreparowane trofea. Wiszą tu waran, rogata głowa guźca – afrykańskiej świni, antylopy kudu i czaszka niedźwiedzia brunatnego. Obok okna – wyprawiona skóra małpki. Na innej ścianie stary niemiecki hełm i zabytkowa flinta.

Od kolejnego pokoju salon oddzielają ciężkie, metalowe drzwi. Za nimi – wielkie terrarium. Na całej ścianie, od podłogi aż po sufit, stoi stalowy regał. W nim kilkanaście akwariów. Żyją w nich trzy krokodyle, skorpion, boa dusiciel, dwa pytony, grzechotniki, kobra i bardzo jadowita żmija nosoroga. W pomieszczeniu panują nieprzyjemna woń i dość wysoka temperatura.

W łazience, w wannie, mieszka żółw jaszczurowaty. Jego szczęki mają moc równą uderzeniu sześciusetkilogramowego odważnika.

Leszek zarabia głównie na prezentowaniu dzieciom w szkołach i przedszkolach swojej hodowli. Pakuje dzikie zwierzęta do wiklinowych koszy i swoim srebrnym mercedesem transporterem jeździ po placówkach Małopolski i Śląska.

– W szkołach spędzano dzieci do sali gimnastycznej – opowiada Łukasz Sułowski, znajomy hodowcy. – Miał gotowy tekst, chwalił się, że zatwierdzony przez Ministerstwo Edukacji. I razem z jeszcze jedną osobą, na ogół to była jakaś dziewczyna, recytowali ten tekst i pokazywali zwierzęta.

Relację z jednej z takich lekcji zamieszcza lokalna gazeta.

Do rzeszowskiej szkoły podstawowej Leszek przywozi dziesięć koszy, w których czekają na występ między innymi boa dusiciel, waran i krokodyl. Niesamowite wrażenie na dzieciach robi żółw jaszczurowaty, który jednym kłapnięciem potrafi odgryźć palec. „Dorosły waży do 30 kg i ma metr długości. Atakuje jak pirania. Zamiast zębów ma listwy rogowe, którymi potrafi przegryźć kość” – opowiada hodowca, spacerując po sali i pokazując dzieciom ostre pazury oraz szczęki młodego gada<sup>44</sup>.

W lekcjach pomaga mu Aneta, z którą jest wówczas w związku. Jest początek lat dziewięćdziesiątych.

\*

Tymczasem Robert wciąż odwiedza nauczyciela Jakuba, nawet po tym, gdy ten żeni się i rodzi mu się dziecko. Któregoś dnia pyta byłego wychowawcę, spod jakiego znaku jest żona.

– Bliźnięta – odpowiada Jakub.

– O, pan to Byk, nie będzie zgody, będziecie się rozwodzić – przewiduje Robert.

– Dajże spokój, nie gadaj głupot – strofuje go nauczyciel.

Dziś Jakub mówi:

– Nie chciałem, żeby żona przestała go lubić, bo było mi go serdecznie żal. Ale się bałem, żeby dziecku jakiejś krzywdy nie zrobił, bo mówił, że dzieci to wymioty... Więc powiedziałem żonie: „Jak mnie nie ma, to nie wpuszczaj Roberta do domu. Nie otwieraj drzwi i już”. Bo się bałem.

Maria Janczewska wciąż pracuje w fabryce w Kanadzie. Z czasem uzyskuje tamtejsze obywatelstwo. W 1992 roku przyjeżdża do Polski, ale po kilku miesiącach wraca za ocean. Robertowi mocno jej brakuje.

– Bardzo przeżywał te nieobecności matki, zwłaszcza że z ojcem nie układało mu się najlepiej – mówi psychiatra Jacek Matkowski. – Wykazywał znacznie pozytywniejsze uczucia do matki, takie opiekuńcze. Po jej powrocie robił zakupy, martwił się. Przez całe lata mówił o niej z troską. W stosunku do ojca dominowała u niego niezaspokojona potrzeba bycia wspieranym synem. I rozczarowanie.

Trzy lata później, tuż po drugim pobycie w szpitalu psychiatrycznym, Robert postanawia jechać do matki. Przed wyjazdem pisze jeszcze oświadczenie do sądu w sprawie, w której jest powołany przez Józefa na świadka:

Ojciec bardzo zaangażował się w tę sprawę, kocha Joasię, bardzo wiele poświęcił czasu i wysiłku. Bardzo dużo jej kupuje. Jest człowiekiem obowiązkowym, idealistą i konserwatystą. Ta sprawa bardzo go zmieniła, z człowieka otwartego na świat i bardzo pracowitego stał się apatyczny i zaczął chorować. Jest na rencie.

Gdyby sąd dociękał, jak na to patrzyła moja matka, to powiem, że do ojca miała żal, ale uważała, że dziecko tu nic nie jest winne. Raz nawet uszyła Joasi sukienkę, ale Jadwiga K. pocięła sukienkę nożyczkami. Nie mogę patrzeć spokojnie, jak K. poniża ojca mego w czasie, kiedy on chce doprowadzić do spotkania ze swoją córką. [...] I jeszcze jedno. Jako brat przyrodni Joasi do r. 1990 dwukrotnie miałem okazję wziąć Joasię za rękę.

Przed podróżą Robert odwiedza też swojego drugiego ulubionego nauczyciela Zygmunta A. Pedagog opowie później: „Przed północą

ktoś dobijał się do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem Roberta, eleganckiego, w czarnym garniturze, lakierkach i z aparatem fotograficznym. Spytał czy może sobie ze mną zrobić zdjęcie, bo wyjeżdża do Kanady”<sup>45</sup>.

Fotografię robi sąsiadka, która mimo późnej godziny wychodzi w szlafroku na korytarz.

– Ponieważ Zygmunt mieszkał sam, poprosił mnie o zrobienie tego zdjęcia – opowiada. – Ten chłopak mówił, że gdzieś wyjeżdża. I chce mieć taką pamiątkę, bo Zygmunt jako jedyny okazywał mu wsparcie psychologiczne.

Robert w Kanadzie jest jedenaście miesięcy.

– Brał sobie autobus i jechał do Toronto – wspomina Maria Janczewska. – Z ludźmi nie rozmawiał, bo nie znał języka. Bardzo podobała mu się tamtejsza atmosfera, bo tam nie wolno się awanturować, nie wolno nikogo obrażać.

Po niecałym roku wraca do kraju, ponieważ musi się leczyć. Przyjeżdża z matką. Wicedyrektor Zygmunt A. dostaje kartkę pocztową z prośbą o odebranie ucznia z lotniska. „Zaskoczyła mnie ta propozycja, ale oczywiście nie wyjechałem. Nie miałem samochodu i byłoby to dziwne jechać po byłego ucznia. Chyba wtedy się na mnie obraził i przestał mnie nachodzić”<sup>46</sup> – opowie później Zygmunt.

W kraju Maria przez pół roku szuka pracy, ale nie może nic znaleźć. Wraca do Kanady.

\*

W tym samym czasie, w marcu 1996 roku, Józef kupuje własne mieszkanie i wyprowadza się z Trynitarzkiej. Robert pomaga mu w tapetowaniu. Ze starego mieszkania Józef nie zabiera nic poza rzeczami osobistymi.

– Wszystko kupował: pościel, ręczniki, naczynia – wspomina Halina Kutyla, którą kilka lat wcześniej poznał w biurze

matrymonialnym.

Historia ich znajomości nie jest aż tak spektakularna jak ta z Jadwigą, ale nie mniej ciekawa. Halina jest wówczas mężatką, choć w separacji. W dalszym ciągu mieszka z mężem Januszem. Każde z nich ma swój pokój, a salon, kuchnia i łazienka są wspólne. Pewnego dnia kobieta wychodzi z poradni lekarskiej na papierosa. Obok budynku wisi tablica ogłoszeń.

– I patrzę, anons: „48-letni, pozna osobę w stosownym wieku, możemy sobie pomóc wzajemnie” – opowiada Halina.

Postanawia odpowiedzieć na ogłoszenie. Zachodzi do biura matrymonialnego, bierze kartkę i zaczyna pisać, że ma czterdzieści trzy lata i chętnie by się zapoznała, kiedy podchodzi do niej właściciel i mówi:

– Przepraszam panią, ale właśnie przyszedł pan, który dał tę ofertę. Więc może podejdzie i się dogadacie.

Józef wita się z Haliną i idą do kawiarenki.

– Każde opowiedziało swoją historię i umówiliśmy się za kilka dni – wspomina Halina. – On mnie zaprosił do siebie. I tak poznałam Roberta.

Pamięta, że gdy syn Józefa wchodził do domu, mówił grzecznie „dzień dobry”. I nic więcej.

– Zawsze był sam, siedział u siebie w pokoju i nie wyłaził. Czasami wyszedł tylko na chwilę, żeby w kuchni postawić sobie wodę na herbatę czy wziąć coś do jedzenia. Nigdy nie widziałam go z żadną dziewczyną.

Czasem razem grają w karty.

– Myśmy z Ziutkiem rozmawiali, żartowali, a Robert cicho sza. Potrafił godzinę grać i nie wtrącić się ani jednym słowem – pamięta Halina.

Każdą Wigilię spędzają razem: ona, Józef i jej mąż Janusz. Jeżdżą razem na wczasy. Raz Halina zaprasza Józefa w pierwszy dzień świąt.

– Wiesz co, bardzo chętnie bym przyszedł, ale Robert mówi, że go ciągle głowa boli... – waha się Józef.

– To przyjdź z Robertem – proponuje Halina.

– Ale on jest uciążliwy, nie je mięsa...



– Nic się nie martw, głodny ode mnie nie wyjdzie.

Halina wspomina:

– Zdziwiłam się, bo Robert nawet się ucieszył, że przyjdzie. Siedliśmy do stołu. Już dzień wcześniej wymyśliłam, że zrobię dla Roberta omlet z pieczarkami. Dałam go na cały talerz, z górą pieczarek i papryką konserwową. Myślałam: No chyba nie zje. Zdmuchnął wszystko.

Po obiedzie Józef pyta, czy syn mógłby się położyć w pokoju Janusza, bo bardzo boli go głowa.

– Robert wstał, podziękował, pocałował mnie w rękę i poszedł się zdrzemnąć – relacjonuje Halina.

W tym czasie Józef pożycza mężowi Haliny pieniądze na kupno ogródka działkowego koło Balic. W zamian Janusz daje mu klucze, żeby Józef mógł sobie przyjechać na działkę z Haliną, kiedy tylko chcą.

Janczewski senior zaczyna porządkowanie zaniedbanego ogródka.

– On nie potrafił siedzieć spokojnie, zawsze musiał coś robić – mówi Halina o Józefie. – Zobaczył gdzieś wolno stojące drzewko, to musiał przekopać. A tu karmnik zasadził, a tu wiatraczek. Zrobił schody, żeby można było wejść na działkę. Do tej pory służą.

Raz Józef przyjeżdża na działkę z Robertem, żeby mu pokazać, jak ładnie ją urządził. Czasem też bierze syna do jakichś dodatkowych prac, żeby sobie chłopak dorobił. Na przykład ma mu pomagać w zdzieraniu lakieru z okien.

– Murarze i malarze, którzy tam pracowali, zobaczyli, że on jest taki trochę prawdziwek, i zaczęli mu dokuczać – opowiada Józef. – Wymył podłogę, to oni po tym szli i zostawiali ślady. On umył jeszcze raz, a oni znowu. Więc wziął wiadro pełne wody i rzucił w to wymalowane. I poszedł. Nie dostał żadnych pieniędzy.

W tym samym czasie Józef przechodzi piekło z Jadwigą. W kolejnych pismach do sądu narzeka, że od ponad dwóch lat nie miał okazji wziąć córki za rękę i wyjść z nią na spacer. Jadwiga nastawia Joasię wrogo do ojca. „Powiedz tacie, gdzie go masz” – mawia.

– Ona ściągała majtki i pokazywała pupę – opowiada Halina Kutyla. – Albo mówiła: „Powiedz, co myślisz o tacie. Że jest głupi

i idiota?”.

Józef pisze do sądu: „Dziecko moje jest codziennie przeciwko mnie ustawiane i w zupełności pozbawione jest tego co nazywamy *timor reveletiaris* – lęku szacunku. Całuje mnie, gdy matka nie widzi, podaje rękę za jej plecami, ale w obecności matki jestem wyśmiewany, opluty, przezywany. To nie wychowanie, lecz tresura dziecka, by postawić na swoim”.

Halina Kutyla, jako członek Komitetu Obrony Praw Dziecka, pomaga Józefowi egzekwować przyznane prawo do widzeń z córką. Czasami musi brać policjantów do ochrony.

– To po prostu był nienormalny człowiek – mówi o Jadwidze Halina. – Wymyśliła, że Józek gwałci córkę. Naraziła małe dziecko, kilkuletnie, na badania psychologiczne, ginekologa dziecięcego, by sąd na końcu stwierdził, że nie było do tego najmniejszych podstaw.

Raz jej mąż Janusz Kutyla jest świadkiem pobicia Józefa.

– Poprosił mnie, żebym pojechał z nim do Jadwigi, bo się chciał zobaczyć z córką. Bał się sam jechać. No to pojechałem z nim. Zadzwonił, otwarła niska kobieta, czarna. Jak go zobaczyła, strzeliła drzwiami, rozbiła mu okulary i nos. Zeznałem to w sądzie. Później wydzwaniła do mnie: „On mi córkę rozprawiczył palcem w wannie, a żona zarazi pana syfem”. To była okropna kobieta.

Józef jest pomawiany przez Jadwigę o skłonności kazirodcze, choroby weneryczne, pobicie ludzi, znęcanie się nad zwierzętami, a nawet przekupienie sędziego. W końcu mężczyzna wnosi sprawę o zniesławienie.

Wyrokiem sądu Jadwiga zostaje zobowiązana do zamieszczenia w prasie następującego anonsu: „Przepraszam Józefa Janczewskiego za pomówienia w »Echu Krakowa« z dnia 25 VI 1993 oraz za szereg oszczerstw i próbę zniesławienia jego dobrego imienia”.

Na końcu kobieta dopisuje kilka słów: „Oświadczam również, że powyższy tekst jest nie adekwatny do stanu rzeczywistego i zmierza do celu dalszego poniżania mnie i ciągnięcia niekończących się procesów, za czym idzie wykańczanie materialnie mnie i moich dzieci [pisownia oryginalna – przyp. aut.]”.

W reakcji Józef zamieszcza w prasie własny anons, gdzie cytuje treść wyroku i dopisuje: „Komentarz K. do tego anonsu w »Echu

Krakowa« z dnia 1 XII 1993 roku jest kłamliwy. Będąc ojcem chrzestnym starszej córki i naturalnym ojcem drugiej córki, nigdy nie występowałem przeciwko dzieciom.

Posiadając prawa rodzicielskie, egzekwowałem te prawa w Sądzie, gdzie K., kierując się złośliwością i uporem, oszustwem i dwulicowością, szantażem utrudniała mi walkę o »dobro« i miłość dziecka. Dała się poznać jako osoba niezanująca ani postanowień Sądu, ani własnego słowa, ani człowieka, ani żadnej z cnót”.

\*

W 1996 roku Józef publikuje swój pierwszy zbiorek poetycki zatytułowany *Wiersze*. Dedykuje go córce. Rok później ukazuje się kolejny tomik *Krzyż, który kreślisz*. Jeden z zamieszczonych w nim wierszy pod tytułem *Więzień* brzmi:

Prawem złotego podziału odcinka  
oglądany wycinek świata  
w ramach kraty  
wzrok z każdym dniem  
odkrywa nowe szczegóły  
jego serce przysiadło na ławce  
obok dziewczyny  
sumienie nad grobem błaga o przebaczenie  
kurier gołąb  
donosi płacz matki

Jest rok przed zabójstwem Katarzyny. Dziennikarze napiszą później, że wiersz pochodzi z tomiku *Iba ibi* z 2001 roku. Nie jest to prawda.

## Każdy Twój list, Mama...

*Każdy Twój list, Mama, czytam co najmniej po kilka razy i widzę po ich treści, że wszystko dobrze rozumiesz i niczego dodatkowo nie trzeba Ci tłumaczyć. Za każdy Twój list dziękuję i na każdy czekam.*

*Tutaj było tak strasznie gorąco w maju i czerwcu, że w samochodach policyjnych, jak się blacha (sufit) jeszcze nagrzała, to pot mnie zalewał strugami. Jeszcze trochę, a można by zemdleć. [...] Dzisiaj od rana pełno much od nowa. Gdy śpię, chodzą mi po głowie, po twarzy, po powiekach i chcą wejść do nosa. Jakby wściekliczny dostały. Wczoraj wysypano wiadro. Ja je detergentem dokładnie umyłem, a dziś robię porządek w celi.*

*W celi wylęgarnia much, bo z wiadra z odpadkami. Golenie się tępą maszynką, twarz za każdym razem boli – same atrakcje więzienne. Telewizor dwudziestoletni, kabel stary, gniazdko sieciowe nie styka, wtyczka problematyczna. Pół godziny się męczyłem, aby go uruchomić. Zjadłem byle co. A ile razy jadę na głodnego, bo jak bym się najadł, to mnie strasznie mdli („choroba lokomocyjna”). A do toalety, to gdzie po drodze, więc prawie nic nie piję. A teraz jeszcze boli mnie głowa.*

*Czas mija, a my jesteśmy znowu rozdzieleni. Stale się martwię, abyś nie umarła.*

## Leszek L. ma *image* militarysty...

Leszek L. ma *image* militarysty. Często ubiera się w wojskową kurtkę, bojówki i wojskowe buty. Ma metr osiemdziesiąt wzrostu, ogoloną na łyso głowę i wielkie wąsy. Na ręce – wytatuowanego Neptuna. Bliznę na prawym policzku. Na nosie ciemne okulary, w czarnych albo złotych oprawkach. Czasem chodzi w podkoszulku z napisem „Policja”, a za pasek spodni wkłada teleskopową pałkę. Ćwiczy karate.

– Opowiadał mi, że ma czarny pas – wspomina weterynarz Paweł Słowiński. – Ale czy to prawda, to trudno powiedzieć.

W związku z Anetą jest kilka lat. Dziś kobieta wspomina, że był to człowiek nieodpowiedzialny. Wystarczyło, że wypił dwa kieliszki wódki, i już brał broń i był gotowy strzelać do wszystkich. Strzelał na przykład do znaku drogowego po drugiej stronie ulicy i chwalił się potem, jakie są dziury porobione w tablicy.

Leszek ma pozwolenie na krótką broń śrutową wydane przez policję. Posiada jednak kilka egzemplarzy: długą czarną dubeltówkę ośmiostrzałową kalibru dwanaście milimetrów, którą nazywa Luizą, krótki pistolet oraz pistolet gazowy. Używa jej niestandardowo.

Opowieść pierwsza. Leszek chce rozebrać piec kaflowy, żeby zrobić sobie ogrzewanie gazowe. Bierze broń i trzy razy strzela do pieca.

Sąsiadka, przelęknięta, z dzieckiem na ręku, podbiega do okna, żeby sprawdzić, czy wybuchła wojna.

– Słyszał pan?! – krzyczy przestraszona do mieszkańca z naprzeciwka.

– Proszę pani, ktoś tu na piętrze strzela! – Sąsiad pokazuje na okno Leszka.

Opowieść druga.

„Rok temu, jak papież był w Krakowie, przyszedłem do tej kamienicy, bo miałem tam coś komuś w piwnicy zrobić. – Zdarzenia z czerwca 1997 roku opowiada Jan Podborski, elektryk. – Dzwonie

domofonem, a tu podjeżdża taksówka. Wyskakuje z niej pijany L. i przystawia mi strzelbę, o tu. – Pan Podborski pokazuje na pierś. – Powiedział, żebym spier..., bo mnie nafaszeruje śrutem. No to odszedłem”<sup>47</sup>.

Podborski podał Leszka do sądu. Nie udaje mi się ustalić, jak zakończyła się ta sprawa. Krakowski sąd okręgowy i wszystkie podległe mu sądy rejonowe odmawiają mi możliwości wglądu w sprawy prowadzone z udziałem Leszka L. lub przeciwko niemu.

Opowieść trzecia.

– Nieraz potrafił wejść do jazz baru, wyciągnąć broń, położyć na stole i kazać wszystkim wypierdalać, bo on się chce wódki napić – wspomina jego znajomy Robert Kądzioł.

Jeszcze jedna osoba, która była blisko Leszka, potwierdza, że bywał agresywny. To weterynarz Paweł Słowiński. Pewnego dnia przychodzi do jego lecznicy sąsiadka hodowcy z jakimś zwierzęciem.

– I coś się zgadało na temat Leszka i ona mówi: „Niech pan uważa, bo to straszny człowiek” – wspomina Słowiński. – On sam opowiadał mi, że kiedyś w restauracji Pod Sokołem siedział jakiś facet, pierdolił głupoty, to mu wtłukł. Sporo osób mi mówiło, że na niego trzeba trochę uważać.

Ciekawe są też opowieści związane ze zwierzętami Leszka.

Opowieść pierwsza. Syn sąsiadki wchodzi do kamienicy. Nagle pod nogami widzi dziwne, małe zwierzę. Gdy bierze je do ręki, okazuje się, że to kameleon. Po chwili widzi, że po schodach biega więcej kameleonów. Razem z kolegą zaczynają je gonić. Dwa, które udaje się im złapać, jedna z sąsiadek umieszcza w pustym akwarium po rybkach.

Opowieść druga. Jak Leszek wypije, chodzi po mieszkaniach sąsiadów z krokodylem na ramieniu. Puka, przystawia łeb gada do wizjera i straszy ludzi.

Opowieść trzecia.

– Kiedyś dostał z urzędu celnego do ekspertyzy kapelusze ze skóry węża, płaszcz i buty kowbojki – opowiada Łukasz, były sąsiad. – Wyszedł na chwilę do pokoju, gdzie miał terraria, przebrał się w to

wszystko, wziął strzelbę, wrócił i mówi: „Co by było, gdybym poszedł do sądu tak ubrany? Jak Krokodyl Dundee?”.

Raz wąż wyłazi sąsiadowi z rury podczas wymiany instalacji wodociągowej w łazience. Kiedy indziej sąsiadka patrzy przez wizjer, a tu L. biega nagusieńki po korytarzu.

Mężczyzna wchodzi w otwarty konflikt z sąsiadami, robią sobie wzajemnie na złość. Gdy jeden wyrzuca na wycieraczkę drugiego wiaderko petów, drugi robi mu przed drzwiami kupę.

– Kiedyś oskarżyli go, że obsikał sąsiada z góry – opowiada Krzysztof Wiktor, kolega Leszka. – W dniu takim to a takim, w czerwcu, obywatel Leszek L. oddał mocz z wysokości pierwszego piętra na obywatela XY. Pamiętam, że byliśmy z kolegą w sądzie zeznawać. Okazało się, że oczywiście obsikał go, ale w inny dzień. W ten dzień byliśmy akurat na skałkach, bo żeśmy się wspinali. Upiekło mu się.

Innym razem oddaje mocz na tylne siedzenie taksówki, bo kierowca odważył się zażądać zapłaty za kurs.

Leszek L. jest stałym bywalcem jazz baru Kornet, który mieści się zaraz za rogiem jego kamienicy, przy alei Krasińskiego. Nieustannie urządza w nim pijackie burdy.

– Pamiętam wielokrotne obrażanie ludzi, i to w wyjątkowo wulgarny sposób – opowiada Krzysztof, przez dekadę barman w Kornecie, syn właściciela. – Pamiętam rzucanie krzesłami czy popielniczkami. Za każdym razem kończyło się to wyrzuceniem Leszka z klubu i zakazem wstępu przez kolejne dwa tygodnie.

Jednego dnia podczas powodzi Leszek pomaga właścicielom wypompowywać wodę z zalanej piwnicy Kornetu, a innego przychodzi do klubu z torbą pełną małych kotów.

– On te małe koty brał od ludzi albo ze sklepów zoologicznych – opowiada Krzysztof. – Świeżo narodzone, jako jedzenie dla gadów. I raz, zamiast pójść nakarmić te węże, przyszedł jeszcze na piwo do Kornetu, z kimś się pokłócił i zaczął tymi kotami po barze rzucać.

Aneta, która zna matkę Leszka, próbuje zawiadomić ją o tym, co syn wyprawia w kamienicy, ale kobieta oświadcza, że nie jest w stanie nic z tym zrobić. Bardzo się cieszy, że syn z nią nie mieszka, i dodaje, że był już trudny jako dziecko.

Aneta oznajmia Leszkowi, że ma go dość i że nie będzie z nim dłużej pracowała przy „żywych lekcjach biologii” dla szkół. Wtedy hodowca nachodzi ich i niszczy im drzwi od mieszkania.

Około 1996 roku kobieta wyjeżdża na rok do Belgii, żeby uciec od Leszka.

W tym samym roku po sąsiedzkiej kłótni mężczyzna trafia do izby wytrzeźwień.

– Nieraz trzeba było go uspokajać, bo, kurczę, szalał – potwierdza Krzysztof Wiktor. – Szczególnie nie lubił polityków. Do Kornetu kiedyś przyszedł w zimie w papuciach, bo mu się nie chciało zakładać butów. Jakiś radny siedział mocno napity, Leszek go od razu za fraki. Trudno było go oderwać. Miał parę takich akcji. Po pijanemu był niezbyt sympatyczny.

\*

W lipcu 1997 roku mieszkańcy kamienicy wysyłają pismo do prokuratury: „Lokatorzy nie chcą dłużej znosić ekscesów uzbrojonego w broń palną i jadowite gady psychopaty i alkoholika. Nie chcemy, aby wywoływał u nas strach i ustawiczne poczucie zagrożenia”. Zawiadomienie podpisuje dwanaście spośród piętnastu rodzin zamieszkujących kamienicę.

Miesiąc później zostaje uchwalona ustawa o ochronie zwierząt. Poza ogrodami zoologicznymi, właściwymi placówkami naukowymi oraz cyrkami hodowla „zwierząt drapieżnych i jadowitych groźnych dla życia ludzi bądź zwierząt” jest zabroniona.

Ale jadowitymi gadami Leszka nikt się nie interesuje. Prokurator Halina Stolińska-Zawadzka ustala, że zgodnie z pozwoleniem hodowca ma tylko jedną sztukę broni krótkiej śrutowej, i umarza postępowanie o jej nielegalne posiadanie. W uzasadnieniu tej decyzji pisze:

„Jednocześnie z uwagi na agresywne zachowanie L.L. wykazane w toku postępowania Prokuratura Rejonowa w Krakowie Śródmieściu wystąpiła do KWP Policji w Krakowie z wnioskiem o rozpatrzenie celowości cofnięcia L.L. pozwolenia na broń”.



Materiały dotyczące kierowania przez Leszka L. gróźb karalnych pod adresem sąsiadów zostaje wyłączone do odrębnego postępowania. Nie udaje mi się dowiedzieć, jak ono się zakończyło, gdyż – jak informuje mnie Prokuratura Rejonowa Kraków Śródmieście Zachód – akta tej sprawy zostały zmielone.

Mimo toczących się przeciwko niemu spraw w marcu 1998 roku Leszek L. zostaje powołany przez prezesa Sądu Wojewódzkiego w Krakowie na stanowisko biegłego sądowego w zakresie niebezpiecznych jadowitych gadów. Zostaje też obwołany krajowym specjalistą do spraw ratownictwa – herpetologiem Komendy Głównej Straży Pożarnej. Co prawda rozporządzenie ministra sprawiedliwości w sprawie biegłych mówi, że osoba powołana na to stanowisko musi posiadać teoretyczne i praktyczne wiadomości specjalne w danej dziedzinie, a także dawać rękojmię należytego wykonywania obowiązków biegłego, ale... najwyraźniej nie wszystkich ono dotyczy.

Na to stanowisko rekomenduje go sędzia wydziału rodzinnego krakowskiego sądu i jednocześnie prezes Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami Jadwiga Osuch.

Pani prezes na krótko zatrudnia też Leszka jako inspektora w KTOZ. W rozmowie ze mną zachwala jego wiedzę i umiejętności:

– Było zgłoszenie, że pod kinem Kijów pełza wąż. Co zrobić? Wysłać pracownika, nie mając zielonego pojęcia, jaki to może być rodzaj zagrożenia? Na szczęście pan Leszek natychmiast zareagował. Mieszkał tuż obok, poszedł tam i zadzwonił do mnie, że to jest wąż zbożowy i że spokojnie można go brać.

Jak się okazuje, Leszek L. jest wzywany na interwencje, jeszcze zanim oficjalnie zostanie biegłym. W marcu 1993 roku głośna jest taka historia:

– Ktoś przewoził w pociągu torbę z jadowitymi węzami i zasnął – słyszał Maciej Kłeczek, muzyk. – Złodziej mu tę torbę ukradł, ale jak zobaczył, co jest w środku, to ją wyrzucił. Pamiętam, że policja ogrodziła wtedy całe Planty, od Barbakanu w kierunku ulicy Długiej. I Leszek został wezwany jako ekspert.

Okazuje się, że skradzione węże to grzechotniki. Jeden z nich zostaje schwytyany przez Leszka pod Barbakanem. Drugiemu jakimś

cudem udaje się dopełnić aż na korytarz sądu w Krakowie. Tu L. go łapie. Zabiera oba węże do domu.

Kolejną sytuację z życia hodowcy opowiada weterynarz Paweł Słowiński:

– Na Woli Justowskiej robotnik otwiera w koparce szoferkę, a tutaj siedzi pyton. No to dzwonią po Leszka. Innego dnia pacyfikują melinę narkomańską, a tam po narkotykach w terrarium pełzają węże. Znowu trzeba wezwać Leszka, żeby zobaczył, czy to jadowite, czy niejadowite, i co z tym zrobić.

– To był świetny pomysł na zarabianie forsy – twierdzi kolega Leszka Krzysztof Wiktor. – Jak brakowało mu pieniędzy, podrzucał jakiegoś węża. A że był jedynym w Krakowie i jednym z nielicznych w Polsce herpetologów, znawców jadowitych węży i gadów, więc wzywali jego.

Za rękę jednak nikt go nie złapał.

W prasie znajduję jeszcze jedną historię. Pewnego dnia dzwoni do Leszka obcy mężczyzna. Nie wyjaśnia, od kogo dostał numer i skąd wie, że trzeba zadzwonić akurat do niego. Mówi, że pod mostem Grunwaldzkim dzieci bawią się wielkim egzotycznym wężem.

Hodowca bez zwłoki maszeruje nad Wisłę. Szczęśliwie z mieszkania przy ulicy Smoleńsk ma tam tylko kilkaset metrów. Gdy dociera na miejsce, nie widzi ani dzieci, ani węża. Zagadnięty wędkarz potwierdza, że grupa maluchów ciągnęła za ogon gadzi tors. Wąż prawdopodobnie był już martwy.

Zaczynają się poszukiwania. Po kilku godzinach na drugim brzegu rzeki biegły napotyka zwłoki węża z odciętą głową. Okazuje się, że to grzechotnik straszliwy. Jedno jego ukąszenie powoduje natychmiastową śmierć, bo nie istnieje surowica neutralizująca truciznę jadową. Leszek zabiera go, by przeprowadzić sekcję. „Pojawienie się poza hodowlą tak niebezpiecznego okazu oznacza, że lada moment możemy stanąć w obliczu tragicznego wypadku spowodowanego bezmyślnością osób nieprzygotowanych do prowadzenia hodowli – oznajmia oburzony dziennikarzom. – A takich osób jest niestety coraz więcej”<sup>48</sup>.

\*

Gdy Maria Janczewska jest w Kanadzie, Robert w mieszkaniu przy Trynitarzkiej zaczyna remont. Sprzedaje wszystkie meble zakupione za ciężkie pieniądze w stanie wojennym przez Józefa.

– Piękne kalwaryjskie meble, drogie, zapłaciłem za nie dwadzieścia cztery tysiące. – Józef do dziś nie może przeboleć tej straty. – Ale jemu się nie podobało, że są ciemne, bo oni chcieli mieć jasne.

Robert kupuje nowe meble. Maria przysyła mu z Kanady pieniądze. Syn maluje całe mieszkanie, tapetuje je, zmienia flizy w łazience.

– Ten remont był takim symbolicznym pozbyciem się ojca z domu – pamięta psychiatra Jacek Matkowski. – Chwalił mi się nawet: „Poskuwałem wszystkie ślady po ojcu”. Z moich obserwacji wynikało, że ojciec niezbyt dobrze traktował Roberta. Natomiast syn go potrzebował, a równocześnie dostawał od niego po nosie.

Nowa meblościanka nie chce się zmieścić, więc Robert zaczyna kuć po nocach blokujący cokolik. Sąsiedzi składają skargę właścicielowi mieszkania – gazowni. Zakład Gazowniczy w Krakowie wytacza Józefowi proces, bo to on wciąż jest głównym najemcą i płaci za czynsz.

Janczewskim grozi eksmisja, ale ostatecznie do niej nie dochodzi. Józef wygrywa sprawę. Gdy w marcu 1998 roku Maria wraca do kraju, remont jest już zakończony.

– Tylko zabrakło im pieniędzy na stół – wspomina Józef. – Więc im dałem. I chyba na wersalkę.

To, że remont odbył się w 1997 roku, potwierdza psychiatra Roberta.

– W moich zapiskach remont poprzedza tę zbrodnię przynajmniej półtora roku – mówi.

W prasie ukaże się później informacja, że kucie fliz i cokolika odbywało się po zabójstwie Katarzyny i miało na celu zatarcie śladów zabójstwa. Te insynuacje również nigdy nie zostaną sprostowane.

## Wczoraj (24.12.2020) Wigilia...

*Wczoraj (24.12.2020) Wigilia, od rana już byłem myślami przy Tobie, Mama. A było mi tak przykro, że zacząłem w celi płakać. Między 15.00 a 17.00 tak myślałem, jak pewnie siedzicie razem i myślicie – co to będzie dalej?*

*Okolo 16.30 przyniesiono do celi ziemniaki rozwodnione z tak kwaśną kapustą, aż ślinianki i zęby bolały. I taką niby-rybę – pulpet okrągły – obrzydliwe. Trochę barszczu z gotowanymi burakami i trochę ugotowanej fasoli. No i koniec. Ja miałem opłatek od księdza, przeczytałem fragment Ewangelii i 2/3 zjadłem tego, co dali, resztę wyrzuciłem.*

## W 1997 roku Leszek związuje się z Marzeną...

W 1997 roku Leszek związuje się z Marzeną<sup>49</sup>.

– To wartościowa dziewczyna, podobała mi się bardzo – opowiada jego matka. – Przystojna. Wspaniała.

Leszek kilka razy odwiedza z nią matkę. Raz przychodzą na obiad w dniu, kiedy w wypadku ginie księżna Diana, 31 sierpnia 1997 roku.

– Cieszyłam się, że sobie ułoży życie. Chciałam, żeby nie był taki samotny – zwierza się mama Leszka. – Bo tak przeżywał tę pierwszą miłość... Tak mu się rozwiało małżeństwo z pierwszą żoną, z którą ma córkę. On nie umiał już sobie nikogo znaleźć...

O Marzenie dziennikarz pisze: „Ostatnia jego przyjaciółka wniosła spore wiano do tego mieszkania. Dbała o czystość, zrobiła remont łazienki. W końcu przejrzała na oczy i wyprowadziła się od niego. A on, na odchodnym, zamiast jej podziękować, spuścił jej lanie”<sup>50</sup>.

– To była ładna dziewczyna, piękna, można powiedzieć – potwierdza matka jego poprzedniej przyjaciółki Anety. – Ojca miała gdzieś na stanowisku w wojsku. Zaczęli tu remontować, ona wysprzątała. No, myśleliśmy, może się jakoś ustatkuje. Proszę pani, cztery dni tu wytrzymała. Uciekła. Bo wypił i nie wiem, czy jej nie pobił. Przywiózł z jakichś wojaży piękną amfore grecką i ona mu ją na głowie rozbiła. Widocznie się broniła, bo on jak wypił, to był nie ten sam człowiek.

W październiku 1998 roku Marzena mówi dziennikarzom: „Byłam z tym panem przez rok i chcę o tym zapomnieć. Jedynym ratunkiem dla pana L. jest odwyk alkoholowy”<sup>51</sup>.

Po rozstaniu Leszek znowu wpada w ciąg. Policja zgarnia go do wytrzeźwiająki z chodnika.

W niedzielę 11 października 1998 roku wieczorem trzydziestopięcioletni biegły krakowskiego sądu odwiedza bar

Kornet.

„Skoczyłem z dwójką kumpli na piwo po meczu – opowie dziennikarzowi młody mężczyzna Jerzy N. – Siedzimy, rozmawiamy, a tu pijany pan L. zaczyna machać pistoletem. Potem siedli przy sąsiednim stoliku i wtedy L. skierował broń w moje nogi, naciskał spust i bawił się magazynkiem”<sup>52</sup>.

Mężczyźni przesiadają się w bezpieczniejsze miejsce i wzywają policję.

„Słyszeliśmy, że rozmawiali o amfie, o tym, jak komuś przestrzelić kolano, cytowali też fragmenty z *Psów*, na przykład: „Co ty, kurwa, wiesz o zabijaniu?”<sup>53</sup>.

Funkcjonariusze zgarniają Leszka z klubu, ale nie znajdują przy nim broni, którą wcześniej wywijał. Mężczyzna trafia do izby wytrzeźwień. Ma 2,6 promila alkoholu we krwi.

Zdesperowani mieszkańcy kamienicy przychodzą do redakcji „Super Expressu”. Żalą się, że postępowanie prokuratorskie w sprawie Leszka L. zostało umorzone, a oni od ponad roku znikąd nie mają pomocy. 13 października 1998 roku, dokładnie miesiąc przed zaginięciem Katarzyny, w „Super Expressie” ukazuje się tekst Agnieszki Bujas i Roberta Felusia o ich kłopotach.

\*

Szukam Marzeny, byłej kobiety Leszka L., o której opowiadały mi jego matka i sąsiadka. Dowiaduję się, że pod koniec lat dziewięćdziesiątych była recepcjonistką w jednym z krakowskich hoteli.

Gdy po wielomiesięcznych wysiłkach w końcu udaje mi się ją znaleźć, okazuje się, że kobieta w dalszym ciągu pracuje w tym samym hotelu, ale pod innym nazwiskiem.

Na parkingu dozorca podejrzliwie mi się przygląda. Naklejona na dyktę nazwa hotelu jest wydrukowana na kartce. Wchodzę po schodach, otwieram ciężkie drzwi i widzę jedynie kanciapę, w której przed kamerami siedzi strażnik. Z boku skrzypiące drzwi prowadzą do małej recepcji z peerelowskimi meblami. Za szybą recepcjonistka.

Siwa pani w słusznym wieku, szczupła, w niepozornym zakieciu, z gładko uczesanymi włosami. Przypomina surową nauczycielkę z przedwojennej żeńskiej szkoły. Mówię, że chciałabym porozmawiać z panią D.

– Nikt taki tu nie pracuje – odpowiada, zachowując wszelkie zasady konspiracji.

Wiem jednak, że to ona – o tej porze jest jej zmiana. Wymieniam więc jej drugie nazwisko.

– To pani? – pytam. Dodaję, że chciałabym pomówić o Leszku L.

– Nie mamy o czym rozmawiać – odpowiada stanowczo i nie daje mi nawet cienia nadziei, że zmieni zdanie.

\*

Gdy w marcu 1998 Maria wraca do kraju, Robert już ponad rok mieszka sam. Józef, który w dalszym ciągu jest głównym najemcą mieszkania i płaci za czynsz, przyjeżdża przywitać byłą żonę.

– Patrzą, a on stoi i wymienia zamki – opowiada o Robercie. – Wszedłem, ona robi obiad. Czekam, co z tego wyniknie. Bo jeżeli ktoś wymienia zamki, to daje jeden komplet ojcu, który płaci czynsz.

Jednak Robert nie daje ojcu kluczy.

– Wtedy zrozumiałem, że jestem tu *persona non grata*. Uniosłem się dumą i wyszedłem – wspomina Józef.

To jest ostatni powód, dla którego Janczewski wnosi o rozwód. Otrzymuje go w 1999 roku.

Robert od kilku lat ma orzeczoną niezdolność do pracy z powodu choroby psychicznej i rentę. Chodzi do kościoła, pomaga czyścić naczynia liturgiczne. Modli się. Maria czyta mu na głos książki religijne, bo syn ma słaby wzrok. Oglądają razem telewizję, szczególnie programy katolickie. Czasami Robert wychodzi na rower i robi zakupy.

– Jeździł do Tesco, do Carrefoura łapać okazje – opowiada Maria.

– Robił płatności, sprzątał w mieszkaniu, mył okna, wynosił śmieci, we wszystkim mi pomagał. Nie było tak, żeby mi późnymi

wieczorami gdzieś znikał. Albo żeby go w nocy brakowało. Jedynie jak pojechał na pielgrzymkę do Częstochowy z parafią. Nie przychodził brudny, ubłocony czy zakrwawiony. Nigdy.

W 1999 roku Robert robi kurs instruktorski sportu i rekreacji, a rok później jego kontynuację – kurs kulturystyki.

Dziennikarze ogłoszą jednak, że: „[...] w czasie zaginięcia i zabójstwa Katarzyny Z. 33-letni wówczas Robert J. mieszkał sam. Jego matka wyjechała zarobkowo do Kanady”<sup>54</sup>. Te informacje nie są prawdziwe.

\*

Jesienią 1998 roku Leszek zamyka swój sklep zoologiczny.

Z jego dawnym znajomym Robertem Kądziołem spotykam się w duńskim pubie blisko krakowskiego Rynku. Przed wejściem stoi plastikowa łaciata krowa, a w środku tłum Duńczyków ogląda mecz, głośno przy tym kibicując. Robert opowiada, że poznał Leszka w jazz barze Kornet. Pewnego dnia zgadali się, że L. szuka najemcy na lokal po sklepie zoologicznym, który zamierza zamknąć. Kądzioł akurat rozgląda się za powierzchnią na własny sklep muzyczny. Ustalają więc, że Leszek udostępni mu lokal. Robert dostaje kilka miesięcy na zrobienie generalnego remontu. Przed odebraniem kluczy mężczyzna przychodzi wszystko pomierzyć.

– Na dole był krokodyl, na górze dwa pytony diamentowe – opowiada. – Dalej były klatki po królikach, po ptakach, akwaria po rybkach. To wszystko konstrukcji stalowej. Trzeba to było powycinać, powykuwać ze ścian i zutylizować.

Główne pomieszczenie ma około dwudziestu metrów kwadratowych. Wchodzi się do niego z ulicy po schodkach przez pancerne drzwi otwierane tylko od środka. Dalej jest wąski korytarzyk, za którym znajduje się pokój socjalny z małą umywalką i stolikiem. Z tyłu, od strony klatki schodowej, jest drugie wejście.

– Ktoś tam wtedy sprzedawał – opowiada. – Jakaś młoda dziewczyna tam była.

– Młoda dziewczyna? – upewniam się. – A nie Leszek S.?



Do tej pory wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam, twierdziły, że to Leszek S. pomagał Leszkowi L. w prowadzeniu sklepu.

– Pokłócili się i nikt go więcej nie widział – twierdzi Robert. – Czasami przychodził do Kornetu, ale sporadycznie, i niekoniecznie się chciał widywać z Leszkiem. Wtedy młodą dziewczynę tam widziałem.

Robert Kądzioł nie pamięta już, jak wyglądała. Długo szukam innych osób, które mogły widzieć w sklepie Leszka sprzedawczynię. Dopiero Jan Bajger, opiekun koła przyrodniczego z osiedla Podwawelskiego, kojarzy:

– Tak, widziałem tam jakąś dziewczynę. Sprzedawała w sklepie u Leszka L.

– Jak wyglądała?

– To była taka szara myszka – usiłuje sobie przypomnieć jakieś szczegóły. – Niewysoka, chyba miała jasne włosy. Siedziała na krześle. Nie po tej stronie, gdzie klienci, tylko po drugiej. W ogóle się nie odzywała. Rozmawiałem wtedy z jakimś mężczyzną, być może to był Leszek S.

W trakcie tych poszukiwań dowiaduję się jeszcze, że czasem Leszek L. zatrudniał młode dziewczyny do sprzątnia.

– Miał takie dwie studentki, bo jak raz byłem u niego, to one sprzątały – opowiada Robert Kądzioł. – Studiowały i dorabiały sobie w jakiejś firmie. Leszek miał numer, dzwonił na stacjonarny i się umawiał, kiedy mają przyjść. Pamiętam, że wtedy jak przyszedłem coś zmierzyć, było czyszczenie akwarium, woda były spuszczone i sprząkali. Mogło być tak, że akurat myły akwaria.

– Nie pamięta pan, jak wyglądały?

– Nie... To było ponad dwadzieścia lat temu – mówi.

Przed remontem wszystkie zwierzęta zostają wyniesione, część Leszek L. rozdaje. Zostaje jeden biedny krokodyl.

– Musieliśmy się go pozbyć – mówi Robert.

Obdzwaniamy wszystkie ogrody zoologiczne, ale żaden nie chce przyjąć zwierzęcia.

– No więc go truli z weterynarzem – twierdzi Kądzioł. – Leszek przyniósł dwie potężne kule mięsne, do których zostało coś wpsiknięte i wrzucone do tej klatki. No i po dwóch godzinach

sprawdzali, czy zdechł. I były przeboje, bo nie. Wręcz przeciwnie: prawie wyskoczył z klatki i złapał Leszka za rękaw kurtki. Dopiero po ogłuszeniu padł. Dostał zastrzyk w tył głowy. Podobno taką dawkę, która położyłaby słonia.

Skórę krokodyla wypycha Dymitr Filimonov, pracownik techniczny Muzeum Przyrodniczego w Krakowie. Gdy Robert przychodzi robić remont, krokodyla już nie ma, a sklep jest opróżniony.

## Popatrz, co pisze w gorzkich żalach...

*Popatrz, co pisze w gorzkich żalach. Przed chwilą skończyłem na kolanach przy stoliku w celi. Akurat jest Wielki Post. Czytaj dokładnie. „Jezu, od pospólstwa niewinnie jako łotr godzin śmierci obwołany, Jezu mój kochany” (wiersz 4). „Jezu, od okrutnych oprawców na sąd Piłata jak zabójca szarpany, Jezu mój kochany!”*

*Tak zawsze było na świecie. A Matka Boska i pan Jezus są świętymi ponad świętymi.*

*A bo ja? I relacje otoczenia współczesnego wobec mnie? Gdzie ja do obdzierania kogoś ze skóry? A tak mi się przypisuje. [...] A Pan Bóg, choć to tak trudna sprawa, ale może mi pomoże. Tak mi zrobiono za plecami. A przecież od kogoś podejrzenie (mnie) zaczęło się. W 2000 roku ten sobie dopiero wziął na kark na sąd boski.*

## Jest czwartek 13 maja 1999 roku...

Jest czwartek 13 maja 1999 roku, Wniebowstąpienie Pańskie. Imieniny obchodzą Maria i Robert. Pół roku po zaginięciu Katarzyny policyjne śledztwo utknęło. „Kuśnierz”, być może seryjny morderca, sadysta seksualny, wciąż jest na wolności.

Ciśnienie na schwytanie sprawcy na pewno jest ogromne.

Tego dnia osoba określona później w opinii psychologicznej jako „Bogdan L. – znawca i hodowca gadów”, dzwoni do Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Mówi, że dobrze zna niejakiego Roberta Janczewskiego i przypuszcza, iż to on mógł dokonać zabójstwa Katarzyny. Notatka służbowa z tej rozmowy brzmi: „W związku z zabójstwem studentki, której zwłoki znaleziono w Wiśle, kojarzy sobie Roberta Janczewskiego, zam. Kraków ul. Trynitaraska [numer – przyp. aut.], który chorobliwie nienawidzi kobiet, a gdy pracował w Instytucie Zoologii, pastwił się nad zwierzętami, obdzierając je żywcem ze skóry”.

W bezpośredniej rozmowie ze świadkiem, w rzeczywistości Leszkiem L., ten mówi, że Robert Janczewski lubi spacerować w okolicy Wisły. Kiedy indziej dodaje, że był świadkiem, „jak Janczewski chwycił królika za uszy, przydeptując go jednocześnie, i rozrywał go”.

Później się dowiem, że hodowca nie dzwonił do komendy wojewódzkiej, ale do Białego Domku i to w tej jednostce policji sporządzono notatkę.

Dlaczego Leszek L. dzwoni na policję i donosi na kolegę? Nie ma żadnych konkretnych informacji obciążających Roberta. Jednak policja traktuje jego zgłoszenie bardzo poważnie, w dodatku skrzętnie ukrywa dane informatora.

W następnych latach o donosie L. dziennikarze będą pisać: „Policjanci na trop Roberta wpadli po liście od jego kolegi. To on wskazał go jako mordercę Katarzyny Z. Co konkretnie napisał? To jedna z najbardziej strzeżonych tajemnic śledztwa”<sup>55</sup>.

„Nieoficjalnie, kluczowym elementem, który przesądził o zaciśnięciu się pętli dokoła Roberta J., był pewien list. Wiadomo jedynie, że jego autorem ma być kolega aresztowanego. Prawdopodobnie znajduje się w nim relacja ze zbrodni, którą autor usłyszał od samego sprawcy. To jednak tylko spekulacje, bo na razie list jest najpilniej strzeżoną policyjną tajemnicą w całej sprawie”<sup>56</sup>.

List, będący „najpilniej strzeżoną policyjną tajemnicą”, w rzeczywistości jest rozmową telefoniczną i nie ma w nim relacji ze zbrodni. To kolejne już przekłamanie celowo wypuszczone do mediów.

Dosłownie kilkanaście dni później dochodzi do nieoczekiwanego zwrotu akcji.

\*

Brzeczyna, mała wieś pod Krakowem. 31 maja 1999 roku, w poniedziałek, na policję dzwoni straszy mężczyzna. Mówi, że w jego domu doszło do zabójstwa, a mordercą może być jego wnuk.

Funkcjonariusze jadą na miejsce. Wchodzą przez furtkę do starego, nieotynkowanego domu z czerwonej cegły. Obejście jest bardzo zaniedbane. Na podwórku stoją dwaj starsi mężczyźni.

– Mój syn wisi w piwnicy – mówi jeden z nich.

Śledczy szybko zbiegają po schodach. Na ścianie pomieszczenia piwnicznego wisi mężczyzna ubrany jedynie w slipy. Ciało jest skierowane głową w dół, w pozycji odwróconego krzyża, za pomocą rzemienia przywiązane do kraty okna. Nie ma głowy.

Pod zwłokami leży pełny skalp odpreparowany z mózgo- i twarzoczaszki. Obok stoi białe wiaderko, w którym znajduje się krew. Skalp jest przecięty od szczytu głowy przez nos do brody, a następnie zszyty na całej długości cienką nitką.

– Wezwij posiłki. Przeszukajcie dom i podwórko – mówi policjant do kolegi.

Pod balkonem, w chwastach zarastających ogródek, funkcjonariusze znajdują głowę mężczyzny.

– Gdzie jest pana wnuk? – pytają starszego mężczyznę.

– Nie wiem. Gdzieś poszedł.

Nie wiedzą, że Władimir przygląda im się z bezpiecznej odległości.

Władimir W. przyjeżdża do Polski z rosyjskiego Kaukazu jako pierwszy z rodziny. Zaczyna studiować w Krakowie wybraną przez ojca medycynę. Potem, w 1994 roku, do naszego kraju zjeżdża jego ojciec Witold, technik dentystyczny.

Matka mężczyzny opowie później, że jej mąż był skryty i mściwy. Ważne były dla niego tylko pieniądze. Wychowywał syna autorytarnie, nie pozwalał na żadne zainteresowania poza szkołą. Surowo karał syna – uznawał, że to prawo ojca. Jednak kobieta nie rozwiodła się z nim, bo jak stwierdziła, wołała cierpieć, byleby dzieci miały pieniądze na naukę.

Witold kupuje od gminy dom na skraju Brzyczyny, po czym ściąga własnego ojca. Najstarszy z rodziny, dziadek, nazywany we wsi Profesorkiem, jest stomatologiem. „Niezwykle sympatyczny, rozmowni ludzie, nie przeszli obok domu sąsiada, żeby nie zagadać. Tylko ten student był dziwny; nigdy nie ukłonił się, zawsze ze spuszczoną głową mijał ludzi. Nikt nigdy nie widział go z dziewczyną” – opowiadają sąsiedzi<sup>57</sup>.

Wkrótce Władimir rzuca medycynę i zaczyna studiować psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mieszka w akademiku. Gdy wyrzucają go z uczelni, zamieszkuje z ojcem i dziadkiem w Brzyczynie. Mężczyźni nie mogą znaleźć pracy, nie mają pieniędzy.

W niedzielę 30 maja wieczorem dziadek słyszy, że jego dwudziestosześcioletni wnuk Władimir woła ojca. Chce, żeby ten mu pomógł w piwnicy. Schodzą tam razem. Dziadek kładzie się spać. W poniedziałek wstaje o piątej rano, wychodzi przed dom. Widzi siedzącego przed nim mężczyznę, który wygląda jak jego syn. Ma na sobie jego ubranie, szalik, okulary i kapelusz. Dziadek zauważa, że syn ma czerwone plamy na twarzy.

– Co to masz? – pyta.

– Pobrudziłem się farbą – słyszy.

Jednak głos mężczyzny nie brzmi jak głos syna.

Mężczyźni siadają do śniadania. Dziadek ma problemy ze wzrokiem, dlatego wciąż nie dostrzega, że naprzeciwko nie siedzi jego syn, tylko wnuk.

Mijają kolejne godziny. Dziadek schodzi do piwnicy. Na kracie okna znajduje powieszony syn. Biegnie do sąsiada zadzwonić po policję.

Kolejnego dnia wieczorem dwaj policjanci z komendy wojewódzkiej policji nieoznakowanym radiowozem podjeżdżają na przystanek PKS koło ruchliwej Zakopianki, drogi z Krakowa do Zakopanego. Widzą, że w wiacie siedzi dobrze zbudowany mężczyzna w czapce. Rozpoznają w nim Władimira W.

Gdy podchodzą do mężczyzny, ten uśmiecha się do policjantów. Nawet nie próbuje uciekać.

– No to mnie macie – mówi.

Podczas przesłuchania Władimir W. szczegółowo opowiada, jak zabił ojca. „Stało się to szybko i bezboleśnie – zapewnia. – Jak ojciec zszedł do piwnicy, próbowałem mu przyłożyć paralizator do szyi. Nie wiem, czy urządzenie zadziałało, ale ojciec zorientował się szybko, o co chodzi. Miałem w drugiej ręce szpikulce i jak widziałem, że z paralizatorem mi nie wychodzi, to szybko sprowadziłem go do parteru. Pomagałem sobie również nogami. Pamiętam, że ojciec przewrócił się i wówczas zacząłem zadawać ciosy trzymanym w ręce szpikulcem. Nie liczyłem, ile zadałem ciosów. Było ich niewiele. Mierzyłem w kark i okolice serca”<sup>58</sup>.

Mężczyzna piętnaście razy uderza ojca w klatkę piersiową i szyję. Ten leży na plecach i szamocze się, kręcąc wokół własnej osi. „W serce, jak pamiętam, zadałem jedno uderzenie. I był koniec”<sup>59</sup> – relacjonuje Władimir W.

Ojciec doznaje wewnętrznego krwotoku, przestaje się ruszać. Syn obraca go na brzuch, żeby nie widzieć jego spojrzenia. Głowę próbuje odciąć od reszty ciała skalpelem, ale mu się nie udaje. Ostatecznie odcina ją łopatą sztychówką.

Z twarzy i fragmentu pleców nożem sekcyjnym zdejmuje skórę razem z włosami. Skalp posypuje od środka solą, żeby niegnił, po czym zszywa zwykłą igłą i nitką. Po oskórowaniu goli sobie włosy

z przedniej części czaszki, żeby się upodobnić do ojca. Głowę wykleja plastrami.

„Następnie nałożyłem ściągniętą z głowy i twarzy skórę na swoją twarz”<sup>60</sup> – opowiada śledczym.

Te czynności zajmują mu prawie całą noc. Rano wkłada ciuchy ojca i starając się chodzić podobnie do niego, paraduje po wsi. Przypadkowo spotyka jednego z sąsiadów. Mówi do niego: „Dzień dobry, czy nie widział pan mojego ojca?”. Po czym odwraca się, ironicznie uśmiecha i kaczym chodem ojca idzie dalej. Po okrążeniu wsi wraca do domu.

„Wtedy dziadek się obudził, ale mnie nie poznał, bo miałem twarz ojca – zeznaje Władimir W. – Początkowo mnie to bawiło, zjadłem z nim śniadanie i przespałem się kilka godzin. Jak wstałem, dziadek nadal nic nie kapował. To mnie zdenerwowało. Jak wyszedłem przed dom, to dziadek chyba w końcu się zorientował. Znalazł zwłoki i poszedł do sąsiadów zadzwonić na policję”<sup>61</sup>.

„Czemu go zabiłeś?” – pytają śledczy. „Mówił, że kocha rodzinę. Zdenerwował mnie”<sup>62</sup>.

Władimir nienawidzi ojca, bo ten zdradzał jego matkę i uciekł z Rosji, zostawiwszy rodzinę bez grosza. Na Kaukazie takich rzeczy się nie wybacza. Nazywa go „brudem” i „tyranem”. Opowiada, że ojciec wychowywał go w atmosferze nienawiści, karał klęceniem na soli wysypanej na rozgrzanej patelni. Chłopak nie miał przyjaciół. Zawsze był sam.

Mężczyzna mówi prokuratorowi, że po zabójstwie czuł się, jakby zabił siebie. Rozważał pochowanie ojca koło domu i poinformowanie dziadka, że jego syn wyjechał, ale ostatecznie zdecydował się „pójść na tak zwaną całość”. Postanowił zrobić ze zwłok dzieło sztuki, aby „obnażyć w ojcu szczyt ludzkiej podłości”<sup>63</sup>.

„Chciałem udowodnić, że człowieka można poznać po jego wartościach, a nie po twarzy – oświadcza. – Mój ojciec nigdy nie miał wartości i w związku z tym nie miał twarzy. Chciałem sprawdzić też, czy dziadek pozna swojego syna. Dlatego musiałem uwolnić ciało od głowy, bo głowa jest wszystkiemu winna. Głowę



wyrzuciłem pod balkon w chwasty, bo właściwie to głowa była chwastem”<sup>64</sup>.

Śledczy z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie są przekonani, że sprawcą zabójstwa mężczyzny i Kasi jest ta sama osoba. Oskórowanie zdarza się niezwykle rzadko. A to drugi przypadek w odstępie zaledwie kilku miesięcy w odległości kilkunastu kilometrów.

Profesor Tadeusz Hanausek, kierownik Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, mówi mediom: „Jeżeli cięcia skóry są równe i dokładne, można mówić o związku obu spraw”<sup>65</sup>.

- Zabiłeś Katarzynę Z.? – pytają policjanci Władimira W.
- Kogo?
- Katarzynę Z., oboje studiowaliście psychologię. Znałeś ją?
- Nie. Nie zabiłem jej.

Funkcjonariusze dokładnie przeszukują cały dom w Brzeczynie. Nigdzie nie ma nawet śladu Kasi. Nie ma też żadnych dowodów na to, że się znała z Władimirem W. Po sekcji zwłok okazuje się, że nacięcia na skórze są inaczej wykonane.

Po przesłuchaniu Władimira W. w styczniu 2000 roku śledczy upewniają się, że działał z nienawiści do ojca. Motywacja mordercy Kasi była seksualna. Trop upada.

W listopadzie 2001 roku Władimir W. zostanie skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia, choć zostanie stwierdzone, że w momencie popełniania czynu miał znacznie ograniczoną poczytalność.

Latem 1999 roku, a więc bardzo krótko po doniesieniu Leszka L., szczątki Katarzyny zostają pochowane na cmentarzu Batowickim. Prowadząca wtedy śledztwo prokuratura nie informuje policji o pogrzebie.

Psychologowie powołani przez prokuraturę napiszą w opinii: „O wyjątkowym znaczeniu Katarzyny Z. dla Roberta Janczewskiego wskazuje np. fakt, że już w tydzień po wyłowieniu jej części ciała z Wisły (a więc w dniu wydobycia spod tamy elektrowni Dąbie nogi ofiary i pośladków) był na jej grobie i postawił na nim znicz

czerwony oraz zastane tam znicze białe ułożył z nim w znak krzyża. Tego samego dnia spowiadał się zakonnikowi”.

To znów błędne informacje zawarte w oficjalnym dokumencie biegłych. Robert nie mógł układać lampek w znak krzyża na grobie Katarzyny już tydzień po wyłowieniu skóry, skoro jej szczątki zostały pochowane dopiero latem 1999 roku.

\*

Pewnego ciepłego letniego wieczoru jadę na spacer z psem na krakowskie Błonia. Postanawiam podejść do kamienicy przy ulicy Smoleńsk, w której mieszkał Leszek L. Jego doniesienie na Roberta nie daje mi spokoju. Cały czas myślę też o młodej dziewczynie, która miała pracować w jego sklepie.

Może ktoś otworzy, zgodzi się porozmawiać – myślę. Parkuję na ulicy, psa zostawiam w samochodzie. Drzwi wejściowe do kamienicy są zamknięte, dzwonię domofonem. Jakaś kobieta podnosi słuchawkę, coś mówi, ale nieustanny hałas przejeżdżających samochodów na alei Krasińskiego zagłusza jej słowa.

– Otworzę pani – dochodzi do mnie.

Wchodzę do starej kamienicy. Wahadłowe drzwi z ozdobnymi szybami. Za nimi drewniane, kręcone schody. Kiedyś musiały być piękne, dzisiaj są w całkowitej rozsypce. Wspaniały budynek, obecnie kompletnie zrujnowany. Mocny zapach środka dezynfekującego. Otwierają się drzwi jednego z mieszkań, staje w nich kobieta w poważnym wieku. Mówię, że chciałabym porozmawiać o Leszku L., który tu kiedyś mieszkał. Piszę książkę o Robertcie, a to był jego kolega i...

– Ja myślę, że oni to razem zrobili – rzuca nagle kobieta i zanim cokolwiek do mnie dotrze, dodaje: – Ja tu widziałam tę dziewczynę.

Po czym szeroko otwiera drzwi mieszkania.

– Proszę.

Wchodzę, a myśli kłębią mi się w głowie: Skąd ona wie, że chcę rozmawiać o zabójstwie Kasi? I dlaczego od razu skojarzyła z nim Leszka L.?

Wtedy, latem 2021 roku, w prasie nie było ani jednego artykułu, w którym Leszek L. byłby wymieniany w kontekście Janczewskiego. Policja skrzętnie ukrywała, że to jej współpracownik doniósł na Roberta.

Wysokie mieszkanie, jak to w kamienicy. Kobieta robi herbatę.

– Pani widziała tutaj tę Katarzynę? – pytam.

– Widziałam ją w sklepie zoologicznym, który prowadził tutaj pan Robert.

– Pan Leszek prowadził sklep – prostuję.

– Nie, nie, pan Robert prowadził sklep.

– Pan Robert Janczewski prowadził ten sklep? – dopytuję, bo coś mi się tu nie zgadza.

– Oczywiście – potwierdza kobieta. – Pan Leszek L. mu wynajął to pomieszczenie. Kilkakrotnie rozmawiałam z tym panem Robertem. Pan Leszek zachodził tam do niego, mieli kontakt na co dzień. Oni byli chyba przyjaciółmi, skądś się znali. Nieraz widziałam tego Roberta Janczewskiego schodzącego od L.

– Jakie wrażenie na pani robił pan Robert?

– Dziwny facet. Ale to zobaczyłam dopiero po jakimś czasie. Na samym początku wydawał się normalny. Krępy, niski, małomówny. Trzeba mu było zadać pytanie, żeby się odezwał. Pewnego dnia weszłam tam po jedzenie dla rybek i zauważyłam dziewczynę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Zwróciłam na nią uwagę, bo nigdy tam nikogo nie było oprócz pana Roberta.

– Jak ona wyglądała? Ta, którą pani widziała?

– Takie blond rude włosy, wpadające w ceglasty. Moja bratanica ma bardzo podobne, dlatego zwróciły moją uwagę. Troszeczkę poza ramiona, nie całkiem długie. Lekko kręcone. Jakby zrobić małe warkoczyki i rozpuścić. Później ją zobaczyłam w internecie i na dziewięćdziesiąt procent to była ta dziewczyna.

– Ile miała lat?

– No studenckie lata, młoda dziewczyna. Była troszeczkę wyższa od Roberta. Niebieskie oczy, rysy twarzy zbliżone do mojej bratanicy. Dlatego pomyślałam sobie: Cóż by tu Iwonka robiła? Nie, nie, przecież to nie Iwonka.

– A jak była ubrana?

– Tak mi się coś kojarzy, jakby koszula dżinsowa, coś w niebieskim kolorze. Tak ją pamiętam. Popatrzyłam na pana Roberta. A on na tę dziewczynę, na mnie i spuścił głowę.

– Co robiła w tym sklepie?

– Oglądała rybki od wewnętrznej strony, zza lady, zza akwarium. Była gościem u niego.

– Stała za ladą?

– Tak, od strony sprzedającego.

– Kiedy to było?

– Wydaje mi się, że on wtedy przyjechał z jakiegoś nurkowania i strasznie pił.

Zastanawiam się, czy to mogła być ta sama dziewczyna, którą widzieli za ladą Robert Kądzioł i Jan Bajger.

– Proszę pani, ja czuję, że oni mogli to tutaj zrobić. No, mówię pani.

– Tutaj, w mieszkaniu Leszka L.? Dlaczego pani tak uważa?

– L. to był alkoholik, człowiek nieodpowiedzialny, nie zrównoważony psychicznie. Różne pomysły miał w głowie, więc my, sąsiedzi, nie szukaliśmy z nim zwady. Troszeczkę żeśmy się obawiali, że znowu się opije i podrzuci nam węża. Był po prostu psychopata, i to takim prawdziwym. Lubił się śmiać z ludzkiej krzywdy, naigrawał się z ludzi. Był narcystyczny. A przede wszystkim strasznie nie lubił kobiet.

– Skąd pani o tym wie?

– Znam sprawę. On miał kobiety tylko po to, żeby je wykorzystywać seksualnie. Przewinęło mu się ich tu trochę. Jedna, taka bardzo kulturalna, jak się z hukiem rozstawali, czymś w niego rzuciła. Aha, on mówił, że jakimś wazonem przywiezionym z Jugosławii. Jak zbiegała tu schodami spłakana, pobita, mówiła: „Proszę pani, przecież to nie człowiek, to jest potwór!”.

– Pobita?

– Tak, pobita. On kobiety miał za nic. Często był pijany i agresywny.

Potwierdzają się opowieści o Marzenie, która rozbiła mu na głowie grecką amforę – myślę.

– Myśli pani, że oni by byli zdolni do tego, żeby coś takiego zrobić tej dziewczynie?

– Wie pani, L. był bezwzględny człowiekiem, więc jest to prawdopodobne.

Kobieta opowiada, że kilka lat temu szukała matki Katarzyny, żeby ją zapytać, czy to możliwe, że jej córka tutaj przychodziła. Ale jej się nie udało.

– Policja była u pani? Przesłuchiwali mieszkańców? – pytam.

– Skąd – odpowiada. – Tylko do sąsiada, który prowadzi sklep z rowerami, podjechali podobno dwa, trzy lata temu i z nim rozmawiali. Pytali, czy znał L. On go znał, bo był jego sąsiadem. Na pierwszym piętrze koło Leszka miał mieszkanie, ale w nim nie mieszkał. Zainwestował w udziały, żeby potem je sprzedać.

– A mieszkania Leszka L. prokuratura nie przeszukiwała? – upewniam się.

– Nie. W nim już dziesięć remontów było. Po śmierci Leszka długo nic się tam nie działo. Potem córka przysłała robotników, no i zaczęli remontować. Teraz studenci tam mieszkają. Powinni przekopać też ten sklep zoologiczny.

Kobieta na chwilę milknie, po czym pisze coś ołówkiem na kartce. Pokazuje mi. „L. był informatorem policji”.

– Mówię pani, coś tu się nie zazębia – szepcze, jakby ktoś nas podsłuchiwał. – Tak jakby sprawa była tuszowana. Tak mi coś mówi.

Z kamienicy przy Smoleńsk wychodzę przed jedenastą w nocy. Pies w samochodzie zdążył zasnąć. Myśli szaleją mi w głowie.

\*

Rewelacje mieszkanki kamienicy brzmią sensacyjnie. Próbuje sprawdzić, czy są prawdziwe. Kilka osób potwierdza, że Leszek L. często powoływał się na swoje wpływy w organach ścigania.

– On miał wszędzie znajomości, czasami aż się dziwiłam, że takie wejścia miał – mówi jego była znajoma Marta.

– Jakie wejścia? – pytam.

– Wszędzie, w policji i prokuraturze. Nieraz z nim rozmawiałam, czasem żeśmy i piwo wypili, bo jak był wesoły, to mi mówił różne rzeczy. Poznałam dwóch policjantów. Jeden był z osiedla Podwawelskiego. Lubili sobie zajrzeć w kieliszek.

Weterynarz Paweł Słowiński potwierdza:

– Faktycznie miał znajomości. Mówił, że jego mama czy teściowa jest kimś ważnym w sądzie. A jak w prasie było doniesienie, że coś się dzieje kryminalnego, mówił: „Wiem, bo to mój kumpel Staszek prowadzi”. „A, tego z dochodzeniówki to znam”. Miał dużo znajomych policjantów.

– Wiem, że jego kumpel był prokuratorem – dodaje Krzysztof Wiktor. – Taki młody chłop, nie wiem, jak się nazywa. Razem siedzieli w Kornecie i popijali gorzałę.

Z całą pewnością dobrym znajomym Leszka jest Marek B., również hodowca gadów, do 1985 roku inspektor Wydziału IV SB KWMO w Krakowie (rozpracowujący duchowieństwo i środowiska katolickie), a później kierownik sekcji do zadań specjalnych Wydziału B (pion obserwacji). Po zmianie ustroju, do czerwca 1991 roku Marek B. pełni funkcję kierownika Sekcji Wydziału Techniki Operacyjnej KWP w Krakowie. W jego aktach osobowych dostępnych w IPN odnajduję wiele pochwał udzielonych mu przez przełożonych za dużą skuteczność w pozyskiwaniu osobowych źródeł informacji i lokali konspiracyjnych.

– Z Leszkiem L. się znałem, bo krąg hodowców był mały i wszyscy współpracowaliśmy – potwierdza.

Marek B. w latach osiemdziesiątych prowadzi kawiarnię Krzysztofory, a później kawiarnię Jagiellońską w pobliżu krakowskiego rynku. Na zapleczu albo w pomieszczeniu pod schodami trzyma terraria z gadami.

– Czasem te węże mi stamtąd uciekały – przyznaje rozbijając. – One są zawsze sprytniejsze. Człowiek czegoś nie domknie, a one tymi małymi główkami hyc, hyc i już ich nie ma. Jak to jest duży boa, to łatwo go odnaleźć gdzieś piętro wyżej, zwłaszcza kierując się krzykami ludzi, ale mniejsze zawsze się gdzieś schowają pod meblami w domu.

Wróćmy do Leszka.

Jego była dziewczyna Aneta twierdzi, że w stanie wojennym L. brał udział w akcjach zomowskich. Jednak w Instytucie Pamięci Narodowej nie znajduję potwierdzenia tych informacji.

Jej matka dorzuca:

– Jak gdzieś na mieście rozrabiał, komuś ubliżył czy kogoś pobił, policja go zwijała. W tym Białym Domku na ulicy Lubicz siedział. Policjant stamtąd potrafił do nas zadzwonić i wzywali męża, żeby go wyciągnął.

– Od sędziów, adwokatów, prokuratorów, policjantów po gangsterów. On wszystkich znał – dodaje Łukasz, były sąsiad.

– Syn współpracował z policją? – pytam matkę Leszka.

– Wie pani, nie wiem – kluczy. – Nie wiem właśnie. Teraz nie mogę tego sobie skojarzyć.

Leszek z całą pewnością prowadzi dla organów ścigania szkolenia z ratownictwa. Czasem jest też wzywany do innych akcji.

– Raz wezwali go policjanci, żeby nurkował na skałkach, bo kobieta się utopiła – opowiada matka Leszka. – Samobójstwo to chyba było. Prosilili go, żeby nurkował, bo nie miał kto. I on wynurkował tę kobietę. Z tych skałek przyszedł do mnie, był półżywy. Umył się, położył. Mówi: „Tragedia, wynurkowałem młodą kobietę”. Przeżywał to okropnie.

Razem z policjantem Maciejem P., późniejszym dyrektorem delegatury CBA w Krakowie, są członkami klubu nurkowego Nototenia. Jeżdżą na wyprawy po całym świecie.

– Był rekordzistą Guinnessa w nurkowaniu. Raz na bezdechu był mistrzem Polski, a potem jeszcze w Bajkale, przy niskiej temperaturze – słyszał Krzysztof Wiktor.

– On na pewno miał jakieś układy z policją, choćby z tego stosunku biegłego sądowego, ale miał ich głęboko w dupie – twierdzi Robert Kądzioł. – Nigdy nie miał szacunku dla policji, nieraz mówił, że nic mu nie mogą zrobić. Choćby nie wiem co się stało, to mogą mu naskoczyć. Tak twierdził.

Nie wiem już, kogo mieszkanka kamienicy widziała w sklepie zoologicznym: Roberta Janczewskiego czy Leszka S.

– Leszek S. prowadził sklep – twierdzi matka hodowcy. – Zresztą nie popłacił wszystkiego, zostawił syna z brakami, z płatnościami. Za to kupił sobie samochód. Leszek płakał, bo musiał po nim spłacić długi.

To samo twierdzi Marta, bliska znajoma Leszka L.:

– Leszek S. prowadził mu ten sklep zoologiczny. Jeździli też razem po szkołach.

Roberta Janczewskiego nikt ze znajomych Leszka L. nie kojarzy. Sam Robert twierdzi, że nigdy w życiu nie sprzedawał w jego sklepie. Jego rodzice też nic o tym nie wiedzą. Jestem prawie pewna, że mieszkanka kamienicy zasugerowała się relacjami medialnymi i pomyliła Leszka S. z Robertem.

Próbuję więc znaleźć Leszka S. Chcę go zapytać, kim była młoda dziewczyna, która sprzedawała w sklepie. Jednak nikt nie wie, co się z nim dzieje.

– Leszek S. dużo wiedział, ale gdzieś znikł. Podobno wyjechał do Austrii – mówi mi matka Leszka L.

Łukasz Sułowski, znajomy Leszka L., herpetolog, pomaga mi ustalić jego dawny adres. To peerelowskie bloki przy ulicy Kantora, rzut beretem od komendy wojewódzkiej policji. Na osiedlu nikt Leszka S. nie zna. W końcu udaje mi się odnaleźć starszych ludzi, którzy kojarzą sąsiada o imieniu Leszek hodującego w domu żółwia.

Dzwonię pod wskazany adres. Nikt nie otwiera. Pukam więc do sąsiadów. Drzwi otwierają Ukraińcy. Mówią, że wynajmują mieszkanie, a to obok chyba stoi puste. Inny sąsiad twierdzi, że pod adresem Leszka S. od dawna nikt nie mieszka. Czasem tylko ktoś tam przychodzi, ale nie wiadomo kto. Dowiaduję się jeszcze, że na pierwszym piętrze mieszka policjant. Sąsiad zgadza się do niego zadzwonić w moim imieniu, ale funkcjonariusz odmawia jakiegokolwiek kontaktu.

Tymczasem ustaliam, że Leszek S. w dalszym ciągu jest właścicielem tego mieszkania. Jakiś czas temu się ożenił. Przychodzę więc na Kantora jeszcze wiele razy, w dni wolne



i robocze, o różnych porach. W mieszkaniu nigdy nikogo nie ma, nikt nie odpowiada na pozostawione kartki z prośbą o kontakt.

Po kilku miesiącach udaje mi się zastać tam młodą kobietę, która, zanim się przedstawię, mówi stanowczo, że nie ma czasu na rozmowę ze mną. Pytam, czy wynajmuje mieszkanie od Leszka S.

– To nie pani sprawa – rzuca i wyłącza domofon.

Ustalam, że Leszek S. nie zeznawał podczas procesu, mimo że był świadkiem w śledztwie. Przyjaciel Leszka L. rzeczywiście zniknął.

\*

Czy to możliwe, że mieszkanka kamienicy przy Smoleńsk widziała w sklepie zoologicznym Katarzynę? Czy zamordowana studentka mogła sprzedawać w sklepie Leszka L.?

Być może w przerwach między kolejnymi kierunkami studiów szukała zatrudnienia. Jak ustalił dziennikarz Dawid Serafin, mogła wcześniej pracować jako sprzątaczką w Instytucie Biochemii Lekarskiej przy ulicy Kopernika 7 pod przybranym imieniem Agnieszka. Nie wiadomo, kto i dlaczego pomógł jej dostać tę pracę.

Sprawdzam, czy w Instytucie Biochemii Lekarskiej była w latach dziewięćdziesiątych zwierzętarnia. Okazuje się, że oficjalnie jej nie było, ale istniało pomieszczenie, w którym instytut przechowywał zwierzęta, między innymi szczury i myszy.

Przyjeżdżam porozmawiać z byłym sąsiadem Leszka L., który pracuje w pobliżu. Wchodzę do małej nory w przyziemiu. Intensywnie pachnie wilgocią i grzybem. Pomieszczenie jest zastawione używanymi produktami przywiezionymi z Niemiec. Mówię, że jestem dziennikarką i chcę porozmawiać o Leszku.

– L. miał związek z oskórowaniem tej studentki – rzuca mężczyzna z miną, jakby tylko czekał, aż ktoś go o to zapyta.

Znowu to samo – myślę gorączkowo. Nie powiedziałam ani słowa o zabójstwie, a sąsiad od razu kojarzy z nim Leszka L.

– Dlaczego pan tak uważa? – pytam.

– No bo oni różne roboty robili razem. Ten, co tę dziewczynę łupił, on tu pracował u niego.

– Robert Janczewski?

– Mówiłem, żeby tam z szyb zbierali u niego w domu. – Kiwa głową. – Bo tu Leszek kleił skórę z węży na szyby. Czy oni też z tej dziewczyny nie kleili skóry? Dlatego mówiłem policji, żeby tam u niego sprawdzili, czy nie ma szczątków skóry ludzkiej na szybach.

Zjawia się klient. Starszy mężczyzna przerywa, żeby go obsłużyć. Po chwili znów do mnie podchodzi.

– Świr był niesamowity z tego L., on był gotowy zrobić wszystko – zapewnia. – Tak że nie zdziwiłbym się, jakby oni tu to razem zrobili. Albo tam u niego.

– Myśli pan, że mogli ją zabić w mieszkaniu Leszka L.?

– Mogli – twierdzi sąsiad. – Albo przy węzach na dole.

Sprzedawca ma na myśli sklep zoologiczny przy alei Krasińskiego. Zamknięty na głucho od lat.

– Nie dziwi pana, że policja nie przeszukiwała jego mieszkania?

– On był na układzie z policją, na współpracy – twierdzi sprzedawca. – Był kapusiem. W poprzednim ustroju i później też. Robił tak, że jak pili, wyrzucał jednego gada nad Wisłę i później brał pieniądze za jego znalezienie. I dalej mieli pieniądze do picia.

Kolejna osoba, która mówi to samo – myślę.

– Ale dlaczego uważa pan, że Leszek L. może za tym stać? – pytam. – Dlatego że się kumplował z Janczewskim?

– Kumplował się i miał skłonności sadystyczne.

– To znaczy?

– Mężczyzna nie powinien pokazywać zdjęć, które zrobił dziewczynie. Jeszcze takich zdjęć – akcentuje. – A on wszystkim je pokazywał.

– Jakie zdjęcia? Pornograficzne?

– Bardzo nieładne zdjęcia. Do pochwy wkładał dziewczynie butelki po pepsi i fotografował. Takie rzeczy.

– Ona była przytomna?

– Nie wiem, widziałem tylko zdjęcia. Mogła być naćpana.

– Mówił pan o tym policji?

– No chyba my o tym rozmawiali. Dlatego Leszek L. nie miał dobrze pod kopułą, jak takie rzeczy wyrabiał, nie?

Pytam dawną znajomą Leszka Martę, która często bywała u niego w mieszkaniu, czy słyszała o fotografiach.

– Tak, ale nigdy ich nie widziałam – potwierdza. – Leszek mi mówił o tych zdjęciach. Może nawet i chciał pokazać, ale aż taka ciekawa nie byłam.

– Mówił, co na nich jest?

– Że jakieś porno. Opowiadał mi, co z nią robił.

– Co?

– No że ją obrobił na wszystkie otwory, jakie tylko są możliwe. Ja parę dziewczyn uprzedzałam, że jak Leszek jest pijany, żeby uciekały. Jedną kiedyś wyrzucił na golasa.

– Jak miała na imię?

– Magda. W tej chwili nie ma jej w Polsce, jest w Austrii. Leszek, jak się opił, to potrafił być trochę sadystyczny. Zresztą Magda mi powiedziała, że jeśli chodzi o seks, był brutalny. Kazał takie rzeczy robić, których normalna kobieta by nie zrobiła.

– Na przykład jakich?

– No, robienie facetowi loda, od tyłu. Ja pamiętam, że on się chwalił, co jednej dziewczynie robił. Że sikał na nią, a ona to łykała. Że kazał jej kiedyś kupę zrobić. Ja nie wiem, ile w tym prawdy, bo on był bajkopisarzem.

Kobieta milknie. Przywoływanie tych opowieści przychodzi jej z trudem.

– Może i czasem te dziewczyny potargał – wydusza w końcu z siebie. – Ale Magdy nie zdążył, bo powiedziałam jej, żeby uważała. I chyba się sama przekonała, bo była u niego parę dni, a potem szybko uciekła. – Po chwili dodaje: – Wiedziałam, kiedy Leszkowi coś się dzieje. Patrzyłam mu w oczy, jak zachodziły mgłą, to trzeba było się szybko ewakuować. To był, wie pani, taki znak. Tylko trudno było od niego wyjść, bo on miał drzwi metalowe jedne i drugie, zamykane na skoble, zamki...

Syn Elżbiety dodaje:

– On miał dwa problemy: alkohol i małe przyrodzenie. Nie mógł za wiele zdziałać. To był jego bardzo duży kompleks.

– Skąd pan to wie?

– No, proszę pani, nieraz go widziałem gołego. Jak latał po klatce nago czy trzeba było go rozebrać. On nie umiał z kobietami rozmawiać, nie umiał z nimi żyć. Traktował je podle i nie sprawdzał się, jak trzeba było. Raz, że chłał, a dwa, że Magda i później jeszcze jedna dziewczyna mówiły, że jak trzeba było, to „to” u niego nie grało.

Jeszcze jedna kobieta potwierdza, że źle traktował płęć przeciwną. To jego była dziewczyna Aneta.

– Był nieobliczalny – mówi. – U niego w jednej chwili było dobrze, a chwilę później ktoś mógł się znaleźć przez niego w naprawdę realnym niebezpieczeństwie.

– Był agresywny w stosunku do kobiet? – pytam.

– Bardzo. Ja też parę razy zostałam przez niego uderzona, bo coś powiedziałam. To były u niego rzeczy na porządku dziennym: sterroryzować całe otoczenie, bo wszyscy się go mają bać. A on czuł się bezkarny.

\*

Klucz do piwnicy Robert Kądzioł dostaje jesienią 1998 roku. Pod koniec remontu lokalu postanawia zrobić w nim imprezę sylwestrową. Wypożycza z Kernetu ławki i stoliki, nagłośnienie umieszcza w pomieszczeniu socjalnym.

Leszek przyprowadza kolegę, który w połowie imprezy „wymięka”. L. bierze telefon i gdzieś dzwoni. Po chwili mówi:

– Spoko, zaraz przyjdą i go zabiorą.

– Gdzieś ty dzwonił? – dopytuje Robert.

– A zobaczysz.

Robert opowiada mi:

– Przyszli panowie w mundurach, gościa pokleпали. Wstał, zabrali go.

– Nie mogłeś mu taksówki zamówić? – Robert pyta Leszka.

– A po co? Za taksówkę bym musiał zapłacić – odpowiada L.

Robert relacjonuje:

– Odwieźli gościa do domu, a za dwie godziny był z powrotem u mnie w knajpie. Przyszedł do domu, przespał się godzinę, włożył nową koszulę i przyszedł z powrotem.

– Kto to był? – pytam.

– Podobno komendant któregoś krakowskiego komisariatu. Prosto po służbie przyszedł. Miał na imię Andrzej. Zabierali go dwa razy, bo za drugim też się narąbał i znowu go odwozili do domu.

\*

Nie wiem, czy w 1999 roku policja sprawdza Leszka L. Jeśli tak, robi to bardzo nieudolnie, bo ani jego przyjaciółki, ani sąsiedzi z kamienicy nie są przesłuchiwani. Jednak hipoteza, że to L. mógł stać za zabójstwem Katarzyny, jest później brana przez śledczych pod uwagę. Od osoby, która analizowała akta sprawy, dowiaduję się, że na pewnym etapie śledztwa śledczy zakładali, że ciało dziewczyny mogło zostać poćwiartowane i podane krokodylowi do zjedzenia. Nie udaje mi się dowiedzieć, dlaczego ten wątek został ostatecznie zarzucony.

W 2000 roku Robert Janczewski zamieszcza anons w krakowskim Klubie Samotnych Serc. Odpowiada na niego między innymi Anna K., z którą mężczyzna koresponduje. Nigdy nie spotkają się osobiście. Robert ma wtedy trzydzieści pięć lat.

Anna zezna potem, że jego ideałem była kobieta o egzotycznej urodzie, południowej, ciemnej karnacji, o długich ciemnych włosach. Nie lubił rudych i blondynek. Powinna mieć dziewiętnaście–dwadzieścia pięć lat, figurę szczupłą, okrągłą pupę i spory biust z dużymi brodawkami. Musi być cicha i spokojna. Ubiór powinna mieć idealnie skomponowany; elegancki i seksowny, ale nie wyzywający. Może nosić biżuterię o ciekawych wzorach, srebrną, oryginalną, ale nie za dużo, bez przeładowania. Mile widziane są pierścionki, łańcuszki, kolczyki, bransoletki. Buty winna mieć na niewysokich szpilkach, rajstopy dobrej jakości powinny okrywać długie nogi. Pod perfekcyjnie dobraną odzieżą wierzchnią

miała się znajdować luksusowa bielizna holenderska lub niemiecka, w kolorach do wyboru: czarnym, białym, ewentualnie różowym. Preferowany materiał: koronka, satyna lub dobry jedwab. Bielizna nocna to mogą być krótkie koszulki nocne o ciemnych ramiączkach, lekko prześwitujące. Makijaż delikatny, perfumy bardzo dobre, bez podróbek. Nie może palić, pić alkoholu ani używać narkotyków.

Robert zwierza się Annie, że nigdy jeszcze nie kochał się fizycznie z kobietą, gdyż przed ślubem nie może. W jednym z listów opisuje jej, jak wyobraża sobie swój pierwszy raz. W pokoju ma panować półmrok. Wokół kwiaty, woń kadzideł, świec i delikatny zapach jej perfum. Żona jest ubrana w elegancką bieliznę. Stosunek poprzedza długa gra wstępna, podczas której on traktuje ciało kobiety jak najdoskonalszy instrument muzyczny. Po tej grze wstępnej bierze się do pracy, w trakcie aktu płciowego wbija się w nią jak najgłębiej. Chce ją przerznąć tak porządnie, żeby poczuła go aż w żołądku i żeby potem czuła to przez dwa dni. Chwyta wybrankę za włosy (po to jego wyśniona ma mieć długie włosy) i zaczyna od tyłu. Wspomina coś o pozycji 69.

Mówi, że kobieta ma być uległa i całkowicie poddana jego woli. Ma to być idealne współżycie bez wynaturzeń, choć „nic co ludzkie, nie jest mu obce”. Ideałem dla niego jest częste współżycie, najlepiej co noc.

W innym liście skarży jej się na koleżankę ze szkoły, która go odrzuciła, mówiąc: „Wiesz Robert, ty jesteś taki mały, więc pewnie masz małego”.

Janczewski się nie zniechęca i usilnie szuka żony. Wysyła ofertę matrymonialną do portali internetowych, radiowych i telewizyjnych. Pewnego dnia zaprasza do mieszkania dziewczynę, która odpowiedziała na ogłoszenie. Józef słyszy, że otwiera jej drzwi, po czym jeszcze w przedpokoju oznajmia:

– Piętnaście minut spóźnienia. Eliminacja.

W odpowiedzi dostaje od dziewczyny książkę w głowę. Niedoszła wybranka wychodzi i nigdy nie wraca.

Innego dnia zaprasza do siebie znajomą dziewczynę Halinę K. Kobieta zezna później: „nagle doskoczył do wyjścia, zamknął drzwi, puścił na cały głos muzykę i dziwnie się na mnie patrząc,

powiedział, że nie wypuści mnie z mieszkania. Byłam przerażona”. Po chwili okazało się, że tylko udawał napad, a to był żart.

Edyta, kioskarka, zezna z kolei, że Robert Janczewski przez mniej więcej sześć lat, do 2000 roku, każdego miesiąca kupował wszystkie tytuły pism pornograficznych. Przez co był jej najlepszym klientem. Często przychodził też do pobliskiej hurtowni odzieżowej i bacznie oglądał rajstopy damskie.

Tymczasem po upadku tropu Władimira W. z Kaukazu śledczy wracają do sprawdzania Roberta Janczewskiego. W sąsiedniej klatce przy ulicy Trynitarńskiej mieszka Adam Ł.

– Parkował samochód na całą szerokość chodnika – opowiada Maria Janczewska. – Robert zwrócił mu uwagę, żeby tego nie robił, bo nie ma jak przejeżdżać z rowerem czy przechodzić z zakupami. A on się wściekł: „Co taki robak z roweru będzie mu zwracał uwagę”. I zawołał na syna policję, że Robert rzekomo mu przebił opony. Przyjechała policja, ale okazało się, że opony są całe. Wtedy on stwierdził, że już je naprawił.

– Policja przyjechała tego samego dnia?

– Tego samego dnia wezwał policję, tak – mówi Maria. – Później powiedział do syna: „Mogę z tobą rozmawiać tylko przez prokuratora”.

Docieram do Adama Ł. Potwierdza, że ktoś mu przebił opony. Zgłosił policji, że mógł to zrobić Robert.

– To były tylko takie moje domniemania – tłumaczy. – Powiedziałem, że to może być on.

– Ale dlaczego pan sądził, że to Janczewski?

– No tak sobie pomyślałem, że to mógł on, nie? No bo któż normalny może przebić opony? Dziwak jest, no to może on. Tylko jemu coś nie pasowało.

Dossier Roberta pęcznieje. Policja ma już skargę od Iwony, sąsiadki, która czuła się przez niego nękana, doniesienie Witolda B. i Lucjana Kopcia, którym groził użyciem broni. Jest donos Adama Ł., który go oskarżył o przebicie opon. W aktach Janczewskiego jest również informacja, że wielokrotnie obnażał się w miejscach

publicznych. Być może wpłynęła skarga od dziewczyny, którą szarpał na moście Grunwaldzkim. Są pisma Jadwigi, byłej przyjaciółki Józefa.

– Zobaczyła w telewizji program i stwierdziła: „No, to się stało nad Wisłą, a Robert jest dziwny, to na pewno on to zrobił!” – opowiada Joanna, córka Janczewskiego. – Od tej pory jej odbiło i zaczęła wydzwaniać do prokuratury, że może to on. Wkręcała sobie, że przecież on mieszka nad Wisłą, a tę skórę wyłowili z rzeki, to na pewno jego sprawka. Może to z kolegami zrobił? Albo z moim ojcem? Dzwoniła na prokuraturę i opowiadała różne rzeczy. Chciała się mścić na ojcu, więc sobie znalazła sposób.

Śledczy mają też donos Leszka L.

22 marca 2000 roku do Roberta przyjeżdża ośmiu policjantów i technik kryminalistyczny z komendy wojewódzkiej z nakazem przeszukania w sprawie zabójstwa Katarzyny. Marii nie ma wtedy w domu, bo od rana do wieczora pracuje w sklepie. Kiedy dzwonią do drzwi, Robert akurat ogląda pielgrzymkę papieską.

– Ale o co to chodzi? – Mężczyzna nie rozumie treści nakazu. – A kto to jest Katarzyna Z.? Przecież nikogo takiego nie znam.

Z policjantami przyjeżdża psychiatra Monika Huta z poradni środowiskowej, w której leczy się Robert.

– Przez kilka godzin siedziała tam, denerwowała się – opowiada Jacek Matkowski, wtedy szef przychodni. – Bardzo dużo rzeczy, zwłaszcza osobistych, zostało panu Robertowi zabrane. To były jego zapiski, ale też próby literackie, jakieś kroniki.

Policjanci bardzo dokładnie przeszukują mieszkanie i zabezpieczają ślady. Po rewizji zabierają mężczyznę do komendy. Każą mu czekać w pokoju przesłuchań.

– Zażądali od syna wydania kluczy od domu i wypadli z tego pokoju – przytacza opowieść Roberta Maria. – Na stole zostawili broń. Zniknęli na mniej więcej dwie godziny. Wrócili zdyszani. Więc ja przypuszczam, że mogli założyć tutaj podsłuch.

Potem przesłuchują Janczewskiego. Robert zeznaje, że od 1977 roku mieszka w Krakowie, przy ulicy Trynitarzkiej. Mieszkał tam wraz z matką, a początkowo także z ojcem, który wyprowadził się w 1996 roku. Obecnie mieszka sam. Mówi, że od 1991 do 1998 roku



jego matka przebywała w Kanadzie. W 1995 roku pojechał do niej na niespełna rok. Gdy wrócił, przeprowadził generalny remont mieszkania. Matka przyjechała do kraju na stałe w 1998 roku, jednak często opuszczała mieszkanie na kilka dni lub dłużej. Robert jest bezrobotny i utrzymuje się z renty inwalidzkiej. Ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Pytany o zainteresowania, Janczewski podaje, że są to religie i „społeczeństwo w aspekcie przestępczości”. Interesuje się tymi dziedzinami dlatego, że – jak twierdzi – „chce się wznieść na wyższy poziom”. Ma wiele pozycji książkowych i filmowych o treści kryminalistycznej.

Robert utrzymuje, że o zabójstwie Katarzyny Z. nigdy nie słyszał. Dowiedział się o nim w dniu wezwania na przesłuchanie od policjantów. Zaprzecza, że dokonał tej zbrodni. W trakcie przesłuchania policjanci okazują mu jej fotografię. „Jego reakcja była silnie emocjonalna, kilkakrotnie to zdjęcie całował, często na nie spoglądał. Gdy poruszano w rozmowie temat jej śmierci, R. Janczewski »zaczął płakać w sposób spontanicznie wzruszony«, wykazywał zainteresowanie jej życiem i postępami w śledztwie” – notują śledczy.

Na dowód prawdopodobności Robert zgłasza inne swoje przestępstwa – to liczne akty ekshibicjonizmu, które dokonywał w 1991 roku między innymi w parkach, w autobusach i tramwajach, nad rzeką Rudawą. Jak mówi, sam to zgłosił wcześniej policji w ramach walki ze złymi nawykami. Wie, że te przestępstwa uległy już przedawnieniu.

Po przesłuchaniu Robert jest poddany różnym kryminalistycznym badaniom, pobrany zostaje od niego materiał DNA. Jak opowie potem Marii, w pewnym momencie policjanci mówią mu, że matka Katarzyny cierpi, więc on powinien kupić jej kwiaty.

– Więc on poszedł i je kupił – słyszała Maria Janczewska. – Ale nie znał adresu, dlatego wrócił z kwiatami na komendę i mówi, że chciałby wiedzieć, gdzie mieszka. Wyśmiali go. Potem zaniósł te kwiaty do kościoła w intencji osoby zamordowanej, nad którą się litował.

Gdy Maria wraca wieczorem do domu, syna nie ma. Znajduje tylko nakaz przeszukania, z którego dowiaduje się, że Robert jest podejrzany o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem.

## Ile Wy i ja doznaliśmy krzywd...

*Ile Wy i ja doznaliśmy krzywd i upokorzeń ze strony zdezorientowanego już kompletnie społeczeństwa. Inna sprawa, że to samo społeczeństwo chce „wódki i igrzysk” i wielu czeka na kolejne sensacje z „palca wysane”. A szczytem wszystkiego jest rozpowszechnienie w mediach, że za to, że macie takiego (jakiego?) syna, Wy, rodzice, powinniście się moczyć w formalinie. [...]*

*Mam trwale zszargane zdrowie i nerwy. Zrobiono z nas szmaciarzy. Odarto nas z godności. Podeptano Wasz życiowy dorobek i wkład pracy.*

*Proście Boga codziennie oboje, bo jest bardzo źle. Zrobiono poszlaki ze wszystkiego. Ja, chociaż tak mnie bolą i puchną kolana (zmiany zwyrodnieniowe), to klękam przy stoliku więziennym i odmawiam. Powiedziane jest, Matka Boska obiecała, wszystko uprosicie, tylko codziennie odmawiajcie różaniec. Przecierpiałem dwa lata. Jak wiesz, Mama, za Ciebie ofiarowałem pierwszy rok.*

## Robert wraca po dziesięciu godzinach...

Robert wraca po dziesięciu godzinach. Jest w szoku.

– Doznał takiego urazu psychicznego, że całymi dniami i nocami krzychał, płakał, kaleczył się: „Dlaczego ja?! Dlaczego coś takiego na mnie?!” – wspomina Maria. – Nie mógł się z tym pogodzić. Doznał takiego strasznego wstrząsu, takiej traumy, że później wszystko to, co miał w pokoju, posprzedawał. Tam były gołe ściany. Spał na materacu.

Robert sprzedaje wersalkę, szafę, komodę i urządzenia grające. Twierdzi, że na wszystkim widzi i czuje roztwór środków chemicznych użytych przez techników kryminalistycznych.

– Wpadł w taki straszny żal, takie poczucie niesprawiedliwości – dodaje Józef. – Flakonem rzucił i go rozbił. Zaczął się tarzać po łóżku i krzyżeć: „Jestem niewinny! Jestem niewinny! Tylu bandziorów jest naokoło, im się zawsze wszystko upiecze, a mi taką krzywdę robią!”.

Choroba – schizofrenia paranoidalna – się pogłębia. Robert mówi do siebie w dzień i w nocy. Wydaje mu się, że z kimś rozmawia, więc odpowiada na głos. Chodzi i szuka kogoś ukrytego w mieszkaniu.

– On powinien być natychmiast oddany na leczenie psychiatryczne – stwierdza Maria. – No to ktoś zapyta, dlaczegoś go, kobieto, nie oddała do szpitala. No bo on tak ciężko przeszedł poprzedni pobyt, że ja z litości nad nim tego nie zrobiłam. Ale ile on stracił zdrowia i życia, a ja przy nim, to jest coś strasznego.

Robert dzwoni do znajomych i żali się na śledczych. Andrzejowi opowiada, że policja wpadła do niego i rozwaliała mu pokój.

– To była chyba jedna z naszych ostatnich rozmów – wspomina mężczyzna. – Powiedział, że choćby szukali do końca świata, i tak nic nie znajdą.

– Co według pana miał na myśli?

– To znaczyło: ja tego nie zrobiłem. Miał na myśli, że to nie on jest mordercą – twierdzi były radny.

Robert telefonuje też do Rafała, trenera z siłowni. Żali się, że jest niesłusznie oskarżany. Do byłego nauczyciela Zygmunta A. dzwoni, żeby powiedzieć, że policja może do niego zastukać, bo zabrała pamiętnik, w którym o nim pisał.

Policjanci rzeczywiście szybko docierają do pedagoga, przesłuchują go. „Nie wiem, co on o mnie napisał, bo nigdy mi tego nie pokazali. Ale byli u mnie. Cała ta sprawa była dla mnie bardzo nieprzyjemna” – opowie później były wicedyrektor<sup>66</sup>.

\*

Po przeszukaniu mieszkania przy Trynitarzkiej Robert nie może dojść do siebie.

– Chodził gdzieś, dowiadywał się, o co w tej sprawie chodzi – opowiada Maria. – Kto to jest, jak zginęła ta osoba, na którym cmentarzu leży.

Gdy kilka dni po przeszukaniu, 31 marca 2000 roku, Robert z kwiatami dla matki Katarzyny przychodzi do Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie, policjanci wypytyują go:

– A jak pan myśli, co zabójca mógł zrobić z ciałem ofiary? – relacjonuje opowieść syna Józef.

Robert odpowiada:

– Wiem, jak sprawca postępował z ciałem. Mianowicie zabił, poczekał, aż spłynie krew, następnie oskórował i rozkawałkował zwłoki, które potem wyrzucił do Wisły. Ta Kaśka nie została utopiona. A sprawca zabójstwa nie przyzna się do winy, bo musiałby być głupi.

Policjanci robią z tego wyznania notatkę urzędową. Kilka lat później, w rozmowie z reporterem stacji TVN Jackiem Bazanem, Robert kolejny raz dzieli się swoimi przypuszczeniami na temat przebiegu zbrodni:

– Uważam, że najpierw ona została w jakiś sposób uśmiercona – mówi. – Nie wiem, może uduszona, musiała już nie żyć, ponieważ

wtedy byłyby, że tak powiem, zygzaki, cięcia nierówne. A to była robota idealna i perfekcyjna. Osoba została zdekomponowana, pochowana, nie znaleziono niektórych jej części, została obdarta, wycięta i zdekompletowana i wrzucona do Wisły. – I dodaje: – Tak ciał równo, że można podziwiać.

Biegli psychologowie ocenią potem jego wynurzenia następująco:

Lokalizacja znalezionych szczątków w Wiśle jest zgodna z jego wypowiedzią. Opis cięć na skórze podany przez Roberta Janczewskiego jest zaskakująco zgodny ze stwierdzonymi ustaleniami. Może to być przesłanką do wniosku, że brał udział w omawianej zbrodni, ale z drugiej strony mógł także uzyskać taką wiedzę, kiedy uczestniczył w sekcjach ciał zwierząt podczas pracy w Instytucie Zoologii i do niej odnieść obserwację zdjęć dokumentujących oględziny odpreparowanej skóry ofiary (o ile miał dostęp do takich zdjęć). Mogły zresztą nałożyć się obydwa przytoczone źródła jego wiedzy w tym zakresie. Wypowiedzi Roberta Janczewskiego odnoszące się do nieznanego sprawcy zwracają uwagę specjalistycznymi określeniami, niestosowanymi w potocznej mowie w odniesieniu do ciała człowieka, na przykład „zdekomponowana”, „zdekompletowana”, „rozkawałkowana”. Wskazują one, że był on co najmniej odczytany w literaturze medycznej dotyczącej tego tematu, a ponadto, że był tą tematyką bardzo zainteresowany.

Domniemanie, w którym opisał przebieg zabójstwa, może być oparte na łatwo dostępnych doniesieniach prasowych. Jednak czynność sprawcy, którą zamieścił w tym opisie: „zabił, poczekał, aż spłynie krew”, jest znamienna, gdyż tej informacji nie podawano w środkach masowego przekazu, nie jest znana. Albo więc znał tę czynność z obserwacji w prosektorium, kiedy to widział, że po zabiciu zwierzęcia spuszczano krew z jego ciała, albo opisał własne doświadczenie.

Kilka miesięcy później policja zabezpiecza na rzeczach Katarzyny ślady biologiczne, które nie pochodzą od ofiary. Biegła doktor

habilitowana Renata Włodarczyk napisze o nich: „Śledztwo opierało się wyłącznie na poszlakach, dlatego funkcjonariusze krakowskiego Archiwum X nadal kontynuowali działania i w lipcu 2000 r. natknęli się na nowy trop, dzięki rzeczom zabezpieczonym po Katarzynie Z. Były to jej książki, notatki, dokumenty i przedmioty codziennego użytku, wśród których znaleziono ślady biologiczne nie pochodzące od ofiary. Sukcesywnie badaniom poddawano każdy szczegół pod kątem związku Roberta J. bądź innych osób z zamordowaną. Wykorzystano je do weryfikacji podejrzanych o zabójstwo, lecz ten etap poszukiwań także nie wniósł żadnych dowodów do śledztwa, dlatego krakowska prokuratura umorzyła je w październiku 2000 r.”<sup>67</sup>.

Dokładnie 28 września 2000 roku Wydział Śledczy Prokuratury Okręgowej w Krakowie umarza śledztwo w sprawie zabójstwa Katarzyny Z. z powodu niewykrycia sprawców. To oznacza, że odnalezione ślady nie należą do Roberta Janczewskiego. Nic nie dało dokładne przeszukanie jego pokoju i znajdujących się w nich rzeczy.

„W śledztwie z 1999 roku był wytypowany jako podejrzany mężczyzna, który lubił wieczorne spacerować nad rzeką. Nie znosił kobiet, ale przynajmniej jedną z nich molestował. Policja wtedy wykluczyła jednak, że był mordercą” – napisze później „Gazeta Krakowska”<sup>68</sup>.

\*

Śledczym co prawda nie udaje się znaleźć dowodów winy Roberta, ale zajmujący się sprawą policjant Bogdan Michalec od początku jest przekonany, że to Janczewski jest sprawcą. „Wiedziałem, kto to zrobił, już w 2000 roku. Ale cały czas miałem rzucane kłody pod nogi, między innymi przez swoich starszych kolegów po fachu. Odbijałem się również od stopni naukowych, tytułów profesorskich. A ja przecież kim wtedy byłem? Młodym człowiekiem, a dla wielu

po prostu nikim. Mówiłem, co widzę, ale nikt nie chciał słuchać”  
<sup>69</sup> – powie później.

Po przesłuchaniach z marca Robert czuje, że śledczy cały czas za nim chodzą i węszą. Gdy jedzie na rowerze, policjanci podążają za nim samochodem. Wypytyują o niego znajomych i w parafii.

– Czuł ich oddech – pamięta Maria. – Ze wszystkich stron był osaczony.

W mieszkaniu bardzo często dzwoni telefon. Gdy Robert podnosi słuchawkę, po drugiej stronie panuje cisza. Po półgodzinie znowu dzwoni i znów nikt się nie odzywa.

– Bywało, że telefon dzwonił trzy razy dziennie – opowiada Józef.  
– W ciągu osiemnastu lat było ich z tysiąc.

Co jakiś czas, gdy Robert odbiera, męski głos mówi:

– Chodź, pójdziemy nad Wisłę. Będziemy zdzierać skórę – dodaje matka Roberta.

– Myśli pani, że to ktoś z policji dzwonił? – pytam Marię.

– Wszystko możliwe. Mogli go tak podbierać.

W tym czasie Robert odwiedza projektantkę mebli i wnętrz Martę Z. Przynosi jej swoje zdjęcia, na których jest do połowy roznegliżowany po seansie w solarium, i książeczki z modlitwami. Kiedy kobieta pyta go, dlaczego rozdaje wszystkim materiały religijne, ten odpowiada:

– Nie chce pani tego wiedzieć.

Podczas innego spotkania pokazuje jej list od kobiety, w którym projektantka czyta: „będę ci powoli ściągać skórę, a potem solić i chyba pieprzyć, aby cię bolało”. Marta jest przerażona treścią listu. Później powie śledczym, że jej zdaniem nie mogła tego napisać żadna kobieta.

\*

Po przesłuchaniu i rewizji stan zdrowia Roberta się pogarsza. Od marca 2000 do końca 2004 roku jest w fatalnej kondycji psychicznej.



– Czasami zastanawialiśmy się, czy nie wchodzi w grę hospitalizacja w trybie przymusowym – opowiada jego psychiatra Jacek Matkowski. – Cały świat był wtedy dla niego zły.

W 2005 roku Robert kolejny raz zostaje skierowany do kliniki psychiatrycznej przy ulicy Kopernika. Diagnoza jest taka sama jak podczas dwóch poprzednich hospitalizacji: schizofrenia paranoidalna z zaburzeniami osobowości. Po miesięcznym pobycie na oddziale Robert wraca do leczenia w poradni środowiskowej.

Gdy przychodzi do poczekalni, głośno trzaska drzwiami, szura krzesłami, wykrzykuje, że jest źle traktowany.

– Potrafił mieć różne cięte wypowiedzi – opowiada Jacek Matkowski. – To była forma pokazywania swojej przewagi, siły, może nawet chęci wystraszenia kogoś. Raz, kiedy byłem nieobecny w ośrodku, została wezwana policja, ale przyjechała po godzinie, jak już dawno wyszedł. Ale nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, nikogo nie popchnął, nikogo nie uderzył, nie podrapał.

Obrywa tylko Anthony Hopkins, który w filmie *Milczenie owiec* gra psychiatrę kanibala i znajomego sławnego „kuśnierza” Buffalo Billa. Na drzwiach gabinetu doktora Matkowskiego wisi plakat z podobizną aktora.

– Kiedyś po burzliwej rozmowie Robert wstał i wychodząc, splunął na ten plakat. To była najpoważniejsza agresja z jego strony. A może sobie pani wyobrazić, ile razy przez czterdzieści lat byłem świadkiem, czasem nawet ofiarą, różnych sytuacji. On za to oplucie plakatu dwukrotnie potem mnie przeproszał.

Lekarz nie zauważył żadnych zmian zachowania pacjenta jesienią i zimą roku 1998, kiedy doszło do zabójstwa Katarzyny.

– Nie, nie, nie. Dopiero po marcu 2000 roku – zapewnia. – Żalił się, że jest niesłusznie wrabiany, niesprawiedliwie podejrzewany. Że ktoś na niego doniósł, i to nie tylko ten pan Witold B., ale też wcześniej ktoś z sąsiadów czy jakaś kobieta, której chyba pokazał tyłek na balkonie. Był rozżalony i równocześnie zły na świat. Potem mówił o sobie, że był w tym okresie niepoczytalny. Od połowy 2000 do połowy 2003 roku. Że nie panował wtedy nad sobą.

Robert i jego rodzice przypuszczają, że doniósł na niego albo Adam Ł., któremu miał przebić opony, albo koledzy Witold i Lucjan,

którzy oskarżyli go o grożenie użyciem broni. Leszek L. wtedy nikomu nie przyszedł do głowy.

## Był u mnie ksiądz na oddziale...

*Był u mnie ksiądz na oddziale. Więc jak szedłem do księdza, wziąłem ze sobą ten obrazek holograficzny (poświęcony) Świętego Michała Archanioła, który mi przysłałaś, i na kolanach, po komunii świętej, dokonałem aktu zawierzenia świętemu Archaniołowi mojej osoby i tej sprawy diabelskiej, w którą zostałem wciągnięty na wszelkie sposoby. A komunię świętą (przez kraty) prawie zawsze ofiaruję za Was i w jeszcze innych intencjach.*

## Tymczasem choroba alkoholowa Leszka L. się nasila...

Tymczasem choroba alkoholowa Leszka L. się nasila. Bywa, że schodzi do sklepu muzycznego swojego kolegi Roberta Kądzioła pijany.

– Dupeę mi zawracał, kiedy rozmawiałem z klientami na temat jakiegoś instrumentu. Przychodził nawalony i próbował mnie wyciągać ze sklepu, żebym to zamknął w cholerę i poszedł z nim się napić. Po alkoholu był ciężkim człowiekiem, niereformowalnym, pewne rzeczy do niego nie docierały.

W 2000 roku jedna z właścicielek biura podróży znajdującego się w piwnicy kamienicy przy Smoleńsk znajduje jadowitego węża owiniętego wokół klamki drzwi wejściowych. Kobieta o mało nie zostaje ukąszona. Wzywa policję. I tu zaczyna się powtórka z rozrywki.

– Leszek L. dostał wezwanie jako biegły sądowy – opowiada sąsiadka z kamienicy. – Zszedł na dół i tego wężyka sobie zabrał. Za co wziął tysiąc złotych. No wie pani, to się w głowie nie mieści.

W końcu sąsiedzi zgłaszają się do programu telewizji TVN *Rozmowy w toku*. Powstaje odcinek o uciążliwym sąsiedzie, który uprzykrza im życie. Ale to też nie pomaga.

Pewnego letniego dnia muzyk Maciej Kłeczek wpada do Kornetu na piwo. Dosiada się do niego Leszek L. Zaczynają rozmawiać. Po chwili Maciej zdaje sobie sprawę, że pijany L. myli go z innym muzykiem, Amerykaninem Michaeliem, z którym Maciej kiedyś koncertował.

– Cały czas mówił do mnie Michael – opowiada Kłeczek. – Ja mówię: „Nie jestem Michael”. On na to: „Dobra, dobra, nie pierdol, Michael”. Mówi, że jeszcze nie był w Kalifornii, więc do mnie przyjedzie, mam mu tylko podłogę udostępnić.

W pewnym momencie biegły sądowy herpetolog zaprasza Macieja – Michaela do swojego mieszkania. Maciej, nieświadomy, co go za

chwilę czeka, idzie na górę.

– Zaczął mi prezentować swoją zwierzynę. Otworzył duże terrarium, wpakował się do niego swoją tłustą pupcią i siadł na wielkim pytonie. Obudzony pyton podniósł głowę, popatrzył się na niego i zrobił coś jęczyczkim. Wtedy Leszek chlast go łapą w łeb i mówi: „Co się patrzysz, bucu?”. Myślę sobie: no okej, w porządku. Jest fajnie. Wylazł, zamknął pytona, po czym zaczął otwierać inne terraria. W jednym była mamba zielona, strasznie jadowity, dziki wąż. Ale nie wyciągnął go, dzięki Bogu, bo pewnie już bym nie żył. Wszedł po schodkach, takich, jak się w bibliotece książki wyciąga, i otworzył kolejne terrarium. Wyciągnął grzechotnika. Powiem szczerze, że jak ktoś nie miał do czynienia z grzechotnikiem metr od siebie, to nie wie, co to strach. Ten grzechotnik wypadł mu z pogrzebacza, spadł na podłogę i zaczął sobie sunąć po parkiecie. W lewo, w prawo, jak to wąż. To było w nocy, zwierzęta pewnie spały. Leszek musiał go zdenerwować, jak go obudził. W pewnym momencie grzechotnik podniósł szyszki i zaszeleścił. Na całym ciele poczułem dreszcze. To było przerażające. Wtedy Leszek troszkę wytrzeźwiał, stanął w rozkroku. Byłem półtora metra od niego. To było mieszkanie w amfiladzie i tylko patrzyłem, jak stamtąd uciec, ale nie za bardzo się dało. Poczułem, że moje życie jest zagrożone. Ale L. rozkraczył nogi, pogrzebaczem uchwycił to biedne zwierzę, podniósł na wysokość ramion... i wtedy mu ten wąż spadł. Jak spadł, to znowu zrobił kilka takich skrętów. Ja tylko patrzyłem, gdzie spieprzać. I tak ze trzy razy mu spadał, wreszcie wsunął go ręką do terrarium i je zamknął. Wtedy pomyślałem, że przeżyłem własną śmierć. Po czym: gwóźdź programu. Leszek otworzył kolejne terrarium, wyciągnął krokodyla. Półtorametrowy gad przebiegł przez pokój, gdzie były terraria, potem przez salon i schował się za sofę. Nagle zaczął warczeć jak pies. Nawet nie wiedziałem, że krokodyl potrafi wydawać takie dźwięki. Wtedy Leszek stwierdził: „Co to znaczy, żeby krokodyl tutaj warczał!”. Zanurkował za tę sofę i po chwili wychylił się z krokodylem, którego łeb wystawał z jednej jego strony, a ogon z drugiej. Ponieważ ten gad się cały ruszał, Leszek też się ruszał razem z nim takimi „obłymi” ruchami. I zaczął przybliżać do mnie ten pysk krokodyla. Ja się oddalałem, on się

przybliżał, aż wreszcie krokodyl ciachnął mnie w rękę. Zauważyłem, że z ramienia leci mi krew. Jeszcze zahaczył o koszulkę z krótkim rękawem i ta koszulka została mu w zębach. Targał łbem w lewo i w prawo razem z tą koszulką. Leszek się już troszkę zaniepokoił. Wziął go schował. Mówię: „Stary, kurwa mać, upierdolił mnie ten krokodyl!”. A on do mnie: „Nie pierdol, Michael”. Taka męska dyskusja. To ja jeszcze raz: „Słuchaj, kurwa, upierdolił mnie!”. On: „Pokaż to”. Ja mu pokazuję. „No rzeczywiście, ujechał cię”. I mówi do mnie tak: „Słuchaj, Michael, ty się, kurwa, nie przejmuj, bo u mnie zwierzęta są czyste, nic ci nie będzie. I wiesz co, nikomu o tym nie mów. A zresztą, nawet jakbyś gadał, to i tak nikt ci nie uwierzy”. I zaczął się na głos śmiać. Do tej pory mam dwie blizny po ząbkach tego krokodyla na lewym ramieniu.

## Mama. Ja codziennie myślę o Tobie...

*Mama. Ja codziennie myślę o Tobie, wnoszę za Was intencje modlitewne, tęsknię od nowa i kocham Cię. Ty zawsze byłaś dla mnie dobra i masz miejsce w moim sercu. [...] A wielu ludziom, w tym mnie też, ta ziemską wegetacją od dziecka i nieustanne choroby, problemy i nieszczęścia wychodzą już bokiem. Ja dobrze wiem, że ręce by niejeden zatarł, gdybym ja umarł.*

*Całe te trzy lata to jest droga krzyżowa przemierzona. Ja dobrze wiem, i wiem aż nadto, co i którzy na wolności wytykają mnie palcami i wielki mają ubaw, że „buldog” siedzi w kryminale. Całe moje życie, czterdzieści lat przy ulicy Trynitarzkiej, było gehenną, pomawianiem mnie i wyzwiskami. Ja nawet wiem, kto zeznał, że jestem „popier\*\*\*\*\* debil buldog”. A ja mam 117 punktów w skali słownej i to mi biegły sądowy wyliczył. Więc jakim prawem niszczone mnie psychicznie?*

*Nie bójcie się. Ja jestem w więzieniu, a oni wszystko (sąd boski) mają dopiero przed sobą. A tym bardziej że od dwudziestu lat powtarzam, że jestem niewinny.*

## „Najbardziej przywiązany jest do Kaśki...

„Najbardziej przywiązany jest do Kaśki. Zżył się z nią w ciągu 20 lat. Głaszcze ją po spaśnym cielsku, a ona ani drgnie. – Może jest flegmatyczna, ale występowała w programach telewizyjnych i nigdy się nie zblamowała – słyszę. – Kaśka to ważący 80 kilogramów pyton tygrysi. Wbrew groźnie brzmiącej nazwie jest łagodny” – zauważa dziennikarka<sup>70</sup>.

Kaśka to gigantyczny, sześciometrowy wąż – ozdoba kolekcji. On sam napisze w artykule: „Rodzina *Boidae* – dusiciele są rodziną pierwotną; zachowały resztki pasa miednicowego i ślady tylnych kończyn, które występują w postaci wystających łusek koło odbytu (u samców są nieco większe niż u samic). [...] Dusiciele charakteryzują się największą ruchliwością szczęk wśród gadów, co pozwala im połykać wielkie ofiary, które wcześniej duszą. Są odporne na głód, znane są przypadki poszczenia przez te węże nawet do 2 lat. Młode dusiciele, dobrze karmione, szybko rosną. Rekordowy przyrost obserwowałem w mojej hodowli, gdzie samica pytona tygrysięgo rosła przez pewien czas 1 cm dziennie. W ciągu trzech lat osiągnęła ona 5,20 m długości. Zjadła przez ten czas: 119 myszy, 43 szczury, 395 gołębi, 32 króliki. (Muszę zaznaczyć, że jak dostałem tego pytona, to mierzył 60 cm długości i ważył 17 dkg)”<sup>71</sup>.

Łukasz Sułowski, herpetolog, opowiada:

– Kiedyś kolega do niego przyszedł z chorym spanielem, który był do uśpienia. I tego psa dali do tej pytonicy. Jako biolog też uważam, że lepszy jest taki obrót białkiem czy węglem w przyrodzie niż utylizacja i spalanie. Brzmi to makabrycznie, ale natura by sobie poradziła z tym w podobny sposób, prawda?

Pyton tygrysi to jeden z największych węży świata. Najczęściej ma duże jasno- lub ciemnobrązowe nieregularne plamy oddzielone od siebie cienkimi jasnożółtymi pręgami. Jest silny i masywny.



W zależności od podgatunku może mierzyć nawet osiem metrów. Pyton rekordzista ważył prawie sto osiemdziesiąt trzy kilogramy, a w obwodzie mierzył siedemdziesiąt jeden centymetrów – więcej, niż topowe modelki mają w talii.

Wąż ten dobrze pływa i nurkuje oraz wspina się na drzewa. Ofiary atakuje z zaskoczenia – potrafi spędzić nieruchomo kilka godzin i oczekiwać na zbliżający się łup. Może również go śledzić, najpierw lokalizując zdobycz za pomocą zapachu lub wyczuwając ciepło ciała. Następnie łapie ofiarę w zęby, owija się wokół niej i zwiększa uścisk do momentu, gdy następuje śmierć poprzez uduszenie lub zatrzymanie akcji serca. Wtedy połyka ją w całości. Szczęki pytona mogą rozciągać się wokół naprawdę dużej zdobyczy. Na wolności atakuje nawet młode antylopy.

Wąż ten jest samotnikiem – z innymi pytonami spotyka się tylko w trakcie godów.

Dorosły osobnik może stwarzać zagrożenie dla życia człowieka jedynie wówczas, gdy jest głodny lub gdy się broni. Wtedy może się owinąć wokół człowieka i na przykład połamać mu kończyny. Może też w akcie obrony udusić.

W 2018 roku media opisują zaginięcie kobiety na wyspie Muna w Indonezji. Poszukiwania przeprowadzone przez miejscową ludność doprowadzają do ogromnego pytona z rozdętym brzuchem. „Mieszkańcy nie byli pewni, czy wąż zabił ofiarę, więc uśmiercili go – informuje szef lokalnej policji. – Brzuch węża został rozcięty i znaleziono w nim ciało ofiary”<sup>72</sup>.

Gdy później oglądam zdjęcia młodych koleżanek Leszka L. zrobione w jego mieszkaniu, które mają na szyi oplecionego ogromnego pytona, mam dreszcze.

\*

„Do śmierci zwierzęcia podchodzi z rutyną. Robi sekcję wraz z kolegą weterynarzem. – Muszę wiedzieć, na co umarł. Najczęściej przyczyną śmierci jest rak wątroby. Tylko Kaśce bym sekcji nie

robił. Wiadomo już, że umrze ze starości” – opowiada Leszek w styczniu 2000 roku<sup>73</sup>.

W marcu 2001 roku pyton Kaśka już nie żyje. Jej sześciometrowej długości skóra łąduje na ścianie w salonie Leszka, obok dłuższego o półtora metra pytona siatkowego.

Szkielet węża zawisa pod sufitem. Leszek sam go skleja. „To drobiazgowa robota, ciągle nie mam czasu na dokończenie”<sup>74</sup> – zwierza się dziennikarce.

Hodowca ma dużą wprawę w oprawianiu zwierząt. Była sąsiadka, Anna Janeczek, opowiada:

– Raz przyszedłam do niego wieczorem. „O, dobrze, że jesteś, to ci pokażę, jak się to robi” – mówi. Ja patrzę, a on bierze zabitego królika, tak sprytnie go w rękach obraca i nożem tę skórę zdziera. Wyciągnął skórę przez grzbiet i mówi: „Zobacz, otwieram i wrzucam”. I wpierdzielił zabite oskórowane króliki do krokodyla. Ja myślałam, że zemdleję jak to zobaczyłam, uciekłam stamtąd.

Rozmawiam z weterynarzem, z którym hodowca przeprowadzał sekcje zwłok zwierząt, Pawłem Słowińskim.

– Zdechł mu grzechotnik – opowiada. – Chciałem zobaczyć jego sekcję, więc przyniósł go do mnie do lecznicy i pocięliśmy go wzdłuż. Śmierdziało potwornie. I raz byłem u niego w domu, jak sekcjonował jakiegoś węża.

– Sam? U siebie w domu? – dziwię się.

– Nie, robił to jakiś naukowiec.

– I w mieszkaniu w kamienicy robił sekcję?

– Tak. Profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie pamiętam nazwiska. Hemopoezą węży się zajmował. Powycinał z tego węża, co mu było potrzebne do badań, i sobie poszedł.

Robienie sekcji zwłok węża na stole w mieszkaniu wydaje mi się nieco ekscentryczne.

– Gdy ktoś obcuje z krwią i zwłokami na co dzień, to nie jest to dla niego nic makabrycznego – tłumaczy weterynarz. – Na tym polega nauka, że się tnie trupy i ogląda od środka. On chciał pozyskać jakieś organy tego węża do dalszych badań.

Ale jak się okazuje, to nie koniec.

– U niego w domu poznałem też postać, która mi przyszła do głowy à *propos* tej zbrodni – rzuca znienacka Słowiński. – To był facet, który wyprawiał zwierzęta.

– O – mówię. – Pamięta pan, jak się nazywał?

– Nie... Opowiadał mi, że wyprawiał niedźwiedzia, który wpadł pod auto w Bieszczadach, dla któregoś muzeum. Pracował chyba w Muzeum Przyrodniczym czy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Chyba miał na imię Maciej.

Dzwonię do Muzeum Przyrodniczego w Krakowie. Udaje mi się ustalić, że od lat wypychaniem zwierząt zajmuje się tu Ukrainiec z pochodzenia Dymitr Filimonov. Mężczyzna mówi, że w latach dziewięćdziesiątych pracował z nim niejaki Maciej Kopeć, który uczył się od niego preparowania zwierząt. Od bratowej Macieja dowiaduję się z kolei, że Kopeć wypychał zwierzęta również z Leszkiem L.

– Leszek uczył go wypychać przy wódce – opowiada kobieta. – I to bardziej była okazja, żeby się napić, niż czegoś nauczyć. Maciej to był alkoholik, nieleczący się, nieprzyznający się do nałogu. Miał plan, że jak wypcha zwierzę, to je sprzeda, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Raz wypychał jakiegoś węża, który chyba zdechł Leszkowi, ale robił to gdzieś na działce i w zasadzie tylko zniszczył całą skórę.

Maciej Kopeć zostaje zwolniony z pracy w Muzeum Przyrodniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1998 roku. W 2005 roku trafia do więzienia.

– Robił za słupa i chyba tak wpadł – słyszała była bratowa Kopia.

– Miał długi, bo brał jakieś pożyczki, których nie spłacał. Później rozszedł się z żoną, zamieszkał z mamą i bardzo się awanturował. Policja u niej często bywała, bo dochodziło do rękoczynów. Maciej był bardzo agresywny po alkoholu i nie wiem, czy jeszcze czegoś nie brał, bo potrafił zachowywać się tak, że teściowa się go bała.

– Co robił?

– Potrafił na przykład wziąć swoją przybraną siostrę i rzucić nią o kaloryfer. Ona wtedy była drobną dziewczyną, chyba kończyła podstawówkę. W końcu się wyprowadził od matki i zamieszkał na ulicy.

Po rozstaniu z żoną Maciej mieszkał na działkach. Zmarł kilka lat temu.

\*

W 2001 roku ukazuje się kolejny tomik poetycki Józefa Janczewskiego zatytułowany *Iba ibi*. Na okładce w prawym dolnym rogu widnieje postać nagiej, zakrwawionej kobiety. Jej ciało jest pozbawione rąk i nóg. Wybrakowana skóra jest odcięta dokładnie na wysokości wzgórka łonowego. Wyraźnie widać pępek. Po jej lewym boku i pod ciałem kobiety pełzają... węże.

Na wysokości mostka znajduje się czarna kropka przypominająca pieprzyk. Katarzyna miała sześciomilimetrowe znamię usytuowane na mostku.

Józef przekonuje mnie, że to fragment obrazu *Sen*, którego autorem jest rumuński malarz Sándor Gábori-Gráboc. Janczewski miał skopiować rysunek z jakiegoś czasopisma. Jednak nie udaje mi się odnaleźć ani takiego obrazu, ani malarza o takim nazwisku.

Gdy spotykamy się ponownie po kilku miesiącach, znowu wypytuję Janczewskiego o obraz. Zakrwawiona dziewczyna, skóra wycięta dokładnie tak jak wyłowione z Wisły szczątki – gorset z zachowanymi miejscami intymnymi. Nie wierzę, że to przypadek. Józef mógł się zainspirować zabójstwem Katarzyny – gdy wyszła książka, Robert był już po pierwszym przesłuchaniu, o sprawie było głośno. Tylko dlaczego twierdzi, że obraz jest dziełem jakiegoś rumuńskiego malarza, o którym nikt nie słyszał?

Podbieram go ze wszystkich stron, żeby powiedział mi prawdę, ale upiera się, że skopiował obraz z czasopisma. Przechodzi mi przez głowę, że kłamie. A jeśli w tej sprawie nie mówi prawdy, to w innych też może.

Pewnego dnia, gdy poszukuję Jana Podborskiego, elektryka, który wytoczył Leszkowi L. proces, dzwoni Józef.

– Jest taki malarz, nazywa się Sándor Gábori – mówi. – Niech pani wpisze takie nazwisko do internetu.

Wrzucam je do sieci. Nie wyszukuję go od razu. Ale w końcu, na którejś z kolei stronie jest – Gábori Sándor.

Znajduję artystę i jego obraz *Álom (Sen)*, który Józef zamieścił na okładce swojej książki. Nie kłamał.

Robert napisze później w liście do rodziców: „[...] pokazano mi rysunek, który podobno odpowiada temu na okładce ojca tomiku poezji *Iba ibi*. Jak żyję, pierwszy raz widziałem taki rysunek”.

## Wczoraj byłem w sądzie (jutro też jadę)...

Wczoraj byłem w sądzie (jutro też jadę). Wczoraj zeznawać miały dwie K. Jedna – chodzi o tak zwaną siostrę moją przyrodną, zeznawała półtorej godziny, a prokurator wymyślał coraz to nowe pytania, w ogóle ze sprawą główną niezwiązane. Druga (Ewa K.) jako chora na schizofrenię paranoidalną od 1995 roku została odesłana do domu przez sąd, albowiem ma być powołany biegły sądowy psycholog, czy jej zeznania są w ogóle i na ile wiarygodne (a jest kilka jej zeznań na piśmie). Ma być wezwana ponownie. [...]

Sprawa jest bardzo poważna. Różne osoby zeznają. Powołano nawet moje byłe nauczycielki ze szkoły ogrodniczej sprzed czterdziestu lat. Miał też zeznawać Zygmunt A. Około ośmiu razy był przesłuchiwany, plus trzy razy na wariografie. Podejrzewam, że jemu od tego wszystkiego już się zaczęły pewne rzeczy mieszać. Mieszkanie obrócono mu do góry nogami, zdarto wykładziny podłogowe, zabrano prywatne rzeczy, długo nie mógł ich dostać z powrotem. Wreszcie gdy teraz miał zeznawać – może by coś wyjaśnił – umarł, o czym sama mi, Mama, pisałaś, że podano w internecie. [...]

A świadków, którzy poumierali już (w czasie trwania sprawy od jej początku), doliczyłem się około 49 osób. Wy sobie nawet nie potraficie wyobrazić, ile to jest nerwów ludzi, rewizji mieszkań, zakładów produkcyjnych, piwnic, zeznań, przesłuchań, nieprzyjemności, miliony wypowiedzianych słów. Wiem masę rzeczy o sprawie, bo przecież 4 miesiące czytałem, chciałbym Wam powiedzieć, ale nie mogę, bo jest zakazane.

## Pierwsza opinia psychologiczna...

Pierwsza opinia psychologiczna dotycząca charakterystyki nieznanego sprawcy zabójstwa, przygotowana przez biegłą z zakresu kryminalistyki, kryminologii i identyfikacji nieznanymi osób doktor nauk prawnych Elżbietę Żywucką-Kozłowską ze Szczecina, powstaje już w 2000 roku.

Biegła pisze, że nie zna tożsamości ofiary, choć śledczy już od roku wiedzą, że jest nią Katarzyna. Ów profil psychologiczny zostanie przesłany do prokuratury dopiero w lipcu 2012 roku. Być może dlatego, że zanim powstanie, śledztwo zostanie umorzone.

Żywucka-Kozłowska pisze:

1. Sprawcą zabójstwa NN kobiety jest osobnik płci męskiej, w wieku pomiędzy lat 25 a 40. Bliższe określenie wieku jest możliwe pod warunkiem uzyskania informacji o wieku ofiary;

2. W oparciu o przedłożone materiały nie można wnioskować o wzroście sprawcy. Klasycznie wyprowadza się takowy przy uwzględnieniu wzrostu ofiary oraz masy jej ciała. Niemniej jednak można ostrożnie przyjmować, że wzrost sprawcy odpowiada wysokości ciała ofiary z tolerancją do +5; -5 centymetrów;

3. Zabójstwa dokonał w bliskiej odległości od koryta rzeki, albowiem transportowanie części zwłok byłoby trudne na dalsze odległości. Można zatem przyjąć, że mieszka blisko przedmiotowego koryta rzeki, w odległości pozwalającej na przemieszczanie się z ładunkiem tak, by nie wzbudzić podejrzeń;

4. Dobrze zna teren, co przemawia za przyjęciem, że jest mieszkańcem Krakowa lub najbliższej okolicy;

5. Nie można wykluczyć, że sprawca znał ofiarę. Na tym etapie wskazać jedynie można, że zabójca nienawidzi kobiet. Wychowywał się w niepełnej rodzinie (bez ojca). W kontaktach ze znanymi mu kobietami jest nieśmiały, podporządkowany;

6. Wykształcenie: co najmniej średnie (jeśli nie wyższe). Przemawia za tym sposób działania sprawcy – precyzyjne preparowanie części ciała (odcięcie w miejscach anatomicznych). Nie można wykluczyć, że był studentem medycyny lub pracował na przykład w prosektorium;

7. Nie jest żonaty, nie posiada dzieci, mieszka z matką lub babką, którym jest podporządkowany; (w okresie abstynencji seksualnej);

8. W przeszłości dopuścił się podpalenia lub znęcał się nad zwierzętami (sadyistyczne zachowania);

9. Nie jest upośledzony umysłowo – świadczy o tym jego działanie (planowe);

10. Zabójstwo z lubieżności; prawdopodobnie zachował części ciała ofiary (fetyszizm);

11. Nie można wykluczyć, że nie spożył części ciała ofiary (np. fragmentów pośladków); za takim przyjęciem przemawia fakt, że pozbył się tych części ciała, które uznał za zbędne;

12. Przesadnie religijny (statystycznie 85% zabójców); może być członkiem chóru kościelnego lub też nadto często uczestniczyć w nabożeństwach;

13. Jest sprawcą, który działa seryjnie (sposób działania wskazuje na takowy); zabił i nadal będzie zabijał;

14. Wcześniej dopuścił się zgwałceń (lub usiłowań); były to przestępstwa, o których ofiary nie zameldowały (lub niewykryte);

15. Nie może odbyć normalnego stosunku z kobietą (na przykład – brak wzwodu itp.) lub też z powodu zbyt małego popędu płciowego do osoby – żywej;

16. Zachowanie sprawcy, sposób jego działania, szczególne okrucieństwo pozwalają na przyjęcie, że jest człowiekiem o psychopatycznych cechach osobowości; Może się leczyć psychiatrycznie z powodu depresji lub innego zespołu chorobowego;

17. Analizując przedłożony materiał poglądowy, można przyjmować, że ofiara zabójstwa była osobą dobrze, masywnie zbudowaną. Atak na taką osobę wymaga także znacznej siły, zwłaszcza przy „preparowaniu” skóry;



18. Sprawca interesuje się kulturą faszyzmu (w szerokim ujęciu); w okresie działań wojennych ludzka skóra wykorzystywana była jako materiał do oprawy książek, produkcji abażurów;

19. Analizując sposób oddzielenia skóry, należy wskazać, że sprawca prawdopodobnie (graniczy z pewnością) dokonał takowego łącznie ze skórą głowy – świadczy o tym zachowany fragment płotka małżowiny usznej; być może używał owego rekwizytu do „przymierzania sobie”.

Biegła dodaje, że według doświadczeń amerykańskich śledczych motyw zabójstwa mógł zostać zainspirowany filmem, reportażem lub doniesieniami prasowymi.

Pod koniec listopada 2002 roku w prasie ukazuje się informacja, że niemieckie laboratorium odkryło DNA mordercy studentki. Naukowcy dokonali tego, badając nitka po nitce elementy odzieży zamordowanej dziewczyny zabezpieczone przez policję w lipcu 2000. „To może oznaczać znaczny przełom w śledztwie. Mamy już wzór DNA i teraz zbadamy grupę wytypowanych przez nas potencjalnych zabójców. Czekamy też na pełny profil psychologiczny. Śledztwo znów ruszyło pełną parą – mówi prasie Dariusz Nowak, wówczas rzecznik małopolskiej policji. Dodaje: – Jeżeli wśród osób wytypowanych przez policję nie uda się znaleźć sprawcy, to próbki DNA zostaną pobrane od kilku tysięcy mężczyzn. Oznaczałoby to największą tego typu operację w Polsce”<sup>75</sup>.

Z całą pewnością nowo odkryty ślad nie pochodzi od Janczewskiego, bo mężczyzna zostałby natychmiast zatrzymany. O akcji badania kilku tysięcy mężczyzn też jakoś nie słyhać. Podczas zbierania materiału do książki ustalam, że była to potwierdzona przez rzecznika policji fałszywa informacja celowo wypuszczona do mediów, aby sprowokować zabójcę do wykonania panicznych ruchów.

Jednak nic takiego się nie dzieje.

Wówczas policjanci proszą o pomoc jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego z Człuchowa. W kwietniu i maju 2003 roku Jackowski

spędza kilkanaście godzin w pokoiku na ósmym piętrze krakowskiej komendy. Śledczy dają mu ulubioną maskotkę należącą do Katarzyny – małego, szmacianego, żółtego misia z białymi uszami.

– Niech pan weźmie do rąk tę zabawkę i spróbuje coś powiedzieć tak, jak pan to potrafi – zwraca się do niego jeden ze śledczych.

„Chwyciłem za misia, przez chwilę trzymałem go blisko czoła.

– Nie za bardzo mi idzie – powiedziałem po jakimś czasie. – Jedynie to mogę powiedzieć, że kojarzą mi się kościoły, różne kościoły. Dużo kościołów” [76](#).

Karol Suder, wówczas naczelnik wydziału zabójstw krakowskiej policji i szef nieformalnej jeszcze grupy Archiwum X, powie później: „Do sprawy Kaśki jego zdolności wykorzystywałem pozaprocesowo, czyli operacyjnie, co nie przekłada się na dowód w sądzie. I oceniam, że nie wniosły do sprawy nic konkretnego. Udostępniliśmy mu zdjęcie ofiary. W pierwszej, szybkiej wizji opowiadał o jej uwięzieniu, krępowaniu, o tym, że była świadoma tego, co ją czeka. Widział most nad rzeką. Podczas drugiej dowiedział się od nas, że mamy trochę ciała, że ofiara została obdarta ze skóry. Wówczas krzyknął: »O, kurwa!«. Stracił kontekst, za chwilę zaczął opowiadać o rysopisie sprawcy. W końcu zobowiązał się nawiązać ze mną kontakt, po pogłębieniu wizji. I – jak to wcześniej bywało – nie odezwał się” [77](#).

\*

„Wąż jadowity jest nieobliczalny. Kobra, hodowana przez człowieka od urodzenia, nie kieruje się żadnymi sentymentami. Użre w pierwszej dogodnej chwili, dlatego gdy idę je karmić, muszę być w dobrej formie psychicznej, bardzo skoncentrowany” – oznajmia dziennikarce Leszek L. [78](#).

W 2004 roku hodowca ma już w swojej kolekcji trzynaście jadowitych kobr, w tym kobry plujące, inaczej zwane malajskimi. Węże te osiągają długość nawet półtora metra. Mają nietypowy mechanizm obrony przed drapieżnikami: kiedy czują się zagrożone,

z dużą precyzją tryskają jadem w napastnika – potrafią trafić nawet z odległości dwóch metrów. Najczęściej celują w oczy. Następuje wówczas ostry ból, a czasami jad powoduje czasową lub trwałą ślepotę.

Gdy mają sposobność, węże te mogą też ukąsić. Kobra wprowadza wówczas przez zęby jadowe jad, który powoli rozprzestrzenia się w ciele ofiary. Ukąszenie ma wiele skutków, a najważniejszym jest śmiertelne działanie neurotoksyczne. Niecałą dobę po ataku następuje paraliż, który obejmuje kolejno: kończyny, szyję, kark, mięśnie, język, wargi i w końcu gardło. Mówienie początkowo staje się trudne, a w końcu niemożliwe. Wargę dolną opada i następuje ślinienie. Pacjent ma coraz większe trudności z połykaniem, a oddychanie staje się bolesne. Można także zaobserwować krwawienie z różnych otworów ciała.

Leszek L. jako biegły krakowskiego sądu herpetolog z całą pewnością to wszystko wie. W pewien styczniowy piątek 2004 roku udaje się do Przychodni Dębniaki przy ulicy Szwedzkiej na konsultację lekarską u internisty. „Po wejściu pacjenta do gabinetu lekarskiego, w czasie wypisywania recept, lekarz kątem oka zauważył wypelzającego z kieszeni kurtki pacjenta węza, który następnie wślizgnął się na biurko lekarza – napisze potem prokurator w komunikacie. – [...] Widząc ten fakt, lekarz, obawiając się o swoje zdrowie, odsunął się od biurka, na co Leszek L., chowając węza ponownie do kieszeni kurtki, oświadczył, aby się nie bał, bo to jest »tylko kobra malajska«”. Na tym wizyta u lekarza się zakończyła, ale godzinę później Leszek L. wrócił do przychodni, domagając się natychmiastowej pomocy lekarskiej. Z relacji przekazanej pracownicy rejestracji wynikało, że ukąsiła go kobra. Kiedy rejestratorka dopytywała się o to, co się stało, i skierowała go do dyżurnego chirurga, Leszek L. zaczął uderzać rękoma o szybę rejestracji i przez okienko wrzucił do środka kobrę, która odbiła się o brzuch rejestratorki i upadła na jej biurko. Przerazona rejestratorka schowała się za betonowy filar znajdujący się wewnątrz, a w tym czasie Leszek L. sięgnął po węza przez okienko w szybie i ponownie schował go do kieszeni kurtki” <sup>79</sup>.

„Dwadzieścia lat pracuję, ale czegoś takiego nie przeżyłam i więcej nie chcę – powie później rejestratorka dziennikarzowi »Super Expressu«. – Coś twardego odbiło się ode mnie, upadło na biurko i zobaczyłam, że to żywy wąż”<sup>80</sup>.

Następnie ukąszony w rękę Leszek L. udaje się z metrową kobrą na pierwsze piętro do gabinetu chirurga, gdzie pielęgniarki zakładają mu opaskę uciskową i wzywają pogotowie.

„Niespodziewanie podczas udzielania pomocy medycznej z kieszeni kurtki kobra wysunęła łeb i opluła twarz jednej z pielęgniarek. – Na szczęście koleżanka miała okulary, szybko przemyła buzię. Byłyśmy w szoku – wspomina kobieta. Chwilę później zauważyły, że Lesław L. słabnie, traci puls. – Zdążył jeszcze wyjąć węża i zdeptać go. Tylko ogon wił się we wszystkie strony”<sup>81</sup>.

Leszek L. zostaje przewieziony karetką do izby przyjęć Kliniki Toksykologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zgłasza silny ból lewej ręki. Obrzęk dłoni sięga nadgarstka. Biegły dostaje lek przeciwbólowy i okład z lodu. Na jad kobry nie ma bowiem lekarstwa. Profesor Zbigniew Dąbrowski odwiedzi go później w szpitalu:

– Ta ręka była dosłownie jak udo – opowiada.

Hodowca spędza w lecznicy ponad trzy tygodnie. Jeden palec trzeba amputować, bo wdała się martwica. Pacjent mówi lekarzom, że w przeszłości był już kilkakrotnie ukąszony, między innymi przez kobrę, grzechotnika straszliwego, zmiję sykliwą i zmiję nosorogą.

Rejestratorka składa doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez biegłego sądowego. Jej zdaniem, przychodząc z kobrą malajską, bardzo jadowitym i niebezpiecznym węzem do publicznej przychodni, Leszek L. stworzył realne zagrożenie dla życia i zdrowia jej i innych znajdujących się tam osób. „Z tego względu przedstawione mu zostały zarzuty narażenia rejestratorki na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub spowodowania ciężkiego uszczerbku na jej zdrowiu poprzez wrzucenie do pomieszczenia rejestracji kobry malajskiej oraz nieumyślnego narażenia na bezpośrednie niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia

lekarza, poprzez dopuszczenie do wpełznięcia węża na jego biurko”  
– ogłasza prokurator.

Leszek L. nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że był przekonany, że wąż jest martwy. „Jego wyjaśnieniom prokurator nie dał wiary, biorąc pod uwagę fakt, że Leszek L. jest biegłym sądowym, posiadającym specjalistyczną wiedzę na temat gadów i płazów, zatem mogącym rozpoznać stan węża i mającym pełną świadomość zagrożenia dla życia i zdrowia wskutek ugryzienia kobry malajskiej”  
– argumentuje prokurator.

W listopadzie 2004 roku do sądu trafia akt oskarżenia. I wtedy zaczyna się szopka.

Leszek L. zeznaje, że dostał wezwanie z policji, iż pod mostem Grunwaldzkim znaleziono węża. Jako biegły poszedł go obejrzeć. Stwierdził, że gad leży do góry brzuchem i jest zamrożony, czyli zahibernowany. Wziął go do ręki, postukał w twarde ciało. Uznał, że jest martwy. Włożył więc sobie kobrę malajską do kieszeni.

– A wąż się rozhibernował od ciepła jego ciała i go wtedy ugryzł – opowiada Łukasz Sułowski. – Tak wymyślił i tak mówił w sądzie.

Na jego procesie Sułowski zeznaje jako biegły herpetolog. Ma odpowiedzieć na pytanie, co by zrobił, gdyby dostał takie wezwanie z policji.

– Zeznałem, że pierwsze, co bym wziął, to jakieś szczypce, pesetę, hak ofiologiczny, worek na gada, a nie wsadzał kobrę do kieszeni.

Sąd pierwszej instancji skazuje Leszka L. na karę grzywny, ale hodowca odwołuje się od wyroku. Twierdzi, że recepcjonistka nie traktowała go poważnie ani nie udzieliła mu pomocy, gdy „umierał”, dlatego musiał wyjąć węża.

14 lutego 2007 roku, w walentynki, krakowski sąd okręgowy oczyszcza biegłego z zarzutu narażenia recepcjonistki na utratę życia lub kalectwo poprzez rzucenie w nią jadowitym wężem. Sąd uznaje, że mężczyzna działał w stanie wyższej konieczności, by zmusić recepcjonistkę do działania, ponieważ był bliski śmierci po ukąszeniu przez węża. Stwierdza także, że w świetle zmiennych i sprzecznych ze sobą zeznań kobiety nie można jednoznacznie ustalić, jak wyglądało zdarzenie i czy doszło do zagrożenia jej życia.

Tydzień później ten sam sąd zwalnia go z funkcji biegłego sądowego z zakresu niebezpiecznych jadowitych gadów. Leszek L. przechodzi na rentę, bo po wypadku ma niesprawną rękę. Po uniewinniającym wyroku składa doniesienie na rejestratorkę. Oskarża ją, że nie tylko nie udzieliła mu pomocy, ale też drwiła z niego i zarzucała mu, że jest pijany.

Jeszcze pół roku po jego śmierci w krakowskim sądzie będzie się toczyć sprawa, w której nigdy niekarana recepcjonistka, matka pięciorga dzieci, zostanie oskarżona o to, że nie udzieliła pomocy biegłemu sądowemu, który „umierał”, przypadkowo pokąsany przez kobrę.

\*

W szpitalu Leszek poznaje doktor Lidie Winnik, która opiekuje się nim na oddziale toksykologii. Dziś doktor twierdzi, że łączyła ich jedynie relacja pacjent – lekarka. Jednak w 2005 roku publikują wspólny artykuł w „Przeglądzie Lekarskim” pod znamienym tytułem *Niebezpieczne, nielegalne hodowle*. Doktor Winnik pracuje wówczas w Katedrze Toksykologii Klinicznej i Środowiskowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Leszek L. zaś zostaje przedstawiony jako krajowy specjalista do spraw ratownictwa Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej, a także biegły sądowy w zakresie niebezpiecznych, egzotycznych zwierząt.

W tekście tym autorzy opisują problem hodowli zwierząt egzotycznych, w szczególności jadowitych węży, których posiadanie może być niebezpieczne nie tylko dla właściciela, ale także dla osób postronnych. „Obowiązujące ograniczenia sprzyjają nielegalnemu pozyskiwaniu tych zwierząt i handlu nimi, a według obecnych danych nielegalny handel takimi zwierzętami oraz wyrobami z nich pozyskanymi jest na trzecim miejscu po handlu narkotykami i bronią pod względem dochodów pochodzących z przestępstwa. W naszym kraju obserwuje się lawinowy wzrost sprzedaży oraz przetrzymywania takich zwierząt. Często takie zwierzęta wymykają się spod kontroli bądź są porzucane przez właścicieli”. – Dalej

w tekście autorzy zauważają: „Przykładami potwierdzającymi istnienie realnego zagrożenia są następujące zdarzenia. W marcu 1993 roku w pociągu skradziono pasażerowi torbę, w której przewożone były dwa grzechotniki. Złodziej, zorientowawszy się w zawartości skradzionego bagażu, porzucił węże w miejscach szczególnie uczęszczanych przez ludzi; jednego na Plantach w okolicy Barbakanu, a drugiego dzień później w sądzie, co było realnym stworzeniem zagrożenia dla wielu ludzi. Drugim podobnym takim wypadkiem było znalezienie w 1995 roku grzechotnika pod mostem Grunwaldzkim w Krakowie.

Zdarzają się również przypadki pokąsania hodowców przez węże jadowe, co często kończy się pobytem w Klinice Toksykologii CM UJ w Krakowie. W 2002 roku hospitalizowany był pacjent ukąszony przez mokasy na błotnego, w 2003 roku odnotowano ukąszenie przez kobrę indyjską, a w 2004 roku ukąszenie przez kobrę plującą”<sup>82</sup>.

Leszek nie zdradza, że on sam był osobą pokąsaną, a do przychodni pełnej ludzi przyszedł z węzem w kieszeni.

\*

W 2007 roku w czasopiśmie „Legal Medicine” [„Medycyna Prawna”] ukazuje się artykuł naukowy *Corpse dismemberment in the material collected by the Department of Forensic Medicine, Cracow, Poland* [Rozczłonkowanie zwłok w materiale zgromadzonym przez Zakład Medycyny Sądowej w Krakowie]. Autorzy analizują w nim dwadzieścia trzy przypadki rozczłonkowanych ciał zbadanych przez krakowski Zakład Medycyny Sądowej w latach 1968–2005. Sprawa Katarzyny oznaczona jest numerem 16. Autorzy piszą:

Sprawa 16 była najbardziej nietypowym przypadkiem okaleczenia na tle przestępczym badanym w naszym dziale na przestrzeni ostatnich 120 lat, czyli w okresie, którego dotyczą posiadane przez nas protokoły sekcyjne.

Załoga holownika pływającego po Wiśle znalazła płachtę materiału zaplątaną w wał śruby napędowej, która po rozwinięciu okazała się ludzką skórą. Początkowo podejrzewano, że śruba holownika albo innego statku pływającego po rzece rozerwała ludzkie zwłoki. Po ułożeniu płata skóry w pozycji anatomicznej stało się jasne, że jest to usunięta chirurgicznie cała powłoka kobiecego ciała wraz z warstwą podskórnej tkanki tłuszczowej oraz z widocznym rozkładem. Kończyny górne były obustronnie obcięte na wysokości stawu barkowego; na szyi skóra sięgała poziomu żuchwy i małżowiny usznej. Dolne kończyny zostały odcięte na równi z pachwinami, pośladki także amputowano symetrycznie, z wąskim pasem skóry zostawionym w okolicach krocza. Na skórze widać było rozległe, głębokie otarcia, bez zauważalnych siniaków, tkanka jednak uległa już rozkładowi. Niedaleko w rzece pływały odcięte pośladki i fragment sieci większej (blaszka otrzewnej). Kilka dni później na kracie wlotowej elektrowni wodnej położonej nad Wisłą zatrzymała się prawa dolna kończyna, która – jak wykazali śledczy – pochodziła z tych samych zwłok. Zdjęcia rentgenowskie, a następnie szczegółowe badania przeprowadzone po zmacerowaniu kości pokazały liczne złamania; kość udowa i strzałkowa charakteryzowały się złamaniem klinowym, kość udowa połączona była w stawie biodrowym z prawie kompletnymi kośćmi miednicy i fragmentem kości krzyżowej.

W trakcie śledztwa przyjęto, że sprawca kierował się motywami seksualnymi. Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku w okolicach Poznania działał przestępca, który wykopywał z grobów zwłoki kobiet, wycinał im narządy płciowe i wykorzystywał je do praktyk seksualnych (niestety sprawa nie została nigdy opisana). Za ostatnim razem, tuż przed aresztowaniem, wyciął skórę z całej przedniej części tułowia wraz z piersiami i organami płciowymi. Podobny przypadek zrelacjonował Ehrlich. Sprawca wydobył ciało z ziemi i wyciął skórę z całego tułowia. Postawiono hipotezę, że również w tym wypadku przestępca chciał przygotować ciało kobiety w nieokreślonym celu seksualnym. Brano pod uwagę możliwość,



że oprawca mógł chcieć założyć wyciętą skórę jako szatę lub ubranie, podobnie jak uczynił to Hannibal Lecter, bohater filmu *Milczenie owiec* [a dokładnie Buffalo Bill – przyp. aut.]. Na początkowym etapie, z uwagi na podobieństwo czynów, czyn utożsamiono z przestępcą ze sprawy 17 [oskaldowania ojca dokonanego przez Władimira W. – przyp. aut.], czego jednak nie udało się udowodnić.

O ile sprawa 16 rzeczywiście miała podłoże seksualne, to dowody widoczne na ciele budzą wątpliwości, czy zwłoki padły ofiarą zabójstwa. Rozległe otarcia naskórka zajmujące znaczną powierzchnię skóry, duża liczba złamań, a zwłaszcza obecność złamań klinowych już na początku śledztwa sugerowały, że ofiara zginęła w wypadku drogowym lub w wyniku podobnego ciężkiego urazu, na przykład upadku z dużej wysokości. Gdyby osoba, która okaleczyła ciało, była jednocześnie sprawcą zabójstwa, musiałaby popełnić to przestępstwo, potrącając ofiarę samochodem albo zrzucając kobietę z dużej wysokości. Fakt ten narzuca konieczność uwzględnienia, że przestępca nie zabił ofiary, a jedynie znalazł zwłoki kobiety, rozczłonkował je i pozbawił skóry. Z drugiej strony teoria o ciężkim urazie zaproponowana na podstawie sekcji zwłok została zakwestionowana. Powoływano się na argumenty, że otarcia naskórka powstały w momencie zaplątania się skóry wokół wału śruby napędowej holownika, natomiast złamania kości podczas wyciągania kończyny z rzeki. Nogę znaleziono zaplątaną w oprzyrządowanie, które czyści kratę wlotową elektrowni wodnej. Urządzenie przypomina ogromny grzebień ważący kilkanaście ton, a jego zadaniem jest usuwanie unoszących się w wodzie śmieci, na przykład pni drzew. To rzeczywiście mogło spowodować złamanie kości. Jednak metoda zastosowana podczas odcinania kończyny dolnej sugeruje, że złamania musiały zostać zadane przed rozczłonkowaniem. Sprawca nie przeciął kości udowej ani nie oddzielił nogi, lecz odciął udo wraz z odłamanymi fragmentami miednicy i kości krzyżowej, co wskazuje na to, że złamania tych kości musiały nastąpić, zanim doszło do rozczłonkowania. Złamania miednicy, zwłaszcza

obejmujące kość krzyżową, nawet w najcięższych przypadkach nie są wynikiem pobicia, są raczej częstym następstwem rozległych urazów wielonarządowych. W żadnym z przedstawionych powyżej przypadków okaleczeń na tle przestępczym nie stwierdzono złamania kości miednicy. [...]

Najbardziej jednak znaczącym argumentem przemawiającym na rzecz rozległych obrażeń jako przyczyny śmierci było odnalezienie przypominających rozstępy rozdarć na skórze czy równoległych powierzchniowych pęknięć skóry. Takie rozdarcie ma miejsce, kiedy skóra na powierzchni przeciwległej do urazu nagle gwałtownie się rozciąga, przykładowo gdy pojazd uderza ofiarę od tyłu, rozstępy skóry pojawiają się równolegle do pachwin. Rozstępy obserwuje się u osób uderzonych przez samochody poruszające się z prędkością powyżej 80 km/godz. Opisywano je jednak również u ofiar upadków z dużej wysokości, pasażerów pojazdów rozbitych w wypadkach drogowych i na skórze twarzy po strzale z bliskiej odległości, kiedy w tkance podskórnej w wyniku rozprężenia gazu wylotowego powstają rozstępy. W przedstawionej sprawie rozdarcia przypominające rozstępy na skórze zauważono na tylnej powierzchni górnej części nogi, obejmującej dolny odcinek i nieco powyżej, w pobliżu miejsca odcięcia kończyny. To ostatnie obrażenie dowodzi także, że nie mogło zostać zadane po wrzuceniu szczątków do rzeki. Zaobserwowano je na dwóch fragmentach zwłok, znalezionych osobno w odstępie kilku dni. Te same rozdarcia zauważono na dolnej krawędzi prawego pośladka, który też wyłowiono z wody wraz ze skórą niegdyś pokrywającą tułów. Udało się dopasować krawędzie odciętego uda i pośladka, co pokazało, że linia cięcia przechodziła przez obszar rozstępów. Tym samym obrażenia musiały powstać przed rozczłonkowaniem, co wyklucza możliwość ich zadania przez wał śruby napędowej łodzi albo urządzenie usuwające śmieci zamontowane na kracie wlotowej elektrowni wodnej<sup>83</sup>.

Współautor powyższego opracowania docent Tomasz Konopka z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, ekspert, który jako pierwszy badał wyłowioną skórę, jeszcze w styczniu 2012 roku mówi dziennikarzowi: „Jestem przekonany, że ten, kto pokawałkował ciało i ściągnął skórę, nie zabił studentki. Mógł znaleźć jej ciało po wypadku i ściągnąć skórę”<sup>84</sup>.

Świadczą o tym rozległe otarcia skóry, liczne złamania kończyny (w szczególności złamania klinowe), kości krzyżowej i miednicy ofiary. Również specyficzne rozdarcia skóry przypominające rozstępy są typowe dla uderzenia w ciało rozpędzonego samochodu lub upadku z dużej wysokości.

„Rozważałem możliwość, że zostawiła je maszyna, czyli czyszczarka, rodzaj wielkiego grzebienia przy stopniu wodnym Dąbie, tam gdzie znaleziono nogę – dodaje docent Konopka. – Jednak ona też nie mogłaby spowodować rozstępów, co najwyżej złamania. Poza tym w żadnej publikacji, żadnym badaniu nie spotkałem się z opisem innych przyczyn tych rozstępów niż te trzy wspomniane wcześniej.

Lekarz podkreśla, że osoba, która rozkawałkowała ciało, zrobiła to umiejętnie. Użyła ostrego narzędzia.

– W skórze przy barku widać było, że poprawiała kilka razy. To były bardzo precyzyjne cięcia. To by sugerowało, że oskórowania dokonała osoba, która na co dzień posługuje się skalpelem, na przykład kuśnierz, rzeźnik, myśliwy czy chirurg”<sup>85</sup>.

\*

– Leszek przyszedł do męża w przeddzień śmierci, opuchnięty, skacowany. Ledwo powłóczył nogami – opowiada mieszkanka kamienicy przy Smoleńsk. – Mąż powiedział do niego: „Strasznie źle wyglądasz. Idź jakiegoś klina się napij czy coś”. „Nie, nie, bo jutro z węzami jadę do szkoły. Nie mogę”.

Następnego dnia kobieta słyszy w mieszkaniu powyżej huk. Zagaduje na korytarzu sąsiadkę:

- Słyszała pani tąpnięcie u L.? Dziwne to było.
- Słyszałam, słyszałam, aż mi się lampa zatrzęsa – potwierdza tamta.

Kolejnego dnia mama Leszka od rana wydzwania do syna, ale ten nie odbiera. W końcu wybiera numer do współpracownika, z którym hodowca jeździ do szkół.

- Proszę pana, dzwonię do Leszka, ale nie odbiera telefonu. A przecież mieliście jechać na prelekcję...

– On się w ogóle nie odezwał – odpowiada mężczyzna.

Kobieta jest już bardzo zaniepokojona, ale nie ma klucza do mieszkania syna. Biegnie do wnuczki po klucz, a potem do kamienicy.

- Mam taką prośbę, nie wyszłaby tam pani ze mną? – zaczepia sąsiadkę. – Jego pracownik był u niego rano, mieli razem jechać do szkoły na pokaz węży, ale nie mógł otworzyć drzwi. Ja się sama boję.

– Wie pani co, ja też się boję – odpowiada kobieta. – Bo to wiadomo, co tam człowiek zastanie?

Oprócz jadowitych gadów Leszek L. od jakiegoś czasu opiekuje się też pitbulem córki.

- Poczekajmy na mojego męża – proponuje sąsiadka.

Kobieta dzwoni do małżonka. Ten urywa się z pracy i próbuje wejść do mieszkania Leszka, ale nie może otworzyć pancernych drzwi. W końcu dostają się do środka. Światła są pozapalane. „Rany boskie, Leszek leży” – mówi nagle sąsiad.

- Leżał jak długi, a pies na nim, wył. Nie chciał odejść. Coś okropnego – opowiada matka hodowcy.

Kobieta wzywa pogotowie. Pierwsi w mieszkaniu pojawiają się policjanci z komisariatu Biały Domek.

- Oni dużo wiedzieli – stwierdza matka Leszka. – Pierwsi weszli do domu, bo to ten Biały Domek wszystko prowadził. Wszystko sprawdzali, przez tydzień tam przecież byli. Czegoś szukali, nie wiem czego. Wszystkie papiery przepatrzyli, zdjęcia. – Po chwili dodaje: – Nie wiem, czy coś pozabierali, ale wszystko było porozwalane. On miał wszystko ładnie poukładane, bo był bardzo

pedantyczny. Wszystko porozwalali. Mówili: „A, przecież on już nie żyje...”.

Usiłuję się dowiedzieć, czy Leszek L. był oficjalnie zatrudniony w milicji albo policji. Wysłałam zapytanie do młodszego inspektora Sebastiana Glenia, rzecznika małopolskiej policji. Odpisuje, że po pierwsze nie udowodniłam mu wystarczająco, że jestem dziennikarką, a on na pytania obywateli nie odpowiada. Poza tym – pisze Glen – „Ustawa o dostępie do informacji publicznej stanowi, że prawo do informacji publicznej podlega ograniczeniu ze względu na prywatność osoby fizycznej. Ograniczenie to co prawda nie dotyczy informacji o osobach pełniących funkcje publiczne – ale pełniących je aktualnie. Zatem nie mamy podstaw do publicznego ewentualnego potwierdzania faktu zatrudnienia w przeszłości w naszych szeregach konkretnych osób fizycznych”.

Komenda Miejska Policji w Krakowie zaś odpowiada, że Leszek L. nigdy nie był zatrudniony w jej strukturach.

Matka Leszka długo czeka na wyniki sekcji zwłok.

– Dzwoniłam nawet do Białego Domku, mówiłam: „Chcę dziecko pochować. Dajcie mi jego dowód, żebym pozatratowała sprawy”. No bo ileż może chłopak leżeć?

W końcu przychodzi wynik.

– Powiedzieli, że był obszerny zawał serca – opowiada matka. – Ja mówię: „Boże kochany, leżał sam, nie było nikogo. Męczył się, a pies przy nim. Całą noc i pół dnia”.

Jednak na grobie na cmentarzu w Grębałowie widnieje informacja, że Leszek L. zmarł 24 kwietnia 2007 roku, czyli tego samego dnia, w którym został znaleziony. O ironio, jest to Światowy Dzień Zwierząt Laboratoryjnych.

Następnego dnia po znalezieniu hodowcy do jego mieszkania zostaje wezwany między innymi Marcin Pałys, powiatowy inspektor weterynarii. Razem z pracownikami gadziarni z zoo mają oznaczyć zwierzęta w terrariach. Pałys wspomina, że gdy przyszli, wszystkie terraria były zamknięte, a gady dobrze zabezpieczone. Potem córka zmarłego przejęła mieszkanie razem z hodowlą.

Z kolei herpetolog Łukasz Sułowski, który również zostaje tam wezwany, relacjonuje:

– Niektóre terraria były puste. Było podejrzenie, że po pijaku przed śmiercią je pootwierał. Dostałem hak ofiologiczny, wszedłem tam i pod szafami, pod komodami sprawdzałem, czy jakieś gady nie biegają luzem. Okazało się, że nie. Na podłodze był ślad po Leszku zaznaczony kredą, jak w kryminałach. Okna pozasłaniane. Zresztą tam w ogóle było ciemno, bo na szybach miał wylinki węży, duże, z pytonów. Potem jego córka do mnie dzwoniła, bo chciała upłynnić te gady.

7 maja odbywa się pogrzeb Leszka L. Na uroczystość przychodzi bardzo dużo ludzi.

– Aż mnie to troszeczkę zdziwiło, przyznam szczerze – stwierdza sąsiadka.

– Nieprawdopodobnie fałszował trębacz, który grał mu na pożegnanie – wspomina Maria Osuch, prezeska Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. – Obok mnie stała akurat koleżanka pana Leszka, pracownica sądowa, mówię jej: „Boże, jak on strasznie fałszuje”. Nie mogłam już tego wytrzymać. A ona na to: „Proszę pani, to dlatego, że on płacze”. Grał i żegnając się z nim, płakał.

Nie udaje mi się ustalić, jak się nazywała pracownica krakowskiego sądu, która była koleżanką Leszka L.

\*

Po śmierci Leszka Robert Janczewski odwiedza jego matkę. Przychodzi w Dzień Matki i przynosi jej kwiaty. Kobieta jest trochę zdziwiona, bo nie widziała go od 1990 roku, kiedy jej syn wyprowadził się z domu.

– Przyszedłem złożyć pani życzenia – oznajmia Janczewski. – Chciałbym się panią zaopiekować, bo córki nie ma z panią, a syn nie żyje...

Matka Leszka jest sama w mieszkaniu, ale wpuszcza Roberta do środka, częstuje go sokiem.

– Poszłaby pani ze mną na cmentarz, na grób Leszka? – pyta Janczewski.

– Nie, nie jestem w stanie z panem pójść. A zresztą po co pan chce tam iść?

– No bo chciałem zobaczyć, gdzie jest jego grób...

– To pan nie był na pogrzebie?

– Nie, nie byłem.

– To niech pan jedzie na cmentarz, powiedzą panu, gdzie leży.

Robert przyjeżdża do niej na rowerze jeszcze dwa razy. W końcu kobieta mówi mu, żeby więcej nie przychodził. Jej córka dorzuca coś ostro w rozmowie telefonicznej, gdy do niej dzwoni.

– Jak go nie wpuściłam, to później przez telefon głupstwa mówił – wspomina matka Leszka.

Dzwoni do niej rano i wieczorem i charczy do słuchawki.

– Nie wiedziałam, że jest posądzony o to morderstwo – opowiada kobieta. – Leszek nigdy mi nawet słówka o tym nie powiedział. Teraz dopiero się dowiedziałam, że to syn go podał. Nie wiedziałam nic, kompletnie. Nie wiadomo, czego ten Robert ode mnie chciał. Wie pani, w jakim byłam niebezpieczeństwie? Nikt mnie nie ostrzegł.

Policja rzeczywiście może wiedzieć o telefonach Roberta do matki Leszka, bo w 2006 i 2007 roku prowadzi operację z wykorzystaniem podsłuchów o kryptonimach „Tryton” i „Tryton 1”. Ale matki Leszka nie ostrzega.

Z kolei Janczewski, gdy odwiedza kobietę, nie ma pojęcia, że to jej syn na niego doniósł. Dowie się dopiero, gdy kilkanaście lat później w areszcie będzie czytał akta sprawy.

## Jako „stwarzającemu poważne zagrożenie...

*Jako „stwarzającemu poważne zagrożenie dla zakładu” (karnego) dostałem jak zwykle przedłużenie na kolejne trzy miesiące w izolatce. Już nie liczę, która to była komisja. Codziennie boli mnie głowa, ogólnie czuję się źle. Te trzy lata w więzieniach kosztowały mnie tyle, co sześć lat na wolności. Tak mnie to wszystko wyeksploatowało. Jestem rozżalony i rozgoryczony. A jeszcze dopiszę, że oprócz tego miesięcy i lat, które mijają bezpowrotnie – życia jako wartości niewymiernej nie zwróci mi nikt. Jestem skrajnie zmęczony w wieku 55,5 roku. [...]*

*Sprawa jest bardzo poważna w sądzie w Krakowie, ponieważ zrobiono poszlaki, z czego się tylko dało, nawet pojedynczych zdań z książek ojca, bądź danych akapitów. Jest też 23 świadków incognito i anonimowych. W twarz mi nic nie powiedziano, tylko robiono za plecami. Cuda pozeznavali. [...]*

*Co kilka dni popadam w ciężkie parodniowe depresje i załamania nerwowe. Płaczę. Jestem skrajnie zmęczony jakością mojego całego życia, a teraz jeszcze obecną moją sytuacją.*



## Po śmierci Leszka L...

Po śmierci Leszka L. postępowanie operacyjne o kryptonimie „Skóra” nabiera rozpędu. Prowadzi je ten sam zespół policjantów krakowskiej komendy wojewódzkiej, od 2005 roku oficjalnie jako pierwszy w Polsce etatowy zespół do spraw niewykrytych zabójstw, nazywany potocznie Archiwum X. Po odejściu Karola Sudera na emeryturę jego szefem zostaje Bogdan Michalec.

– Wszystko zaczęło się od słów Jadwigi, że Józef dzierżawi działkę w Balicach – opowiada Halina Kutyla, była znajoma Janczewskiego. – Ta informacja na pewno wyszła od niej. Powiedziała kiedyś Ziutkowi: „Nigdy w życiu mnie nie zapomnisz, ja cię zniszczę”.

W sierpniu 2007 roku policjanci przyjeżdżają do Haliny i na wejściu pytają:

– Czy to prawda, że Józef Janczewski dzierżawi działkę od Janusza Kutyla?

– Nic podobnego – odpowiada Halina.

Kobieta tłumaczy funkcjonariuszom, że w latach osiemdziesiątych Józef miał klucze do domku na działce w Balicach, ale gdy pewnego dnia przyjechał tam z inną znajomą, Janusz mu je zabrał.

Policjanci proszą, żeby Halina pojechała z nimi na działkę, bo chcą przeszukać teren. Jednak kobieta jest świeżo po operacji kręgosłupa, poprzedniego dnia wyszła ze szpitala zakuta w gorset. Mówi im, że to niemożliwe. Śledczy jadą więc na działkę bez niej. Rozmawiają z Januszem Kutylą.

– Czy przebywał tutaj pan Janczewski? – pytają.

– Czasami tak, ponieważ udostępniłem klucze mojej byłej żonie, żeby sobie odpoczywała – odpowiada Janusz. – Mnie tu nie było po kilka miesięcy.

– A bywał tu jego syn?

– Nie wiem, raz podobno był, obaj malowali mi kraty w oknach.

Później Józef powie, że Robert nigdy na działce w Balicach nie malował żadnych krat.

Dziś Janusz opowiada:

– Jak przyjechała pierwsza ekipa, nie powiedziała mi, o co chodzi. Tylko że w sprawie o morderstwo. Ale padło nazwisko Janczewskiego.

Policjanci przez trzy dni przeszukują jego działkę. Rozstawiają sobie grilla i w przerwach pieką kiełbasy.

– Byli bardzo uprzejmi, wynieśli wszystkie meble – opowiada Janusz. – Potem wszystko z powrotem wnieśli, pytając, czy życzę sobie, żeby czegoś nie wnosić.

Janusz tłumaczy śledczym, że Robert, poza tym jednym czy dwoma razami, nie przyjeżdżał na jego działkę. Ogródek leży dość wysoko, jest trudno dostępny bez samochodu, a i nim niełatwo tam trafić. Od podmiejskiego autobusu stromą polną drogą trzeba się wdrapywać ponad pół godziny.

– Poza tym wątpię, żeby stary Janczewski dał mu klucz – dodaje Janusz. – Nigdy nie było tak, żebym tu zastał ich razem. Bo nieraz zniecka tutaj wpadałem.

– A czy Robert mógł tu przyjeżdżać z dziewczynami? – pytam.

– Nie, nie, nie, absolutnie nie. Gdzieś bym słyszał, że był tu z jakąś dziewczyną.

Janusz twierdzi też, że jest niemożliwe, żeby Katarzyna bywała na tej działce.

– Bzdura. To Jadwiga mogła zeznać jakieś głupoty – mówi.

– Robert nie miał samochodu – dodaje Halina Kutyla. – I nie mógł wziąć auta Ziutka, bo on go nikomu nie pożyczał.

Śledczy szukają jednak ustronnego pomieszczenia, gdzie Robert mógł dokonać brutalnego morderstwa. Przez dwa dni przeszukują ogród. Wszystko pryskają luminolem. Pobierają ślady biologiczne od Janusza. Pewnego dnia wynoszą coś z piwnicy w worku.

– Znaleźliśmy zwłoki! – krzyczy jeden.

– A mnie, kurwa, włosy dęba stanęły – opowiada mężczyzna. – Myślę: No to podrzucili mi zwłoki! Otwierają ten worek, a tam moja bidna Mufka [kotka domowa – przyp. aut.]. Umarła w piwnicy. Takie jaja se robili.

Przeszukanie działki nie przynosi żadnych efektów. Poza zdechłym kotem policjanci nie znajdują żadnych dowodów, że Katarzyna była tu więziona i zamordowana.

\*

Śledczy szukają pomocy u specjalistów z FBI. Dwa razy jadą do Wiednia, gdzie stacjonuje Thomas Müller, psycholog i analityk kryminalny, uczeń słynnego profilerka Roberta Resslera. Müller ogląda zdjęcia z sekcji zwłok Katarzyny. Potwierdza, że była to zbrodnia na tle seksualnym.

Z analiz FBI wynika, że w przypadku tak wynaturzonych pragnień o podłożu seksualnym głód dalszych doznań okazuje się silniejszy od człowieka. Morderca zawsze szuka podobnej satysfakcji i jako że nie potrafi nad tym pragnieniem zapanować, zabija ponownie. Profiler z Wiednia jest pewny, że sprawca jest seryjnym zabójcą i powtórzy atak.

Ekspert przygotowuje własną analizę psychologiczną mordercy Kasi. Wynika z niej, że jest cichym i niebudzącym niczyich podejrzeń ekscentrykiem z trudnym dzieciństwem i homoseksualnymi skłonnościami. Sposób okaleczenia dziewczyny specjalista porównuje do obrażeń ofiar Eda Geina, amerykańskiego mordercy. To na jego postaci wzorowany jest Buffalo Bill, bohater filmu *Milczenie owiec* z 1991 roku.

Gein urodził się 27 sierpnia 1906 roku w Wisconsin jako młodszy syn Augusty i George'a. Jego starszy brat Henry miał wtedy siedem lat. Według źródeł Augusta była kobietą fanatycznie religijną, która wychowywała dzieci zgodnie ze swoim surowym kodeksem moralnym. Świat był dla niej pełen grzeszników, a jedyną ucieczką od wszechobecnego zepsucia miało być codzienne czytanie i rozważanie Biblii.

Augusta powtarzała synom, że kobiety są niemoralne i rozwiązłe, a uleganie pragnieniom seksualnym wpędzi ich w ogień piekielny. Całkowicie zdominowała swojego słabego i nadużywającego alkoholu męża. Uważała go za bezwartościowego i gardziła nim za

to, że nie miał stałej pracy. Rzadko była też zadowolona z synów, często ich karała. Bała się, że zostaną nieudacznikami, jak ich ojciec. Mimo to Eddie był w nią wpatrzony i uważał ją za wcielenie dobra.

Gdy miał osiem lat, rodzina przeniosła się na wieś, na ogromną farmę. Najbliżsi sąsiedzi byli oddaleni o prawie pół kilometra. W szkole chłopak nie miał przyjaciół, a rówieśnicy uważali go za nieśmiałego i zniewieściałego. Po śmierci ojca obaj synowie zostali z matką i pracowali w miasteczku jako złote rączki. Eddie czasem był też zatrudniany jako opiekun dzieci sąsiadów. Łatwo nawiązywał z nimi kontakt, bo sam był społecznie i emocjonalnie opóźniony w rozwoju.

Po śmierci brata i matki Ed został zupełnie sam. Zaczytywał się między innymi w książkach o anatomii człowieka i magazynach o nazistach. W lokalnych gazetach znajdował nekrologii zmarłych kobiet, a później nocami chodził na ich groby. Wydobywał ciała i zabierał je do swojego domu na farmie. Jak później wyznał, nigdy nie odbył z żadną stosunku seksualnego, bo brzydko pachniały. Z kilku jednak zdarł skórę, którą wkładał na siebie. Marzył, by być kobietą, ciekawiło go, jak to jest mieć piersi i pochwę. Był zafascynowany kobietami z powodu ich siły i władzy, jaką sprawowały nad mężczyznami.

Bez skrępowania opowiadał w miasteczku, że ma w sypialni ludzkie głowy. Kilku mężczyznom nawet je pokazał, ale ci uznali je za dziwne kostiumy na Halloween. Wszyscy mieli o Edzie dobre zdanie. Uważali, że niczym się nie wyróżniał, jedynie „miał dziwne zęby i równie dziwne poczucie humoru”. Nikt nie traktował go poważnie, dopóki nie zniknęła właścicielka pobliskiego sklepu i zarazem matka dziecka, którym się opiekował.

W listopadzie 1957 roku policja postanowiła przeszukać dom Eda. Opustoszały budynek był pełen śmieci i gnijących odpadków. Śmierdziało zgnilizną. Kiedy szeryf wszedł do kuchni, coś kapnęło mu na marynarę. Gdy spojrzął w górę, zobaczył przymocowane do sufitu ciało kobiety bez głowy. Zwłoki były wypatroszone, w stanie zaawansowanego gnicia. Okazało się, że to matka podopiecznego Eda.

Później śledczy znaleźli jeszcze miskę z ludzkiej czaszki, abażury i kosze na dokumenty wykonane ze skóry człowieka, fotel obity skórą, kobiece narządy rodne w szklanych gablotkach, a także pas zrobiony z kobiecych brodawek, ludzkiej głowy, czterech nosów i serca. Oprócz tego odkryli garnitur z powłoki ludzkiego ciała.

Podczas przesłuchania Ed wyznał, że podczas planowania i dokonywania morderstw był oszołomiony. Przyznał się do dwóch. Pozostałe części ciała ofiar – jak stwierdził – ukradł z grobów. Nie okazywał skruchy ani emocji. O dokonanych zbrodniach i aktach nekrofilii opowiadał rzeczowo, z dozą ironii. Lekarze stwierdzili, że był schizofrenikiem i psychopatą seksualnym. Jego stan przypisywali wychowaniu i chorym stosunkom z matką.

Stwierdzono, że w chwili dokonywania morderstw Ed był niepoczytalny. Trafił do szpitala dla psychicznie chorych, gdzie zmarł w 1984 roku. Według dyrektora placówki był wzorowym pacjentem. „Gdyby każdy z pacjentów był taki jak Eddie, w ogóle nie mielibyśmy z nimi problemów” – mawiał.

Jego farma wraz z częścią rekwizytów trafiła na aukcję, na którą przybyło tysiące kupców. Miasteczko przeżyło najazd fanów Eda.

W Polsce mieliśmy „własnego” Geina – Edmunda Kolanowskiego. W wieku piętnastu lat chłopak zaczepiał kobiety w centrum Poznania. Sąd dla nieletnich skazał go na pobyt w zakładzie poprawczym, ale wykonanie wyroku zawieszono na dwa lata. Gdy Kolanowski miał dwadzieścia trzy lata, ożenił się, a na świat przyszła jego córka. Później okazało się, że w tym samym roku zamordował i okaleczył dwudziestojednoletnią kobietę. Dwa lata później, gdy urodziła mu się kolejna córka, zaczął atakować – kopać, bić, szarpać za włosy i ranić nożem – przypadkowo napotkane kobiety nad poznańskim jeziorem Rusalka. Wykopywał zwłoki z grobów i dokonywał ich profanacji. Gdy poszedł do więzienia, jego małżeństwo zostało unieważnione. Po kilku latach wyszedł na wolność i związał się z kolejną partnerką, która urodziła mu następną córkę. Nie przeszkodziło mu to w dokonywaniu nowych przestępstw – zamordował wtedy dwudziestoletnią kobietę i trzynastoletnią dziewczynkę, wykopywał i profanował kolejne zwłoki z poznańskich cmentarzy. Wycinał kobietom piersi i narządy

płciowe, a następnie przyszywał je do manekina i z nim kopulował. Kiedy zaczynały gnić i przestawały pełnić swoją funkcję, palił je w piecu. W 1985 roku został skazany na karę śmierci, którą wykonano.

„Niezależnie od kontynentu, na jakim podobne zbrodnie zostały dokonane, niezależnie od kręgu cywilizacyjnego, w jakim nastąpiły, da się znaleźć pewien wspólny rdzeń cech, które mają niemal wszyscy ich sprawcy – powie w 2008 roku Bogdan Michalec. – Zwykle okazuje się, że w swoim środowisku uznawani są za dziwaków. Zaczepiają kobiety, ale bez symptomów agresji, więc nie są traktowani poważnie. Trzy czwarte z nich z nich ucieka w nadmierną religijność, by zabić poczucie winy. Tak było z protoplastą bohatera *Milczenia owiec*. I jeszcze coś bardzo ważnego, co wynika z charakteru i okoliczności tej konkretnej zbrodni na Katarzynie Z. Jej morderca musiał być jakoś związany z Wisłą. Ona musi grać jakąś rolę w życiu przestępcy. Musiał znać tę rzekę i miejsca na jej brzegu, gdzie niezauważony mógł wrzucić do wody szczątki”<sup>86</sup>.

Pewność śledczych, że sprawca zabójstwa Kasi musi być związany z Wisłą, dziwi. W jednej ze spraw rozwiązanych przez zespół Michalca – zabójstwie radcy prawnego przez córkę i jej koleżanki – kobiety pozbyły się rozkawałkowanego ciała, wrzucając je do Wisły w pobliżu krakowskiego Salwatora, mimo że mieszkały w Chrzanowie. Poćwiartowane zwłoki po kawałku przez dwa dni przewoziły do Krakowa autobusami PKS.

Z kolei lekarze sądowi z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego napiszą: „Spośród ośmiu przypadków rozczłonkowania, jakie miały miejsce w Krakowie, aż pięciu sprawców wrzuciło szczątki do Wisły; w szóstej sprawie przestępca ostatecznie tego nie zrobił, choć pierwotnie planował taki przebieg wydarzeń”<sup>87</sup>.

Jak widać, pozbycie się zwłok poprzez wrzucenie ich do Wisły nie jest bynajmniej w Krakowie zjawiskiem rzadkim i wcale nie oznacza, że sprawca zabójstwa mieszka w jej pobliżu. Jednak prowadzący śledztwo upierają się, że sprawca musiał znać rzekę.

Robert Janczewski idealnie pasuje do tego założenia – mieszka od niej dwieście metrów.

## Dziś był na oddziale ksiądz...

*Dziś był na oddziale ksiądz. Byłem do spowiedzi i komunii świętej. Potem byłem na komisariacie. Czytałem ciąg dalszy stenogramów podsłuchów z 2006 i 2011 roku. Nie tylko nasze rozmowy czytam, ale też innych osób. Chcę o wielu rzeczach Wam powiedzieć, ale nie mogę. [...] Ilu się wulgarnych zwrotów w tych aktach doczytam na mój temat, to się dopiero teraz dowiedziałem, kto kim jest. Bo człowiek nawet był nieświadomy. [...]*

*To nie jest do cenzury, więc tylko Wam napiszę, że czytałem, że odkąd jest w Krakowie medycyna sądowa, to jest od roku 1880 – nie było zanotowanej takiej zbrodni.*

*Tak jak czytam tutaj, są poszlaki ze wszystkiego. Nawet jest poszlaką to, że jestem dokładnym skrupulantem. To są całe wywody „naukowe”, psychologiczno-filozoficzne. Powiedziano mi, że to będzie długi i ciężki proces.*

*Dzisiaj jest 07.08.2019. Skończyłem czytać i przeglądać 487 tomów akt, a potem 21 tomów, które jeszcze dowiedziono. Razem doliczyłem się 508 tomów i jeszcze jakieś opinie mają dojechać (dalsze tomy) Jestem tak strasznie zmęczony. [...]*

*Wiem, że to wszystko Cię naraża na coraz nowe wstrząsy psychiczne. Ja też cierpię na depresję. Samych fotografii z sekcji zwłok i zawartości trumny obejrzałem łącznie (bo i dzisiaj też) około kilkuset. Nie, w niczym nie przesadzam.*

*A fotografii z mikroskopów elektronowych i badań zleconych i wykonanych jest tysiące. Są mierzone jako „dowody” takie cząsteczki 0,12345. Do pięciu cyfr po przecinku. I takie „rzeczy” są badane i porównywane. Ekspertyzy kosztują po 5, 6, 8, 11 tysięcy. Opinia biegłej policyjnej, która na oczy mnie nie widziała – a opinia mnie dotyczy – 29 133 zł. Inna opinia fizyko-chemiczna ponad 27 tysięcy.*

*Oczy mam zapadnięte i czarne pod oczami od nieustannego braku snu. [...]*



*A jakie rzeczy poeznawano, to się nie mieści w głowie. I wszystko to trzeba będzie obalać. Tak właśnie ludzie postępują.*

## Jesienią 2011 roku prokuratura...

Jesienią 2011 roku prokuratura znowu zaprzęga do współpracy specjalistę z zakresu jasnowidzenia Krzysztofa Jackowskiego z Człuchowa. Najwyraźniej śledczy przestają wierzyć w ziemskie siły zdolne rozwiązać zagadkę tej zbrodni. Media donoszą, że prokuratura sięgnęła też po pomoc egzorcysty. Ale z kogo chce wyganiać diabła, tego nie ujawniają.

„Po dziesięciu latach uczestnictwa w tym śledztwie bardziej wierzę w intuicję niż racjonalne przesłanki – deklaruje Bogdan Michalec. – Jestem wrogiem tworzenia wzorów postępowania, trzymania się schematów. Boję się własnego doświadczenia, które rodzi rutynę. Wolę iść cięższą drogą niż ta wyznaczana przez statystyczne prawidłowości. Na tym przekonaniu opiera się też praca Archiwum X”<sup>88</sup>.

Ponieważ śledczy podejrzewają, że sprawca gdzieś ukrył pozostałe części ciała ofiary, proszą, aby Jackowski pomógł w ich odnalezieniu. W połowie października 2011 roku specjalista kolejny raz przyjeżdża do Krakowa. Policjanci odbierają go z dworca i wiozą na komendę. Tam jasnowidz bierze udział w eksperymencie procesowym.

„Wszedłem do bardzo zagraconego pokoju, w którym stało kilka biurek – opowie później. – Posadzono mnie przy jednym z nich i włączono kamerę. W rozmowie uczestniczył prokurator, protokolant i dwóch lub trzech panów z »Archiwum X«. Dali mi należącego do tej dziewczyny misia, a także książkę i zeszyt. Miałem się skoncentrować na tych rzeczach i mówić o wszystkim, co mi się kojarzyło, a oni ani nie potwierdzali, ani nie zaprzeczali”<sup>89</sup>.

Relację z czynności wyemituje potem telewizja TVN. Widzimy ciasny pokój Archiwum X znajdujący się na ósmym piętrze komendy wojewódzkiej krakowskiej policji. Jackowski siedzi za biurkiem i znów obwąchuje tego samego żółtego pluszowego misia Katarzyny.

– Proszę podać jej imię – ordynuje siedzącemu na krześle pod ścianą Piotrowi Krupińskiemu, wówczas prokuratorowi z Prokuratury Okręgowej w Krakowie, który prowadzi postępowanie.

– Katarzyna.

Jackowski zapisuje na kartce, żeby nie zapomnieć. Prosi prokuratora, aby podawał mu co jakiś czas imię ofiary, bo to jest dla niego bodziec.

– Wiek jej, tej osoby. W momencie śmierci.

– Dwadzieścia trzy lata – podaje prokurator.

Jackowski zapala papierosa, a dym wydmuchuje w czarną szmacianą czapkę Katarzyny i misia. Znowu wszystko wacha.

Na tym nagranie się kończy.

Czynności z udziałem jasnowidza trwają prawie cały dzień. Strach pomyśleć, ile wypalił przez ten czas papierosów.

Efekt eksperymentu jest odręczny rysunek starego gmachu pałacowego rzekomo związanego z zabójstwem. „W ślad za widzeniem poszły wielomiesięczne poszukiwania zabudowań z rysunku, do których zaangażowano między innymi wojewódzkiego konserwatora zabytków” – informuje TVN<sup>90</sup>.

Jackowski wskazuje też na kanały burzowe prowadzące do Wisły jako możliwe miejsce zabójstwa. Policja wchodzi do jednego z nich, ale nic nie znajduje.

Mimo to śledczy oceniają widzenia Jackowskiego jako bardzo owocne. Proszą mężczyznę, żeby pozostał w Krakowie, gdyż zamierzają kontynuować pracę nazajutrz. „Miałem być tylko jeden dzień w Krakowie, ale moja wizja okazała się na tyle skuteczna, że prokuratura wynajęła mi hotel, bym dzień później znów wziął udział w nagle zaplanowanych czynnościach” – opowiada dziennikarzowi „Super Expressu”<sup>91</sup>.

Następnego dnia policjanci wzywają policyjnego rysownika. Na podstawie wizji Jackowskiego ma sporządzić portret potencjalnego mordercy Katarzyny. Gdy rysownik kończy, Jackowski stwierdza, że naszkicowana twarz jest niemal identyczna jak ta z jego widzenia. „Gdy policjanci obejrzeliby naszkicowany portret, zaczęli między sobą

szeptać. Jeden z nich przyniósł gruby plik zdjęć przedstawiających twarze różnych ludzi. Prokurator zadał pytanie, czy któryś z przedstawionych na fotografiach mężczyzn mógł być tym z jego wizji. Jackowski w pośpiechu przetasował zdjęcia, aż w końcu znieruchomiał. W ręce trzymał fotografię przedstawiającą twarz z rysunku. Oto miał przed sobą dwie twarze: z rysunku i fotografii. Policjanci i prokurator zaniemówili”<sup>92</sup>.

Jako pierwszy odzyskuje głos Piotr Krupiński, który stwierdza, że tylko trzy osoby spośród kilkudziesięciu na zdjęciach były związane ze sprawą. Reszta to przypadkowe fotografie z innych postępowań. „Wytypowany przez niego człowiek znajdował się w kręgu podejrzanych od samego początku śledztwa, które wszczęto kilkanaście lat temu. Jackowskiemu wystarczyło kilkadziesiąt minut, aby wytypować domniemanego sprawcę. Wsparcie jasnowidza w toczącym się śledztwie okazało się bezcenne”<sup>93</sup>.

Podobno wskazaną przez jasnowidza osobą nie jest Robert Janczewski, tylko Tadeusz T. Jest on wówczas głównym podejrzewanym przez prokuraturę. To wspomniany wcześniej, sprawdzany już przez policję kierownik programowy klubu Pod Przewiązką. Katarzyna chodziła tam przegrywać płyty Grateful Dead.

Śledczy dodają, że uzyskane od jasnowidza informacje okazały się pomocne dla toczącego się śledztwa, a zarazem miały swój drugi ukryty cel – sprowokować sprawcę do działania. „To, co Krzysztof Jackowski widział w swoich wizjach, to jedno. Ale chodziło też o sprawdzenie, jak J. zachowa się, kiedy w mediach pojawi się informacja, że policja szuka nie tylko w świecie materialnym. To był chyba strzał w dziesiątkę, bo Robert od tego momentu oddał się Bogu, jakby w nim widział jakiś ratunek”<sup>94</sup> – twierdzi Bogdan Michalec w rozmowie z Radiem Kraków.

Czyli jasnowidz wskazał, że sprawcą może być Tadeusz T., ale śledczy i tak obserwują zachowanie Roberta Janczewskiego.

Po tym obiecującym eksperymencie apetyt prokuratury na magiczne wizje rośnie: „Jackowski niedługo wróci do Krakowa, by szukać

także pozostałych szczątków zamordowanej, a zwłaszcza jej głowy”<sup>95</sup> – ogłasza plany śledczych „Super Express”.

\*

Robert oddaje się Bogu poprzez chodzenie do kościoła, często nawet dwa razy dziennie. Znajomym i przypadkowym osobom rozdaje albo wysyła pocztą książeczki do nabożeństwa, katechizmy, obrazki ze świętymi i inne religijne publikacje. Jedną z kobiet, Renata S., jest nawet świadkiem, gdy modli się w sklepie. Janczewski mówi jej, że nie zawsze był religijny, stał się taki dopiero na pewnym etapie swojego życia. Wiara ma uspokoić jego zszarganą duszę. W 1999 roku zwierza się jej, że grzeszył i były to ciężkie grzechy. Mówi, że musi je odkupić, a przed Wielkanocą 2000 roku uda się do sanktuarium w Łagiewnikach.

Oddaje się także Bogu na spowiedzi. Najczęściej wyznaje winy zakonnikom z klasztoru na Bielanach i kościoła Bonifratrów. Jeden z nich powie później, że w rozmowie z nim Robert prosił o kolejną spowiedź, bo miał „bardzo ciężkie grzechy”. Mężczyzna miał mówić duchownemu: „Nigdy nie chciałem nic zataić. Mam bardzo poważne grzechy”. Podczas innej rozmowy wyznaje, że nie wytrzyma, bo dręczy go sumienie.

Śledczy nie wiedzą, jakie konkretnie grzechy Robert ma na myśli, ale przypuszczają, że jednemu z nich, zakonnikowi z klasztoru Bonifratrów, „wyjawił swoją tajemnicę”. Niestety duchowny umrze w klasztorze na Podkarpaciu, nie zdradziwszy nic funkcjonariuszom. „Naruszenie tajemnicy spowiedzi dla kapłana, gdyby nawet chciał pomóc policji, równa się ekskomunice. Dlatego zakonnik zabrał sekret tej spowiedzi do grobu”<sup>96</sup> – wyjaśnia dziennikarze.

Czy Janczewski mógł uznać, że dzięki spowiedzi uzyskał odpuszczenie grzechów? „Každy grzech może zostać człowiekowi odpuszczony, włącznie z tym najcięższym – mówi ojciec Robert Jalusiewicz, były rzecznik Jasnej Góry. – Wszystkie one bowiem zostały odkupione przez Chrystusa na Krzyżu. Miłosierdzie Boże jest większe niż jakikolwiek grzech. Najistotniejszy jest tu nie ciężar

grzechu, lecz nasz stosunek do niego. Jeśli uznajemy zło grzechu, przyznajemy się do popełnionej winy, a jednocześnie żałujemy tego, co się stało, chcąc poprawić się w przyszłości – również unikając okazji do grzechu – i gotowi jesteśmy wynagrodzić zło, Pan Bóg w sakramencie pokuty udziela nam przebaczenia. Tym, co mogłoby stać na przeszkodzie naszemu pojednaniu z Bogiem i drugim człowiekiem, jest nasz brak woli nawrócenia”<sup>97</sup>.

Robert nigdy nie przyznał się do winy. Nie zadośćuczynił też matce Katarzyny. Nie spełnił tym samym pięciu warunków dobrej spowiedzi: rachunku sumienia, żalu za grzechy, mocnego postanowienia poprawy, wyznania grzechów oraz zadośćuczynienia Bogu i bliźnim.

Tym samym nie mógł dostać rozgrzeszenia. A jednak od dwudziestu lat przyjmuje komunię świętą, również w areszcie.

## Wczoraj (niedziela) ksiądz odprawiał trzy msze święte...

*Wczoraj (niedziela) ksiądz odprawiał trzy msze święte pod rząd w więzieniu tutaj, od 7.00 do 10.00. Potem mnie spowiadał i udzielił mi komunii świętej. I już musiał iść – tylko chwilę rozmowy – bo na czwartą mszę świętą na następny oddział. A potem następna posługa indywidualna.*

*A ja słuchałem mszy świętej w radiu. Potem się spowiadałem i byłem do komunii świętej. Chwilę słuchałem drugiej mszy świętej, odmówiłem pokutę mi zadaną. Włączyłem telewizor od 11.00 do 11.55, na pierwszym programie TV była następna msza święta z Częstochowy. O 12.00 Anioł Pański z Watykanu i program katolicki Między ziemią a niebem. O 12.45 był film dokumentalny o księdzu błogosławionym Jerzym Popiełuszcze. O 13.30 na TV Trwam oglądałem, jak co tydzień, i słuchałem homilii św. Jana Pawła II. Tym razem ze Skoczowa – 1995.*

*Potem szybko zjadłem „obiad” i już o 15.00 była koronka do Bożego Miłosierdzia na kanale TVP3 (krakowskim). [...]*

*A później jeszcze godzinę, jak co dzień, czytałem księgę religijną. No i takie są zazwyczaj moje niedziele.*

## W przerwach między modlitwami...

W przerwach między modlitwami Robert szuka żony. Jedno z ogłoszeń, zamieszczone w 2011 roku, przedstawia jego walory oraz oczekiwania, które ma wobec wybranek:

„Kraków, Robert, wiek 46, kawaler, niekarany, bez nałogów. Były sportowiec – toteż 10 lat mniej z wyglądu. Wykształcenie śr.-techn., prawo jazdy, ang., ros., duża wiedza ogólna, ponadprzeciętny iloraz. Dobry człowiek dla ładnej, zgrabnej i zadbanej kobiety. Wiek ok. 30 lat, wzrost do 175. Tylko wykształcona panna, katoliczka, bez przeszłości, z zasadami. Proszę o oferty wyłącznie z aktualną kolorową fotografią (lewy półprofil format 10 × 15), uczciwy list o sobie, czytelny adres kontaktowy. Wybiorę najlepsze, pošlę lub dam przy spotkaniu swoją autobiografię oraz 4 moje zdjęcia”.

Ofertę podpisuje pseudonimem „Koneser”.

– A wie pani, że on tuż przed aresztowaniem chciał się żenić? – pyta mnie Józef.

– Z kim?

– Nie wiem. Szukał kobiety. Zadziwiło mnie, że chłop, który ma pięćdziesiąt jeden lat, szuka kobiety, która jest dziewicą i ma francuskie *dessous*.

Tymczasem prokurator Piotr Krupiński ogłasza: „Przesłuchaliśmy wielu nowych świadków, którzy wniesli nowe, istotne informacje”<sup>98</sup>. Na początku 2012 roku Prokuratura Okręgowa w Krakowie oficjalnie podejmuje umorzone śledztwo. W sobotę 14 stycznia przeprowadza ekshumację pochowanych szczątków Katarzyny.

Już w poniedziałek śledczy informują, że oględziny przyniosły nowe dowody – to włosy, liczne drobiny drzew i krzewów, związki chemiczne i włókna organiczne. Nowe ślady biologiczne to również ludzkie włosy różnej długości i koloru oraz włókna,



prawdopodobnie z ubrań. Zabezpieczono też drobiny szkła, strużyny, a nawet ślady jakiegoś owada.

Nowych próbek jest tak dużo, że zajmują dwa stoły sekcyjne. Ich badaniem zajmują się krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych oraz Zakład i Katedra Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Instytucie Ekspertyz Sądowych pracuje wtedy Andrzej Czubak, antropolog, a także hodowca gadów, węży i pajaków.

– Andrzej uwielbiał preparować – zdradza Łukasz Sułowski.

Dwie osoby, z którymi rozmawiam, twierdzą, że Czubak był znajomym Leszka L., on sam jednak temu zaprzecza.

„Techniki badawcze i kryminalistyczne na tyle rozwinęły się od tamtego czasu, że liczymy, iż badanie nowych śladów może przynieść nowe i przełomowe dla śledztwa dowody”<sup>99</sup> – oznajmia tymczasem rzeczniczka prokuratury Bogusława Marcinkowska.

Śledczy przy okazji donoszą, że mają jeszcze jeden fragment ciała zamordowanej studentki, o którym dotąd nie informowali. Odmawiają jednak udzielenia informacji, kiedy i gdzie został znaleziony. Być może chodzi o odcięte pośladki ofiary, które zostały wyłowione tego samego dnia co skóra. O nich media rzeczywiście dotąd nie pisały.

\*

Robert interesuje się sprawą zabójstwa Kasi. Ogląda programy telewizyjne na ten temat. Mówi reporterowi TVN Jackowi Bazanowi, że myśli o niej codziennie. „Upływający czas zawsze w jakiś sposób uspokaja sprawcę – tłumaczy Michalec. – Nabiera on przekonania, że w śledztwie nic się już nie wydarzy. Był już przecież przesłuchiwany. Wyjaśnił, że ze sprawą nie ma nic wspólnego. Próbował dowiadywać się u innych świadków, czy w sprawie coś się dzieje. To bardzo charakterystyczne zachowanie, które obserwuję często w naszych śledztwach. Pozorny spokój potencjalnego sprawcy skrywa jednak ogromne pokłady strachu. I wtedy sprawca może

popęłnić błąd, a my taki błąd bezwzględnie wykorzystujemy. Potrafimy na niego czekać nawet dwadzieścia lat”<sup>100</sup>.

I w tej sprawie czekanie przynosi efekt.

Pewnego dnia Robert, nie stosując żadnych wyszukanych zasad konspiracji, pisze oficjalne pismo do Zarządu Cmentarzy Krakowskich z zapytaniem, gdzie znajduje się grób Katarzyny Z. W odpowiedzi zarząd przesyła mu pocztą informacje o jego lokalizacji. Mężczyzna kupuje znicz i idzie go postawić na nagrobku dziewczyny i jej ojca Antoniego.

– Zaniósł – potwierdza Józef. – Ja go znam, zrobił to z litości.

Pytam Marię:

– Rozmawiała pani z nim o tym? Mówił, dlaczego tam poszedł?

– Współczuł matce, że taka tragedia ją spotkała: mąż nie żyje, teraz córka zmarła – wyjaśnia Janczewska. – Matka została sama.

– Kiedy tam był? Ile razy?

– A tego to nie wiem.

– Ja też zadawałem mu pytania: „Dlaczego? Po coś tam chodził? To tak, jakbyś podcinał gałąź, na której siedzisz. Przecież byłeś w dwutysięcznym roku aresztowany. Po jasną cholere tam chodziłeś?” – dorzuca Józef.

– I co odpowiadał? – pytam.

– Współczuł. „A dlaczego nie?”, mówił. Tak tragicznie zmarła, no to poszedł na jej grób.

O odwiedzinach grobu Katarzyny Robert opowiada też byłemu radnemu Andrzejowi i swojemu psychiatrze.

– Czuł, że los tej ofiary, tej dziewczyny i jego poprzez dochodzenie został w jakiś sposób połączony – opowiada Jacek Matkowski. – A poza tym szedł się tam pomodlić. Mówił, że zapalił tam świeczkę.

Robert nie wie, że na cmentarzu zainstalowano monitoring za ponad dwadzieścia tysięcy złotych. Jedna z kamer rejestruje go stawiającego na grobie Katarzyny znicz.

Po wizycie u profilerów FBI śledczy zlecają sporządzenie kolejnych opinii psychologicznych rodzimym ekspertom. Szef krakowskiego Archiwum X Bogdan Michalec mocno wierzy w przydatność profili w śledztwie, mimo że są tworzone na podstawie schematów, których za wszelką cenę chce unikać.

„Jestem pewien, że kluczem do tej sprawy jest profil zabójcy”<sup>101</sup> – przekonuje.

Opinię psychologiczną tworzy się w sprawach, w których morderca jest nieznany. Obraz sprawcy kreślony jest na podstawie informacji zawartych w aktach. Przede wszystkim profiler analizuje dane o ofierze. Szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego została zabita, co sprawiło, że stała się celem mordercy. Drugi trop to informacje o miejscu zdarzenia: jakie zabójca pozostawił na nim ślady, gdzie znaleziono narzędzie zbrodni, jak się zachowywał, czy zaplanował swój czyn, czy coś go zaskoczyło. Później profiler zaczyna się zastanawiać nad motywacją zabójcy i jego cechami.

W sprawie Katarzyny zadanie jest utrudnione. O ofierze wiadomo niewiele, bo była osobą skrytą. Miejsce zabójstwa i narzędzie zbrodni są nieznane. Nie wiadomo nawet, jak dziewczyna zginęła.

Mimo to w 2012 roku pracownicy Zakładu Psychologii Sądowej Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie podejmują próbę stworzenia profilu. Teoretycznie wskazuje on cechy, jakie prawdopodobnie posiada nieznany sprawca zabójstwa Katarzyny. Ponieważ jednak biegli tworzą profil na podstawie akt sprawy, w którym dominują doniesienia na temat podejrzanego Roberta Janczewskiego, opinia psychologiczna w zdecydowanej części opisuje jego cechy.

Profil zawiera sześć punktów. Pierwszy to dane dotyczące sprawy, pozostałe pięć to opis Roberta Janczewskiego: charakterystyka psychologiczna, wychowanie i doświadczenia z dzieciństwa, problemy zdrowotne i leczenie, praca, religia, relacje z kobietami, seks, a nawet stosunek Roberta do Katarzyny. Każda z dwudziestu sześciu stron dokumentu traktuje o Janczewskim. Nie ma w niej ani słowa o innych podejrzanym.

Eksperci piszą:

– Sprawcą jest mężczyzna, który na przełomie 1998/1999 roku mieszkał w Krakowie.

– Dysponował ustronnym pomieszczeniem (piwnica, domek na działce, pomieszczenie gospodarcze, niezależne mieszkanie).

– Dobrze znał okolicę nad Wisłą i chętnie tam przebywał.

– Miał około trzydziestu pięciu lat lub więcej.

– Nie pochodził z marginesu społecznego, nie sprawiał wrażenia osoby zaniedbanej.

– Nie pracował zawodowo lub miał pracę niewymagającą dłuższego pobytu w określonym miejscu.

– Jego poziom intelektualny mieścił się w granicach normy.

– Miał co najwyżej średnie wykształcenie.

– Mógł interesować się filozofią, parapsychologią, fantastyką czy muzyką popularną wśród zwolenników ruchów hipisowskich.

– Mógł ujawniać zaburzenia psychiczne, przy czym objawy choroby nie były w tym okresie znacznie nasilone.

– Przez otoczenie mógł być postrzegany jako dziwak lub ekscentryk, co mogło skutkować ograniczonym zakresem kontaktów społecznych, pozostawaniem w konfliktowych relacjach z otoczeniem.

– Miał nieadekwatnie niską lub nadmiernie zawyżoną samoocenę, szczególnie w zakresie swoich możliwości w sferze relacji z płcią przeciwną.

– Ujawniał zaburzenia osobowości w postaci deficytu wrażliwości na przeżycia innych, braku empatii, egocentryzmu, kierowania się głównie potrzebą realizacji własnych potrzeb, skłonności do manipulowania otoczeniem i dominacji oraz przedmiotowego traktowania innych.

– Mógł ujawniać zaburzenia tożsamości, szczególnie w sferze psychoseksualnej.

– Nie miał pozytywnych doświadczeń w relacjach z kobietami, mógł czuć się przez nie skrzywdzony.

– Odczuwał wobec otoczenia wrogość, szczególnie wobec kobiet, mógł też odczuwać wobec nich tłumiony lęk.

– Nie był nigdy w dłuższym związku z kobietą, ale mógł zachować umiejętność nawiązywania powierzchownych relacji

z płcią przeciwną, szczególnie z tymi kobietami, które nie budziły w nim większych obaw, ponieważ postrzegał je jako mniej atrakcyjne, mniej doświadczone i niedominujące.

– Miał wcześniejsze doświadczenia w zakresie preparowania skóry, być może uczestniczył w sekcji zwłok zwierzęcych lub ludzkich i prawdopodobnie czerpał przyjemność z wykonywania tego typu zajęć.

– Potrafił wykonywać prace wymagające cierpliwości i precyzji, mógł mieć pewne zdolności manualne.

Profil zabójcy stworzony na podstawie akt sprawy, w których dominują informacje o Robercie Janczewskim, musi idealnie pasować do Roberta Janczewskiego. Koło się zamyka.

Jednak dwie składowe profilu nie pasują do opisu Roberta. Jedna zakłada, że zabójca dysponował ustronnym pomieszczeniem – piwnicą, domkiem na działce, pomieszczeniem gospodarczym lub niezależnym mieszkaniem, w którym dokonał morderstwa. Druga zaś sugeruje, że sprawca może mieć psychoseksualne zaburzenia tożsamości. Temat ten rozwija profesor Zbigniew Lew-Starowicz w swojej opinii sądowo-seksuologicznej sporządzonej na zlecenie prokuratury w lipcu 2012 roku.

Prawdopodobnie sprawca dysponował wolnym czasem i pomieszczeniem, w którym przetrzymywał ofiarę. Można założyć, że był studentem lub nie miał stałej pracy. Wiek do 35 lat, z większym prawdopodobieństwem wieku do 30 lat. Introwertyczny, pedantyczny, z obniżoną samooceną, tłumioną seksualnością (z motywów religijnych?), obsesyjnym traktowaniem seksu i kobiet, brakiem powodzenia w relacjach z kobietami i prawdopodobnie niesprawnym seksualnie (zaburzenia erekcji? wytryski przedwczesne?).

Kumulowały się w nim obsesje, tłumiona seksualność. Cierpiał z powodu małego członka. Kompensował obniżoną samoocenę w roli męskiej w „filozofowaniu” na temat płci kobiet i mężczyzn, być może w powiązaniu z treściami religijnymi. Swoje ciało postrzegał jako mało męskie, a może nawet jako kobiece (słabo

owłosione, szczupłe, nieproporcjonalne). Masturbował się fantazjami, że jest kobietą. Wyobrażał sobie bycie kobietą. Być może zakładał bieliznę kobiecą. Zazdrościł kobietom, że w seksie „zawsze mogą”.

W domu rodzinnym nie był edukowany seksualnie. Atmosfera wobec seksu była pruderyjna i rygorystyczna. Rodzice nie okazywali sobie czułości. U ofiary uzyskał poczucie zaufania, głównie swoją erudycją. Sprawiał wrażenie nieśmiałego, spokojnego, szanującego kobiety, kierującego się „wartościami”.

Przetrzymując ją, odczuwał swoją władzę nad nią. Można założyć, że podjął próby odbycia stosunku, ale okazały się nieudane. Podczas przebywania z ofiarą starał się wnikać w istotę jej kobiecości, przyjął postawę „badacza”. Zaczął identyfikować się z jej ciałem kobiecym, odczuwać potrzebę „bycia w jej skórze”.

Opracował plan realizacji tej potrzeby w pedantycznej formie. Celem jego zabiegów było uzyskanie skóry ofiary. Być może przeczytany tekst „Anatomia, skóra i dusza” racjonalizował jego potrzeby i nadawał im sakralny wymiar. Dzięki temu nie czuł się dewiantem, ale kimś elitarnym. Doświadczenie transformacji w kobietę stało się faktem i towarzyszyło zachowaniom masturbacyjnym.

Wydaje mi się mało prawdopodobne, że sprawca ma zaburzenia preferencji seksualnych typu mord z lubieżności. W takim przypadku sprawca nie poprzestaje na jednym tego typu zachowaniu. Nie ma w aktach sprawy danych o tym, że identyczne czyny były popełniane po *tempore in criminis*.

Można hipotetycznie założyć, że u sprawcy istnieją następujące zaburzenia:

- tożsamości płciowej,
- niedojrzałość psychoseksualna,
- transwestytyzm fetyszystyczny,
- zaburzenia erekcji lub przedwczesny wytrysk.

Przyczyną wyżej wymienionych zaburzeń były prawdopodobnie różne czynniki, takie jak rygorystyczne środowisko rodzinne, poczucie obniżonej samooceny w roli męskiej, kompleks małego

członka, niedojrzałość uczuciowa i psychoseksualna, niepowodzenia w relacjach z kobietami, obsesyjne postawy wobec kobiet i seksu.

Zdaniem biegłego nie można przewidzieć zachowań sprawcy w przyszłości. Być może popełniony czyn wystarcza mu do zaspokojenia potrzeby seksualnej w formie zachowań masturbacyjnych. Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od zdarzenia, powtórzenie przez niego przestępstwa jest mało prawdopodobne. Można natomiast przypuszczać, że obecnie sprawca ujawnia specyficzne obsesyjne zainteresowanie seksualnością patologiczną, również w swojej aktywności zawodowej. Jest samotny.

Podobny pogląd na sprawę przedstawia doktor Maciej Szaszekiewicz, psycholog, wówczas pracownik Instytutu Ekspertyz Sądowych. Twierdzi, że zabójca Katarzyny nie ma wyraźnej identyfikacji płciowej.

Sprawca dokonujący tak okrutnej zbrodni jak zabójstwo i rozkawałkowanie zwłok nie ma w sobie empatii, współczucia ani szacunku dla cierpienia innych. Liczy się tylko jego satysfakcja i seksualne spełnienie. Bo żeby zdjąć z ofiary skórę, trzeba przezwyciężyć bariery, których normalnie funkcjonujący człowiek nie byłby w stanie pokonać. Może w jego zachowaniu, z różnych powodów, takich jak traumatyczne przeżycia z przeszłości, jest obecny silny element sadyzmu. Może zaspokaja on swój popęd seksualny tylko wtedy, kiedy zadaje cierpienie. Musi zadawać ból, widzieć, że druga osoba cierpi. Tego typu rozważania sprawcy, „wewnętrzny monolog zabójcy”, może doprowadzić nawet do tego, że obcina on części ciała, zdziera skórę ze swojej ofiary.

Ale jeszcze bardziej prawdopodobne jest to, że nasz sprawca ma skomplikowaną identyfikację seksualną. W swoim własnym mniemaniu nie do końca wie, czy jest kobietą, czy mężczyzną, i jego tęsknota w połączeniu z zaburzeniami, o których mówiliśmy, mogła doprowadzić do tego, że podjął on decyzję o zdjęciu skóry z ofiary. A następnie chciał założyć ją na siebie, żeby stać się kobietą<sup>102</sup>.

Śledczy szukają więc osoby z zaburzoną tożsamością płciową. W 2012 roku wracają do Zygmunta A., byłego nauczyciela Roberta.

Dlaczego do niego? Wychowawca Roberta z technikum, Jakub, mówi mi o wicedyrektorze:

– Opinia taka była... Wie pani, jakie on miał ciągotki?

– Był homoseksualny?

– Tak, tak. Wie pani, ja tego nie sprawdziłem na sobie, ale z tego, co inni opowiadali, to tak. I coś tam musiało być, bo on się za Robertem wstawiał. W szkole go bronił. Robert przychodził do niego do domu. A później wśród swoich przyjaciół wymienił Zygmunta.

– Tak pan myśli? Do pana do domu też przychodził.

– Coś ich musiało łączyć. Już pani powiem, dlaczego ja tak wnioskuję. Kiedyś byliśmy na jakimś szkoleniu. Podchodzi do mnie Zygmunt i mówi: „Słuchaj, znasz Roberta?”. „No znam”. „No bo ja go uczyłem w szkole. Nawet go trochę broniłem, ale nie udało się. A teraz, rany boskie, mówię ci, jakie hece, oni mi spokoju nie dają. Wzywają mnie bez przerwy, przesłuchują mnie. Oni mnie w to wplątują...”. Był tak przejęty tym wszystkim, że coś tam musiało być głębszego. Poza tym coś ich musiało łączyć, skoro Robert chciał sobie z nim zdjęcie zrobić przed wyjazdem do Kanady, nie?

Nie jestem przekonana. Pytam Józefa Janczewskiego, co o tym myśli. Tak się bowiem składa, że Zygmunt A. znał nie tylko Roberta, ale też jego ojca i ojca Katarzyny. Mało tego, znał nawet prokuratora Piotra Krupińskiego.

– Zygmunt mi mówił, że uczył Krupińskiego w szkole – twierdzi Józef.

Ojciec Roberta wyjaśnia, że o tym, iż Zygmunt był nauczycielem jego syna, dowiedział się niedawno, całkiem przypadkowo. Znali się już wcześniej jako poeci, ale nie utrzymywali bliższych kontaktów. Jakiś czas temu spotkali się w klubie dziennikarzy Pod Gruszką, gdzie każdy z nich czytał swoje wiersze. Po wymianie uprzejmości Józef rzucił, że ma zmartwienie, bo aresztowali mu syna, Roberta. Zygmunt był bardzo zaskoczony, bo nie wiedział, że Józef jest jego ojcem.

– Dla mnie Zygmunt jako chłop wydawał się dziwny – mówi dziś Janczewski. – Tak się zachowywał troszkę jak taka... Śpiewał w Słowiankach, słabe wiersze pisał... Zawsze czerwony na twarzy... No ja bym to określił: pedał. Wie pani, zawsze taki zawstydzony.



Śledczy przeszukują więc mieszkanie Zygmunta. Na ścianie w łazience znajdują czerwone plamy. Właściciel tłumaczy, że to pozostałości farby z bordowej lamperii, ale funkcjonariusze nie wierzą. Zdzierają próg.

Trzy razy pobierają DNA wicedyrektora. Badają go wariografem. Sugerują współudział. „Policjanci mówili mi, że nie udało się zdobyć DNA, dlatego jest potrzebne kolejne badanie. Byłem zaskoczony, bo przecież miałem być świadkiem. Tymczasem oni na wariografie pytali mnie, gdzie ukryłem ciało i co wiem o zabójstwie. Czułem się jak podejrzany – wyzna potem nauczyciel”<sup>103</sup>. Śledczy zabierają mu komputer i przeglądają jego książki psychologiczne.

Usiłuję sprawdzić, czy coś mogło łączyć Roberta z Zygmuntem A. Jadę do bloku, w którym mieszkał. Rozmawiam z sąsiadką, która go dobrze znała.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych, na początku lat dziewięćdziesiątych bardzo dużo ludzi do niego przychodziło – opowiada – bo Zygmunt był człowiekiem towarzyskim, umiał słuchać problemów.

Dowiaduję się, że Zygmunt, zanim się przeprowadził z Nowej Huty na osiedle Kurdwanów, był przez kilka lat żonaty.

– Żona była aktorką Teatru Ludowego – twierdzi sąsiadka. – Ten rozwód go bardzo bolał. Jak padało słowo „żona”, widać było, że jeszcze to przeżywa.

Później, pod koniec lat osiemdziesiątych, przez kilka lat spotykał się z przyjaciółką.

– Wiem, że była to bliższa zażyłość – opowiada kobieta. – Ona mieszkała wtedy na naszym osiedlu. Jej były mąż jest słynnym rzeźbiarzem. Bardzo często przychodziła tutaj albo Zygmunt do niej chodził. Często chodzili na spacer. Ja widziałam przyjaźń, a czy było coś więcej między nimi, to nie wiem.

Dzwonię do wspomnianej przyjaciółki Zygmunta, również poetki. Kobieta jednak nie chce rozmawiać. Twierdzi, że prawie go nie znała.

– A ma pani jakąś wiedzę na temat homoseksualnych skłonności pana Zygmunta? – pytam sąsiadkę.

– Nie mam – mówi.

– Bo pojawiły się informacje, że z Robertem łączyła go intymna więź.

– Myślę, że to bzdura – twierdzi stanowczo. – Z tego co Zygmunt mówił, ten Robert był u niego tylko dwa razy. Ja nic takiego nie zauważyłam. Przychodziły do niego naprawdę różne osoby.

W końcu podejrzania śledczych o homoseksualny związek z Robertem dopadają też nauczyciela Jakuba.

– Oni chyba myśleli, że mnie coś łączyło z Robertem... – zwierza się były wychowawca. – Może się za dobrze o mnie wyrażał, nie wiem. Podobno wyszło na wariografie, że mam skłonności homoseksualne. Ja mówię: „Panie, zmień pan ten sprzęt. Na wszystko się zgodzę, tylko nie na to”. Oni chyba myślą, że ja byłem zakochany w Robertcie. Że byłem zazdrosny o Roberta i kazałem mu zabić tę dziewczynę.

\*

Pytam ludzi, którzy znali Roberta, czy to możliwe, że był homoseksualny, biseksualny albo przejawiał zachowania transwestyczne. Żadna z osób, z którą rozmawiam, nie zauważyła u niego nawet cienia takich skłonności.

– Czyś ty tutaj widziała kiedykolwiek jakieś damskie ciuchy? – dopytuje była żonę Józef. – Bo w gazetach piszą, że on się przebierał w damskie rzeczy. Czyś ty coś takiego widziała? Bo ja nigdy.

– To był typowy chłop z krwi i kości! – oburza się Maria, aż podnosi głos. – Nawet się strzygł krótko, na jeża. Klasyczny typ męski. Są tacy mężczyźni, bardziej zniewieściali. Ale nie on.

– Wręcz był wściekły na tych, co się za kobiety czy mężczyzn przebierają – dodaje Józef. – Mówił, że to jest nienormalne. Wiele rzeczy zostało wyssanych z palca, proszę pani.

Pytam jeszcze Halinę Kutylę:

– Czy Robert przejawiał jakieś zniewieściałe zachowania?

– Wręcz przeciwnie. Ja bym się w życiu nie dopatrzyła w nim niewieścich cech. Nie.

Również Jacek Matkowski, lekarz psychiatra, który był jego terapeutą przez dwadzieścia sześć lat, nie zauważył u swojego pacjenta żadnych skłonności homoseksualnych, biseksualnych czy transwestycznych.

– Zwykle jest tak, że w kontakcie terapeutycznym terapeuta tej samej płci to wyczuwa – mówi. – Więc tu chyba bym się nie pomylił.

Nie sposób dociec, dlaczego śledczy założyli, że mężczyzna, o którym w aktach sprawy są dziesiątki relacji o tym, że za wszelką cenę chciał być w związku z kobietą, może być homoseksualny.

Jednak biegła doktor habilitowana Renata Włodarczyk w swojej książce napisze: „Był postrzegany jako dziwak utrzymujący kontakty biseksualne, wyobcowany od społeczeństwa, z zamiłowaniem do męczenia zwierząt i prześladowania kobiet, przy czym jedna z sąsiadek zeznała, że była przez niego śledzona, nękana i podglądana. Zdradzał też skłonności do ekscentrycznych zachowań, ponieważ przebierał się w damską odzież, intensywnie trenował kulturystykę i sztuki walki, odwiedzał grób Katarzyny, a w pamiętniku opisał etapy zabójstwa i dzięki niemu przejście religijnej fascynacji.

W jego profilu psychologicznym biegli wskazywali głównie sadyzm, skłonność do nękania kobiet, w tym uwzględnili prawdopodobieństwo zdjęcia skóry, co mogło mieć charakter rytualny, związane z fetysyzmem sprawcy, a akt zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem oparty na tle seksualnym.

Znajomi Roberta J. mówią, że był dziwakiem. Lubił przebierać się w damską bieliznę, utrzymywał stosunki homoseksualne, dręczył zwierzęta. Po zabójstwie Katarzyny Z. stał się nagle bardzo religijny, zaczął często chodzić do kościoła, odwiedzał również grób zamordowanej dziewczyny<sup>104</sup>”.

\*

Trzy tygodnie przed śmiercią Katarzyna przestaje chodzić na zajęcia na uczelni. Każdego ranka wychodzi z domu i nie wiadomo, co robi

w tym czasie. Poznaje kogoś? Czy to mężczyzna? O nikim takim nie wspomina matce.

„W czasie poprzedniego śledztwa nie trafiliśmy na ślad takiej osoby. Faktycznie, w tym okresie są dość duże luki” <sup>105</sup> – przyznaje oficer z krakowskiego Archiwum X w styczniu 2012 roku. Luki te śledczy zapełniają domysłami, które prezentuje na łamach Onetu Dawid Serafin: „Robert J. poznał Kasię najprawdopodobniej w okolicach Rynku Głównego. Mężczyzna pracował dorywczo w Sukiennicach, w których często przebywała dziewczyna. Wiadomo, że młodzi spotykali się. Czy byli parą? Dziś trudno to jednoznacznie ustalić. Poszlaki wskazują, że dziewczyna mogła być zakochana w Robercie J. Na trzy tygodnie przed śmiercią zaczęła się odchudzać, zmieniła styl ubierania, przefarbowała się na blond. To właśnie ten kolor włosów najbardziej lubił Robert J.”<sup>106</sup>.

Jak ustaliłam, Janczewski pomagał sprzedawać ojcu w Sukiennicach raptem kilka razy w latach osiemdziesiątych. Z kolei świadek Anna K. zeznała, że mężczyzna nie lubił blondynek i rudych, wołał brunetki o ciemnej karnacji.

Biegła dr hab. Renata Włodarczyk pisze w swojej książce: „Mężczyzna najpierw potwierdził znajomość z Katarzyną Z. (choć była uznawana za osobę skrytą, stroniącą od ludzi, z objawami depresji) oraz ich wspólne spotkanie w dniu jej zaginięcia, czemu z czasem zaprzeczył”<sup>107</sup>.

– To nieprawda – kontruje Józef Janczewski. – Robert nigdy nie twierdził, że ją znał.

Rzeczywiście we wszystkich dostępnych źródłach, również w listach Roberta do rodziców, mężczyzna stanowczo twierdzi, że nigdy nie widział Katarzyny na oczy.

Kolejne niepotwierdzone informacje kolportuje magazyn polskich śledczych „Policja 997”: „Robert J. był znajomym dziewczyny. Wykorzystał jej ufność i namówił ją, żeby pojechała z nim do domku na obrzeżach Krakowa. Tam ją uwięził, torturował, a następnie zamordował i obdarł ze skóry. »Body« uszyte z tej skóry wyłowiono później z Wisły”<sup>108</sup>.

Jaki domek na obrzeżach Krakowa? No, ta sama buda na działce Janusza Kutuły w Balicach, którą w 2007 roku policja przeszukiwała przez dwa dni i nic na niej nie znalazła.

\*

Pewnego letniego dnia umawiam się na spotkanie z Januszem Kutułą. Na jego profilu na Facebooku widnieje romantyczny wpis: „Poeta mieszka z kotem Rudolfem w Samotni poetyckiej nad Skałą Kmity w Krakowie”. Gospodarz wita mnie już przy bramie i prowadzi dróżką wśród działek do swojej samotni. Rzeczywistość okazuje się mniej poetycka.

– Uwaga na schody – ostrzega.

Rzeczywiście wejście na kilka mokrych drewnianych desek, ułożonych dwadzieścia lat wcześniej przez Józefa Janczewskiego, grozi poślizgnięciem i zjechaniem w dół. Schodzę ostrożnie i cieszę się, że założyłam półbuty, bo nagle moja noga wpada po kostkę w błoto.

Pod schodami widzę małą chatkę, całkowicie zarośniętą. Dookoła niej znajduje się składowisko wszelkich odpadów. Czego tu nie ma! Betonowe krasnale, czaszki zwierząt, pluszowe zabawki, stare wanny, używane kanapy i rozwalone krzesła. Plastikowe miski, wiadra po farbach, fotele samochodowe, płyty chodnikowe i spróchniałe drabiny. Zaczynam się bać, że nie wyjdę stąd żywa. Gospodarz proponuje wodę, a ja w duchu cieszę się, że wzięłam swoją.

W środku jest jeszcze większe śmietnisko. Kutuła sam przyznaje, że to dorobek jego dwudziestoletniego zbierackiego życia. Trudno przejść. Jakoś udaje mi się dotrzeć na stare krzesło, z ulgą siadam i zerkam niespokojnie, czy te wszystkie poustawiane piętrowo przedmioty nie spadną mi na głowę. Nagle słyszę dziwny chrobot, po czym rozlega się tupot nówek. Janusz uspokaja – to tylko myszy.

Mężczyzna opowiada, jak to w połowie sierpnia 2012 roku domek wrócił na tapetę śledczych. Najpierw dostał zawiadomienie, że ma się określonego dnia stawić na działce.

– No to się stawiłem i zobaczyłem masakrę – wspomina. – Tłumy ludzi, piętnastu policjantów z bronią. Chcą wejść do domku. No to im otworzyłem. Plecak zostawiłem na stołku na tarasie i poszedłem do auta po papierosy. Przychodzę, nie ma plecaka. Widzę, że pan prokurator powyjmował z niego i porozkładał na deskach wszystkie rzeczy. „Co pan robi? To jest moja własność” – mówię. „Ale znajduje się w miejscu, gdzie dokonano przestępstwa” – odpowiada prokurator.

Piotr Krupiński wręcza Kutyle postanowienie, w którym zarządza między innymi: „Przeprowadzić oględziny z pokonaniem wszelkich przeszkód, w tym zamknięć, koniecznym wycięciem roślinności, demontażem elementów wykończenia ścian, sufitów, podłóg, boazerii, wyposażenia itp., a w razie konieczności połączonych z rozbiórką elementów zabudowy i innych czynności, znajdujących się na zajmowanym przez Janusza Kutylę terenie działki i zabudowań przynależnych do działki”. W uzasadnieniu pisze: „Z zebranego w sprawie materiału dowodowego wynika, iż istnieją uzasadnione podstawy do przypuszczenia, że na terenie działki i zabudowań przynależnych do działki [numer i nazwa działki – przyp. aut.] mogą się znajdować przedmioty mogące stanowić dowody rzeczowe w niniejszej sprawie, między innymi w postaci firanki z obszyciem, maszyny do pisania, zdjęć, pism i wszelkich zapisków, kalendarzy, notatników i innych dokumentów lub przedmiotów, śladów świadczących między innymi o ewentualnych powiązaniach Janusza Kutylę, Haliny Kutylę z Józefem Janczewskim, Robertem Janczewskim, Marią Janczewską oraz Katarzyną Z. i innymi osobami pozostającymi w zainteresowaniu niniejszym śledztwem”.

Prokurator daje polecenie policjantom, żeby wszystko wynieśli z domku.

– Zaczęli wyrzucać meble przez okna, drzwi... – opowiada Janusz. – Słyszał tylko trzask łamanych rzeczy i brzęk tłukącego się szkła. Zniszczyli mi dwie kaplice. Mówiłem, że popełniają świętokradztwo, bo w tych kaplicach są poświęcone rzeczy. Oni na to, że w tym miejscu georadar wykazał jakieś anomalie.

Przeszukanie trwa przez dwa dni od ósmej rano do jedenastej w nocy.

– Tam jest taki pokój na górze – pokazuje Kutyła. – Wypruli w nim styropian do ściany. A tu mi dziurę wycięli w stropie piłą spalinową. Szklane meble z góry zrzucili, rozbili. Prokurator tu przyjechał, pewny, że coś znajdzie.

Śledczy zabierają około stu kopert z zabezpieczonymi dowodami. Po rewizji Janusz z przyjaciółkami nagrywają filmik, który obrazuje zniszczenia.

Oglądam go. Rzeczywiście działka wygląda jak po przejściu tornada. Tony przedmiotów wyniesionych z domku, rzuconych jedna na drugą, tworzą kilkumetrowe stosy. Po ogrodzie walają się tekturowe pudła, worki, płyty meblowe, kamienne głązy, duże fragmenty blachy. Część działki jest rozkopana.

– W tym miejscu było oczko wodne, jak państwo widzicie – mówi na nagraniu Janusz.

Widzę wykopaną dziurę w ziemi. Obok leżą fragmenty folii.

– A tutaj jest piwnica, z której wszystko wyniesiono. – Otwiera zasuwę skrzypiących metalowych drzwi. Za drzwiami kolejny stos przeróżnych przedmiotów. – Część rzeczy wrzucono byle jak. A pozostałe zostały wyniesione na drugi koniec działki i zrzucone na jedną wielką stertę, łamiąc przy okazji krzewy porzeczek, ostrężyn i innych roślin.

Kamera filmuje kolejną dziurę w ziemi:

– W tym miejscu było dziesięcioletnie drzewo owocowe, brzoskwinia. Zostało wycięte – oznajmia Janusz.

Brzoskwinia wykopana z korzeniami leży nieopodal. W pobliżu dziura po przerytym basenie.

– Nie pozwolono mi się na krok ruszyć z tej działki – relacjonuje właściciel. – Nie wystawiono mi żadnego świadectwa, że musiałem tu być dwa dni. Z tego powodu zwolnił mnie zakład pracy, w którym byłem zatrudniony na umowę.

Kutyła twierdzi, że śledczy nie pozwolili mu nawet kupić sobie obiadu.

– Do obowiązków prokuratury należało doprowadzenie działki do pierwotnego stanu. Na każdą okoliczność kazano mi podpisywać

oświadczenie, że nie wyrażam sprzeciwu, a wcześniej mówiono mi: „Wie pan, my możemy panu cały dom rozebrać”. Więc jakie miałem wyjście z sytuacji? – narzeka.

Po rewizji śledczy zawożą go na przesłuchanie do komendy wojewódzkiej przy Mogilskiej. Dwa razy przez kilka godzin jest badany wariografem. Podobnie jak jego była żona Halina.

– Jej też zadawali pytania jakby była morderczynią: „Czy brała udział w ćwiartowaniu, rozpuszczaniu w kwasach, ukrywaniu zwłok?”.

Podczas jednego z badań pokazują Januszowi zdjęcia ofiary.

– „O, wariograf drgnął przy zdjęciu świętej pamięci Katarzyny”. – Kutyla przytacza słowa badającego, prawdopodobnie Jacka Bieńkuńskiego. – No bo sobie pomyślałem, że jest podobna do Anki, mojej znajomej poetki – wyjaśnia Janusz. – Prokurator mnie wzywał milion razy, maglował mnie w kółko o to samo. Mówię mu: „Słuchaj pan, ja nie kończyłem prawa ani kryminalistyki, ale wydaje mi się, że pana postępowanie i pytania w stosunku do mnie są stricte jak do podejrzanego. Jeździ pan po Polsce, po moich przyjaciółkach. Nawet do Warszawy pan dotarł, do O., który nie ma ze mną nic wspólnego, bo ja jestem hetero, a on jest gejem...”.

„On pana bardzo dobrze wspomina” – rzuca podchwytliwie prokurator.

„No, może dobrze mnie wspomina, bo mnie bardzo lubił. Może chciał coś ode mnie...?”

W końcu nękany Kutyla wyjawia śledczym swoje wątpliwości odnośnie do byłego przyjaciela swojej żony.

– Podałem im, że Józek Janczewski w dziwnych okolicznościach odstąpił mojej byłej żonie pięcioletni samochód, który był prawie nowy. W tym czasie zginęła Katarzyna.

– Nie ma w tym nic podejrzanego, proszę pani – prostuje od razu Halina Kutyla, w której mieszkaniu kontynuujemy rozmowę.

– Dla mnie to do dzisiaj jest dziwna rzecz – upiera się Janusz. – To było pięcioletnie auto, które na tylnych siedzeniach miało ciągle pokrowce fabryczne, nylonowe takie.

– Jaka dziwna rzecz? – denerwuje się Halina. – Józek chciał sprzedać cinquecento, bo wtedy zaczęły iść do Niemiec duże



drewniane orły, którymi handlował. Nie mógł ich do tego cinquecento zmieścić.

Żeby wyjaśnić, o co chodzi, trzeba się cofnąć do 1998 roku. Wówczas Józef jeździ małym cinquecento, który ma tylko troje drzwi. Halina decyduje, że odkupi od niego ten samochód, a za uzyskane pieniądze Janczewski będzie mógł nabyć auto pięciodrzwiowe, do którego zapakuje towar.

I tak Halina Kutyla kupuje od Józefa cinquecento, po czym daje je byłemu mężowi. Dla Janusza ta transakcja do dziś jest niejasna.

– Bo Józek to jest człowiek chytry – tłumaczy. – A tu nagle pozbywa się pięcioletniego auta i natychmiast kupuje złotego matiza? Niech pani zrozumie: to auto miało trzydzieści sześć tysięcy przebiegu po pięciu latach, ono było prawie w ogóle nieśmigane!

Prokurator najwyraźniej też jest zdania, że sprzedaż auta Kutyle jest podejrzana, bo po rewelacjach Janusza zaczyna szukać starego cinquecento użytkowanego przez Józefa. Kutyla twierdzi, że śledczy znajdują wóz, zabezpieczają i przeszukują go, ale nie udaje mi się tego potwierdzić.

– Różne domniemanie miałem – opowiada dalej Janusz. – Mówię: „Panie prokuratorze, on jeździł na Ukrainę tym cinquecento, handlował cały czas orłami. Ma tam różne znajomości. Ma pan pewność, że nie wywieźli zwłok na Ukrainę?”

Mężczyzna donosi też śledczym o innej niepokojącej sytuacji z Józefem. Relacjonuje, że pewnego dnia Janczewski dzwoni do niego i mówi:

– Gdzie ty jesteś, bo ja ci wiozę ryż i ten nóż, któryś zgubił nad Rabą, jak my na ryby jeździli.

– Jaki, kuźwa, nóż my zgubili? – dziwi się Janusz.

Kutyla znowu nabiera podejrzeń i dzwoni do Bogdana Michalca. Policjanta nie ma akurat w pracy, Janusz mówi więc do dyżurnego: „Niech pan przekaże panu Bogdanowi, że Janczewski do mnie jedzie, wiezie jakieś rzeczy i nóż. Proszę mu powiedzieć, żeby jechali na działkę”.

Sytuacja wygląda na poważną. Do ogródków działkowych Fiskus w Balicach zostają wysłane – jak twierdzi Janusz – „czarne kominiarki”.

– Ale Janczewski nie przyjechał wtedy, tylko następnego dnia, w niedzielę – opowiada mi dalej Kutyla. – Ja ten nóż im zawiozłem, jak żeśmy byli na drugim wariografie. Potem powiedzieli, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Kolejny trop pada. Ale Kutyla nie ustaje w wysiłkach dostarczenia prokuraturze materiałów na Józefa, byłego kochanka żony.

– Ponieważ ja byłem na Janczewskiego strasznie zawzięty, to jak przyszedł do domu Haliny, nagrałem go na płytkę – opowiada. – Nagrałem rozmowę odnośnie do tego sprzedawania auta i dałem prokuratorowi. Zaznaczyłem, że do sądu tego nie może dać, bo to jest przestępstwo. Janczewski się przecież nie zgodził na nagranie. W dodatku w tej rozmowie strasznie ubliżałem prokuratorowi. „A czemu mi pan tam tak ubliża?” – pytał się potem Krupiński. „Żeby stworzyć pozory wiarygodności, panie prokuratorze”.

Janczewski nie zdradza na nagraniu nic przełomowego dla sprawy, ale za to Kutyla uzyskuje od prokuratury specjalny status. Zostaje świadkiem incognito.

– Policjanci z Archiwum X wozili mnie po całym mieście na przesłuchania do tajnych kancelarii – opowiada dalej Janusz. – Ja mówię: „Co wy myślicie, że Janczewski ma jakąś mafię ukraińską?”. „Zabezpieczamy, bo takie są procedury” – informują go policjanci.

Status ten wkrótce zostaje mu odebrany, bo mówi Janczewskiemu, że jest świadkiem anonimowym w sprawie jego syna.

– Ja jestem porąbany poeta – wspomina Kutyla. – Któregoś dnia znalazłem manekin krawiecki, kobietę z piersiami. Ubrałem ją w strój policyjny. Dałem jej kosę do ręki, czapkę i postawiłem tu, na ścieżce, gdzie często złodzieje przychodzili. Śmierć pilnowała mi wejścia do działki. Przychodzę kiedyś, patrzę, nie ma manekina. Myślę: jakiś kretyn ze wsi mi zabrał. Ale później pracuję sobie jako listonosz, a tu przyjeżdża policja. Na okoliczność manekina na działce muszę zeznawać. Ja na to: „Ludzie, czy was zupełnie porąbało? Ten manekin ma trzy miesiące i nie mógł być wykorzystany w tamtym przestępstwie”. „No ale Krupińskiemu się ubzdurało, że może pan ćwiczy na tym manekinie” – cytuje słowa policjanta Kutyla.

Podsumowanie efektów dotychczasowych rewizji zawrze w swojej książce biegła doktor habilitowana Renata Włodarczyk: „W tamtym czasie jednak ani w mieszkaniu Roberta J. (przeprowadził gruntowny remont), ani w domku nad jeziorem będącym jego własnością nie udało się zabezpieczyć żadnych dowodów mogących potwierdzić fakt uczestnictwa w zabójstwie”<sup>109</sup>. Nie do końca wiadomo, jaki konkretnie domek nad jeziorem należący do Roberta Janczewskiego policyjna biegła ma na myśli. Bo raczej nie ten w podkrakowskich Balicach, gdyż po pierwsze należy on do Janusza Kutyły, a po drugie nie ma tam żadnego jeziora.

\*

Do prokuratury zaczynają sływać wyniki badań śladów zabezpieczonych na ekshumowanych szczątkach. W grudniu 2013 roku już wiadomo, że drobiny roślin, które znaleziono na wyłowionej z Wisły skórze, nie pochodzą ze środowiska wodnego. Prawdopodobnie to pyłki igły sosny zwyczajnej. „Nie jest to zbyt zaskakujące, ponieważ w Wiśle pływa dosłownie wszystko – powie później dziennikarz telewizji TVN Michał Fuja. – Prokurator jednak zlecił policjantom zebranie po dziesięć igieł z każdego drzewa iglastego w kilku miejscach w Krakowie, np. z wszystkich drzew iglastych na terenie szpitala przy Kopernika 12 i dodatkowo wszystkich innych w promieniu stu metrów od tej nieruchomości. Każde drzewo musiało być przy tym sfotografowane, zmierzony pień dokładnie na wysokości metra od gruntu oraz opisane i zlokalizowane przy użyciu współrzędnych GPS”<sup>110</sup>.

Biegła Włodarczyk z kolei pisze, że odnalezione na szczątkach fragmenty roślin „stanowią rzadkie okazy występujące tylko w ograniczonym terytorialnie środowisku”<sup>111</sup>. A „Gazeta Krakowska” dodaje, że chodzi o rośliny, które rosną zaledwie w kilku miejscach w Krakowie<sup>112</sup>.

Tymczasem, jak czytamy na stronie Lasów Państwowych: „Sosna zwyczajna jest podstawowym gatunkiem lasotwórczym w naszym

kraju, spotykanym powszechnie w niemal każdym warunkach środowiska. Zajmuje rozmaite tereny, począwszy od ubogich piaszczystych gleb, przez bagna, a skończywszy na żyznych siedliskach”<sup>113</sup>.

Szeroko zakrojone poszukiwania konkretnej sosny, z której pochodzą drobiny, po raz kolejny prowadzą śledczych na działkę Janusza Kutuły. Rzeczywiście w jego ogrodzie rośnie kilka takich drzew.

– Była tu pani profesor z Gliwic, mówiła, że znaleziono taką sosnę, co występuje tylko na tym terenie – opowiada mężczyzna. – Chodzili wkoło działek i zbierali próbki.

Na szczątkach Katarzyny medycy zabezpieczyli też drobiny owada, prokuratura zleca więc wykonanie ekspertyzy entomologicznej. Przygotowuje ją komisarz doktor Paweł Leśniewski, wykładowca Szkoły Policji w Pile. Nie wiadomo, co dokładnie wykazuje jego analiza, ale efekt jest taki, że śledczy znowu przyjeżdżają do domku Kutuły i tym razem zabierają okna z piwnicy.

– Jak się zaczął proces sądowy, to je przywieźli, gdzieś tam w ogrodzie leżą – opowiada Kutuła, robiąc nieokreślony ruch ręką w kierunku drzew. – Wycięli kawałek kraty, skrobali lakier z dachu. Nie wiem po co. Myślą, że ktoś ją tam krzyżował?

Kolejne substancje zabezpieczone na szczątkach wykrywa zespół profesora Krzysztofa Marycza z Katedry Biologii Eksperymentalnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Są to związki chemiczne, które morderca podawał studentce przed śmiercią – składniki leków psychotycznych, przeciwłękowych oraz środki zawierające bromek potasu i chlorek potasu.

Bromek potasu jest wykorzystywany w medycynie jako środek uspokajający, w większych dawkach ma działanie nasenne. Natomiast chlorek potasu nazywany jest chlorkiem śmierci. Był jednym z preparatów używanych do uśmiercania pacjentów przez lekarzy łódzkiego pogotowia, tak zwanych łowców skór. Zastrzyk z potasu niemal natychmiast zatrzymuje akcję serca. W Stanach

Zjednoczonych używa się go do wykonywania kary śmierci. Stosuje się go też w eutanazji zwierząt.

Do prokuratury spływa również opinia przygotowana przez biegłych z Laboratorium Ekspertyz 3D Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu opisująca obrażenia Kasi. „Wynika z niej, że sprawca zadał Katarzynie Z. rany klute – mówi prokurator Bogusława Marcinkowska, ówczesna rzecznik Prokuratury Okręgowej w Krakowie. – Ugodził studentkę ostrym narzędziem m.in. w szyję, pachę, pachwinę. Zamiarem mordercy mogło być – jak orzekli biegli – zarówno pozbawienie jej życia, skrwawienie, jak i zadanie cierpień”<sup>114</sup>.

Rany klute zostają odkryte też na skraju lewego pośladka i w okolicy szpary międzypośladkowej. Eksperci stwierdzają niebywałą precyzję wykonanych cięć. Po tej opinii śledczy zamawiają u ekspertów z Wrocławia przestrzenny model obrażeń Katarzyny i trójwymiarowy obraz przebiegu zabójstwa.

Kolejna ekspertyza dotyczy kompleksowego badania tkanek miękkich i twardych tomografem, który Zakład Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego kupuje specjalnie na potrzeby tej sprawy.

„Powinno przybliżyć nam wiedzę o tym, od czego powstały obrażenia ofiary. Na razie wiemy, że sprawca posłużył się narzędziem ostrokończystym”<sup>115</sup> – informuje prokurator Marcinkowska.

Około dwudziestu osób zostaje przebadanych wariografem przez niezależnego eksperta Jacka Bieńkuńskiego. „Badania były trudne z uwagi na to, że nie dysponowano w początkowej fazie postępowania jakimiś konkretnymi materiałami. Układając pytania do testów, bazowałem na hipotetycznych przypuszczeniach, założeniach w celu sprawdzenia określonych wersji śledczych, które przyjęli prowadzący śledztwo. Moje wyniki z badań były oczywiście weryfikowane przez inne czynności procesowe i sukcesywnie zbliżano się krok po kroku coraz bliżej do sprawcy”<sup>116</sup> – mówi specjalista.

## W Piotrkowie Trybunalskim...

*W Piotrkowie Trybunalskim jest to dla mnie wielka męka. Bo skuty jestem, gdy mnie samochód wiezie tam i z powrotem całkiem. A gdy czytam średnio ponad 5,5 godziny, to nogi mam skute plus łańcuch cały czas. I nadal jest kamera.*

*Więc ja niektóre rzeczy na podstawie akt sprawy wykazuję i o pewnych rzeczach mówię, np. jak świadkowie (niektórzy) kłamią, sobie zaprzeczają. Jedni co do danej sprawy mówią tak, a inni o tym samym co innego.*

*Powiedziałem też do kamery, że mój dziadek Antoni i Wy – moi rodzice – pracowaliście jak woły robocze oraz że mogę każdemu w Polsce i wszystkim powiedzieć razem, patrząc prosto w oczy, że nikogo nie zabiłem.*

*Tu nie ma co cenzurować, bo to ja stwierdziłem, nic o sprawie nie piszę tutaj. Na razie przychodzą do mnie różni wychowawcy. Pytają, czy wszystko w porządku. [...] No co ja mam im mówić stale, że cierpię na depresję? Codziennie biorę antydepresanty i jakieś częściowo nowe leki psychotropowe.*

## Zanim funkcjonariusze zbliżą się do sprawcy...

Zanim funkcjonariusze zbliżą się do sprawcy, w walentynki, 14 lutego 2014 roku, prokurator Piotr Krupiński zostaje odsunięty od śledztwa, a sprawę przejmuje Prokuratura Apelacyjna w Krakowie i prokurator Grzegorz Pukał. „Uznaliśmy, że sprawa jest tak skomplikowana pod względem kryminalistycznym, że trzeba ją przenieść do wyspecjalizowanego w takich sprawach wydziału V Prokuratury Apelacyjnej. Zajmuje się nią prokurator z dużym doświadczeniem w tego typu dochodzeniach”<sup>117</sup> – tłumaczy jej rzecznik prokurator Piotr Kosmaty.

Wkrótce również Bogdan Michalec przestaje się zajmować tym śledztwem.

– To była decyzja policji. Śledztwo prowadzi nadal ten sam wydział, tylko inni ludzie – informuje prokurator Kosmaty. Dodaje, że zmiana prowadzącego pozwoli na spojrzenie na sprawę świeżym okiem, z innej perspektywy.

Jacek Bieńkuński komentuje w mediach, że odebranie im sprawy „Skóry” to strzał między oczy dla Archiwum X. „Pracowałem przy niej od początku. Przebadałem w sumie kilkanaście osób. Sprawa była prawie na ukończeniu. Wydałem opinię, że pewne środowisko i osoby mogą posiadać ze sprawą związek przestępczy. I rolą prokuratora było udokumentowanie tego w sposób procesowy (dowody!) i napisanie aktu oskarżenia. Krąg zawęził się do jednej osoby, tylko ona została jeszcze do przeanalizowania. Mogła być sprawcą. I w tym momencie Prokuratura Apelacyjna jako organ nadrzędny zadecydowała, że przejmują sprawę”<sup>118</sup> – komentuje.

Prokuratura apelacyjna zapewnia jednak, że zleciła kolejne analizy między innymi z informatyki, chemii, biologii, daktyloskopii, genetyki i techniki samochodowej. Śledczy chcą się przede wszystkim upewnić, że obrażenia Katarzyny nie powstały wskutek wypadku.

Jak już wiadomo, z badań przeprowadzonych przez lekarzy z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie wynikało, że skóra dziewczyny nosiła ślady potężnego urazu. Wskazywały na to charakterystyczne rozstępy w kształcie łez, a także wielokrotne złamania kończyn oraz kości miednicznej i krzyżowej ofiary. Zdaniem krakowskich medyków takie obrażenia mogły powstać tylko w wyniku zderzenia z samochodem lub upadku z dużej wysokości.

W czerwcu 2014 Bogdan Michalec udziela wywiadu dziennikarce „Gazety Krakowskiej”, w którym mówi, że sprawca był niezwykle precyzyjny. „Ciął jej skórę równo, fachowo, na barku widać ślady kilku poprawek, niemal »krawieckich«. Musiał mieć zawodowo do czynienia z nożem lub skalpelem. Może był to rzeźnik, masarz albo chirurg. Na pewno mężczyzna, w średnim wieku”<sup>119</sup>.

Również doktor habilitowany Tomasz Konopka, biegły w sprawie, wypowiada się podobnie: „To były bardzo precyzyjne cięcia. To by sugerowało, że oskórowania dokonała osoba, która na co dzień posługuje się skalpelem, na przykład kuśnierz, rzeźnik, myśliwy czy chirurg”<sup>120</sup>.

\*

Kilka dni po odsunięciu prokuratora Krupińskiego od sprawy, 18 lutego 2014 roku, w portalu Wirtualna Polska ukazuje się artykuł „Skórownik” z *Krakowa zatrzymany*. Dziennikarz ogłasza: „Według nieoficjalnych informacji, które usłyszeliśmy od jednego z policjantów, podejrzany o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem 23-letniej studentki został zatrzymany i obecnie przebywa na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym w Krakowie.

– Jesteśmy o krok od rozwiązania najbrutalniejszego morderstwa wszech czasów, a przynajmniej jedyne tak drastyczne w cywilizowanym świecie – mówi jeden z policjantów związany ze sprawą. – Mamy materiał biologiczny znaleziony na miejscu, mamy osobę podejrzaną. Nie mamy tylko narzędzi, które sprofilują zabójcę



z dowodami. Dlatego o pomoc poprosiliśmy Federalne Biuro Śledcze i kilka instytutów [medycyny sądowej](#)<sup>121</sup> – mówi dalej.

Ze względu na dobro postępowania prokuratorzy i biuro prasowe małopolskiej policji nie mogą potwierdzić oficjalnie tych informacji.

Jakiś czas po opublikowaniu tego artykułu umawiam się na rozmowę z prokuratorem Piotrem Krupińskim. Pytam, czy to prawda, że zatrzymano podejrzanego o zabójstwo Katarzyny. Prokurator zaprzecza. Enigmatycznie stwierdza, że ta informacja w prasie miała ścisły związek z odebraniem sprawy jemu i policjantom z Archiwum X. Krupiński pyta mnie, co sądzę o tym, że współpracował przy sprawie z jasnowidzem. Mówię, że chyba nie ma lepszych pomysłów na jej rozwiązanie.

Ponieważ nic więcej nie udaje mi się dowiedzieć, idę na spotkanie z podinspektorem Bogdanem Michalcem. Wchodzę do zagraconego pokoiku pełnego odrapanych mebli, sławnego Archiwum X. Michalec mówi, że jest dalej niż kiedykolwiek od zakończenia tego śledztwa.

– Jak to? Czytałam, że go zatrzymaliście... – dziwię się.

Policjant stwierdza, że wie, kto jest sprawcą, ale nie może mi powiedzieć. Sprawę przejęła prokuratura apelacyjna. Po co? Dlaczego? Mam sobie sama odpowiedzieć na te pytania.

– Nie rozumiem. Ktoś chce sprawie ukreścić łeb? – pytam.

Enigmatyczna mina.

– Dlaczego ktoś chciałby to zrobić?

Słyszę, że może łatwiej jest umorzyć sprawę, niż w razie porażki przyznać się do błędu.

– A dowody? Przecież musi pan mieć jakąś podstawę, by twierdzić, że wiecie, kto jest sprawcą.

Policjant mówi, że poprzedni prokurator inaczej oceniał dowody, ten inaczej. Zresztą to tylko poszlaki. Można je różnie interpretować.

Jestem trochę zaskoczona tymi wiadomościami. Wtedy, w 2016 roku, nie mam pojęcia, kogo podinspektor Bogdan Michalec uważa za sprawcę i co na niego ma. A poza tym boję się, że brutalny morderca chodzi po ulicach mojego miasta.

– Sprawca wie, że wy wiecie? – pytam.

Śledczy potwierdza.

– Mam nadzieję, że go obserwujecie...?

Śmiech. Wystarczy, że podejrzewany myśli, że policja go obserwuje.

– Czyli wiecie, kto jest zabójcą, i pozwalacie mu chodzić na wolności?

Policjant bezradnie rozkłada ręce i stwierdza, że nic więcej nie może zrobić.

Bogdan Michalec mówi enigmatycznie, ale między wierszami pada nazwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– To ktoś z uczelni? – pytam już w lekkim szoku.

Szef Archiwum X nie potwierdza ani nie zaprzecza. Dowiaduję się, że sprawcę wskazał Krzysztof Jackowski.

Po powrocie do domu piszę mejla do jasnowidza. Proszę, żeby zdradził mi więcej informacji na temat swojej wizji. Kim jest osoba, która mu się „ukazała”? Kilka lat wcześniej miał nią przecież być Tadeusz T., kierownik programowy klubu Pod Przewiązką. Jackowski oddzwania. Mówi, że to wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podaje mi tytuły książek, które rzekomy sprawca napisał. Sprawdzam. Rzeczywiście, taki wykładowca istnieje. Ze zdjęcia na stronie uczelni patrzy na mnie mroczna twarz. Zainteresowania: między innymi antropologia i fenomenologia religii, szamanizm i mistycyzm.

Jackowski sugeruje, żebym się spotkała z pewnym dziennikarzem, który posiada więcej informacji w tej sprawie.

Umawiam się więc ze wskazanym dziennikarzem. Okazuje się, że w przeszłości był studentem wspomnianego wykładowcy. Nie zgadza się na ujawnienie swojego nazwiska. Przez ponad dwie godziny wydeptujemy ścieżki wokół i w poprzek krakowskich Błoń. Mężczyzna opowiada:

– Doktor XY miał potężny problem z alkoholem. Wiem, że eksperymentował również z innymi substancjami, przez co zachowywał się w sposób dziwny. I na jednej z corocznych imprez, które się odbywają w instytucie, upił się. Zaczął podrywać jedną studentkę, moją koleżankę, i sugerować, że on ma związek z tą zbrodnią. Ona wszystkim o tym opowiadała na zasadzie dowcipu,

jakie dziwne rzeczy znowu ten wykładowca robi. I ja też się śmiałem, dopóki nie przeczytałem o sprawie Eda Geina, który też chodził i opowiadał o tym, że skórował ludzi. W tym czasie Bogdan Michalec wypowiadał się w prasie, że sprawca jest człowiekiem osobliwym, dziwnym, raczej inteligentnym. Pomyślałem: no kurczę, to wygląda dokładnie na mojego wykładowcę. Stwierdziłem, że napiszę do Jackowskiego z pytaniem, czy to nie jego widział w swojej wizji. Wysłałem mu portret doktora. To był tak naprawdę rysunek innej postaci, ale bardzo zbliżony do wyglądu tego wykładowcy. Jackowski w ogóle się do mnie nie odezwał, więc dałem ten portret śledczym. Oni mnie przesłuchali i przesłuchali też Karolinę, tę studentkę, która mi o tym opowiedziała. Doprowadzili do konfrontacji, podczas której potwierdziliśmy to, co mówiliśmy, z jedną różnicą. Ona mówiła studentom, że wykładowca wprost przyznawał, że zabił. Przy śledczych powiedziała, że tylko sugerował: „Niech pani połączy fakty”. Obydwoje poddaliśmy się wariografowi. Na badaniu wyszło, że mówiliśmy prawdę. Pokazałem im fragment książki doktora, w której opisywał różne koncepcje religioznawcze w związku ze skórowaniem. Odnosił się do mało znanej szkoły psychoanalizy francuskiej, gdzie analizowano, co daje skórowanie ofiary, jakie efekty psychologiczne można w ten sposób uzyskać. Rozpisywał się o tym. Wydaje mi się, że wzięli to na poważnie, bo rzeczywiście przetrzepali instytut. Słyszałem to od kolegi, który tam jeszcze studiował. Na pewno przesłuchiwali ludzi, pracowników naukowych i samego wykładowcę. Mnie w tej sprawie przesłuchiwali trzy razy. Później Michalec powiedział mi, że wykładowcę raczej wykluczyli. Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy nie, bo wiedziałem, że Archiwum X robi różne prowokacje. Pojechałem do Krzysztofa Jackowskiego, by przeprowadzić z nim wywiad. I wtedy zapytałem go wprost, czy to jest ten człowiek, którego widział w wizji. I on powiedział, że tak. Wezwał żonę na świadka, że się kiedyś obudził, przeczytał mojego mejla, zobaczył zdjęcie i powiedział: „Przecież to jest ten człowiek, którego widziałem w wizji!”.

Krzysztof Jackowski sprzedaje też teorię o zabójcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego innym dziennikarzom: „– To osoba z uczelni –

opowiada w chwili szczerości, ale szybko milknie. – Nie mogę nic więcej powiedzieć. Przepraszam”. „Nie może, ponieważ zabroniła mu policja i prokuratura”<sup>122</sup> – pisze dziennikarz.

„Ujawnia jednak, że »bestia jest inteligentna«. – To ktoś, kto interesuje się wiedzą i wiedzę przekazuje” – mówi reporterowi TVN24<sup>123</sup>.

Kontaktuję się z podejrzanym wykładowcą. Odpisuje: „Najwyraźniej moc jasnowidza nie dała mu wglądu w oczywisty dla organów ścigania fakt, że w tym czasie nie byłem jeszcze zatrudniony w tym instytucie UJ.

Tak to jest z tymi jasnowidzami...”.

W ten sposób niesprawdzona pogłoska o brutalnym mordercy, wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego, poszła w świat i mogła zniszczyć życie kolejnemu niewinnemu człowiekowi.

Po wygranych przez PiS wyborach, w marcu 2016 roku, prokurator Piotr Krupiński zostaje naczelnikiem Małopolskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Krakowie – Prokuratury Krajowej. W kwietniu jego wydział przejmuje z powrotem sprawę „Skóry”. Do pracy wraca też krakowskie Archiwum X razem z jego szefem podinspektorem Bogdanem Michalcem.

\*

Pewnego dnia policjanci docierają do Łukasza Sułowskiego, kolegi Leszka L. Sułowski też ma prywatną hodowlę gadów, dobrze zna pracowników Instytutu Zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym pracował Robert Janczewski.

Śledczy wypytyują mężczyznę o Leszka L. i... Tomasza R.

– Skupili się na takim moim znajomym, który pracował w zoo, był kulturystą, ćwiczył sztuki walki – opowiada Sułowski. – Twierdzili, że on jest podejrzany.

– Ale dlaczego go podejrzewali? – pytam.

– Przez odżywki, które znaleźli w tej wyłowionej skórze.

– Przecież kulturystów są tysiące, dlaczego sprawdzali akurat jego?

– Bo on też hodował węże. I znał się z Leszkiem L. Szli tropem „kulturyści – węże”.

Gdy po długich poszukiwaniach w pewien letni wieczór udaje mi się wreszcie odnaleźć Tomasza R., mężczyzna jest strzępem nerwów. Roztrzęsiony opowiada, że cała historia zaczęła się w maju 2016 roku, gdy przyszedł do niego policjant z wydziału kryminalnego i wręczył mu wezwanie do komendy przy Mogilskiej.

– Nawet sobie zażartowałem, że dawno nikogo nie zabiłem – wspomina. – No ale skąd mogłem wiedzieć?

– Wyjaśnili, dlaczego pana wezwali? – pytam.

– Nie. Równie dobrze mogli wezwać panią.

11 maja 2016 roku Tomasz R. stawia się na policji i dowiaduje się, że jest zamieszany w sprawę o morderstwo.

– Myślałem, że to jakiś bluff. Jaja sobie robią, nie? – wspomina. – Nie przesłuchali mnie, tylko od razu powiedzieli, że jeśli zgodzę się na wariograf, zostawią mnie w spokoju.

Tomasz się zgadza, przecież nie ma nic do ukrycia. Z badania dowiaduje się, że chodzi o zabójstwo Katarzyny.

– Szczerze mówiąc, poczułem się jak w jakimś koszmarze. Bo nawet nie wiedziałem o istnieniu tej dziewczyny. Pierwszy raz usłyszałem o niej w *Wiadomościach*, kiedy wyciągnęli z Wisły skórę. Ale gdyby ktoś mi powiedział, że kiedyś będę w to zamieszany, kazałbym mu się leczyć.

Tomasz twierdzi, że Jacek Bieńkuński, który przeprowadzał badanie poligraficzne, manipulował nim.

– Przedłużał niektóre pytania, widziałem, że chce mnie zdenerwować. Na przykład było takie pytanie dotyczące zabójstwa Katarzyny: czy nie wieszałem na ścianie części jej ciała. Moja była żona mówiła, że jej też zadawali takie pytania. Była przerażona.

Specjalista od poligrafii pyta też o Roberta Janczewskiego, ale wtedy to nazwisko nic Tomaszowi nie mówi.

Tomek jest absolwentem Technikum Ogrodniczego przy ulicy Pędzichów. To ten sam zespół szkół, do którego chodzili Robert Janczewski i Leszek L. Wszyscy trzej są w podobnym wieku – Tomasz jest z rocznika 1964, Leszek L. był od niego rok starszy, a Janczewski rok młodszy.

Tomek w dzieciństwie trenuje karate. Fascynuje go świat przyrody. Do domu znosi żaby i robaki. W połowie lat osiemdziesiątych zaczyna pracować w krakowskim zoo. Na zimę zawsze jest przenoszony do działu gadów. W tym czasie sam też hoduje dużo zwierząt – w domu trzyma małe węże, pająki i żółwie.

– Przede wszystkim zawsze byłem miłośnikiem owadów – opowiada mi. – Węże hodowałem dlatego, że miałem łatwy dostęp do pokarmu. W ogrodzie zoologicznym zawsze coś się uszczknęło dla swojej prywatnej hodowli. Później się skoncentrowałam wyłącznie na owadach, bo gady są dla mnie mało ciekawe. Miałem jeszcze gekony, ale bardziej z sentymentu, bo były dość sympatyczne.

W 1994 roku otwiera kiosk w Nowej Hucie, który prowadzi przez następne kilkanaście lat. W tym okresie żeni się, rodzi mu się dziecko. Potem się rozwodzi i wraca do mieszkania matki. Kobieta na kilka ciepłych miesięcy w roku przenosi się na działkę położoną w sąsiedztwie Tenczyńskiego Parku Krajobrazowego, około trzydziestu kilometrów od Krakowa. Tomasz mieszka wtedy sam.

Po badaniu wariograficznym policjanci bynajmniej nie zostawiają mężczyzny w spokoju. Pakują go do samochodu policyjnego i wiozą do mieszkania w Hucie. Tu już, ku zaskoczeniu Tomasza, czeka na nich ekipa techniczna.

– Zlali mi całe mieszkaniem luminolem – opowiada. – Jakaś dziewczyna wchodziła do szafy, żeby sprawdzić, czy się zmieści ciało.

Zdenerwowany mężczyzna pokazuje mi zniszczenia w lokalu dokonane przez śledczych.

– O, widzi pani, tu są jeszcze ślady. Płytki są poodrywane.

– Zdzierali panu płytki z podłogi?

– Jak luminol coś wykazał, od razu zdzierali. Byli strasznie podnieceni, kiedy tu wpadli. Szli jak po swoje. Ale po dwóch, trzech

godzinach już wiedzieli, że nic tu nie ma. Nie chcieli ściągać wykładowiny ani zrywać boazerii, ale prokurator się uparł. Kazał im zrywać.

Przeszukanie trwa do późnych godzin wieczornych.

– W końcu przestałem się denerwować, bo myślę: przecież nic nie znajdą. No chyba że moja matka ją zamordowała i gdzieś tu trzymała. Zrobili mi taki bajzel, że trzy dni nie mogłem posprzątać.

Śledczy zabierają paralizator i wiatrówkę.

– Bo wiatrówka miała za dużą moc, a zdaje się, że jak ją kupowałem, to jeszcze nie obowiązywały przepisy o mocy wiatrówek – mówi Tomasz.

Poza tym zabezpieczają książki o trujących roślinach i komputer.

– Ja jestem z zawodu ogrodnikiem, mam ze sto pięćdziesiąt książek o roślinach i zwierzętach, ale wybrali akurat te. A komputer był nowy, prawie nic na nim nie było, więc nie wiem, po co go przetrzymują.

Tomasz wykorzystuje sytuację, że w mieszkaniu wszystko jest powyciągane z szafek, i zaczyna znosić do śmietnika niepotrzebne rzeczy. Widzi, że technicy kontrolują wszystko, co wyrzuca.

Po jakimś czasie znowu dostaje wezwanie do komendy.

– Przyszedł pan, ten sam, co poprzednio, i taką ciężką siatkę wtachał na górę. Myślę: coś takiego wniósł na czwarte piętro? Mógł sobie zostawić w samochodzie. Dopiero później się zorientowałem, że przyniósł urządzenie do namierzania telefonów. I następnego dnia na mój prywatny numer, którego nikt nie zna, siedem razy ktoś dzwonił. Dwa dni później jeszcze sześć razy. Wtedy już byłem pewien, że namierzyli mój telefon i że jestem inwigilowany ze wszystkich stron.

Tomasz R. stawia się w komendzie. Okazuje się, że znowu ma iść na wariograf. Jednak tym razem odmawia. „Jak pan prokurator chce ze mną rozmawiać, to niech mnie przesłucha” – oznajmia. Jednak śledczego nie interesuje, co Tomasz ma do powiedzenia. Jak twierdzi mężczyzna, w trakcie postępowania ani razu nie jest przesłuchiwany.

Po rewizji śledczy zostawiają przed blokiem obserwację.

– Pięć śledzących osób wykryłem – mówi Tomasz R. – I auto przez kilka nocy stało.

Podobno podstawą do przeszukania jego mieszkania są zeznania świadków.

– Ale to są bzdury, nie było żadnych świadków – twierdzi mężczyzna. – Nigdy nie podano mi żadnych nazwisk, żadnych zeznań. Może był jakiś anonim czy ktoś złośliwie na mnie doniósł. Bo oni się już chwytają wszystkiego. Przypuszczam, że w tej sprawie nie mają nic.

Może i nie mają, ale za to zawzięcie szukają. Podobnie jak w przypadku Janczewskich manewr okrążający atakuje wszystkie flanki przeciwnika. Gdy trwa przeszukanie mieszkania w Hucie, druga ekipa techników przyjeżdża na działkę matki Tomasza R. do Tenczynka.

– W tym samym czasie weszli tu i tu – mówi Tomasz R. – Taki mają sposób na gangsterów. Nas też tak potraktowali.

\*

Barbara<sup>124</sup> z zawodu jest geodetką. W 2016 roku cieszy się już emeryturą, którą w większości spędza na działce. Tenczyński Park Krajobrazowy, który zaczyna się tuż za jej ogrodzeniem, zajmuje obszar ponad stu kilometrów kwadratowych. Obok swój kawałek ziemi ma też jej syn Tomasz.

– Matka miała wtedy siedemdziesiąt pięć lat – opowiada mężczyzna. – To zawsze była taka porządna kobieta, bałem się, że coś może się jej stać.

Piękna okolica, dookoła dużo zieleni, cisza. Gdy ją odwiedzam, w oczy rzuca mi się rosnąca przy wejściu do domku wielka, piękna japońska sosna płacząca. Jak później przeczytam, jej łacińska nazwa to *Pinus thunbergii*. Występuje w stanie dzikim w północnej Azji, Japonii i Korei. W Polsce jest rzadko spotykana, przeważnie w ogrodach botanicznych. Być może to właśnie ta sosna przesądziła, że śledczy postanowili przetrzepać jej ogródek.



Jest poranek 11 maja, dokładnie dzień po urodzinach Zofii. Kobieta leży jeszcze w łóżku i rozmawia ze znajomą przez telefon.

– Nagle ktoś mi tu puka do okienka – opowiada. – Koleżanki, która mieszka przez furtkę, nie ma, więc zastanawiam się, kto to może być. Odsuwam zasłonkę, a tu facet pokazuje mi legitymację. Za nim chmara ludzi. Myślę: matko święta, stało się coś! Pewnie jakiś wypadek!

Pani Barbara przestraszona otwiera drzwi. Widzi nakaz przeszukania w związku z zabójstwem Katarzyny Z.

– Szczęka mi opadła. Nigdy w życiu bym się czegoś takiego nie spodziewała. No ale mieli nakaz, nie mogłam się sprzeciwić.

– Wytłumaczyli, dlaczego chcą przeszukiwać akurat pani domek?  
– pytam.

– No bo sprawca gdzieś to musiał zrobić.

A skoro w profilu zapisano, że zrobił to na działce, to trwają poszukiwania właściwej działki.

Technicy w białych kombinezonach wchodzą do piwnicy, wszystko z niej wyciągają. Pryskają pomieszczenie luminolem, pobierają próbki. Później wspinają się na piętro domku, gdzie leżą tylko materace i dywan. Sprawdzają każdy kąt.

Ich uwagę zwraca skalniak, na którym rośnie jałowiec. Chcą go rozkopać, żeby sprawdzić, czy nic nie zostało ukryte pod kamieniami. Barbara mówi im, że ogródek został usypany na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy urządziła w domku łazienkę, ale śledczy nie są przekonani.

– Jak przyjechał ten prokurator Dudek, to latał po działce jak szalony – opowiada kobieta. – Dzwonił gdzieś, w końcu znalazł takich chłopów, którzy zaczęli kopać dziury w tej kupie kamieni pod jałowcem. Szukali nie wiadomo czego. Mówię: „Szkoda waszej roboty. Nic nie znajdziecie”.

Ale śledczy są zawzięci. Georadarem jeżdżą po całej działce, od płotu do płotu.

– Ja mówię: „A czemu tylko do płotu? A może to jest zakopane za płotem? Spróbujcie jeszcze tam”. Żartowałam już z nich. Potem czegoś w ziemi szukali, bo wbijali druty z takimi czerwonymi

końcówkami. Nawbijali tego multum. Później chodził pan z łopata i w tych miejscach kopał. Brali jakieś próbki, różne kamienie.

Po kilku miesiącach śledczy odeślą Barbarze kamienie z ogródka na adres krakowskiego mieszkania. Trzyma je do dziś na pamiątkę.

Śledczy zaglądną też do studzienki.

– Podniósł ten dekiel, spenetrował, czy nic tam nie ma, przykrył z powrotem – opowiada kobieta. – Mówię: „Jak już chcecie zaglądnąć do wszystkich dziur, to mam jeszcze dwa przykryte igliwiem szamba, jakbyście nie zauważyli”.

Sprawdzają więc szamba.

– Wzięli taką tykę, bo to szambo jest z kręgów zrobione. Nic nie znaleźli – wspomina Barbara. – Byli bardzo grzeczni, nawet nie chcieli herbaty, jak ich częstowałam. Tylko jeden mnie strasznie namawiał, żebym synowi powiedziała, żeby się przyznał. Albo żeby powiedział, co wie. Ja mówię: „Ale do czego syn ma się przyznać?”.

Kobieta przy śledczych dzwoni do Tomasza R. Na równoległym planie w krakowskim mieszkaniu policjanci każą mu odebrać.

– Co to się dzieje, Tomek? – pyta Barbara.

Syn mówi jej, że w domu też wszystko przeszukują. Kobieta pyta, czy znał tę Katarzynę. Tomasz mówi jej, że w ogóle nie wie, kto to jest, i że nie ma pojęcia, kto go w to wszystko wmieszał.

Kobieta mu wierzy.

– Przecież bym coś zauważyła, bo zimą mieszkamy razem – mówi.

Technicy kończą pracę po południu, ale mówią, że następnego dnia też przyjadą. Zofia z nerwów nie może w nocy spać. Rano wstaje, wychodzi na taras, a tu przed furtką stoi radiowóz. W środku dwóch policjantów. „Co wy tu robicie?”. „Całą noc panią pilnujemy”.

– Czego się bali? – zastanawia się Barbara. – Że coś wyniosę? Ukryję? Nie mam pojęcia. Zapytałam, czy nie chcą herbaty albo kawy, bo widziałam, że chłopcy zmarznięte. Jeden poprosił o kawę, zrobiłam mu.

Okolo dziesiątej rano zjeżdża się ekipa z poprzedniego dnia. Uwagę prokuratora Tomasza Dudka od razu przykuwają świeżo wyprane i wykrochmalone zasłonki, które Barbara zawiesiła w oknie.

– Tego tu nie było – ogłasza.  
– No nie było, bo dziś założyłam. Wszystko było na widoku, tak głupio. Zawsze na wiosnę sprzątam i zakładam świeże.  
– Oj, to my je pani zabierzemy – oznajmia prokurator.  
– A po co? – pyta zdziwiona Barbara. – Przecież to już wisi tutaj tyle lat. Po co to będziecie brać?  
Technicy zdejmują z okna zasłonki.  
– Coś tu sobie pani założy.  
Przysyłają je z powrotem po dwóch latach. Zniszczone.  
– Powycinali takie... pokażę pani. Takie kwadraciki.  
Pani Barbara woła mnie do kuchni. Rzeczywiście w tkaninie w kratkę są powycinane małe kwadraty. Takie same, jakie były we fragmencie materiału znalezionej ze szczątkami ciała Katarzyny.

Domek i działkę kobiety technicy przeszukują przez trzy dni. W nocy pilnuje jej lokalna policja.

– Najbardziej to mnie denerwował ten prokurator – mówi kobieta.  
– Bo latał tu, szukał nie wiadomo czego. Mówię: „Na siłę chcecie coś znaleźć, żeby mieć robotę z głowy, tak? Obwinić niewinnych ludzi? Na tym to polega?”.

Barbara ma w domku dwie miski dla psa, bo młodszy syn czasem przyjeżdża do niej z czworonogiem. Kobieta wlewa do nich wodę dla ptaków albo wsypuje resztki jedzenia dla bezpańskich kotów. Na ich widok śledczym od razu zapala się czerwona lampka. „A te miski to co? Syn miał psa?” Zofia tłumaczy, że miał, ale młodszy. W duchu się zastanawia: czy oni pogłupieli? Myślą, że Kaśkę zeżarł pies?

Wieczorem kobieta chce wyrzucić śmieci. „Nie, nie, my to pani wyrzucimy” – deklarują funkcjonariusze.

– Nie pozwolili mi wyjść. Pewnie je przegrzebali.

Liczą wszystkie drzewa i krzewy w ogródku. Wychodzi im dziewięćdziesiąt trzy. Barbara musi powiedzieć, jak się każda roślina nazywa.

– Założyli, że do morderstwa doszło w domku na działce – mówi kobieta. – Ale część tych zwłok znaleźli w Wiśle. To ktoś by zakopał

część ciała we własnym ogródku, a potem jechał trzydzieści pięć kilometrów, żeby resztę wyrzucić do Wisły? Jaki to ma sens?

– Najciekawsze jest to, że obok działki jest Las Tenczyński – dodaje jej syn. – Tam można oddział wojska zakopać i nikt by go nie znalazł. Ale oni założyli, że ja ją zakopałem w swoim ogródku.

Koleżanka kobiety ma domek poniżej. Gdy widzi, że u znajomej stoi tyle radiowozów, przestraszona przychodzi zapytać, co się dzieje.

– Powiedzieli jej, że nic mi się nie stało, ale nikt nie może tu wejść. Nie wpuścili do mnie nikogo przez trzy dni. Od środy do piątku.

Barbara nie jest ani razu przesłuchiwana. O dziwo, nie trafia na wariograf. Za to technicy pobierają od niej wymaz na badanie DNA.

– Ja to okropnie przeżyłam, nie mogłam sobie z tym poradzić – wspomina. – Nigdy nikomu nic złego nie zrobiłam. W zasadzie to jestem dobrym człowiekiem i szanowaną działkowiczką. To wszystko było dla mnie nie do przyjęcia.

Ostatecznie Tomaszowi R. nie zostają postawione żadne zarzuty. Zabrzanych przedmiotów do dnia dzisiejszego mu nie zwrócono.

\*

Pięć miesięcy później, w połowie października 2016 roku, prokuratura postanawia podzielić się ze społeczeństwem swoimi ustaleniami w sprawie: „Niewykluczone, że chciał być lepszy od Hannibala Lectera i dlatego to zrobił” – ogłasza w telewizji Polsat prokurator Piotr Krupiński<sup>125</sup>. Jednocześnie śledczy informują prasę, że morderców mogło być kilku, a nie jeden. „Mogli na ofierze realizować różne fantazje”<sup>126</sup> – twierdzą.

Do dziś nie wiadomo, jaką grupę sprawców śledczy miał na myśli.

W tym czasie podejrzewany jest też Leszek L. Policjanci przyjeżdżają do kamienicy, w której mieszkał, ale przesłuchują tylko sprzedawcę ze sklepu w piwnicy i ojca Anety, byłej przyjaciółki hodowcy.

– Mąż mi mówił, że była policja i pytała się o Leszka L. – potwierdza jej matka. – W związku z tą sprawą. Mówili, że go podejrzewają.

Policjanci jadą też do Białegostoku, żeby porozmawiać z córką L.

– Powiedzieli mi, że tata się z nim pokłócił i że na niego doniósł – opowiada kobieta.

Później Bogdan Michalec wyjawia mi jeszcze, że przesłuchiwali też znajomych policjantów hodowcy. Po tych wszystkich czynnościach uznali, że to nie on jest sprawcą.

Ponieważ zabójca pozostawił fragment owłosienia łonowego i wyciął sutki ofiary, śledczy przypuszczają, że być może chciał wkładać skórę na siebie, aby poczuć się kobietą. Jednak kolejne badania to wykluczają. „Nie wiemy, do jakiego celu ta skóra służyła – przyznaje doktor habilitowany Tomasz Konopka. – Początkowo była stawiana teoria, że chciał tę skórę na siebie ubrać. Ale została odpreparowana w taki sposób, że jej założyć się nie dało. Dlatego należy przypuszczać, że jego cel był inny niż w »Milczeniu owiec«”<sup>127</sup>.

14 października 2016 roku prokurator Piotr Krupiński i szef Archiwum X Bogdan Michalec występują na konferencji prasowej. Prokurator ogłasza: „Niewykluczonym jest, iż na nodze pokrzywdzonej, którą zabezpieczono w toku tego postępowania, są ślady zażyciowych urazów typu sportowego. A zatem to jest ważna okoliczność, bo może świadczyć o tym, że sprawca bądź sprawcy mieli kontakt ze sportem walk”<sup>128</sup>.

Ten wniosek śledczy wysnuwa po wstępnym rozpytaniu Duarteego Vieiry, światowej sławy profesora medycyny sądowej i eksperta Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw tortur, który zapoznał się z wizualizacją obrażeń Katarzyny sporządzoną przez zespół Laboratorium Ekspertyz 3D z Wrocławia. „Kiedy otrzymał materiały, sam przyjechał do Zakładu Medycyny Sądowej CM UJ w Krakowie. Jego uwagi zmieniły krążące dotychczas opinie”<sup>129</sup> – oznajmia Bogdan Michalec, szef Archiwum X.

Portugalski ekspert bada wyłowioną z Wisły skórę. Wstępnie uznaje, że kobieta mogła być przed śmiercią torturowana,

a charakterystyczne, przypominające rozstępy ślady znalezione na jej skórze mogły pozostawić na przykład ciosy karate.

Dziennikarze TVN odkrywają, że profesor Duarte Vieira nie wydał żadnej ekspertyzy w sprawie, ale jedynie został przesłuchany przez prokuraturę. Mało tego, w swoim zeznaniu naukowiec wielokrotnie zastrzega, że jego wnioski są zaledwie wstępne i na tym etapie nie może sformułować definitywnych opinii. Nie udaje mi się ustalić, czy w późniejszym czasie Vieira taką ekspertyzę sporządził.

Trzy dni później o sprawie robi się jeszcze głośniejsze. Prokuratura zleca ponowne przeszukanie Wisły w rejonie, w którym przed kilkunastu laty znaleziono szczątki studentki. Grupa Specjalna Płetwonurków RP przez pięć dni przeczesuje rzekę od Wawelu aż do stopnia wodnego Dąbie. To obszar, który policjanci z Komisariatu Wodnego Policji w Krakowie wskazali im jako miejsce, gdzie najczęściej wyławiane są zwłoki.

Na nabrzeżu roi się od policjantów i płetwonurków. Przeczesują zarośla, badają koryto rzeki. Nurkowie sprawdzają zatopione konary drzew, kamienie, pojemniki, karoserie samochodowe, fragmenty sieci i wszystko, co znajduje się na dnie Wisły.

Na bulwarach rozstawione są wielkie telebimy, na których widać obraz z podwodnych kamer. Nurkowie liczą, że mimo upływu siedemnastu lat uda im się znaleźć fragmenty szkieletu lub ubrania należące do ofiary.

– Pomiedzy kamieniami mogły utkwic fragmenty duzych kości, miednicy, czaszki – opowiada Maciej Rokus, szef grupy. – A następnie zostać przesłonięte przez naniesiony piasek i muł.

Do poszukiwań nurkowie stosują tak zwaną metodę pola kraty.

– Kraty kładzie się na dno i wyznaczone przez nie pola się dokładnie przeszukuje – tłumaczy Rokus. – Po tylu latach raczej szuka się organoleptycznie, za pomocą oka i ręki, a nie przyrządów.

Po akcji biegły przekazuje prokuraturze ponad trzydzieści przedmiotów, z których dwa na pewno należały do kobiety. Jednocześnie w kilku miejscach Wisły prokuratura robi eksperymenty, między innymi z pływającą na sznurku świńską skórą. Czego mają one dowieść, nie wiadomo.

– A przy okazji działały się różne czynności równorzędne – twierdzi Maciej Rokus. – Kilka zespołów pracowało razem.

Gdy dopytuję, co to za czynności, mężczyzna zdradza tylko, że były to działania operacyjne.

– Myśmy pływali, głośno było jak jasny szlag. Monitory, telewizja. A jednocześnie jemu się przypatrywali. Czy będzie biegał, denerwował się.

„Jemu”, czyli Robertowi Janczewskiemu. Innych podejrzewanych wykluczono, więc śledczy postanowili wrócić do starych dobrych tropów.

Warto wspomnieć, że kilka miesięcy później podejrzewany jest jeszcze inny wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. 12 kwietnia 2017 roku w jego sprawie składa zeznania w Prokuraturze Krajowej Brunon Kwiecień, skazany za przygotowywanie zamachu na Sejm.

„Z pytań prokuratora domyśliłem się, że o zabójstwo podejrzewają jednego z pracowników Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oczywiście nie mogę powiedzieć, o kogo dokładnie chodzi, w każdym razie znałem tego wykładowcę. Nawet miałem przyjemność z nim pracować. Przyznaję, że facet zawsze był znany z utrzymywania wielu intymnych kontaktów ze studentkami. Większość osób z CM UJ go zna”<sup>130</sup> – mówi dziennikarzom.

Nie udaje mi się ustalić, jak się nazywa ów wykładowca ani dlaczego go podejrzewano. W tym czasie nazwisko Roberta Janczewskiego zostaje rzucone przez śledczych na żer kilku zaprzyjaźnionym z nimi dziennikarzom.

## Życie nasze nie może być wolne od smutku...

*Życie nasze nie może być wolne od smutku. Powiedział kiedyś człowiekowi, że będzie spożywał swój chleb w pocie czoła i będzie go skrapiał łzami. Od chwili pierwszego grzechu, bóleści i troski stały się udziałem dzieci Adama. Idź, gdzie ci się podoba – mówi autor Naśladowania – szukaj wszystkiego, czego pragniesz. Urządzaj wszystko według swoich zamierzeń i upodobań, a zawsze znajdziesz powód do cierpień. Krzyż dla ciebie wszędzie jest przygotowany i wszędzie czeka na ciebie. Jeżeli odrzucisz jeden od siebie, znajdziesz inny, może jeszcze cięższy.*



## Kilka miesięcy później...

Kilka miesięcy później, latem 2017 roku, dwaj reporterzy *Superwizjera* TVN Piotr Litka (wraz z Bogdanem Michalcem współautor dwóch książek o polskim Archiwum X) oraz Michał Fuja realizują program o sprawie. Wynajmują mieszkanie znajdujące się w bloku naprzeciwko Janczewskiego. Chodzą za podejrzanym mężczyzną. Filmują go w kościele, gdy się modli. Nachodzą go w mieszkaniu i nagrywają ukrytą kamerą. „Nie czytam gazet, nie mam internetu, nie mam telefonu komórkowego, a telefon stacjonarny jest zawieszony od wielu miesięcy – wyrzucił z siebie zdenerwowany Robert. – Jestem wyizolowany społecznie całkowicie. Ja nic nie wiem. [...] Ja z roku 2000 to nie ja z roku 2017. Została zmieniona we mnie struktura pojęciowo-myślowa. [...] Pan ode mnie nic nie wyegzekwuje, ani jednego przecinka”<sup>131</sup>.

Jak stwierdzi potem jego ojciec w piśmie do prokuratury, „swymi nachodzeniami doprowadzili moją byłą żonę do kolejnego ataku graniczącego ze śmiercią”.

Kilka dni później kolejny raz zaczepiają Roberta na ulicy.

„Kaśkę pan znał, prawda? – pytają.

– Nie znałem – odpowiada Robert.

– Ale przychodził pan na jej grób na Batowicach?

– To nie jest przestępstwem”<sup>132</sup>.

Dziennikarze TVN umawiają się też z ojcem Roberta. Józef Janczewski opowiada:

– Wie pani, jak oni mnie zrobili? Oni już wiedzieli, że Robert będzie aresztowany. Dzwonią do mnie i mówią, że są z domu kultury. „Pan bardzo ładnie maluje i my byśmy chcieli zorganizować wystawę” – mówią.

– Tak, nieraz coś namaluję, ale bardziej jestem literatem – prostuje Janczewski.

– Ale, proszę pana, bardzo byśmy chcieli, możemy przyjechać do pana?

Józef umawia się z pracownikami domu kultury *vel* reporterami na Czarnowiejskiej w Krakowie. Jedzie do nich na rowerze. Jeden z dziennikarzy już czeka na niego na rogu ulicy.

– Pan Józef, tak? – upewnia się. – Prosimy do stolika.

Reporterzy zamawiają napoje i oznajmiają, że są z domu kultury z Gliwic.

– Przecież to jest daleko, jak ja bym miał te obrazy tam wieźć? – pyta zdziwiony Józef.

– My panu zapłacimy – twierdzą reporterzy. Po czym zagadują: – A nie ma pan jakichś zmartwień?

– Wie pan co, z synem mam takie zmartwienie – zwierza się Józef.

Po czym opowiada, że jego pierworodny od kilkunastu lat jest podejrzewany o zabójstwo Katarzyny.

– Nie wiedziałem, że on to nagrywa – twierdzi Józef. – W ten sposób mnie wykorzystali. Później się okazało, że to wszystko była nieprawda. Oni nie byli z żadnego domu kultury.

Kilka dni po zatrzymaniu Roberta, 7 października 2017 roku, telewizja TVN wyemituje reportaż będący wynikiem tego wielomiesięcznego śledztwa.

W tym samym czasie równie intensywnie sprawą zajmują się Dawid Serafin z Onetu, który kilka lat później z byłym już szefem Archiwum X Bogdanem Michalcem stworzy kanał youtubowy Polskie Archiwum X, i dziennikarze Radia Kraków, w którym prawdopodobnie pracuje nękana wcześniej przez Roberta Iwona. W dniu zatrzymania Janczewskiego obie redakcje publikują teksty, do których, jak informują, „przez ponad rok ustalali fakty”.

Przytaczam te fakty nie po to, aby krytykować dziennikarzy. Wykonywali swoją pracę, zdobywali informacje wszelkimi dostępnymi metodami. Przywołuję je, aby pokazać skalę inwigilacji, której był poddany Janczewski. Organy ścigania na etapie śledztwa prokuratorskiego wciągnęły zaprzyjaźnione media w polowanie z nagonką skierowane przeciwko podejrzanemu mężczyźnie.

Czy gdy śledczy ujawniali wybranym dziennikarzom ściśle tajne informacje z postępowania prokuratorskiego, nie bali się, że mężczyzna ucieknie? Lub przerażony popełni samobójstwo? Albo

w akcie paniki kogoś zabije? Przecież uważali go za brutalnego, pozbawionego wszelkich skrupułów mordercę, który uśmiercił młodą dziewczynę i zdjął z niej skórę.

Kilka miesięcy później Robert zostanie pojmany przez policję w towarzystwie licznych kamer, mikrofonów i reflektorów. Spod własnego mieszkania, ze skutymi nogami zostanie odwieziony przez brygadę antyterrorystyczną do komendy. W areszcie dostanie status szczególnie niebezpiecznego więźnia. Latem jeszcze nikomu nie zagrażał?

Radio Kraków pierwszą informację o aresztowaniu Roberta wrzuca już o 12.46 4 października 2017 roku – kilka godzin przed zatrzymaniem Janczewskiego. Ogłasza: „Wiemy, kim jest zatrzymany w sprawie zabójstwa Katarzyny Z.” [133](#).

O tej porze Robert w błogiej niewiedzy siedzi z dokumentami na korytarzu Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, do którego został zwabiony przez śledczych.

Po wizycie w zakładzie Robert wsiada na rower i wraca do domu. Aż dziw, że piorunująca informacja o tym, że od kilku godzin jest zatrzymany, jeszcze do niego nie dotarła.

Nieświadomy wiszącego nad nim miecza Damoklesa podjeżdża przed blok, w którym mieszka. Zsiada z roweru i... wtedy do akcji wkracza brygada antyterrorystyczna. W spektakularnej akcji, w towarzystwie sygnałów dźwiękowych i świetlnych, realizuje akcję zatrzymania groźnego przestępcy.

Dosłownie w tej samej chwili, kwadrans przed trzecią po południu, portal Onet publikuje duży reportaż o sprawie. Jego autor Dawid Serafin informuje czytelników, że „słowa [Roberta] były jednym z ostatnich dźwięków, jakie Kasia usłyszała przed śmiercią”[134](#). Następnie prezentuje własną rekonstrukcję zdarzeń:

Jest czwartek, 12 listopada 1998 r. Kasia nie przychodzi na spotkanie z matką w nowohuckiej przychodni. Nie wraca też do domu. Tego dnia o poranku, do drzwi domu, gdzie mieszkają kobiety, puka Robert J. Dziewczyna nie ma powodów do obaw. Wychodzą z mieszkania i najprawdopodobniej wsiadają do

samochoду zaparkowanego przed klatką. Jadą do domku na obrzeżach miasta. Teren otoczony jest niewielkim płotem. Na środku znajduje się podpiwniczony budynek. Dziewczyna zostaje uwięziona w piwnicy.

Najprawdopodobniej sprawca czymś ją przywiązuje. Nawet jeśli krzyczała, na niewiele się to zdało. Dźwięki nie były w stanie dotrzeć na zewnątrz. Ponadto o tej porze roku na terenie ogrodów działkowych przebywało niewielu działkowców.

Kasia jest torturowana. Ciosy zadaje Robert J. Świadczą o tym charakterystyczne ślady, które mogła zostawić tylko osoba trenująca sztuki walki. [...]

Wiele wskazuje na to, że w momencie oskórowania studentka jeszcze żyła. Nie wiadomo jednak, czy była świadoma tego, co się z nią dzieje. Jedną z hipotez zakłada, że sprawca po śmierci próbował ubrać na siebie skórę dziewczyny. Kiedy dokładnie zginęła Kasia? Tego nie wiadomo. Poszlaki wskazują jednak, że Robert J. zabrał skórę zdartą z dziewczyny do swojego mieszkania na Kazimierzu. Do Wisły wyrzucił ją najprawdopodobniej w grudniu<sup>135</sup>.

Jak widać, autor relacji już skazał Janczewskiego. Na miejsce zbrodni wytypował domek na działce Janusza Kutuły w Balicach, w którym śledczy po dwukrotnym przeszukaniu nic nie znaleźli. Twierdzi, że Robert wiózł ofiarę samochodem, którego nie miał. Mimo że w całym tekście pełno jest nieprawdziwych lub niepotwierdzonych informacji, tezy przesądzające o winie mężczyzny idą w świat i nigdy nie zostaną zdementowane.

Chwilę po wpół do czwartej Serafin nada jeszcze fotorelację z aresztowania Roberta Janczewskiego.

\*

O sprawie mówi cała Polska. Zdjęcia prowadzonego w kajdankach Janczewskiego, podejrzanego o oskórowanie studentki, publikują wszystkie media.

W areszcie śledczym przy ulicy Montelupich w Krakowie Robert otrzymuje kategorię „N”, czyli osadzonego stwarzającego poważne zagrożenie społeczne albo poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa zakładu. Przebywa w jednoosobowej, monitorowanej, wyposażonej w odpowiednie zabezpieczenia techniczno-ochronne, często kontrolowanej celi.

– Bardzo chce być sam w celi, bo on słyszy, jak się zachowują inni  
– opowiada Józef Janczewski. – Jak klną, rozbijają muszle klozetowe i umywalki. Boi się ich. Poza tym oni sobie z niego troszeczkę pokrywają, bo on się cały czas modli.

Poruszanie się Roberta po zakładzie jest ograniczone do minimum i odbywa się pod wzmocnionym nadzorem. Każdorazowo przy wejściu i wyjściu z celi jest poddawany kontroli osobistej. Porusza się w czerwonym uniformie, nie może korzystać z własnej odzieży i obuwia.

Przewożony jest zawsze w konwoju.

– Sadzają go na krześle na środku, jest zakuty, a oni jadą na złamanie karku – opowiada jego ojciec. – Przy pierwszym zakręcie on leci na pysk i uderza głową w kraty. Raz upadł na dół i o mało nie złamał w nadgarstku ręki. Trzeci miesiąc już go boli ta ręka. Oni sobie kpią z niego.

Robert pisze do rodziców:

*Wyobraźcie sobie coś podobnego. W wielkich samochodach na osiem osób jedzie ze mną trzech policjantów, jak zwykle, każdy ma pistolet, a trzeci jeszcze karabin maszynowy. Każdy ma kajdanki zapasowe plus magazynki na sobie (przy pasach) z nabojami. 1/3 drogi samochód wyje – jedzie na sygnałach dźwiękowych i świetlnych. W środku czerwono i granatowo. A ja w klatce odmawiam różaniec.*

*Samochody przed światłami na skrzyżowaniach rozstępują się na lewo i prawo, robiąc miejsce radiowozowi. Mówią oddziałowi: „Woźą cię, jak byś co najmniej zabił prezydenta”. Człowiek nikogo nie zabił, a znosi tę straszną społeczną presję. Czy kogoś to obchodzi?*

Już następnego dnia po aresztowaniu, w czwartek 5 października 2017 roku, Robert po raz pierwszy zostaje przebadany wariografem przez Jacka Bieńkuńskiego. Nie udaje mi się ustalić, czy ma już wtedy przydzielonego obrońcę.

Bieńkuński był wcześniej technikiem kryminalistycznym. W 1990 roku zaczął pracę jako ekspert wojskowy z zakresu badań poligraficznych w Zakładzie Techniki Kryminalistycznej i Ochrony Specjalnej Żandarmerii Wojskowej w Warszawie. W 1998 roku odszedł ze służby w wojsku na emeryturę. Jednocześnie rozpoczął świadczenie komercyjnych usług poligraficznych. W 2011 roku współpracę z krakowskim Archiwum X zaproponował mu Bogdan Michalec.

Bieńkuński uczył się sam. Nie posiada powszechnie uznawanego certyfikatu American Polygraph Association ani rekomendacji polskich stowarzyszeń zajmujących się badaniami poligraficznymi, takich jak Polskie Towarzystwo Badań Poligraficznych albo Stowarzyszenie Polskich Poligraferów.

Dziś Bieńkuński reklamuje się jako „niezależny ekspert psychofizjologicznych badań poligraficznych”, wykonujący badania wariograficzne na terenie całej Polski w sprawach biznesowych (kontrola pracowników), prywatnych (uczciwość partnera) oraz na zlecenie policji, prokuratury i sądów w sprawach kryminalnych. Na swojej stronie internetowej informuje, że posiada prywatne urządzenie amerykańskiej firmy Lafayette, rok produkcji 2003.

„Na wstępie padło standardowe pytanie, czy wyraża z własnej i nieprzymuszonej woli zgodę na poddanie się czynnościom – opowiada Bieńkuński. – Stwierdził, że w związku z tym, że nie ma z tą zbrodnią nic wspólnego, nie obawia się tych badań, więc chce się im poddać. Wydałem na razie wstępną ocenę, ale nie mogę zdradzić jaką. Dopiero przygotowuję gruntowną analizę materiału. Badanie trwało długo, dłużej niż standardowe, które zajmuje 1–1,5 godziny. Stało się tak z uwagi na bogaty, już zebrany w tej sprawie materiał dowodowy”<sup>136</sup>.

Później Robert jeszcze raz zgadza się na badanie wariografem. Ekspert sprawdza, czy podejrzany reaguje na szczegóły związane

z przebiegiem i okolicznościami dokonania zabójstwa, czy posiada skrywaną wiedzę w tym temacie. Zadaje mu pytania z zakresu *modus operandi* – metody działania sprawcy.

Jak można przeczytać na stronie policji, urządzenie zwane poligrafem (wariografem) rejestruje zmiany sposobu oddychania, pracy serca oraz przewodnictwa skóry. Analiza tych danych zapisanych w formie wykresów pozwala stwierdzić, jaka jest zgodność pomiędzy tym, co dana osoba wie, a tym, co mówi. Wariograf nie jest wykrywaczem kłamstw, natomiast pozwala odczytać zmianę stanu emocjonalnego przez obserwację reakcji fizjologicznych osoby poddanej badaniom, takich jak reakcja skórno-galwaniczna wywołana zwiększoną potliwością, zmiany w pracy układu sercowo naczyniowego i oddechowego.

Metodyka badania zakłada zadawanie pytań spełniających funkcję bodźców, które wywołują reakcję w postaci natężenia emocji, oczywiście tylko wtedy gdy w psychice badanego przechowywany jest zapis pamięciowy dotyczący rozpoznawanego zdarzenia, określany jako „ślad”. Przez zaaplikowanie bodźca (pytania) ślad pamięciowy zostaje uruchomiony i oddziałuje na zmianę stanu emocjonalnego w kierunku zwiększonego pobudzenia. Wskaźnikami tych zmian są niekontrolowane przez badanego reakcje fizjologiczne. Zapis tych reakcji przedstawiają krzywe poligrafu.

Obecnie badania poligraficzne mogą pełnić funkcje eliminacyjne w postępowaniu przygotowawczym prowadzonym przez prokuraturę. Przed sądem są traktowane jedynie jako dowód pomocniczy.

Robert Janczewski był w 2000 roku szczegółowo przesłuchiwany w związku z zabójstwem Katarzyny. Okazywano mu zdjęcia ofiary, przeszukiwano jego mieszkanie. Przez niemal dwie dekady był inwigilowany przez policję i dziennikarzy. Reaguje na sprawę bardzo emocjonalnie, bo czuje się niesłusznie oskarżany. Z całą pewnością podczas zadawania pytań o morderstwo przeżywa silny stres. Czy więc wzmożona potliwość lub pobudzenie emocjonalne powinny kogokolwiek dziwić? Czy w tej sytuacji badanie poligraficzne stanowi wiarygodny dowód?

Dodatkową komplikację stanowi choroba podejrzanego – schizofrenia paranoidalna. Jacek Bieńkuński sam twierdzi, że nie można badać osób chorych psychicznie.

Chyba że się okaże, że symulują. Wtedy można.

\*

Po dwóch dniach od badania wariograficznego, a trzech spędzonych w areszcie Robert trafia do szpitalnego oddziału psychiatrii sądowej. Przebywa tu ponad dziesięć dni. W karcie leczenia psychiatry napiszą: „Po przyjęciu do oddziału pacjent był w kontakcie logicznym prawidłowo wszechstronnie zorientowany, bez myśli i tendencji suicydalnych. W zachowaniu – napięty, z silnym poczuciem krzywdy z powodu izolacji penitencjarnej, dziwaczny, nieadekwatny, wypowiadał treści sugerujące nastawienie urojeniowe z kręgu urojeń religijnych. Podpisał zgodę na hospitalizację. W oddziale kontynuowano stosowane wcześniej (to znaczy na wolności) leczenie. [...] Pozostawał z silnym poczuciem krzywdy z powodu izolacji penitencjarnej, czuł się niesłusznie zatrzymany, spontanicznie monologował, przedstawiając siebie w roli ofiary. Przedstawiał liczne pisma mające dowodzić jego niewinności”.

Po konsultacji psycholog więzienny stwierdza: „Podejrzenie organicznych zaburzeń osobowości. Przebyte zaburzenia psychotyczne w wywiadzie.

Wechsler – wynik w skali słownej – inteligencja ponadprzeciętna (117 punktów).

Wyniki testów organicznych sugerują niewielkie organiczne zmiany w OUN [ośrodkowym układzie nerwowym – przyp. aut.] o charakterze czynnościowym.

Zastosowano leczenie: zolafren, pernazinum, clonozepan, finlepsin [...]”.

Sprawdzam w internecie główne zastosowanie tych leków. Zolafren to lek przeciwpsychotyczny stosowany w leczeniu schizofrenii. Pernazinum jest na ostrą i przewlekłą schizofrenię.



Clonazepam to lek przeciwlękowy, przeciwdrgawkowy i nasenny. Finlepsin ma działanie przede wszystkim przeciwdrgawkowe.

– To klasyczne leki przy leczeniu schizofrenii – potwierdza doktor Stanisław Teleśnicki, psychiatra. – Stabilizatory nastroju, leki silnie uspokajające, przeciwpadaczkowe. Zdrowemu człowiekowi się ich nie podaje.

Janczewski od dwudziestu sześciu lat jest w stałym leczeniu u psychiatry Jacka Matkowskiego z rozpoznaniem schizofrenii paranoidalnej. Ma orzeczoną trwałą niezdolność do służby wojskowej i otrzymuje rentę. Trzy razy był hospitalizowany w szpitalu psychiatrycznym – w 1992, 1994 i 2004 roku. Po każdej obserwacji diagnoza była taka sama – przewlekła schizofrenia.

Tymczasem prokurator powołuje nowy zespół biegłych psychiatrów z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, którzy mają wydać własną opinię.

– W wyniku badania ambulatoryjnego, bo on chyba nie był na obserwacji, przyjęto, że jest zdrowy psychicznie – słyszał doktor Teleśnicki.

Badanie ambulatoryjne polega na tym, że pacjent jest doprowadzany (czasem kilka razy) do pracowni, gdzie odpowiada na pytania biegłych. Nie jest poddawany obserwacji psychiatrycznej w warunkach szpitalnych.

Biegli wydają opinię, że Robert Janczewski jest zdrowy. W związku z tym prokurator przesłuchuje wszystkich psychiatrów, którzy wcześniej stwierdzili u niego chorobę. Dwa razy do śledczych jest wzywany Stanisław Teleśnicki, który w 1994 roku zdiagnozował u Janczewskiego schizofrenię paranoidalną i stwierdził jego niepoczytalność.

– Byłem pytany, czy moje zdanie uległo zmianie w związku z tym, że inny zespół uznał, że pacjent jest zdrowy – opowiada psychiatra.  
– Powiedziałem, że nie, bo obecne stwierdzenie nie ma żadnego wpływu na wcześniej postawioną diagnozę. Podtrzymałem swoje zdanie, że wtedy stwierdziłem u niego chorobę psychiczną i co do tego nie mam żadnych wątpliwości. A o jego obecnym stanie psychicznym nie jestem w stanie się wypowiedzieć.

Choroba Janczewskiego mogła bowiem zmienić obraz.

– Opiniowany teraz, po trzydziestu latach leczenia, może już w ogóle nie prezentować objawów choroby psychicznej w sensie aktywnej psychozy, na przykład z produkcjami urojeniowymi – tłumaczy lekarz. – Może prezentować tak zwany zespół zejściowy po przebytej psychozie. To jest częste zjawisko. Produkcje urojeniowe, rozkojarzenie, czyli te tak zwane pozytywne objawy chorobowe, mogą całkiem zanikać, a pozostają same negatywne: zaburzenia osobowości, zaburzenia afektywne, zaburzenia w dostosowaniu społecznym, spłylenie emocji, spłylenie afektów. I, co oczywiste, na podstawie obecnego stanu psychicznego nie można wnioskować, czy był lub nie był chory w przeszłości. Zwłaszcza trudno jest zanegować istnienie zaburzeń psychotycznych, jeżeli były one wielokrotnie rozpoznawane – podkreśla Teleśnicki.

Robert pisze z aresztu do rodziców: „Tymczasem teraz inni biegli sądowi nic nie piszą o schizofrenii. Napisano, że »symulowałem«. Jedni biegli sądowi innym biegłym sądowym zaprzeczają”.

Zdaniem doktora Teleśnickiego nie da się stwierdzić, czy pacjent w przeszłości symulował, jeśli nie ma się bardzo szczegółowego materiału opisującego zachowanie tej osoby w tamtym czasie – co mówił, jakie były objawy jego choroby. A w tej sprawie doktor takich materiałów nie widział.

– Miałem taką informację, że niektórzy psychiatrzy mówili, iż on mógł się do dokonania tego czynu przygotowywać, mógł udawać objawy chorobowe – potwierdza lekarz. – Nawet wyraziłem swój pogląd w tym zakresie. Powiedziałem, że jest mało prawdopodobne, żeby ktoś przez kilka lat przygotowywał się do jakiegoś incydentalnego wydarzenia i w związku z tym udawał psychotyczne zaburzenia psychiczne.

W maju 2022 roku, piątym roku pobytu w areszcie śledczym, Robert oblicza, że dostaje sto osiemdziesiąt tabletek psychotropowych miesięcznie.

Po aresztowaniu krakowski sąd ustanawia dla niego adwokata z urzędu, Anikę Zańko, która ukończyła aplikację adwokacką zaledwie kilka lat wcześniej. Zańko rezygnuje. Wtedy sąd ustanawia Jakuba Walawskiego, późniejszego partnera Zańko w kancelarii.

Mecenas zaczyna zapoznawać się z aktami. 17 października Robert Janczewski składa wniosek o wyrażenie zgody na kontakt telefoniczny z adwokatem. Prokurator Tomasz Dudek rozpoznaje wniosek dopiero 23 listopada. Wydaje decyzję odmowną, bo okazuje się, że ktoś w Warszawie ustanowił dla Roberta adwokata z wyboru. Co ciekawe, ustanawiającym nie jest nikt z rodziny, tylko obca dla Janczewskich osoba.

Ustanowionym obrońcą okazuje się doktor Łukasz Chojniak z warszawskiej kancelarii Chojniak i Wspólnicy Adwokaci. Mecenas w latach 2013–2016 był rzecznikiem dyscyplinarnym warszawskiej adwokatury, jest też adiunktem w Katedrze Kryminologii i Polityki Kryminalnej Uniwersytetu Warszawskiego.

Prokurator Piotr Krupiński podobno czyni ustalenia, kto ustanowił nowego adwokata, ale nie udaje mi się dowiedzieć, co one przyniosły. Sam mecenas Chojniak nie odpowiada na moje pytanie, czy to prawda, że wynajął go ktoś obcy dla Roberta i kto to był.

Nowy obrońca przyjeżdża do aresztu śledczego. Robert zgadza się, aby to Chojniak był jego pełnomocnikiem. Mecenas zgłasza się też do rodziców Roberta.

– On nas znalazł – opowiada Józef. – Trafił do mojej żony, przyszedł z takim swoim adiutantem. Później wiele razy chciałem się z nim spotkać, nawet Robert go o to prosił, ale nie. To jest bardzo ciekawe.

Ja również kilka razy piszę do mecenasa Chojniaka z prośbą o rozmowę. Chcę mu opowiedzieć o moich ustaleniach. Wysyłam adwokatowi nazwiska osób, które mogą zeznawać na korzyść jego klienta. Jednak obrońca Janczewskiego się z nimi nie kontaktuje.

Kilkanaście dni po aresztowaniu Roberta Józef pisze do prokuratury, żeby mu pilnie zwrócili zarekwirowany komputer i telefon komórkowy, bo są mu potrzebne do pracy. Dodaje:

Nie ulega wątpliwości, że problemy mojego syna były i są moim osobistym Westerplatte. Już kilka lat wstecz, wierząc w jego niewinność, zwracałem się do prokuratury z pismem o zaproponowanie mi spotkania w celu przeprowadzenia ze mną

rejestrowanej rozmowy czy zeznania w powyższej sprawie, aby w jakiś sposób pomóc w rozwiązaniu tego wyjątkowego casusu. Prokuratura nie raczyła nawet odpowiedzieć, natomiast zleciła przesłuchanie mnie na Komendzie Wojewódzkiej w Krakowie, gdzie niezależnie, na mój wniosek, poddałem się badaniu prawdomówności mojej na wariografie, co też niezwłocznie uczyniono. [...] Bardzo chciałbym razem z moją byłą żoną wierzyć synowi, iż został wmanipulowany w powyższe zabójstwo, chociaż z upływem dni okazuje się, że nie jest bez winy. Jeśli czarno na białym udowodni Mu się tę winę, musi ponieść karę. [...]

Jeżeli mogę jeszcze w jakiś sposób służyć pomocą Prokuraturze, jako ojciec, niestety odbiegającego od ogólnych zasad i norm syna, może to być choćby rozmowa w obecności Prokuratora i obserwatorów, moja rozmowa z synem (a darzył mnie zawsze szacunkiem), być może warto skorzystać z tej możliwości. Zadane przeze mnie Jemu pytania, po nabytej teraz wiedzy, mogą go zmiękczyć, otworzyć, zrozumieć.

\*

Jeszcze w październiku 2017 roku Janczewski zostaje przewieziony z aresztu w Krakowie do zakładu karnego w Rzeszowie. „Najgorzej się czułem, gdy 6 grudnia 2017 roku golono ze mnie włosy, skąd się dało. Ja w majteczkach, a policjanci po bokach z palcami na spustach karabinów maszynowych” – napisze potem w liście do rodziców.

Obrońca Łukasz Chojniak składa zażalenie na aresztowanie Roberta. Do jego rozpoznania zostaje przydzielony sędzia Wojciech Maczuga z Sądu Okręgowego w Krakowie. W listopadzie 2017 roku sędzia oświadcza, że osobiście zna część świadków przesłuchiowanych w tej sprawie.

– Leszek L. był jego znajomym z uwagi na wspólne hobby, jakim było nurkowanie – mówi mi Michał Fuja, dziennikarz *Superwizjera* TVN. – Razem trenowali też karate.

Prokuratura wnioskuje o zmianę sędziego, a kilka dni później wzywa samego Maczugę do złożenia zeznań w charakterze świadka.

Sędzia zostaje oficjalnie wyłączony ze sprawy. Na początku grudnia 2017 roku zażalenie na areszt rozpoznaje sędzia Rafał Lisak. Stwierdza, że można mieć wątpliwości co do jakości dowodów poszlakowych zebranych przez prokuraturę. Przykładowo: uważa, że badanie wariografem Roberta po tylu latach od zdarzenia może być obarczone błędem. Sędzia Lisak ma też wątpliwości, czy złożenie kwiatów i zapalenie świeczki na grobie ofiary przez Roberta, a także powiedzenie do jednego ze świadków: „Czy nie boi się pani, że panią oskóruję?”, mogą świadczyć o winie oskarżonego. „To może być kwestia wynikająca ze specyficznych uwarunkowań psychicznych podejrzanego. Stąd też intencje mogły być zupełnie inne niż podejrzewane” <sup>137</sup> – uzasadnia.

Równocześnie poszlak jest tak dużo, że sąd postanawia o dalszym aresztowaniu Janczewskiego. Po odrzuceniu zażalenia mecenas Chojniak przypomina, że jego klient nie przyznaje się do winy. „Moim zdaniem dowody prokuratury nie wskazują na to, iż Robert J. popełnił zarzucany mu czyn. Sędzia w pewnej części potwierdził nasze wątpliwości co do jakości dowodów prokuratury”<sup>138</sup> – mówi.

Biegła Renata Włodarczyk napisze w swojej książce: „4 października 2017 roku zatrzymano i przedstawiono zarzuty temu podejrzanemu. Sąd, mimo braku dowodów wskazujących na jego sprawstwo, na podstawie całości zebranych danych przedłużył areszt zatrzymanemu, ponieważ kontynuuje się prace badawcze najnowszymi metodami w jego mieszkaniu, natomiast materiał pozyskany z ekshumowanej skóry został przekazany do badań genetycznych poza granicami kraju”<sup>139</sup>.

Czyli nie ma bezpośrednich dowodów na winę Janczewskiego, ale za chwilę mogą się znaleźć.

## Cele są maleńkie, koszmarne...

*Cele są maleńkie, koszmarne. W oknie kraty – dwa rodzaje. Nic nie widzimy, bo jest plastik założony, po to właśnie, aby nie było światła widać. W celi wszystko odrapane i poobijane. Na korytarzu na piętrach biegają karaluchy – zwane też karakonami. Takiego karakona sam widziałem. Ma około 1,5 cm wielkości, jest czarny i ma 6 łap.*

## Śledczy wracają do Zygmunta A...

Śledczy wracają do Zygmunta A. „Podobno na pytanie śledczych skierowane do Roberta, kto z otoczenia miał na niego wpływ, odpowiedział, że trzy osoby: ja, wychowawca z drugiej szkoły, gdzie chodził po relegowaniu go z Pędzichowa, i jego przyjaciel rówieśnik, który zmarł, a którego nazwisko przewija się w śledztwie”<sup>140</sup> – powie później wicedyrektor.

Ta druga osoba to wspomniany tu już wychowawca Jakub, a trzecia to Leszek L.

Ponieważ w profilu psychologicznym założono, że sprawca zabójstwa mógł być homoseksualny, prokurator wciąż doszukuje się drugiego dna w znajomości Roberta z Zygmuntem. Kolejny raz przesłuchuje wicedyrektora tuż po zatrzymaniu Janczewskiego. A dziennikarz Onetu Dawid Serafin pisze, że Zygmunt A. „może znać wiele szczegółów w sprawie zamordowania i oskórowania Katarzyny Z.”. I dalej:

„Świadkowie, z którymi rozmawiamy, wspominają, że Zdzisława B. [czyli Zygmunta A. – przyp. aut.] z młodszym Robertem J. łączyły szczególne relacje. Jakie? Tego nie mówią wprost. Sugerują jednak, że były one bardzo intymne. Obu mężczyzn dzieliła różnica ok. 20 lat. J. był zapatrzony w starszego od niego nauczyciela. Traktował go jak mentora. Zwierzał mu się ze swoich problemów i trosk. B. – jak wynika z relacji osób pracujących wówczas w szkole – »miał słabość« do Roberta J.”<sup>141</sup>.

– Robert szukał kontaktu z mężczyznami starszymi od siebie, ale ja mam wrażenie, że bardziej szukał w nich ojca – wyrażam swoje przypuszczenie w rozmowie z doktorem Matkowskim, psychiatrą.

– Tak, tak, lepszego ojca – potwierdza lekarz. – Zdarzyło mu się kilka razy przy mnie płakać. Mimo że zawsze grał twardziela, którego się trzeba bać albo do którego mieć respekt; raz lub dwa razy, już wychodząc, przytulał się do mnie i kładł mi głowę na ramieniu. To takie elementy przeniesienia dziecko – rodzic.

Jedna z hipotez śledczych zakłada, że to Zygmunt A. poznał Katarzynę z Robertem. Po śmierci ojca Kasi w 1996 roku wicedyrektor miał kilkakrotnie odwiedzać ją i jej matkę. „Zdawał sobie sprawę, że młoda kobieta nie radzi sobie po śmierci taty. Najprawdopodobniej wiedział, że popadła w depresję. Poznanie Kasi i Roberta miało pomóc dziewczynie wyjść z depresji, a Zdzisławowi B. [czyli Zygmuntowi A. – przyp. aut.] uwolnić się od namolnego ucznia” <sup>142</sup> – przesądza Serafin.

Tym samym wersje, że Robert i Kasia poznali się w Sukiennicach, w klubie Pod Przewiązką, w kinie Pasaż lub przez ogłoszenie matrymonialne, są nieaktualne. Obecnie obowiązuje teza, że poznał ich Zygmunt A., choć nie ma na to żadnych dowodów. Sam nauczyciel wyjaśni, że pracował z ojcem Katarzyny w połowie lat siedemdziesiątych i była to wyłącznie zawodowa znajomość <sup>143</sup>.

Niestety jego samego nie mogę już o to zapytać, bo zmarł w marcu 2020 roku.



## Wczoraj byłem w sądzie w Krakowie...

*Wczoraj byłem w sądzie w Krakowie. Do tej pory przejechałem w konwojach około 19 200 kilometrów. Zeznawał jakiś znajomy Zygmunta A., który, jak wiecie, zmarł. Ludzie co najmniej po części co innego zeznali w prokuraturze, a teraz przed sądem gubią się w tym. Ale pisać mi nic nie wolno, co jest mówione na sali rozpraw. Drugi raz była wezwana na świadka Ewa K. Biegła psycholog nic kompletnie nie umiała powiedzieć. Więc się przesłuchanie znowu nie odbyło. Ma być wezwana trzeci raz. A też co ona zeznała w aktach sprawy, nauczona kłamstw przez swoją matkę.*

## Śledczy kończą przeszukiwanie mieszkania...

Śledczy kończą przeszukiwanie mieszkania i piwnicy Janczewskich w połowie października 2017 roku. Wywożą ciężarówki gruzu i innych przedmiotów. Policyjne laboratoria zawalają śladami do zbadania. Ekspertyzy mają kosztować miliony złotych. W maju 2018 roku media donoszą: „Polecenie przeanalizowania m.in. gruzu po skuciu mieszkania podejrzanego, kafelków z jego łazienki, elementów wanny czy ziemi zebranej z miejsc, w których studentka mogła być przetrzymywana i zamordowana, otrzymało w sumie osiem policyjnych laboratoriów – podaje RMF FM. – Do badań wytypowano też różnego rodzaju inne substancje, których badania mogą potrwać nawet kilka lat i kosztować miliony złotych. Nie pozostaną też bez wpływu na inne obecnie prowadzone śledztwa, których wyjaśnienie może znacząco się przez to opóźnić.

Nie byłoby w tym jednak nic dziwnego, gdyby nie fakt, że we wniosku krakowskich prokuratorów zajmujących się sprawą nie wskazano dokładnie, czego mają szukać biegli. Policjanci na których powołuje się RMF FM, przyznają, że z tak ogólnie sformułowanymi wytycznymi trudno będzie zrobić jakiegokolwiek postępy w dochodzeniu.

– Wygląda na to, że prokuratura nie wie, czego szuka. To działanie na chybił trafił, a nuż coś się znajdzie – mówi jeden z cytowanych przez RMF FM funkcjonariuszy. Na dodatek istnieje duże prawdopodobieństwo, że część zleconych do ekspertyzy materiałów to całkowicie bezwartościowe dowody, co z kolei każe przypuszczać, że śledczy chcą za wszelką cenę przedłużyć dochodzenie w sprawie podejrzanego Roberta J.” [144](#).

Jak dowody mają się znaleźć, to się znajdują. W listopadzie 2018 roku Dawid Serafin obwieszcza przełom w sprawie brutalnego morderstwa Katarzyny Z.: „Jak dowiedział się Onet, w mieszkaniu podejrzanego Roberta J. śledczy znaleźli ślady biologiczne należące do zamordowanej dziewczyny”<sup>145</sup>.

Sensacyjne wieści dostarcza dziennikarzowi pełnomocnik matki Katarzyny: „Początkowo w łazience, w mieszkaniu podejrzanego, znaleziono ślady krwi. W rezultacie zabezpieczono do dalszych badań wannę wraz ze stelażem – opowiada adwokat Janusz Molis. – Specjaliści z Instytutu Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Sehna w Krakowie kawałek po kawałku przebadali zabezpieczony przedmiot. Ogromnym nakładem pracy skrupulatnie wyodrębnili materiał biologiczny umożliwiający przeprowadzenia dalszych ekspertyz – dodaje.

Co udało się ustalić?

– Biegły specjalista z zakresu badań tego rodzaju materiału biologicznego, z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, stwierdził, że są to szczątki Katarzyny Z. Warto podkreślić, że do tej pory podejrzany stanowczo zaprzeczał, jakoby osobiście znał tę dziewczynę”<sup>146</sup> – wyjaśnia adwokat.

Informację Onetu potwierdza Prokuratura Krajowa. „Małopolski Wydział Zamiejscowy Departamentu Przystępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie w toku oględzin miejsca zamieszkania Roberta J. – podejrzanego o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem dwudziestotrzyletniej studentki Katarzyny Z. – zabezpieczył materiał biologiczny, który z wysokim prawdopodobieństwem pochodzi od pokrzywdzonej” – informuje Ewa Bialik, rzecznik prasowy<sup>147</sup>.

Jak wkrótce ustalają dziennikarze *Superwizjera* TVN, zabezpieczone ślady biologiczne to dwa krótkie włosy z uda, które znaleziono pod wanną w mieszkaniu Janczewskich. Opinię wydała biegła Renata Włodarczyk.

Stwierdzenie, że „badania włosów z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością wykazały, że pochodzą one od pokrzywdzonej”, oznaczałoby, że wykonano w tej sprawie badanie

DNA. Tymczasem dziennikarze TVN twierdzą, że Włodarczyk wykonała jedynie badanie morfologiczno-porównawcze włosów. Czyli obejrzała pod mikroskopem ślady znalezione pod wanną oraz zabezpieczone na szczątkach ofiary i porównała ich budowę morfologiczną. Na tej podstawie wysnuła wniosek, że włosy „z wysokim prawdopodobieństwem” pochodzą od Katarzyny.

Próbuję się dowiedzieć, co można ustalić na podstawie badań porównawczych włosa. Z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie nikt nie chce się wypowiedzieć. W końcu na moją prośbę odpowiada profesor Marcin Woźniak z Katedry Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy. Píše:

Jeśli przez badania porównawcze rozumiemy analizę morfologiczną, to polega ona, mówiąc w uproszczeniu, na porównywaniu wyglądu włosów, począwszy od cech makroskopowych, takich jak długość, kształt czy kolor, aż po cechy mikroskopowe, takie jak obecność cebulki, kształt i ułożenie łusek na powierzchni włosa, grubość trzonu, obecność rdzenia, gęstość, kształt i rozmieszczenie ziaren barwnika i szereg innych parametrów. Oględziny takie pozwalają zbudować profil morfologiczny danego włosa, który można następnie wykorzystać do:

1) identyfikacji gatunkowej: można odróżnić włosy ludzkie od zwierzęcych, a także przypisać włosy zwierzęce do konkretnego gatunku,

2) określenia pochodzenia danego włosa z określonej okolicy ciała: można odróżnić włosy z głowy od włosów łonowych, pochodzących z zarostu czy z innych okolic ciała,

3) porównania z profilami innych włosów, np. pochodzących od osób związanych z daną sprawą (podejrzanych, ofiar, świadków) lub zabezpieczonych jako włosy dowodowe.

Wynikiem takiego porównania jest stwierdzenie, czy dane włosy są do siebie podobne, czy też nie. Należy jednak pamiętać, że technika ta nie daje możliwości identyfikacji osobniczej, tj. nie można w sposób pewny stwierdzić, że dany włos pochodzi od

konkretnej osoby, nawet jeśli jest do włosów tej osoby bardzo podobny. Wynika to z faktu, że zmienność morfologii (wyglądu) włosów jest dość ograniczona i stosunkowo często zdarza się, że włosy pochodzące od różnych osób są do siebie bardzo podobne. [...]

Pewność co do pochodzenia danego włosa od konkretnej osoby mogą dać tylko odpowiednio przeprowadzone badania DNA.

Dodatkowym problemem w tej sprawie jest to, że zabezpieczone w mieszkaniu Janczewskich włosy przez długie lata leżały w łazience. Czy tego typu wilgotne miejsce mogło zmienić ich wygląd? Profesor Woźniak odpowiada:

Z jednej strony środowisko, w którym przebywa materiał biologiczny, z pewnością wpływa w mniejszym lub większym stopniu na cechy tego materiału. Z drugiej strony włosy, jako tkanka martwa, należą do tych śladów biologicznych, które można zaliczyć do stosunkowo trwałych i ulegających niewielkim zmianom. Należy jednak podkreślić, że brakuje w literaturze naukowej systematycznych i zweryfikowanych informacji o zmianach zachodzących we włosach wystawionych na różne warunki środowiska przez długi czas. Wyniki analizy morfologicznej takich włosów należy zatem interpretować szczególnie ostrożnie i weryfikować przy pomocy niezależnych metod, np. analizy genetycznej.

Może jednak włosy z mieszkania Janczewskich nie mogły zostać poddane badaniom DNA?

W przypadku włosów możliwość przeprowadzenia takiego badania i zastosowane metody zależą przede wszystkim od tego, czy dany włos posiada cebulkę i w jakim jest ona stadium rozwojowym – pisze profesor Woźniak. – Standardowe badania DNA, określane jako profilowanie markerów STR, dają najwyższą szansę powodzenia w przypadku włosów, które zostały wyrwane

na stosunkowo wczesnym etapie rozwoju, posiadających cebulkę oraz otaczającą ją pochewkę z komórek. Włosy starsze, takie, które wypadły samoistnie, nawet jeśli posiadają cebulkę, często nie zawierają wystarczającej ilości DNA, aby uzyskać profil STR. Trzeba tu podkreślić, że analiza STR jest jedynym narzędziem stosowanym w genetyce sądowej, które pozwala w sposób praktycznie pewny przypisać materiał genetyczny do konkretnej osoby.

Jeżeli włos nie posiada cebulki (np. został odcięty) lub jest tak stary, że jego cebulka nie daje już możliwości uzyskania wyniku w badaniach STR, można uciec się do innej metody analizy genetycznej opartej na badaniach tzw. DNA mitochondrialnego (mtDNA).

Analiza taka bardzo często pozwala na uzyskanie profilu mtDNA danego włosa, jednak profil ten nie jest unikalny dla danej osoby. Ze względu na specyficzny sposób dziedziczenia mtDNA jego profil jest identyczny u osób posiadających np. wspólną matkę, babcię czy prababcię w linii żeńskiej. Brak różnic w profilu mtDNA dwóch włosów oznacza, że mogą one pochodzić od jednej osoby lub od różnych osób będących krewnymi.

W praktyce zdecydowana większość włosów zabezpieczanych jako materiał dowodowy kwalifikuje się wyłącznie do badania mtDNA albo ze względu na brak cebulki, albo z powodu zbyt małej ilości DNA jądrowego, co uniemożliwia analizę STR.

Z tego wynikałoby, że znalezione włosy mogły zostać poddane przynajmniej analizie mtDNA. Profil ten można było porównać nie tylko ze śladami zabezpieczonymi na wyłowionych z Wisły szczątkach, ale również z włosami pobranymi od matki Katarzyny.

Dlaczego w takim razie Prokuratura Krajowa nie przeprowadziła badań DNA zabezpieczonych włosów?

„Zapytaliśmy o to prokuratora. Stwierdził on, że po pierwsze biegli, którzy nie zgadzają się z opinią ekspertki z Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie, nie są fachowcami. A po

drugie boi się po prostu zniszczenia tych dowodów” – ustalają dziennikarze TVN.

O to, czy to uzasadniona obawa, pytam profesora Woźniaka. Odpowiada:

Argument, iż takie badanie doprowadzi do zniszczenia materiału biologicznego, jest dla mnie niezrozumiały, gdyż przyjęcie tego argumentu musiałoby skutkować całkowitym zakazem lub znaczącym ograniczeniem prowadzenia wszelkich badań DNA do celów kryminalistycznych. W tego rodzaju badaniach bardzo często zdarza się bowiem, że ślad zostaje całkowicie lub częściowo zniszczony, gdyż jest to warunek konieczny do pozyskania z niego materiału genetycznego. Jeżeli z jakiegoś powodu wskazane jest zachowanie informacji o stanie danego śladu przed badaniami DNA, to zawsze istnieje możliwość szczegółowego udokumentowania tego stanu przez wykonanie odpowiednich pomiarów, szkiców i fotografii. [...]

Generalnie przyjmuje się, że aby uzyskać profil mtDNA, trzeba dysponować odcinkiem włosa o długości co najmniej 1 centymetra. Należy jednak pamiętać, że zawartość DNA we włosach jest kwestią indywidualną, zatem może się zdarzyć, że w przypadku niektórych włosów nawet krótszy odcinek może pozwolić na uzyskanie profilu genetycznego.

Decyzja o poddaniu danego włosa badaniu genetycznemu powinna być zatem uwarunkowana przede wszystkim okolicznościami śledztwa i polegać w głównej mierze na odpowiedzi na pytanie, jak ważne z punktu widzenia śledztwa jest przypisanie danego włosa do konkretnej osoby. Jeżeli uzyskanie takiej informacji jest ważne, to podjęcie próby uzyskania profilu genetycznego danego włosa jest jedynym logicznym krokiem, gdyż żadna inna metoda badawcza nie daje możliwości uzyskania informacji o jego pochodzeniu osobniczym. Nawet jeżeli próba taka zakończy się niepowodzeniem, to jej podjęcie jest w takiej sytuacji uzasadnione i konieczne.

## Żadnych programów nocnych z okazji sylwestra...

*Żadnych programów nocnych z okazji sylwestra nie oglądam. Jak normalny człowiek kładę się spać najpóźniej o 22. Nic mnie nie obchodzi żadne szaleństwa do 6 rano w Zakopanem, co będzie transmitowane przez telewizję. No to, Mama i Tata, szczęśliwego nowego roku AD 2022. siedzę już w więzieniach 5. rok. Więc nadchodzący będzie przełomowy. W tym roku będzie już ogłoszony wyrok. Nie opuściłem ani jednej rozprawy. Byłem na wszystkich, nieraz siedziałem (i wracałem do więzień) ciężko chory. Gonię już resztką sił. Od 21 marca 2000 roku powtarzam, że jestem niewinny w sprawie, z którą nic wspólnego nie mam.*



## Pod koniec stycznia 2018 roku Robert zostaje przewieziony...

Pod koniec stycznia 2018 roku Robert zostaje przewieziony z więzienia w Rzeszowie do zakładu karnego w Raciborzu. Matka wysyła mu list.

*Mój kochany synu!*

*[...] Cały czas sercem, myślą i modlitwą jestem z Tobą. Tak strasznie mi ciężko i smutno, tak mnie serce boli, że Ty, jedyny mój syn, tak strasznie cierpisz. Cały czas myślę i pamiętam o Tobie. Na 12 marca, na Twoje urodziny, była odprawiona msza święta u Ojców Bonifratrów w Twojej intencji. Ja i ojciec byliśmy w kościele na tej mszy. [...]*

*Moje kochane dziecko, nic więcej jak modlitwy nie mogę dla Ciebie w takiej sytuacji zrobić. Proszę także za Ciebie koronką do Miłosierdzia Bożego. Bóg jest wszechmocny i wszechmogący, jest ponad wszystkim i wszystkimi, ufaj z całego serca Bogu i Matce Bożej. Gdyby nie duża ilość silnych leków i ponad cztery godziny modlitwy dziennie, to nie dałabym w ogóle rady żyć. Kochany synu, zawsze jesteś moim dzieckiem. Bardzo Cię kocham, wierzę Ci i bardzo, bardzo za Tobą tęsknię. Zostań z Bogiem, niech Cię ma w swojej opiece, strzeże Cię i chroni.*

*Całuję Cię i ściskam, mama*

Robert odpisuje:

*Przyszła na nas ciężka godzina próby. Ja się lepiej nie czuję niż Ty, ale nie płacz! Gdy to przeczytałem, byłem załamany. Zabrano mi wszystko, nawet fotografie. Nie mam żadnych pamiątek osobistych. [...]*

*Nie daj się skołować mediom. Jestem niewinny! [...] Co prawda zdegradowano mnie, ale nikt mi nie odbierze mojej godności. I chociaż Tobie zabrano nawet dyplom obywatelstwa kanadyjskiego ze ściany, kieruj się tym samym tokiem myślowym co ja. Nie daj się zaszczyć.*

Podczas jednego z przesłuchań Robert mówi prokuratorowi, że rzeszowscy strażnicy znęcali się nad nim psychicznie. Wyzywali go od „homoseksualisty”, „pedała” i „skurwysyna”. Kazali mu wykonywać różne nieuzasadnione czynności i grozili użyciem siły fizycznej. Jego zdaniem było to celowe działanie, aby się przyznał do zabójstwa i oskórowania Katarzyny.

W liście do rodziców napisze później:

*W prokuraturze (6.04.2018) złożyłem między innymi skargę na strażnika rzeszowskiego (służba więzienna), który jak mnie nazywał, to szkoda gadać, ale ja musiałem pełnymi przekleństwami jego zeznać. Podjudzał innych, a ja się kurczyłem pod tym pręgierzem jak robak.*

Prokurator wszczyna w tej sprawie postępowanie. Jednocześnie w sprawie zabójstwa Katarzyny zleca kolejne ekspertyzy i opinie. Śledczy zakładają, że w 1998 roku Robert mógł mieć problemy z erekcją. Sugerował to jego były wychowawca Jakub. Podobne przypuszczenie – odnośnie do nieznanego sprawcy – znalazło się w opinii profesora Lwa-Starowicza. Śledczy podejmują więc kontrowersyjną decyzję, żeby sprawdzić, czy Janczewski jest impotentem.

Robert zostaje co najmniej dwukrotnie poddany badaniom polegającym na sztucznym wywoływaniu i obserwowaniu erekcji. „Badanie polegało najprawdopodobniej na wstrzykiwaniu mu środków farmakologicznych w prącie – mówią dziennikarze *Superwizjera* TVN. – Myśmy się zastanawiali, jaki jest sens takiego badania. Kiedy dowiedzieliśmy się, że prokurator podpierał się opinią prof. Starowicza, spotkaliśmy się z profesorem. Okazało się, że on sam nie widzi w tym sensu, bo nie ma badania, które

potrafiłoby określić, czy ktoś miał problemy z erekcją 20 lat temu”<sup>148</sup>.

W rozmowie ze mną profesor Lew-Starowicz podtrzymuje swoje zdanie, że badanie zaburzeń erekcji po dwudziestu latach jest bezcelowe.

Konsultuję się jeszcze z doktorem Andrzejem Depko, seksuologiem i neurologiem.

– Nie ma takiego badania, które pozwoliłoby dzisiaj stwierdzić, czy oskarżony dwadzieścia lat temu był impotentem – mówi. – Erekcja jest wypadkową szeregu różnych czynników, zarówno somatycznych, jak i psychogennych, środowiskowych, partnerskich i nie możemy ocenić w sposób retrospektywny, kto jaką miał zdolność erekcyjną jakiś czas wcześniej. Jeśli teraz jest sprawny, wcale nie oznacza, że w jakiejś konkretnej sytuacji dwadzieścia lat temu również był sprawny. A to, że teraz jest niesprawny, nie oznacza, że dwadzieścia lat temu również był niesprawny.

– Jaki w takim razie może być cel przeprowadzania takich badań?

– Dla mnie są bez sensu.

– Czy takie badania są bolesne? – pytam.

– Wyobraża sobie pani wbicie igły w łechtaczkę? Igła jest mała, ale zawsze może spowodować krwiaka w miejscu ukłucia, jest ryzyko pojawienia się wtórnego zwłóknienia, miejscowego stanu zapalnego. Zastanawia mnie, dlaczego ten mężczyzna zgodził się na to, żeby mu coś wstrzykiwać w prącie. Na wszelkiego rodzaju badania naruszające integralność cielesną musi być zgoda osoby badanej.

– Oskarżony też musi wyrazić zgodę na takie badanie?

– Tak. Oskarżony ma prawo do obrony, w tym odmowy w uczestniczeniu w jakichkolwiek badaniach.

Maria Janczewska podczas jednej z wizyt pyta syna, czy wyraził zgodę na badanie.

– Nikt się go o zgodę nie pytał – przekazuje mi jego odpowiedź Józef. – Przyjechało auto i wywiozło go gdzieś bardzo daleko, nawet nie wie gdzie. Mówi, że jechał gdzieś ponad trzysta kilometrów w jedną stronę.

Robert potwierdza, że badania, którym został poddany, polegały na nakłuwaniu prącia i były bardzo bolesne.

W maju 2021 roku pisze w liście do rodziców:

*Mój goły tyłek oglądało dotąd (bo przecież to już szóste więzienie) chyba ze dwustu strażników łącznie. A ile razy mi wyrywano dodatkowo włosy z genitaliów, a to mierzono mi w centymetrach i teraz sąd to czyta. To znowu rewizje osobiste. I stale mi majtki zabierają, aby oglądać i sprawdzać detektorami, to jest wykrywaczami. Nieraz stoi czterech chłopów. Jeszcze mi każą kucać za każdym razem. Dostyc się wstydu najadłem i wszelkich upokorzeń.*

Przez półtora roku śledczy nie pozwalają się Robertowi strzyc. Rosną mu długie włosy i broda. Wygląda jak więzień z Al-Kaidy.

## Ja uczciwie wszystkim mówię, że jestem niewinny...

*Ja uczciwie wszystkim mówię, że jestem niewinny, ale teraz wszystko w rękach Boga. Ja się codziennie modlę. Wczoraj, jadąc do Warszawy i z powrotem, odmówiłem w klatce zamknięty i skutą cztery różańce całe. Codziennie też proszę Matkę Boską w swojej intencji. Aha, znowu mi brano włosy (medycyna sądowa Poznań) z różnych części głowy, brody, wąsów i z różnych części ciała. Ponownie na DNA.*

*Dostałem pozwolenie na strzyżenie i golenie, ale teraz znowu nie ma fryzjera. Wyglądam tragicznie. [...]*

*Tych dwóch współwięźniów zebrano ode mnie z celi. Telewizor „szedł” od 7.30 codziennie do 23.00. A jak horrory oglądali, to do 1.20 w nocy. Po ciemku ja od 6.00 odmawiałem nieraz po cichu modlitwy, a potem prosiłem panów oddziałowych, aby mnie długo nieraz potrzymali na „spacerze” (bunkier 8 × 5 kroków), żebym mógł drogę krzyżową odmówić i różaniec.*

*Jestem bardzo wyczerpany, bo bez jedzenia i picia jeżdżę w trasy. Choć dostaję „suchy prowiant”, ale jak to brudnymi rękami jeść i kruszyć, i samochód trzęsie, i woda by się wylała. I margaryną by wszystko było upaprane. Dużo schudłem i straciłem całą masę mięśniową. Codziennie bardzo się martwię.*

## W lutym 2018 roku w odpowiedzi na kolejne skargi...

W lutym 2018 roku w odpowiedzi na kolejne skargi Marii Janczewskiej prokurator przysłała jej wreszcie „listę pakietów”, czyli wykaz rzeczy zabezpieczonych w jej mieszkaniu. Prowadzący postępowanie informuje kobietę, że „pakiety” te zostały już przez śledczych otworzone i przeprowadzono oględziny. Rzeczy zostaną jej zwrócone po badaniach przez biegłych.

– Nie miała nic – wspomina Józef Janczewski. – Nawet musiałem jej pożyczyć patelnię.

Miesiąc później policjanci wpadają do mieszkania ojca Roberta i zabierają srebrny naszyjnik z podobizną jego patrona, Świętego Józefa, który nosi od dwudziestu lat. Przy okazji rekwirują też oryginalnie zapakowany srebrny łańcuszek, który Janczewski zakupił niedawno dla przyjaciółki. W tym samym czasie przeszukują mieszkanie Marii i zabierają należące do niej cztery pierścionki i siedem łańcuszków.

Na początku lipca śledczy znów przyjeżdżają do Janczewskiej, tym razem z entomologiem doktorem Pawłem Leśniewskim. W lokalu i piwnicy zbierają larwy owadów i skrzydełka martwych much.

– Rok po przeszukaniu, wszystko wymalowane na nowo, wymyte na glanc, a oni przychodzą i szukają śladów po owadach – opowiada Józef. – Zbierali kupki muszki i muchę też zabrali. Proszę mi powiedzieć: po co? Co im po tej muszce, która tu dopiero co przyleciała?

Jednak zdaniem prokuratora Krupińskiego przeszukanie jest konieczne: „[A]lbowiem zachodzi uzasadnione przypuszczenie, że ślady etymologiczne [*sic!*] i owady ujawnione w mieszkaniu, a także owad ujawniony w ekshumatkach wraz z innymi śladami może wskazywać, że terenem miejscem przetrzymywania i zabójstwa Katarzyny Z. mogło być mieszkanie zajmowane przez podejrzanego

Roberta Janczewskiego przy ulicy Trynitarńskiej w Krakowie lub pomieszczenie piwniczne tego mieszkania” – pisze w uzasadnieniu.

Próbuję się skontaktować z komisarzem Pawłem Leśniewskim i porozmawiać o zasadności zbierania szczątków owadów w mieszkaniu podejrzanego i porównywania ich z resztkami zabezpieczonymi na zwłokach kilkanaście lat wcześniej. Niestety ekspert odmawia. Mówi, że jest biegłym i do zakończenia procesu nie może się wypowiadać. Dowiaduję się tylko, że nie zeznawał przed sądem, co prawdopodobnie oznacza, że jego badania i ekspertyza nic nie wniosły do sprawy.

Pytam więc o opinię profesora doktora habilitowanego Krzysztofa Szpilę z Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, również biegłego sądowego z dziedziny entomologii sądowej.

– Prawdopodobieństwo, że na ekshumowanych zwłokach znajdziemy owada z mieszkania zabójcy, jest więcej niż znikome – twierdzi. – Nawet jeżeli ustalimy, że w mieszkaniu tego człowieka były te same gatunki owadów, które stwierdzono na ekshumowanych zwłokach, to jeszcze nam nic nie wyjaśnia. Trzeba zrobić badania osobnicze, populacyjne, żeby stwierdzić bliskie pokrewieństwo owada ze zwłok i owada z mieszkania oskarżonego. Natomiast jest kilka powodów, które wykluczają możliwość wykonania takiej analizy. Po pierwsze fakt, że ten owad się zachował przez tyle lat w dobrym stanie, kiedy to najpierw przebywał w wodzie, a później w glebie, jest niemożliwe. Jeżeli te zwłoki zostały standardowo pochowane i dochodziło do procesów rozkładu, to nie ma takiej fizycznej możliwości, żeby przez dwanaście lat przetrwał na nich jakiś osobnik, który by pochodził jeszcze z czasów zasiedlenia tych zwłok przed pogrzebaniem. W związku z tym opiniowanie w tym przypadku jest nieprzydatne, nie pomoże.

Jednak pieniądze podatników zostały wydane.

Pod koniec lipca policjanci znowu odwiedzają Marię Janczewską. Tym razem żądają udostępnienia leżącego w piwnicy lustra i szyby o kolorze zbliżonym do żółtego, lustro z małego pokoju Roberta oraz sprzętu sportowego: sztang z ciężarkami, sześciu sztuk.

W uzasadnieniu postanowienia o żądaniu wydania rzeczy Maria czyta, że w prowadzonym postępowaniu uzyskano opinie Instytutu Metalurgii i Inżynierii Materiałowej Polskiej Akademii Nauk w zakresie analiz mikroskopowych owada oraz Instytutu Odlewnictwa w zakresie badania metodą defektoskopii rentgenowskiej owadów. Analizom tym poddano próbki pochodzące ze szczątków Katarzyny Z. W związku z tym postanowiono zażądać wydania powyższych rzeczy.

Kilka dni później funkcjonariusze znowu przychodzą i żądają od Marii wydania wiertarki z kluczem do uchwytu, wiertła do metalu, wiertła do betonu, wkładek szlifierskich i innych urządzeń służących do obróbki skrawaniem materiałów metalowych i drewnianych. Poszukują także ołówków, kredek, strugaczki i tłuczka do mięsa.

W uzasadnieniu Maria czyta, że zgromadzony materiał dowodowy wskazuje, że w mieszkaniu przy ulicy Trynitarzkiej był wykonywany przez Roberta Janczewskiego remont. Tym samym żądane przedmioty, łącznie z wiertarką z kluczem do uchwytu i wiertłami, znajdujące się w powyższym mieszkaniu, mogą stanowić dowody.

Józef Janczewski pisze do prokuratury, że remont odbył się przed zabójstwem Katarzyny: „W roku 1997, w czasie gdy ja zajmowałem się remontem zakupionego mieszkania przy ulicy Nawojki w Krakowie (pieniądze to część spadku po ojcu i moja zarobkowa nieprzerwana praca na dwóch etatach), dowiedziałem się, że Robert kuje ściany przy Trynitarzkiej i że Zakłady Gazowe wytoczyły nam proces o eksmisję. Natychmiast udałem się do mieszkania przy Trynitarzkiej i stwierdziłem, że Robert wszystkie nowe meble, które ja kupowałem, wywiózł i sprzedał, w tym obrazy i inne nasze rzeczy, oraz że skuł nowe flizy łazienkowe przeze mnie zakupione oraz zdemastował całą łazienkę. Pieniądze zabrał i nimi obracał. Proces sądowy w 1997 roku, który wygrałem z gazownią, powyższe potwierdza.

W roku 1998, w marcu, powróciła moja żona do Polski, do miejsca swojego zameldowania. Zastała mieszkanie wyremontowane i zostały zakupione w części nowe meble”.

Jednak śledczy wiedzą swoje. W ślad za nimi dziennikarz Onetu informuje czytelników, że Robert kuł w mieszkaniu po zabójstwie



Katarzyny<sup>149</sup>.

– Myśleli, że on może trupa w ściany chował – komentuje rozgoryczony Józef.

Jesienią kolejnego roku funkcjonariusze przychodzą po próbki płytek ceramicznych i innych produkcji włoskiej, dotychczas przechowywanych w piwnicy.

Pod koniec grudnia Maria jest sama w domu. Nagle słyszy, że ktoś próbuje otworzyć kluczem drzwi jej mieszkania. Jest przerażona. Podchodzi bliżej, patrzy przez wizjer. Widzi, że to policjanci. „Funkcjonariusze WDŚ KWP [Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji – przyp. aut.], nie pukając do drzwi, kluczami Roberta próbowali otworzyć drzwi mieszkania, pretekstem był zwrot zarekwirowanych już przeterminowanych artykułów chemicznych i kosmetycznych. Żona moja była śmiertelnie wystraszona. Nie dostali się do mieszkania, bowiem zmieniłem jeden zamek. Kluczy nie oddali” – napisze potem w piśmie do prokuratora jej były mąż.

Mija pół roku. Znowu pukanie do drzwi. Tym razem krakowscy funkcjonariusze wraz z technikami kryminalistyki Komendy Miejskiej Policji w Poznaniu chcą zeskanować całe mieszkanie Janczewskich. Mapują i dokładnie wymiarują wszystkie pomieszczenia i rozkład ścian.

W połowie lipca przychodzą znowu. Tym razem zabierają „wiedeńską ogniotrwałą kasę pancerną” i złocony krzyż, które Józef zabrał ze sobą po śmierci ojca, gdy odchodził z zakładu zegarmistrzowskiego. Maria mówi policjantom, że te przedmioty są własnością jej byłego męża, ale to nie zmienia ich decyzji.

Śledczy wielokrotnie przesłuchują kolegów Roberta. Jeden z nich wspomina, że pytania były stronnicze i tendencyjne. Funkcjonariusze w kółko pytali o to samo, jakby chcieli usłyszeć inną odpowiedź. Gdy odpowiadał nie po ich myśli, byli niezadowoleni. Również Andrzej, były radny i znajomy Roberta, wspomina, że w pewnym momencie powiedział prokuratorowi Piotrowi Krupińskiemu: „Szukacie na siłę, bo musicie kogoś znaleźć, czy rzeczywiście jesteście do niego przekonani?”.

– On mówi: „Nie, nie, ja nawet nie chcę panu o nim opowiadać, bo pan jest człowiekiem dobrym, otwartym, mogłoby pana przerazić, że zna pan kogoś takiego” – relacjonuje Andrzej. – Pan Piotr mnie pytał, czy się nie obawiałem, że on zrobi jakąś krzywdę mojej rodzinie. Powiedziałem, że nie, nie odczuwałem niczego takiego.

Według relacji Andrzeja prokurator Krupiński mówi mu, że Janczewski to okrutny bandyta. Śledczy informuje go, że podejrzany miał wynajęty domek na wsi, do którego wywiózł Katarzynę i tam ją torturował oraz oskórował. Przesłuchiwany na to: „Moim zdaniem to biedny człowiek, bardzo biedny. Według mnie on raczej tego nie zrobił. A jeżeli zrobił, byłoby to dla mnie dużym zaskoczeniem”.

– Na to pan prokurator Krupiński powiedział mi: „Wie pan co, my pana na świadka nie weźmiemy. Bo tak będzie lepiej” – relacjonuje Andrzej.

Z Raciborza, jeszcze w 2018 roku, Janczewski trafia do aresztu w Poznaniu. W liście do rodziców pisze:

*Cela wygląda tak: łóżko wąskie żelazne. Krok do przodu i już jest kraty, krok od łóżka i jest stolik więzienny. Obok umywalka i kibel. Nad kibelem kamera tak, że jak człowiek się podciera, to wszystko na monitoring nagrywa. Po drugiej stronie, nad łóżkiem, druga kamera. Na łóżku materace trzy sztuki. Boli mnie wszystko od ich jakości. Bolą mnie żebra. Podłoga ciemnozielona, cała porysowana. Cella brudnożółta. Sufit kiedyś był biały. Na suficie jarzeniówka (neon), kolor światła rtęciowy. Okno, przez które nic nie widać. Celowo tak zabudowane. Kraty, okno, dwie kraty za oknem. Szkło matowe, zbrojone. W oknie fotokomórka. W celi straszna bieda. [...] Tutaj strażnicy są normalni. W izolatce całymi dniami i nocami siedzę sam. Tyle że się modlę, czytam, ale to trudno wytrzymać. W sobotę byłem na „spacerze”. To jakieś są zabudowania, fortyfikacje z brudnej cegły, a na bazie tego więzienie z kratami. Przekleństwa więźniów, brudne bunkry i beton, kraty dookoła. A tu błękitne niebo i słońce. Jest mi tak trudno to wytrzymać, że depresja i płacz – na porządku dziennym.*

*W godzinie Bożego Miłosierdzia odmawiam koronkę. To jest powolne umieranie.*

Z Poznania zostaje przewieziony do aresztu w Piotrkowie Trybunalskim. Wiosną zaczyna czytać skserowane akta sprawy. Pisze do rodziców:

*[...] Analizy, ekspertyzy, fotokopie badania, przesłuchania innych podejrzanych (na wcześniejszym etapie śledztwa), badania i fotografie z mikroskopów skaningowych. Zdjęcia ze śmigłowca, wezwania świadków i zeznania dotyczące mojej osoby, zeznania dotyczące innych (wcześniej) podejrzanych, wariografy masy różnych ludzi etc. To nie jest moim obowiązkiem, aby czytać, ale mam takie prawo, a jeśli przystano, to codziennie od nowa zadaję sobie wielki trud i po parę godzin czytam. Bo wreszcie po 20 latach podejrzewania mnie w sprawie, o której nic nie wiedziałem i nie miałem żadnego związku, chce się dowiedzieć, za co właściwie przebywam w więzieniach.*

\*

Wreszcie, po niemal dwóch latach trzymania Janczewskiego w areszcie, 9 września 2019 roku Prokuratura Krajowa składa do Sądu Okręgowego w Krakowie akt oskarżenia. Akta sprawy to 485 tomów w części jawnej, a kolejna, nieznaną liczbą jest niejawną. Prokurator oskarża Roberta o to, że od 12 listopada 1998 roku do 14 stycznia 1999 roku w Krakowie wykonał z góry powzięty zamiar bezpośredniego pozbawienia życia ze szczególnym okrucieństwem Katarzyny Z. Jak stwierdza śledczy, oskarżony kierował się motywacją mieszaną wynikającą „z zaburzeń preferencji seksualnych o typie złożonym o cechach sadystycznych i fetyszystycznych z elementami nekrosadyzmu i fetysyzmu nekrofilnego”. Według oskarżenia Robert przetrzymywał dziewczynę w zamkniętym pomieszczeniu, podawał jej posiadane leki psychotyczne, przeciwlękowe oraz środki zawierające bromek potasu i chlorek potasu. Upřednio skrępował Katarzynę,

unieruchamiając jej prawą nogę i powodując około ośmiocentymetrowe odgniecenie skóry powyżej okolicy stawu skokowego. Następnie zadawał pokrzywdzonej cierpienia w postaci torturowania, maltretowania psychicznego i męczenia fizycznego.

W bliżej nieustalonym dniu w okresie od 7 do 14 grudnia 1998 roku dusił Katarzynę za pomocą przedmiotu przypominającego łańcuch. Ponadto zadał jej serię ciosów w postaci kopnięć, bicia narzędziem twardym, tępym lub tępokrawędzistym w postaci talerza i sztangi do ćwiczeń kulturystycznych. Uderzał w okolice bioder i prawej nogi, czym spowodował obrażenia ciała w obrębie okolicy biodrowej: złamania masywu kostnego części kości krzyżowej i podwójne pionowe rozerwanie miednicy skutkujące powstaniem złamań gałęzi kości łonowej. Na nodze spowodował złamania kości udowej, piszczelowej i strzałkowej, złamania dalszej nasady kości o wieloodłamowym charakterze, z wydzieleniem i regularnych odłamów pośrednich i otwartego złamania kostki bocznej.

Następnie przy użyciu ostrego narzędzia, na przykład noża, dokonał wkluć i wycięć w ciele pokrzywdzonej w ten sposób, że ugodził Katarzynę w okolicach lewego dołu pachowego i okolicy lewej pachwiny, w okolicy szyi po stronie prawej oraz okolicy szpary międzypośladowej, powodując tym dwie rany kłute poślądka lewego.

Później w celu pozyskania powłok tułowia w stanie możliwie najmniejszego ich uszkodzenia dokonał przy użyciu narzędzia ostrego wycięć sutek piersiowych wraz otoczkami, odcięcia powłok tułowia, oddzielenia głowy, kończyn górnych i dolnych oraz dwóch pośladków.

W bliżej nieustalonych dniach rozwałkowane szczątki zwłok Katarzyny w postaci skóry tułowia wraz z puklem włosów, odciętymi fragmentami jej odzieży, fragmentem ramiączka stanika oraz materiału w kratę biało-brązową oraz odciętych dwóch pośladków wrzucił do rzeki Wisły. Dokonał tego nie później niż do nocy z 6 na 7 stycznia 1999 roku.

Nie później niż do nocy z 13 na 14 stycznia 1999 roku wrzucił do rzeki prawą nogę ofiary, którą ujawniono w dniu 14 stycznia 1999

roku.

Z 789 stron aktu oskarżenia dziennikarzom zostaje udostępnione tylko pięć stron opisujących zarzuty. Na zapoznanie się z całością dokumentu nie ma zgody sądu.

\*

Próbuję porozmawiać z kierownikiem Zakładu Medycy Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie doktorem habilitowanym Tomaszem Konopką na temat rozbieżności pomiędzy ustaleniami, które opisał z zespołem w artykule naukowym opublikowanym w 2007 roku, a zapisami aktu oskarżenia. Najważniejsze różnice dotyczą mechanizmu powstania obrażeń ofiary – złamania kości krzyżowej i rozerwania miednicy oraz złamania kości udowej, piszczelowej i strzałkowej nogi. Prokurator w akcie oskarżenia twierdzi, że złamania te powstały w wyniku kopnięć oraz uderzeń talerzem i sztangą do ćwiczeń kulturystycznych. Na temat odkrytych przez zespół docenta Konopki rozstępów w kształcie łez śledczy milczy.

Docent Konopka jest biegłym w sprawie i nie może się wypowiadać. Proszę więc o komentarz doświadczonych medyków sądowych zatrudnionych w jednym z zakładów medycyny sądowej w kraju. Specjaliści nie chcą ujawniać swoich nazwisk.

Lekarze uważają, że człowiek za pomocą kopnięć nie jest w stanie spowodować obrażeń takich jak złamania kości miednicy i krzyżowej oraz rozstępów na skórze w kształcie łez.

– A przy użyciu talerza i sztangi kulturystycznej? – pytam.

– Nigdy nie widzieliśmy obrażeń dokonanych za pomocą sztangi kulturystycznej, bo jest to rzadkość – przyznają. – Jednak ten opis obrażeń nie wygląda na pobicie, nawet rzadkie lub nietypowe. On wygląda jak obrażenia powstałe w wyniku upadku z wysokości albo potrącenie przez samochód. Złamana miednica jest typowym następstwem pourazowym wypadku drogowego lub upadku z wysokości, bo w takich przypadkach siła konieczna do spowodowania złamania musi być naprawdę znaczna. W przypadku

urazu zadanego narzędziem takim jak sztanga kulturystyczna, chodzi tu chyba o gryf od sztangi, mogłoby dojść do złamań kości, ale z uwagi na małą powierzchnię kontaktu między narzędziem a ciałem należałoby także oczekiwać uszkodzeń skóry (ran tłuczonych, miażdżonych).

– A opisane w akcie oskarżenia złamania kości nogi? Mogłyby powstać w wyniku uderzeń sztangą?

– Jest za mało śladów na skórze – uważają eksperci. – Jeżeli uderzamy obciążnikiem kulturystycznym, sztangą, to ona działa na niewielkiej powierzchni. Natomiast w publikacji zespołu docenta Konopki praktycznie nie ma informacji na temat uszkodzenia powłok. To są obrażenia praktycznie nie do wywołania w typowych okolicznościach. W tę sztangę nie bardzo chce się nam wierzyć.

Tymczasem doktor habilitowany Krzysztof Maksymowicz z Laboratorium Ekspertyz 3D Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, który przygotowywał ekspertyzę dla prokuratury, utrzymuje:

– Tego typu złamania kości mogły powstać w wyniku pobicia z użyciem sztangi kulturystycznej. Tak mogło się zdarzyć i to jedna z możliwości przebiegu zdarzenia.

Docent Maksymowicz z zespołem w wizualizacji 3D wyrysował zadane Katarzynie rany klute z kanałami. Nie wiadomo jednak, jak biegły to ustalił. Zdaniem ekspertów, z którymi rozmawiałam, na podstawie skóry bez tkanek miękkich trudno jest określić, jak powstała rana i jaki jest jej przebieg.

– Z dostarczonej dokumentacji wiemy tylko, że stwierdzono przerwanie ciągłości skóry, owalne, o długości około półtora centymetra. Jeśli mamy takie przerwanie skóry, które jest nieprzeobrażone, bo ktoś zmarł niedawno, możemy zobaczyć tkankę podskórną, możemy stwierdzić, czy za tym przerwaniem ciągłości idzie jakiś kanał. Można zobaczyć rozległość podbiegnięć krwawych, uszkodzenia okolicznych tkanek. Wtedy jesteśmy w stanie coś więcej powiedzieć o mechanizmie powstania rany; czy to była rana tłuczona, cięta, czy kluta. Mając dokładnie wymierzony kanał rany, jej wygląd na powierzchni ciała, możemy spróbować też mówić o konkretnych narzędziach, które ją spowodowały. Zastanawiające

jest dla nas, skąd profesor miał wiedzę o tych kanałach, skoro posiadał tylko skórę – mówią eksperci. – Pytanie, czy z przeobrażonej już skóry, która przebywała kilka tygodni w wodzie, można wyciągnąć przebieg ewentualnego kanału. Wydaje mi się, że jest to mało prawdopodobne.

– Przebieg kanału jest domniemaniem opartym na znaczącym prawdopodobieństwie, ale nie pewnikiem – tłumaczy biegły Maksymowicz. – Mamy początek i fragment przebiegu tego kanału przez powłoki. Na podstawie tego jednego odcinka, z pewnym stopniem prawdopodobieństwa, odtwarzamy pozostałe dziewięćdziesiąt procent. I wskazujemy nie miejsce przebiegu, ale obszar, na którym ten kanał mógłby przebiegać.

Czy jednak tych przerwań skóry nie mógł spowodować jakiś metalowy element, z którym ciało miało kontakt w wodzie? Albo pogrzebacz, którym kapitan pchacza Łoś wyciągał skórę na pokład z napędu śruby?

– Charakter tych ran zupełnie nie wskazuje na taką okoliczność, którą pani podała – twierdzi biegły. – To nie są rany, które mogłyby powstać od tak zwanego pogrzebacza. Nie mają takiego kształtu ani wyglądu.

Czy jednak można to stwierdzić z całą pewnością na skórze, która przez kilka tygodni leżała w wodzie, a potem przez dwanaście lat była pochowana pod ziemią?

Przerwania skóry mogły też powstać z innego powodu. W jednej z opinii psychologicznych znajduje się fragment: „[...] na próbę wyprawiania skóry już po jej odpreparowaniu z ciała ofiary zdają się wskazywać małe owalne otwory w kilku miejscach obrzeża skóry (powstały przypuszczalnie od naciągania odpreparowanej już skóry na ramię lub raczej na manekinie, do którego została przytwierdzona, aby zapobiec jej kurczeniu się)”.

– Oczywiście, że nie możemy tego wykluczyć, natomiast wtedy tych ran musiałoby być więcej – twierdzi biegły Maksymowicz. – Poza tym ten fragment skóry został odpreparowany tak, że nie było potrzeby przypinania go do manekina. Ta skóra utrzymałaby się na manekinie bez przypinania. Dlatego taką koncepcję uznałbym za wyłącznie teoretyczną.

Kwestii rozstępów na skórze w kształcie łoż typowych dla wypadku samochodowego lub upadku z dużej wysokości akt oskarżenia ani biegły w ogóle nie wyjaśniają.

Pytam ekspertów, czy zwykły człowiek, osoba nieposiadająca specjalistycznej wiedzy, mógłby dokonać takiego oskórowania.

– Osoba, która wie, jak się to robi, bo na przykład pracuje ze zwierzętami, osoba wprawiona w tego typu czynnościach, mogłaby zrobić coś podobnego na ciele człowieka z dużą łatwością – twierdzą eksperci. – Ale musiałyby mieć pojęcie o skórowaniu, o cięciach, o operowaniu w tkankach w ciele ludzkim lub zwierzęcym.

Docent Maksymowicz ma na ten temat inne zdanie.

– Miałem co najmniej kilka przypadków jeszcze bardziej precyzyjnego potraktowania tkanek ludzkich i robili to sprawcy, którzy w ogóle nie mieli związku z zawodami takimi jak rzeźnik, myśliwy czy chirurg – mówi. – Mało tego, jeden z takich sprawców działał przy kilku świeczkach, bo nie miał prądu w domu, i zrobił to narzędziami kuchennymi i sekatorem ogrodowym. Tak że z punktu widzenia praktycznego nie mogę powiedzieć, że takie potraktowanie ciała wymagało zdolności zawodowych. Być może wymagało ponadprzeciętnych zdolności manualnych, ale przede wszystkim wymagało dwóch rzeczy: determinacji i cierpliwości.

\*

Późną jesienią 2019 roku Robert zostaje przewieziony do zakładu karnego w Tarnowie. W liście do rodziców pisze:

*Jak tu przyjechałem 21 listopada, to tak byłem psychicznie załamany, że dwa dni płakałem i nie mogłem dojść do siebie. Bo znowu inne otoczenie, wszystko obce i znowu, po raz szósty, od nowa ludzie nieznanymi. Nie mogłem wyjść z depresji.*

*Cela jest taka (położona w środku korytarza): drzwi żelazne, krata popielata, żelazna na cztery metry wysokości, też na klucz zamykana. Dwa metry i łóżko z żelaza, na nim trzy materace i dwa koce.*



*I znowu następna kratka na cztery metry i siatka za kratą. Potem okno z PCV, które elektrycznie się otwiera (mikrowentylacja).*

*Oczywiście szyby matowe, tak że ja o świecie nie mam pojęcia. Za oknem następna kratka i jeszcze jedna siatka. U góry kamera na podczerwień (całodobowa). Cella w kolorze żółtym (sufit i ściany), podłoga zielono-niebieska. Z boku „kącik sanitarny”: umywalka, toaleta (biała), z boku na półtora metra flizy biało-beżowe. Dalej stolik więzienny (popielaty) żelazny z blatem „marmurek” z płyty wiórowej. Na ścianie dwie szafki żelazne, popielate. Pod oknem za kratą u dołu – grzejnik – biały, obok WC. Czerwone wiaderko zakrywane i biała miska. Bateria z ciepłą i zimną wodą. Nad umywalką półka popielata żelazna i małe lusterko. Powierzchnia celi około 2 × 2 metry do chodzenia i spania.*

Z Tarnowa jest dowożony do sądu w Krakowie, gdzie czyta resztę akt. Pisze:

*Sami diabli nadali tę sprawę. A gdybyście widzieli, co ja czytam, tobyście pojąć nie mogli. Ja coraz więcej wiem, ale nic Wam nie mogę napisać. Sprawa ma zasięg międzynarodowy.*

*Ja ślęczę i czytam to wszystko. Widzę podwójnie, a kręgosłup mi pęka po każdym dniu z bólu. Macie rozum i sami widzicie, że gdyby to było takie oczywiste, to już 20 lat temu by mnie aresztowano. Przecież już w 2000 roku był w mieszkaniu technik kryminalistyki i 8 innych policjantów.*

*Dobrze powiedziałaś, że jestem niewinny. Sami widzicie, co robi prokuratura, nawet wobec Was.*

Zimą policjanci przyjeżdżają do mieszkania Marii Janczewskiej na kolejną rewizję. Prokurator Tomasz Dudek zleca, aby policja „po pokonaniu ewentualnych zabezpieczeń” zabrała kolczyki, łańcuszki, broszki, zawieszki, klipsy oraz łańcuszek o grubym splocie.

Ze względu na podejrzenie „pomocnictwa do zabójstwa Katarzyny Z. ze szczególnym okrucieństwem” policjanci zabezpieczają

własność Marii: medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, łańcuszek, pięć złotych pierścionków, osiem par kolczyków i trzy zawieszki.

Jednak poszukiwanego przez śledczych łańcuszka o grubym splocie, który wisiał na ręce figurki Matki Boskiej, nie ma.

– Szukali go i szukali, nie mogli znaleźć – opowiada Józef. – Aż pewnego dnia przyjechali z tym łańcuszkiem i pytają się moją byłą żonę, czy go poznaje, czy to ten. Okazało się, że był u nich.

Robert powie później matce, że łańcuszek miał pięćdziesiąt centymetrów długości. Kupił go w 2014 albo 2015 roku za dwieście dwadzieścia złotych w sklepie z dewocjonaliami przy ulicy Wiślnej w Krakowie.

– Tymczasem Krupiński operuje określeniem „łańcuch” i twierdzi, że Robert dusił nim kobietę. Kazał go nawet rozcinać, żeby sprawdzić, czy w środku nie ma innego metalu – słyszał Janczewski.

Po tej rewizji Józef wysłał kolejne pismo do prokuratury: „Piszę o dzisiejszym najściu, gdyż moja żona po opuszczeniu policjantów dostała kolejny atak nerwicy, cały czas jest na lekach antydepresyjnych i pod stałą opieką lekarza. Musiałem przyjechać i ją ratować, oni sami proponowali jej, że wezwą pogotowie. [...] Takie niezapowiedziane wielokrotne najścia to nękanie schorowanego człowieka. Absurd wołający o pomstę do nieba. Niewiele brakowało, aby żona pożegnała się z życiem”.

\*

W środę 12 lutego 2020 roku rusza proces. Przewodniczącą składu sędziowskiego zostaje Beata Marczevska. Na wniosek prokuratora sąd wyłącza jawność rozprawy, argumentując to faktem, że szczegóły sprawy są bardzo drastyczne. Warto zauważyć, że w równie drastycznych zabójstwach, jak na przykład morderstwo Iwony Cygan lub zbrodnia na małżeństwie Jaroszewiczów, jawność procesu nie została wyłączona.

Na pytanie sądu, czy przyznaje się do czynów, Robert odpowiada:

– Nie przyznaję się do stawianego mi zarzutu, jestem niewinny.

Do rodziców pisze:

*No i wreszcie po dwóch latach i czterech miesiącach w aresztach śledczych i więzieniach zaczął się proces. Było tak: dwa dni temu, w środę, dowieziono mnie z Tarnowa do sądu w Krakowie. Od rana się martwiłem i Boga prosiłem, aby przeżyć ten straszny dla mnie dzień z mediami. Prowadziło mnie pięciu policjantów do sali rozpraw. [...]*

*W szczytowym czasie doliczyłem się na sali rozpraw, co następuje: dziewięciu policjantów, w tym pies tropiący, pięć lub sześć wielkich na półtora metra statywów pod kamery i dużo aparatów fotograficznych z teleobiektywami, ośmioro państwa sędziów i prawie cała sala ludzi (fotoreporterów ze wszystkich wręcz mediów, programów, gazet). Zrobiono mi lawinę zdjęć plus te kamery.*

*Czułem się strasznie. Bo co ludzie w całej Polsce mówią i myślą o mnie. A człowiek niewinny. Resztę na pewno widzieliście w telewizji. To jest tak straszna presja psychiczna na jednostkę, że można zemdleć [...]*

*Sprawa toczy się za zamkniętymi drzwiami i ja nic nie mogę więcej Wam napisać, bo wszyscy zostali pouczeni, że za „wyciek”, że tak powiem, informacji o tym, o czym się mówi w czasie rozpraw, grożą dwa lata więzienia. Nawet jako moim rodzicom nic więcej napisać Wam nie mogę, bo nie wolno. Dla mnie osobiście to jest rozłożona w czasie droga krzyżowa.*

Na sali jest obecna matka Katarzyny, oskarżycielka posiłkowa. Prokurator zgłasza ponad dwustu świadków i dwadzieścia trzy ekspertyzy biegłych. Ostatecznie do przesłuchania przed sądem ma stanąć siedemdziesięciu pięciu świadków „zwykłych” i dwudziestu trzech incognito.

Mecenas Łukasz Chojniak wypowiada się w mediach, że sprawa jest skomplikowana i poszlakowa, a bezpośredniego dowodu na winę jego klienta nie ma. obrońca protestuje przeciwko zakresowi anonimizacji świadków. Oświadcza dziennikarzom TVN, że w wielu wypadkach zanonimizowano nie tylko dane świadka, ale też treść jego wypowiedzi. „Są takie protokoły, które w mojej ocenie

uniemożliwiają w ogóle zdekodowanie, co w istocie świadek powiedział”<sup>150</sup> – mówi adwokat.

\*

Droga krzyżowa trwa również dla rodziców Janczewskiego. W lipcu 2020 roku policjanci kolejny raz przyjeżdżają do mieszkania Marii i wręczają jej postanowienie prokuratora Piotra Krupińskiego, w którym kobieta czyta, że prowadzone są czynności śledcze w sprawie o popełnienie przestępstw z artykułu 18 paragraf 3 Kodeksu karnego w związku z artykułem 148 paragraf 1 (czyli zabójstwem): „Odpowiada za pomocnictwo, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie, w szczególności dostarczając narzędzie, środek przewozu, udzielając rady lub informacji; odpowiada za pomocnictwo także ten, kto wbrew prawnemu, szczególnemu obowiązkowi niedopuszczenia do popełnienia czynu zabronionego swoim zaniechaniem ułatwia innej osobie jego popełnienie”. A następnie z segmentu stojącego w dużym pokoju funkcjonariusze wyjmują osiem szyb i zabierają je do analizy. Okazuje się, że na szczątkach Katarzyny zabezpieczono drobinę szkła. Śledczy chcą sprawdzić, czy pochodziła z segmentu Janczewskich.

Matka Roberta czyta w uzasadnieniu żądania wydania szyb: „W toku śledztwa ustalono, że zachodzi uzasadnione przypuszczenie, że w pokoju zajmowanym przez Marię Janczewską w mieszkaniu przy ulicy Trynitarńskiej w Krakowie w okresie obejmującym między innymi pozbawienie wolności Katarzyny Z. i jej zabójstwo znajdował się ten sam segment pokojowy, którego elementy stanowiły między innymi szklane szyby w postaci tafli. Takie szkło może odpowiadać drobinie szkła ujawnionej na skórze korpusu Katarzyny Z.”.

Po ponad pół roku policja oddaje szyby właścicielce zabrudzone jakimś środkiem. Dwie z nich mają ukruszone brzegi. Janczewscy ich nie przyjmują. Po kilku dniach policjanci znowu przyjeżdżają –

tym razem szklane tafle są doczyszczzone, ale za to Maria stwierdza, że cztery mają wykruszone rogi.

Józef pisze do prokuratora skargę. Kolejną wysyła, gdy śledczy zabierają z mieszkania siedem tysięcy złotych uskładanych z renty Roberta. „Kwota ta była zbierana na honorarium dla drugiego adwokata, żeby bronił niewinności mego syna. Na to zezwala prawo. Robert ma prawo obrony nawet przez trzech mecenasów. Niestety nie stać nas na wynajęcie. I co? Sąd niższej instancji po tym incydencie, z wniosku prokuratorskiego, ustalił na rozprawie, iż komornik od następnych miesięcy będzie pobierał 1/10 miesięcznej renty, co też się dzieje. Czy więc jest jakieś uzasadnienie, że jedynie, jak na razie, podejrzanego ma się prawo pozbawiać środków do obrony?” – pisze.

Latem 2020 roku sąd zgadza się na odwiedziny rodziców u Roberta. Po ich wizycie Robert pisze:

*Mamo, Tato. No dobrze, że się wreszcie zobaczyliśmy i trochę porozmawialiśmy. Prawie trzy lata czekałem, a i Wy też. [...] Jak kiedyś w przyszłości Ojciec przyjedzie, to i Ty z nim, Mama. W każdym razie uważam, że dla Was to było bardzo ważne, aby usłyszeć od Waszego jedyne go syna, że nie mam nic wspólnego ze sprawą, w którą mnie wrobiono. Ja Wam zresztą pisałem wiele razy o tym, aczkolwiek jeśli media takie rzeczy opowiadają, to człowiek istotnie już może zgłupieć.*

*Chciałem Wam tutaj parę zdań napisać na temat tego Leszka L., który, jak Wam powiedziałem, doniósł na mnie, że to ja mogę być sprawcą. To teraz przeczytajcie, co piszę o nim, jaki był jego dalszy los.*

*Najpierw amputowano mu palec, bo miał martwicę. Potem koło poczty zagadnęło go dwóch – zapewne jemu podobnych – „kolesiów”, czy ma papierosy. Trudno powiedzieć, jak to tam było, w każdym razie wyciągnęli nóż i zaczęli go dźgać. [...]*

*Sklep, który sam założył, zbankrutował. Był w szpitalu. Miał też problem z ZUS-em.*

Zamiast się do Boga zwrócić, pił jeszcze więcej. Wreszcie, gdy wszyscy od niego odeszli, 22 kwietnia 2007 roku o 23.00 coś upadło na ziemię. To musiał być on. 24 kwietnia 2007 roku, gdy matka przyszła do niego, leżał umarły na ziemi w mieszkaniu, które wyprocesował, z językiem między zębami, zatruty alkoholem etylowym. Prawdopodobnie będąc w ciągu alkoholowym. Słowem zapił się na śmierć.

I niech to sobie ktoś wyobrazi. Nagle okazało się, że jako ateista i on ma duszę nieśmiertelną i musi pójść na sąd Boży, straszny, szczegółowy.

Ani spowiedzi świętej, ani komunii, ani księdza przy nim, ani świecy w ręce, ani namaszczenia świętym olejem, ani różańca w ręce, ani koronki do Bożego Miłosierdzia na drogę jego duszy ku wieczności – a wieczność nie ma końca.

W takim stanie opuścił ten świat, na zasadzie „jakie życie, taka śmierć – nie dziwi nic”. I teraz, gdziekolwiek jest jego dusza, musi on oglądać niejako jej oczyma najdalej idące konsekwencje swego postępowania wobec całej rzeszy innych, jak też wobec mnie. I straszne wprost ilości kar, które na niego za to spadły. I musi się z tego wyplacać.

A ja, nic nie wiedząc o tym, że to on na mnie doniósł bezpodstawnie, w każdym roku z głodowej swojej renty, jako prawdziwy jego przyjaciel, wpisywałem jego imię i nazwisko (oraz innych) na wypominki przed Świętem Zmarłych. Dopiero w zeszłym roku się dowiedziałem.

No, w każdym razie jak ja czytałem akt zgonu tego L., z uwagi na to, że tyle lat go znałem (a ile mu pomogłem – a do dziś mi pieniądze winien), to byłem wstrząśnięty. Umarł, mając 44 lata – we własnych wymiotach „o treści brunatno-krwistej”. Przerazające jest to, że on w takim stanie poszedł na sąd Boży. A ile nakłamał. Przecież ja mam jego zeznanie.

W październiku 2021 roku śledczy kolejny raz przyjeżdżają i żądają od Marii wydania figurki, na której był zawieszony gruby łańcuszek, gdyż może ona stanowić dowód niezbędny do przeprowadzenia rekonstrukcji.

Kolejne pół roku później na polecenie sądu policjanci znów pobierają od Marii wymaz ze śluzówek policzków. W uzasadnieniu sąd pisze: „Jak wynika z wniosku, przeprowadzone obecnie oględziny preparatu histopatologicznego wykonanego podczas sekcji zwłok w 1999 roku z materiału pobranego ze szczątków zidentyfikowanych jako należący do Katarzyny Z. ujawniły obecność komórek z zachowanymi jądrami komórkowymi, co rokuje uzyskanie kwalifikującego się do badań porównawczych materiału. Aby wykonać te badania, niezbędne jest dostarczenie świeżych wymazów z błony śluzowej oskarżonego Roberta Janczewskiego oraz jego matki Marii Janczewskiej z uwagi na to, iż są osobami zamieszkującymi w mieszkaniu, w którym zabezpieczono udostępniony do badań łańcuszek”.

Czyżby na łańcuszku, którego śledczy przez kilka miesięcy nie mogli odszukać we własnych magazynach, znaleziono jakiś ślad?

Tymczasem siedem miesięcy po rozpoczęciu procesu w sprawie zabójstwa przed Sądem Rejonowym w Rzeszowie rusza kolejna sprawa przeciwko Robertowi. Bo jak się okazuje, prokurator umorzył postępowanie wywołane skargą Janczewskiego na strażników, którzy znęcali się nad nim psychicznie, a wszczął śledztwo przeciwko Robertowi o fałszywe oskarżenie strażników. Janczewski relacjonuje rodzicom:

*W związku z tym, że w kwietniu 2018 roku złożyłem skargę w prokuraturze na strażnika z więzienia w Rzeszowie, wdrożono postępowanie wyjaśniające. Dostałem bardzo dobrą opinię od wszystkich, ale co z tego – nikt nie potwierdził tego, jak mnie nazywano i co mówiono, bo się wszyscy trzymają razem. I przez to dostałem dodatkowo od prokuratora artykuł 234 Kodeksu karnego, to jest o przestępstwo „fałszywego oskarżenia funkcjonariuszy służby*

więziennej”, bo ja się tam męczyłem okropnie, ale nic nie powiedziałem nikomu, dopiero w prokuraturze. A to, co powiedziałem, było prawdą. Tak nic nikomu nie wolno powiedzieć, choćby się człowiek wykończył.

W efekcie to nie strażnicy, ale Robert staje się oskarżonym w sprawie.

Po posiedzeniu sądu Janczewski pisze:

*Wczoraj był okropnie ciężki dzień. Byłem w Rzeszowie na pierwszej rozprawie. Broni mnie inny adwokat z kancelarii mojego adwokata. Przesłuchano około trzydziestu świadków w bardzo szybkim tempie i czytano im ich wcześniejsze zeznania (strażnicy, lekarze, pielęgniarki, wychowawca). Otrzymałem – i taki jest obraz mojej osoby jako więźnia w Rzeszowie, bardzo dobre opinie jako o „cichym, spokojnym, bezproblemowym, świętym więźniu, który modlił się i płakał, wykonywał wszystkie polecenia”. Takie opinie złożyli wszyscy lub zbliżone.*

Na początku marca 2021 roku dodaje:

*Słuchajcie, rodzice. Ja teraz cierpię na straszną depresję i trzeci dzień nie mogę się pozbierać. Pojutrze jadę do Rzeszowa na rozprawę do sądu. To jest Sąd Rejonowy. Wszyscy zeznali to samo. „Modlił się, klęczał i płakał. Mówił, że jest niewinny. On nie miał żadnych swoich rzeczy. Nie było o co się przyczepić do niego. Spełniał wszystkie polecenia”. Taki obraz wyłania się więźnia w Rzeszowie na przełomie lat 2017/18.*

*Na koniec mojej mowy i prośby o uniewinnienie tak mi się ciężko zrobiło na sercu i taka męka mnie wewnętrzna ogarnęła, że zaczęłam na sali sądowej płakać. Pani sędzia zakończyła przewód sądowy, nie ogłosiła wyroku od razu.*



14 lutego 2022 roku Sąd Rejonowy w Rzeszowie wymierza mu wyrok pozbawienia wolności na rok za składanie fałszywych oskarżeń. Jest nieprawomocny. Robert pisze do rodziców:

*Co do Rzeszowa, ja nie miałem świadków, jak się do mnie odzywano. A nierozważnie, z braku doświadczenia, powiedziałem o części rzeczy prokuratorowi. No i tak z niczego zrobiono jeden rok więzienia. [...] Jestem rozżalony i rozgoryczony.*

W czerwcu 2021 roku Janczewski zostaje przewieziony do aresztu w Krakowie. Jak pisze w liście do rodziców, od zatrzymania przejechał łącznie dwadzieścia siedem tysięcy kilometrów skuty kajdankami, z łańcuchami na rękach i nogach. Czeka na wyrok.

Ja wszystkim patrzę na salach...

*Ja wszystkim patrzę na salach rozpraw prosto w oczy, łącznie z matką Katarzyny Z., która jest oskarżycielem posiłkowym, bo mnie moralnie na to stać. Bo nic nie miałem wspólnego ze śmiercią jej córki.*

## Gdzie, zdaniem prokuratury, doszło do zabójstwa...

Gdzie, zdaniem prokuratury, doszło do zabójstwa? W udostępnionym fragmencie aktu oskarżenia jest mowa tylko o „zamkniętym pomieszczeniu”. Z innych pism śledczych można się domyślać, że prokuratura zakłada, iż Robert Janczewski zamordował Katarzynę we własnym mieszkaniu.

Próbuję dokonać rekonstrukcji zdarzeń na podstawie jej założeń.

Jest październik 1998 roku. Chory na schizofrenię paranoidalną, trzydziestopięcioletni kawaler na rencie Robert poznaje gdzieś dwudziestotrzyletnią studentkę Katarzynę. Gdzie? Tego nie wiadomo.

Hipotez było kilka. Mogli zawrzeć znajomość na projekcjach Dyskusyjnego Klubu Filmowego w kinie Pasaż. Albo na giełdzie w klubie Pod Przewiązką. Albo w Sukiennicach. Mogli też nawiązać kontakt przez ogłoszenie matrymonialne. A może zapoznał ich Zygmunt A. Jednak bezpośredniego dowodu na to, że się znali, nie ma.

– Jeśli prawdą jest, że jakiś świadek, zapewne incognito, po aresztowaniu Roberta zeznał, że dwadzieścia lat temu widział Katarzynę i Roberta przelotem na ulicy czy nad Wisłą i jest tego pewny, to należy takie zapewnienie traktować z dużą dozą ostrożności – mówi Michał Fuja, dziennikarz *Superwizjera* TVN. – Dużo bardziej prawdopodobna jest autosugestia niż rzeczywiste i wiarygodne wspomnienie z tak odległej pamięci.

Robert, który cierpi na ogromne problemy z nawiązywaniem relacji z kobietami, rozkochuje w sobie nieufną i nieśmiałą, pogrążoną w depresji Katarzynę. Wzbudza jej zainteresowanie sobą do tego stopnia, że dziewczyna postanawia się odchudzać. Zmienia też kolor włosów z ciemnych na blond, choć Robert woli brunetki.

Razem spędzają trzy jesienne tygodnie. Katarzyna, zamiast chodzić na zajęcia z religioznawstwa, spotyka się z Robertem. Gdzie? Nie wiadomo.

12 listopada wydarza się coś, co całkowicie zmienia bieg wydarzeń. Robertowi udaje się zwabić dziewczynę do swojego kilkudziesięciometrowego mieszkania przy ulicy Trynitarskiej w Krakowie, które zajmuje z matką. Nie zauważa ich żaden z sąsiadów.

Podaje Katarzynie tabletki psychotyczne, przeciwlękowe oraz środki zawierające bromek potasu. Ofiara już na wejściu łyka ich taką ilość, że staje się bezwolna. Nie krzyczy, nie broni się, nie wzywa pomocy, a przynajmniej żaden z sąsiadów tego nie słyszy. Robert zamyka ją w którymś z pokoi i metalowym uchwytem przypina do czegoś jej nogę.

Wieczorem, po pracy, do mieszkania wraca matka Roberta, ale chyba nie zauważa uwięzionej dziewczyny.

Przez kolejne trzy tygodnie mężczyzna codziennie faszeruje Katarzynę lekami. Bezwolną okłada ciosami o tak ogromnej sile, że powodują na jej udach rozstępy charakterystyczne dla wypadku samochodowego lub upadku z dużej wysokości. Sztangą kulturystyczną gruchocze jej nogi. Udaje mu się nawet złamać jej kość miednicy, czego nie sposób dokonać „zwykłym” pobiciem. Przez kilka dni dusi ją łańcuszkiem, który normalnie wisi na ręce figurki Matki Boskiej.

Następnie ostrym narzędziem wkłupa się pod pachę, w pachwinę, w szyję i w lewy pośladek ofiary. Leci pięć litrów krwi. Potem podaje jej jeszcze chlorek potasu, od którego serce dziewczyny staje. Ofiara umiera. Później, nie wiadomo jakim narzędziem, Robert odcina jej prawą i lewą nogę. Następnie prawą i lewą rękę. Głowę.

Wszystko to udaje mu się zrobić w tajemnicy przed matką, bo trudno założyć, że bogobojna kobieta patrzy na torturowanie Katarzyny spokojnie. Mimo podejrzenia, że Janczewska „może być związana z powyższym czynem”, prokuratura nie przedstawiła jej żadnych zarzutów.

W końcu przechodzi do najważniejszego etapu: skórowania. Zaczyna od okolic intymnych. Z niewiarygodną precyzją, której nie powstydziliby się medyk sądowy, odcina skórę od tkanek miękkich na całym tułowi – brzuchu i plecach, nie rozcinając jej po bokach. Dochodzi do szyi i uszu. Na twarzy się poddaje.

Robi jeszcze rozcięcie na mostku i zdejmuje skórę z pozbawionego kończyn korpusu. Po co zadał sobie tyle trudu? Nie wiadomo. Prokuratura oskarża go, że jest sadystą, nekrofilem i fetyszystą nekrofilnym, choć nie ma na to żadnych dowodów.

Co robi z tą skórą? Z całą pewnością nie zakłada jej na siebie, bo waży wówczas ponad sto kilogramów. Poza tym ustalono, że ubrać w nią się nie dało. Może zakładać ją na manekin, tak jak Kolanowski. Może wieszać na ścianie albo kleić na oknie, ale na to też dowodów brak.

W końcu, nie wiadomo dlaczego, Robert postanawia pozbyć się części ciała. Zabiera skórę, dwa odcięte pośladki i pukiel włosów. Dodaje do nich oderwane ramięczko stanika, poszarpany kawałek swetra Katarzyny, równo odcięty fragment innego ciemnego materiału, kłębek sprutej wełny, skrawek flanelowego materiału w kratkę (na którym coś rysuje – chyba psa) i zwierzęcą sieć większą. Skąd wziął fragment wnętrzości zwierzęcia, prokuratura nie wyjaśnia.

Pewnego grudniowego dnia idzie nad Wisłę, bo lubi tam spacerować. W pobliżu swojego mieszkania wrzuca szczątki do rzeki. Co robi z resztą ciała? Nie wiadomo.

Mieszkanie udaje mu się wysprzątać tak, że policja badająca je rok później specjalistycznym sprzętem zdolnym wykryć nawet minimalną ilość zmytej krwi, nic nie znajduje. Zacierą wszelkie ślady po Katarzynie i dowody na to, że się znali.

Inwigilowany przez kolejne dwadzieścia lat nie wpadnie z niczym. Pilnuje się podczas podsłuchiwanym rozmów. Uważa, dokąd idzie, gdy jest obserwowany. Nigdy nie panikuje po prowokacjach organizowanych przez policję.

Czasem tylko, gdy już nie może wytrzymać, dzwoni do kogoś i mówi: „A co, jeśli jasnowidz wskaże mnie?”. Albo idzie na grób Katarzyny i zostawia na nim znicz.

Ponieważ krakowski sąd nie zgadza się na moją rozmowę z oskarżonym, po jednej z wizyt w więzieniu Józef Janczewski opowiada mi, co Robert mu powiedział.

Nigdy nie widział Katarzyny Z.

Nigdy nie pisał do niej listów własną krwią.

Ponieważ od 2000 roku był podejrzanym w tej sprawie, dwa razy poszedł na grób zamordowanej i zostawił znicze.

Nie prowadził pamiętnika, tylko zeszyty z notatkami. Nie opisał w nich, nawet w zawołowanej formie, przebiegu zabójstwa.

Nigdy nie stał za ladą ani niczego nie sprzedawał w sklepie zoologicznym Leszka L. Ostatni raz widział się z nim w 1989 roku. Zerwał z nim wówczas relację, ponieważ – jak mówi – przekonał się, że to jest zły człowiek. Potem widzieli się przelotnie. Nie był świadkiem żadnych sadystycznych zachowań Leszka L.

U swojego byłego nauczyciela Zygmunta A. był dwa lub trzy razy. Powiedział mu, że babcia włożyła mu pierś do ust, a ten to powtórzył śledczym.

Józef Janczewski wysłał pismo do Sądu Okręgowego w Krakowie:

Wiele nas, rodziców, spotkało krzywdy, wraz z utratą zdrowia. Moja żona ma lat 75, ja 79. Moja emerytura to 1500 zł, jej ponad 1200 zł. Uczyliśmy syna uczciwości, punktualności, szacunku dla ludzi i względem Boga. Uczyliśmy Go szacunku dla Ojczyzny, bo tego uczyli mnie moi Rodzice. I takim jest mój syn. Nad wyraz pobożny, uczynny, uczciwy, słowny, jak i ja urodzony społecznik. Niestety choruje na schizofrenię, ale systematycznie leczony wykazuje się całkowitą normalnością. Tę chorobę między innymi wykorzystano, aby go aresztować. Już ponad 23 lata wstecz zatrzymano Go, ale z powodu braku dowodu po kilku godzinach wypuszczono. Zatrzymano Go na podstawie pomówienia przez człowieka (sąsiada), z którym popadł w konflikt, zresztą z winy sąsiada. Sprawa zabójstwa była świeżą sprawą i tak powstało pomówienie.

A okoliczności pomówienia są sprzyjające dla tych, którzy próbują „kij znaleźć”. Mieszkał nad Wisłą, gdzie nie tak daleko

znaleziono fragmenty skóry nawiniętej na śrubę barki, odrabiał służbę wojskową obok w szpitalu, gdzie jedynie mył szyby i był pomocny w sprzątaniu, ćwiczył karate, więc było wyposażenie, sztangi w mieszkaniu, a sugeruje się, że niby sztangą kaleczył kończyny denatki.

Ale przede wszystkim pogrzyżył Go fakt, a jest bardzo uczuciowy, więc z czasem dowiedziawszy się, gdzie na cmentarzu zostały pochowane szczątki denatki, zaniósł, a może i nosił, znicze na ten grób, z litości. Zamontowane kamery wychwyciły tę okoliczność i akt Jego współczucia i natychmiast Go aresztowano, tym razem na wykazanie jego winy.

Należy podkreślić, że syn, jak twierdzi i przysięga na swoje zbawienie, nie znał osobiście Katarzyny Z. Trzeba w tym miejscu dodać, że przez prawie 20 lat, do jego aresztowania, codziennie wydzwaniał w miejscu zamieszkania syna i żony telefon głuchy, czasem ktoś się odezwał: „idziemy zdzierać skórę?” i temu podobne odzywki, co wprawiało domowników w stan jakiejś psychozy.

Od nas, rodziców, pobierano materiał genetyczny, poddawano różnym próbom, chociażby poprzez badanie wariografem, ja na moją prośbę byłem trzykrotnie poddawany temu testowi. Żonę moją nachodzili wielokrotnie dziennikarze, bębnił pięściami w drzwi, wkładali nogi między otwarte drzwi, mnie z zaskoczenia robili zdjęcia, które ukazywały się w gazetach.

Wierzę w sprawiedliwość. Ufamy naszemu synowi. Okaze się, że była to kolejna pomyłka organów ścigania, za które Państwo będzie musiało zadośćuczynić, ale czy dożyjemy tej Jego i naszej rehabilitacji w oczach społeczeństwa?

## Epilog

Jesienią 2021 roku piszę mejla do prokuratora Piotra Krupińskiego. Chcę mu przekazać ważne informacje o zabójstwie Katarzyny. W szczególności opowiedzieć, czego dowiedziałam się na temat Leszka L. To on jako pierwszy doniósł policji, że Robert Janczewski może być zabójcą.

Jaką wiedzę o udziale Janczewskiego w zbrodni posiadał Leszek L.? Właściwie żadnej. Doniósł policji, że Robert „chorobliwie nienawidzi kobiet, a gdy pracował w Instytucie Zoologii, pastwił się nad zwierzętami, obdzierając je żywcem ze skóry”. I jeszcze że lubił spacerować w okolicy Wisły, a raz Leszek był świadkiem, „jak Janczewski chwycił królika za uszy, przydeptując go jednocześnie, i rozrywał go”. A jednak jego wskazanie było początkiem trwającego dwie dekady śledztwa, które ostatecznie doprowadziło do oskarżenia Roberta.

Na ile wiarygodne są relacje tego świadka? Leszek L. był alkoholikiem – mówią mi o tym wszyscy, którzy go znali. Brutalnie obchodził się ze zwierzętami – pijany ciskał po barze nowo narodzonymi kociętami, celowo, przez wiele godzin, truł krokodyla. Działo się to w tym samym czasie, gdy zaginęła Katarzyna. Skórował i wyprawiał węże. We własnym mieszkaniu przeprowadzał ich sekcje zwłok. Szkielety gadów wieszał na ścianach, a wylinki w oknach. Z całą pewnością miał wprawę w posługiwaniu się nożem i skalpelem. W upojeniu alkoholowym strzelał do lamp i znaków drogowych. Trenował karate. Wreszcie brutalnie wykorzystywał młode kobiety – o tym też mówi mi wiele osób. Realizował na nich swoje dewiacje seksualne.

Sporządzone w sprawie profile psychologiczne pasują równie dobrze – a może nawet lepiej – do niego niż do Roberta Janczewskiego. Wiem, że na pewnym etapie śledztwa prokuratura podejrzewała go o udział w zabójstwie. Jednak jego sąsiedzi i były kobiety nigdy nie zostali przesłuchani.



Co miał Leszek L., czego nie miał Robert Janczewski? Współpracował z policją. Z wieloma funkcjonariuszami i prokuratorami pozostawał w stosunkach towarzyskich. W czasie gdy doszło do zabójstwa, był biegłym Sądu Okręgowego w Krakowie, w którym teraz toczy się proces. Często powoływał się na wpływy w wymiarze sprawiedliwości. Rozpowszechniał nawet nieprawdziwą informację, że jego była teściowa jest prezeską krakowskiego sądu (w rzeczywistości była tam sędzią). Czy z tych powodów krakowski sąd okręgowy nie powinien się wyłączyć z orzekania w sprawie?

„Na układy nie ma rady” i „Żeby się zabawić, trzeba kogoś zabić”. To były jego dwa mocne teksty, jak twierdzi jego były sąsiad Łukasz.

Czy to wszystko ma znaczenie?

Tego nie wiem, ale z całą pewnością należy to dokładnie sprawdzić. Robertowi Janczewskiemu grozi dożywocie za brutalne zabójstwo i oskórowanie studentki.

Krótko po wysłaniu mejla do prokuratora Krupińskiego kontaktuje się ze mną funkcjonariuszka z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Chce się ze mną umówić poza komendą i dowiedzieć, co wiem. Z oczywistych powodów nie zgadzam się na spotkanie z policją. Nalegam na spotkanie z prokuratorem. Bezskutecznie.

Szukam więc kontaktu z matką Katarzyny, piszę mejla na adres jej miejsca pracy. Wspominam w nim, że kilka lat temu się poznałyśmy i rozmawiałyśmy. Dodaję, że dotarłam do osoby, która twierdzi, że widziała Katarzynę w sklepie, w którym – zdaniem świadka – sprzedawał Robert Janczewski. Chcę ją zapytać, czy to możliwe, że jej córka tam pracowała. Kobieta przekazuje mój list prokuraturze i wkrótce kontaktuje się ze mną Tomasz Dobosz z krakowskiego wydziału Prokuratury Krajowej. Informuje, że będę przesłuchiwana w charakterze świadka.

W wyznaczonym terminie stawiam się w prokuraturze. Oprócz mnie pojawia się też przedstawicielka pełnomocnika Bogusławy Z. obrońcy Roberta nie ma. Zeznaję najważniejsze fakty. Dziwię się, że mieszkanie i piwnica użytkowane przez Leszka L. nie zostały dotąd przeszukane. Mówię też o świadku, który prawdopodobnie widział Katarzynę w sklepie hodowcy gadów.

Przedstawicielka pełnomocnika Bogusławy Z. atakuje mnie: dlaczego tak późno zdecydowałam się o tym powiedzieć prokuraturze? Tłumaczę, że od kilku miesięcy bezskutecznie próbuję skontaktować się ze śledczymi.

Po złożeniu zeznań jestem przekonana, że śledczy zleca przeszukanie obydwu lokali należących do Leszka L. i przesłuchają mieszkańców kamienicy przy Smoleńsk. A przynajmniej spróbują dotrzeć do świadka, który prawdopodobnie widział zamordowaną dziewczynę w sklepie L., jak wtedy twierdził, w towarzystwie oskarżonego. Gdyby ta informacja się potwierdziła, śledczy mieliby dowód, że Robert znał ofiarę.

Nic takiego się jednak nie dzieje. Przez długie miesiące pytam sąsiadów, czy kontaktowali się z nimi śledczy. Nie kontaktowali się.

Do momentu wydania książki nikt ze śledczych nie skontaktował się z mieszkańcami kamienicy, w której mieszkał Leszek L.

W międzyczasie ustalam, że Robert Janczewski nigdy nie pracował w sklepie Leszka L. Sąsiadka musiała go pomylić z Leszkiem S. – kolegą L. Czy prokuratura o tym wiedziała?

\*

Latem 2022 roku spotykam się z byłym już wtedy policjantem Bogdanem Michalcem w bibliotece, w której jest strażnikiem. Znam go ze sprawy zabójstwa Iwony Cygan. Imponował mi wtedy odwagą i bezkompromisowym dążeniem do prawdy. Uważałam go za mądrego, myślącego nietuzinkowo, odpornego na wszechobecny w policji schematyzm funkcjonariusza. Trudno było mi zaakceptować to, że w tej sprawie jest inaczej.

Sądziłam, że może w aktach sprawy jest coś, co całkowicie zmieni moje myślenie o tej zbrodni. Jakiś dowód, który spowoduje, że powiem: kurczę, a jednak to Robert. Liczyłam na cud.

Ale on się nie wydarzył. Michalec nie zgodził się na nagranie naszej rozmowy, dlatego muszę posiłkować się jej omówieniem. Były policjant twierdzi, że Robert Janczewski był tylko wykonawcą tego zabójstwa, a sprawa jest szersza. Mogło w niej brać udział

więcej osób. Jednak dopytywany o szczegóły, ucina temat. Zamiast tego zaczyna zadawać mi pytania. Na przykład czy widziałam, co jest na okładce jednej z książek ojca Roberta. Mówię, że widziałam, ale Józef Janczewski nie namalował obrazu z zakrwawioną kobietą, bo znalazłam jego autora. Policjant drąży: ale czy uważam, że to normalne, że dał taki obraz na okładkę swojej książki?

Patrzę na Michalca zdumiona. Pytam, czy jego zdaniem to świadczy o winie Roberta. On stwierdza, że jestem nastawiona sceptycznie i chyba mnie nie przekona. A czy nie uważam za dziwne, że Robert nosił znicze na grób Kasi?

– To jest dziwne, ale on jest chory – mówię.

Michalec twierdzi, że Robert Janczewski nie jest chory.

– Jak to nie jest chory? – protestuję. – Trzy razy leżał w szpitalu psychiatrycznym, za każdym razem diagnoza była taka sama: schizofrenia paranoidalna. Od trzydziestu lat się leczy. Nawet w więzieniu bierze leki na schizofrenię.

Policjant upiera się, że nie znam opinii biegłych.

– Ale co mają do tego dzisiejsze opinie biegłych? – pytam zdziwiona.

Michalec sceptycznie kręci głową.

– Gdzie oni waszym zdaniem się poznali? – pytam. – Bo czytałam o różnych koncepcjach: a to że w Sukiennicach, a to że Pod Przewiązką, innym razem że przez ogłoszenie matrymonialne. Która z tych opcji jest prawdziwa?

Były policjant mówi, że żadna.

– No to gdzie się poznali? Wiecie?

Michalec wykręca się od odpowiedzi.

– Czyli nie wiecie – stwierdzam.

Pytam, czy powiedział Józefowi, że jego syn nosił na grób Katarzyny listy pisane własną krwią. Zaprzecza. Czy policjanci dzwoniли do Roberta i proponowali, że pójda razem nad Wisłę zdzierać skórę? Bzdura.

Czemu nie przesłuchali mieszkańców kamienicy Leszka L., jego znajomych i kobiet, które bił, skoro go podejrzewali? Michalec mówi, że przepytali mnóstwo policjantów, kolegów Leszka L. Dziwię

się, że sądzili, że policjanci im coś powiedzą. Zresztą – dodaje Michalec – jeśli bił kobiety, to znaczy, że to nie on. Nie ten typ.

– Jest jakiś jeden dowód, bezpośredni, że Robert Janczewski to zrobił? Chociaż jeden. Proszę mnie przekonać, że to on jest zabójcą – proszę na koniec, w akcie desperacji.

Zamiast odpowiedzi słyszę pytanie, czy znam teorię śladów na duszy. Bo one są najważniejsze.

Patrzę zdziwiona. Czy Michalec uważa, że potrafi czytać ślady na duszy?

Potem pada drugie pytanie: Czy znam teorię impresjonistyczną?

Nie znam teorii impresjonistycznej ani teorii śladów na duszy. Rozmowa jest skończona.

Po powrocie do domu od razu sprawdzam je w internecie. Są, obie. Okazuje się, że to teorie wymyślone przez Michalca. W wywiadach śledczy prezentował je dziennikarzom.

– Zawsze dostrzegałem znaczenia pewnych słów, gestów, zachowań, ale nie nazywałem ich jeszcze śladami na duszy ludzkiej. Z biegiem czasu zorientowałem się, że one mają bardzo duże znaczenie dowodowe. Tak narodziła się teoria o kryminalistycznych śladach na duszy ludzkiej. [...] takie instrumenty jak wiolonczela, skrzypce mają duszę. Jednak o człowieku w tym kontekście bardzo rzadko się dziś mówi. Jest psychika, ciało, jakieś procesy psychologiczne. A gdzie miejsce dla duszy? A przecież jest ona ważna w człowieku tak samo jak ślady, które można na niej dostrzec. Takimi śladami na duszy ludzkiej są brak miłości, a z drugiej strony nadmiar czegoś. [...]

Dlatego celowo wprowadziłem pojęcie śladów kryminalistycznych na duszy człowieka jako śladów pewnych, których nie da się zatrzeć, zamazać, podmienić. Trzeba tylko umieć do nich dotrzeć. [...] Tę metodę trzeba ściśle powiązać z metodą impresjonistyczną.

– Metodą impresjonistyczną? – pyta dziennikarka.

– Krakowskie Archiwum X wprowadziło tę metodę, nawiązującą wprost do sposobu malowania obrazów impresjonistycznych. Jeżeli przy danym człowieku pojawi się bardzo dużo plam, kłamstw,

śladów na jego duszy, można mieć pewność, że ma się do czynienia ze sprawcą zbrodni.

– Te ślady na ludzkiej duszy nigdy pana nie zwiodły, nie wyprowadziły w pole?

– Nigdy. Trzeba je tylko umieć czytać<sup>151</sup>.

Za najważniejszy ślad na duszy ludzkiej Michalec uważa brak miłości. W szczególności brak miłości matki jest często „punktem zapalnym zbrodni”.

Po rozmowie z tym doświadczonym policjantem mam nieodparte wrażenie, że stworzone przez Michalca teorie przesłoniły mu ogląd rzeczywistości. Że uciekając od kryminalistycznych schematów, stał się ofiarą wzorców, które sam wymyślił. A następnie do swoich teorii dopasował winnego.

Najlepszym kandydatem do tej roli był Robert Janczewski.

Na koniec naszej rozmowy Michalec mówi, że Karol Suder, założyciel krakowskiego Archiwum X, nigdy nie wierzył w winę Roberta. Tę informację potwierdzi mi później funkcjonariusz, który w czasie, gdy doszło do zabójstwa Katarzyny, pracował w krakowskiej komendzie.

– Wyniknęły różne stanowiska na temat tego, kto może być podejrzanym – opowiada. – Wiem, że Karol skłaniał się raczej ku temu, że w kręgu podejrzanych powinien się znaleźć Leszek L. Natomiast Michalec był po stronie koncepcji, że to ma być Robert. Ale ponieważ wtedy, w 2000 roku, żadnych dowodów nie udało się zdobyć, sprawa została umorzona.

Później śledztwo zostało podjęte z inicjatywy Michalca i prokuratora, i zaczęły się przygotowania do tego, żeby Roberta dogłębnie sprawdzić. Materiał w TVN był przygotowywany właśnie po to, żeby to wszystko, co Michalec z prokuratorem zebrali na temat Roberta, wzmocnić medialnie.

– Dlaczego pan Karol Suder podejrzewał Leszka L.? – pytam.

– Według jego wiedzy śledczej wszystkie wskazówki prowadziły do tego L. Chociażby to, że miał warunki, miał przygotowanie. Nie takie udawane, które przepisywało się temu Robertowi, tylko

naprawdę dokonywał sekcji zwierząt. Poza tym był bezwzględny, był alkoholikiem. To on naprawdę nienawidził kobiet, a nie Robert. Robert był raczej osobą, która starała się o kobiety tak jak umiała przy swojej chorobie. Starał się być szarmancki, kupować kwiaty. A Leszek L. był człowiekiem, który nienawidził kobiet, był przemocowcem, rozrabiaką, agresorem.

– To dlaczego nie przeszukali jego mieszkania w pierwszej fazie śledztwa?

– Karol sugerował, żeby to zrobić, ale wygrała opcja Michalca, żeby się skoncentrować na Robercie. L. nikt się nie interesował, nikt go porządnie nie sprawdzał.

Funkcjonariusz dodaje, że Leszek L. z donosem na Janczewskiego zadzwonił nie do komendy wojewódzkiej, tylko do komisariatu Biały Domek, chociaż w opinii psychologicznej zapisano co innego.

– Leszek L. to był kobieciarz – opowiada dalej funkcjonariusz. – Miał wielką siłę przekonywania. A Katarzyna była tak niedowartościowana i w tak złym stanie psychicznym, że mogła się na to nabrać.

Mimo wielu prób nie udaje mi się spotkać z Karolem Suderem osobiście i zweryfikować tych informacji.

W winę Roberta nie wierzy też psychiatra Roberta Jacek Matkowski, który zna go od niemal trzydziestu lat.

– Przy tak niesamowitej zbrodni ukrycie tego wszystkiego wydaje mi się nieprawdopodobne – mówi Matkowski. – Mając za sobą psychiatryczną diagnozę, leczenie, objawy uboczne, względnie systematyczne kontakty z psychiatrami, z innymi lekarzami, mając mamę, która mieszka z nim w mieszkaniu, bo w tym okresie ona była w Krakowie, to wszystko wydaje się nieprawdopodobne. Cuda się oczywiście zdarzają, ale tutaj dużo rzeczy mi nie pasuje. Choć ta teoria prokuratury, oparta na domniemaniach czy poszlakach, rzeczywiście mogłaby niejedną osobę przekonać. Przygniść, przestraszyć.

– Natomiast państwo ją konfrontują z osobą, którą znają. Czy ona pasuje do tej osoby, czy nie.

– Tak. Dwa główne dowody opisywane w prasie, poza włosiem pod wanną, to jest remont mieszkania, chociaż mam czarno na białym, że był półtora roku przed zabójstwem, a drugi to, że w złości powiedział któreś z naszych lekarek czy pielęgniarek: „Boi się pani, że z pani zedrę skórę?”.

– Czy było coś takiego w ciągu tych lat, co pana zaniepokoiło do tego stopnia, że pomyślał pan: a może rzeczywiście? Może tego dokonał?

Doktor Matkowski kręci głową.

– Nigdy, tak?

– Nie, nie.

– Bardzo by się pan zdziwił, gdyby on był winny?

– Bardzo, bardzo. Wie pani, tutaj trzeba też brać pod uwagę konflikt ról. Jak to: lekarz terapeuta i nic wcześniej nie wyczuł? Dla mnie byłoby to ogromne zaskoczenie. Takie poczucie, że są na niebie i ziemi rzeczy, o jakich się nie śniło filozofom, mędrcom, a nawet Lemowi.

\*

14 września 2022 roku Sąd Okręgowy w Krakowie skazuje Roberta Janczewskiego na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Uznaje go za winnego tego, że w nieustalonym dniu w okresie od 12 listopada 1998 roku do 14 stycznia 1999 roku w Krakowie, działając z mieszanej motywacji wynikającej z zaburzeń preferencji seksualnych o typie złożonym, o cechach sadystycznych i fetyszystycznych z elementami nekrosadyzmu, fetyszyzmu nekrofilnego, zasługującej na szczególne potępienie, pozbawił życia Katarzynę Z., po czym dokonał zdjęcia znacznej powierzchni powłok ciała pokrzywdzonej, w tym gruczołów piersiowych i wycięcia brodawek, oraz wypreparował intymne części ciała. A następnie, w celu ukrycia zbrodni, dokonał rozkawałkowania zwłok pokrzywdzonej poprzez odcięcie powłok tułowia, oddzielenie głowy, kończyn górnych, dolnych oraz pośladków, czym zbeczczył zwłoki. Następnie wyrzucił dwa odcięte pośladki i prawą kończynę dolną,

a skórę tułowia wraz z puklem włosów do komory napędu pchacza Łoś zacumowanego w pobliżu prawego nabrzeża Wisły.

Ustne uzasadnienie orzeczenia jest niejawne. Na czas jego wygłoszenia przez sąd dziennikarze zostają wyproszeni z sali rozpraw.

Wyrok nie jest prawomocny. obrońca Roberta Janczewskiego mecenas Łukasz Chojniak zapowiedział, że złoży apelację.

Ciąg dalszy nastąpi.



---

<sup>1</sup> O ile nie zaznaczono inaczej, w cytatach ze źródeł pisanych w podstawowym zakresie poprawiono ortografię i interpunkcję, a ich gramatykę, styl oraz słownictwo pozostawiono bez zmian.

<sup>2</sup> M. Paluch, *Kasię spotkała okrutna śmierć. Jej matka od lat wyczekuje prawdy*, „Gazeta Krakowska”, 26.06.2014, [www.gazetakrakowska.pl/kasie-spotkala-okrutna-smierc-jej-matka-od-15-lat-wyczekuje-prawdy-wywiad/ga/3486627/zd/3933861](http://www.gazetakrakowska.pl/kasie-spotkala-okrutna-smierc-jej-matka-od-15-lat-wyczekuje-prawdy-wywiad/ga/3486627/zd/3933861), [dostęp: 7.10.2022].

<sup>3</sup> D. Serafin, *19 lat temu oskórował studentkę. Podejrzany o morderstwo został zatrzymany. Ujawniamy kulisy śledztwa*, Onet, 4.10.2017, [www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/19-lat-temu-oskorowal-studentke-podejrzany-o-morderstwo-zostal-zatrzymany-ujawniamy/vj5rq2e](http://www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/19-lat-temu-oskorowal-studentke-podejrzany-o-morderstwo-zostal-zatrzymany-ujawniamy/vj5rq2e), [dostęp: 7.10.2022].

<sup>4</sup> Czy ktoś widział?, „Dziennik Polski”, 24.11.1998, <https://dziennikpolski24.pl/czy-ktos-widzial/ar/1952826>, [dostęp: 2.11.2022].

<sup>5</sup> J. Janczewski, *Abyś długo żył i dobrze ci się powodziło*, Kraków 1997, s. 3.

<sup>6</sup> Tamże, s. 23.

<sup>7</sup> Tamże, s. 10.

<sup>8</sup> Tamże, s. 14–15.

<sup>9</sup> Tamże, s. 20.

<sup>10</sup> Tamże, s. 21.

<sup>11</sup> D. Serafin, *19 lat temu oskórował...*, dz. cyt.

<sup>12</sup> Dane osobowe ukryte na prośbę bohatera.

<sup>13</sup> M. Kuciel, M. Koźmin, A. Bujas, *Tu znaleźli skórę z kobiety*, „Super Express”, 10.03.1999.

<sup>14</sup> P. Litka, M. Fuja, *Zabita i oskórowana*, *Superwizjer*, TVN, 7.10.2017, [www.superwizjer.tvn.pl/zabita-i-oskorowana,1872864,v.html](http://www.superwizjer.tvn.pl/zabita-i-oskorowana,1872864,v.html), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>15</sup> EK, *Zwłoki w śrubie*, „Dziennik Polski”, 8.01.1999, [www.dziennikpolski24.pl/zwloki-w-srubie/ar/1984854](http://www.dziennikpolski24.pl/zwloki-w-srubie/ar/1984854), [dostęp: 4.10.2022].

<sup>16</sup> *Profil zabójcy*, *Archiwum X – śledztwa po latach*, reż. L. Kazen, T. Blachnicki, TVN 2007, [www.player.pl/programy-online/archiwum-x---sledztwa-po-latach-odcinki,1145/odcinek-5,S01E05,17289](http://www.player.pl/programy-online/archiwum-x---sledztwa-po-latach-odcinki,1145/odcinek-5,S01E05,17289), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>17</sup> Tamże.

<sup>18</sup> P. Litka, B. Michalec, M. Nowak, *Polskie Archiwum X. Nie ma zbrodni bez kary*, Kraków 2018, s. 20.

<sup>19</sup> M. Koźmin, *Milczenie owiec po polsku*, 16.05.2016, [www.newsbook.pl/2016/05/16/milczenie-owiec-po-polsku/](http://www.newsbook.pl/2016/05/16/milczenie-owiec-po-polsku/), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>20</sup> EK, *Zbrodnia z wieloma niewiadomymi*, „Dziennik Polski”, 12.03.1999, [www.dziennikpolski24.pl/zbrodnia-z-wieloma-niewiadomymi/ar/2052136](http://www.dziennikpolski24.pl/zbrodnia-z-wieloma-niewiadomymi/ar/2052136), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>21</sup> M. Bartosik, *Najbardziej tajemnicza zbrodnia w Krakowie (1)*, 14.11.2008, [www.warszawa.naszemiasto.pl/najbardziej-tajemnicza-zbrodnia-w-krakowie-1/ar/c1-7040725](http://www.warszawa.naszemiasto.pl/najbardziej-tajemnicza-zbrodnia-w-krakowie-1/ar/c1-7040725), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>22</sup> I. Michalewicz, *Zbrodnie prawie doskonałe*, Kraków 2018, s. 135.

<sup>23</sup> Tamże.

<sup>24</sup> M. Paluch, *Kasię spotkała...*, dz. cyt.

<sup>25</sup> D. Serafin, *19 lat temu oskórował...*, dz. cyt.

<sup>26</sup> Tamże.

<sup>27</sup> Tamże.

<sup>28</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą. Z pamiętnika biła niechęć do ludzi*, „Gazeta Wyborcza”, 19.10.2017, [www.krakow.wyborcza.pl/krakow/7,44425,22532648,nowe-fakty-w-sprawie-roberta-j-co-mowi-jego-nauczyciel.html?disableRedirects=true](http://www.krakow.wyborcza.pl/krakow/7,44425,22532648,nowe-fakty-w-sprawie-roberta-j-co-mowi-jego-nauczyciel.html?disableRedirects=true), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>29</sup> Imię zmienione na prośbę bohatera.

<sup>30</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą...*, dz. cyt.

<sup>31</sup> E. Borek, *Z kobrą przy łóżku*, „Dziennik Polski”, 16.03.2001, [www.dziennikpolski24.pl/z-kobra-przy-lozku/ar/2334954](http://www.dziennikpolski24.pl/z-kobra-przy-lozku/ar/2334954), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>32</sup> Tamże.

<sup>33</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą...*, dz. cyt.

<sup>34</sup> Tamże.

<sup>35</sup> M. Banasik, *Ojciec Roberta J. podejrzanego o zamordowanie studentki, odsłania rodzinne tajemnice*, „Dziennik Polski” 13.10.2017, [www.dziennikpolski24.pl/ojciec-roberta-j-podejrzanego-o-zamordowanie-studentki-odslania-rodzinne-tajemnice/ar/12574986](http://www.dziennikpolski24.pl/ojciec-roberta-j-podejrzanego-o-zamordowanie-studentki-odslania-rodzinne-tajemnice/ar/12574986), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>36</sup> A. Nowak, *Jadowite maskotki*, „Dziennik Polski”, 3.01.2000, [www.dziennikpolski24.pl/jadowite-maskotki/ar/2016158](http://www.dziennikpolski24.pl/jadowite-maskotki/ar/2016158), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>37</sup> A. Bujas, R. Feluś, *Kamienica pod gadem*, „Super Express”, 13.10.1998.

<sup>38</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą...*, dz. cyt.

<sup>39</sup> Imię zmienione.

<sup>40</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości wykorzystania śladów biologicznych*, Lublin 2018, s. 121.

<sup>41</sup> *Żydzi Wieliczki i Klasna 1872–2012*, oprac. U. Żyżnowska, A. Krzeczowska, Sierca 2012, s. 511.

<sup>42</sup> Imię zmienione.

<sup>43</sup> E. Borek, *Z kobrą przy łóżku* „Dziennik Polski” 16.03.2001, [www.dziennikpolski24.pl/z-kobra-przy-lozku/ar/2334954](http://www.dziennikpolski24.pl/z-kobra-przy-lozku/ar/2334954), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>44</sup> B. Terczyńska, *Lekcja z gadem*, „Nowiny”, 6.06.2005, [www.nowiny24.pl/lekcja-z-gadem/ga/5950395/zd/9300735](http://www.nowiny24.pl/lekcja-z-gadem/ga/5950395/zd/9300735), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>45</sup> *Robert opisał mnie w swoim pamiętniku*, „Fakt”, 25.10.2017, [www.fakt.pl/wydarzenia/polska/krakow/nauczyciel-o-robercie-j-oskarzonym-o-morderstwo-studentki/zj4gcgj](http://www.fakt.pl/wydarzenia/polska/krakow/nauczyciel-o-robercie-j-oskarzonym-o-morderstwo-studentki/zj4gcgj), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>46</sup> Tamże.

<sup>47</sup> A. Bujas, R. Feluś, *Kamienica pod gadem...*, dz. cyt.

<sup>48</sup> *Grzechotnik pod mostem*, [krakow.naszemiasto.pl](http://krakow.naszemiasto.pl), 19.10.2000, [www.krakow.naszemiasto.pl/grzechotnik-pod-mostem/ar/c1-5226539](http://www.krakow.naszemiasto.pl/grzechotnik-pod-mostem/ar/c1-5226539), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>49</sup> Imię zmienione.

<sup>50</sup> A. Bujas, R. Feluś, *Kamienica pod gadem*, dz. cyt.

<sup>51</sup> Tamże.

<sup>52</sup> Tamże.

<sup>53</sup> Tamże.

<sup>54</sup> P. Litka, M. Fuja, *Zabita i oskórowana*, dz. cyt.

<sup>55</sup> G. Krzywak, D. Baraniec, D. Serafin, *Wiemy, kim jest zatrzymany w sprawie zabójstwa Katarzyny Z.*, Radio Kraków, 4.10.2017, [www.radiokrakow.pl/aktualnosci/krakow/wiemy-kim-jest-zatrzymany-w-sprawie-zabojstwa-katarzyny-z](http://www.radiokrakow.pl/aktualnosci/krakow/wiemy-kim-jest-zatrzymany-w-sprawie-zabojstwa-katarzyny-z), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>56</sup> M. Piasecki, *O sadystach, jasnowidzach, agentach FBI i najgłośniejszej zbrodni w Polsce. „Skóra” 19 lat później*, [www.igimag.pl](http://www.igimag.pl), 24.10.2017, [www.igimag.pl/2017/10/o-sadystach-agentach-fbi-i-najglosniejszej-zbrodni-w-polsce-skora-19-lat-pozniej/](http://www.igimag.pl/2017/10/o-sadystach-agentach-fbi-i-najglosniejszej-zbrodni-w-polsce-skora-19-lat-pozniej/), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>57</sup> *Z dziwnym uśmiechem*, „Dziennik Polski”, 2.06.1999, [www.dziennikpolski24.pl/z-dziwnym-usmiechem/ar/2126166](http://www.dziennikpolski24.pl/z-dziwnym-usmiechem/ar/2126166), [dostęp: 10.10.2022].

<sup>58</sup> *Archiwum X: Śledztwa po latach – Profil zabójcy*, reż. L. Kazen, T. Blachnicki, TVN 2007.

<sup>59</sup> Tamże.

<sup>60</sup> Tamże.

<sup>61</sup> Tamże.

- <sup>62</sup> Tamże.
- <sup>63</sup> P. Litka, B. Michalec, M. Nowak, *Polskie Archiwum X...*, dz. cyt., s. 34.
- <sup>64</sup> *Archiwum X: Śledztwa po latach – Profil zabójcy*, dz. cyt.
- <sup>65</sup> Tamże.
- <sup>66</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą...*, dz. cyt.
- <sup>67</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 122.
- <sup>68</sup> M. Paluch, *Kraków: Policjanci z archiwum X na tropie makabrycznej zbrodni sprzed lat*, „Gazeta Krakowska”, 13.01.2012, <https://krakow.naszemiasto.pl/krakow-policjanci-z-archiwum-x-na-tropie-makabrycznej/ar/c1-1237873>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>69</sup> M. Zagała, *Policjant z Archiwum X: Zło jest pociągające. Zawsze będzie nas fascynować*, Onet, 20.04.2016.
- <sup>70</sup> A. Nowak, *Jadowite maskotki*, dz. cyt.
- <sup>71</sup> L. Lis, *Węże w mojej hodowli*, „Akwarium”, nr 98-99-11, <https://akwamania.mud.pl/literatura/archiwum-akwarium-2/akwarium-nr-98-99/akwarium-nr-98-99-11/>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>72</sup> *Jak to możliwe, że pyton pochłonął człowieka? Zdobyć może być tak duża jak one same*, tvn24.pl, 18.06.2018, <https://tvn24.pl/tvnmeteo/najnowsze/jak-to-mozliwe-ze-pyton-pochlonal-czlowieka-zdobyz-moze-byc-tak-duza-jak-one-same-4952183>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>73</sup> A. Nowak, *Jadowite maskotki*, dz. cyt.
- <sup>74</sup> E. Borek, *Z kobrą przy łóżku*, dz. cyt.
- <sup>75</sup> *Namierzą mordercę*, zyciewarszawy.pl, 26.11.2002, [www.zw.com.pl/arttykul/105303.html](http://www.zw.com.pl/arttykul/105303.html), [dostęp: 7.10.2022].
- <sup>76</sup> I. Michalewicz, *Zbrodnie prawie doskonałe*, dz. cyt., s. 140.
- <sup>77</sup> Tamże.
- <sup>78</sup> E. Borek, *Z kobrą przy łóżku*, „Dziennik Polski”, 16.03.2001.
- <sup>79</sup> Komunikat Prokuratury Okręgowej w Krakowie, Prokuratura Okręgowa w Krakowie, listopad 2004, <https://www.krakow.po.gov.pl/2004/-/listopad.html>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>80</sup> A. Drożdżak, *Ssyzycący pacjent*, „Super Express”, 19.01.2004.
- <sup>81</sup> Tamże.
- <sup>82</sup> L. Winnik, L. Lis, *Niebezpieczne, nielegalne hodowle*, „Przegląd Lekarski” 2005, vol. 62, nr 6.
- <sup>83</sup> T. Konopka, M. Strona, F. Bolechała, J. Kunz, *Corpse dismemberment in the material collected by the Department of Forensic Medicine, Cracow, Poland*, „Legal Medicine” 2007, vol. 9, s. 1–13.

- <sup>84</sup> M. Paluch, *Kraków: Policjanci z archiwum X...*, dz. cyt.
- <sup>85</sup> Tamże.
- <sup>86</sup> M. Bartosik, *Wciąż szukam dziwaka związanego z Wisłą*, „Gazeta Krakowska”, 17.11.2008.
- <sup>87</sup> T. Konopka, M. Strona, F. Bolechała, J. Kunz, *Corpse dismemberment in the material collected*, dz. cyt.
- <sup>88</sup> M. Bartosik, *Wciąż szukam dziwaka związanego z Wisłą (3)*, „Gazeta Krakowska”, 17.11.2008.
- <sup>89</sup> A. Mazur-Puchała, *Jej skórę wyłowiono z Wisły. Kto zabił?*, Onet, 27.11.2013.
- <sup>90</sup> M. Fuja, Ł. Frątczak, *Dowód w sprawie oskórowanej studentki*, Superwizjer, TVN, 6.04.2019, <https://superwizjer.tvn.pl/odcinki-online/dowod-w-sprawie-oskorowanej-studentki,138809,o.html>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>91</sup> M. Koźmin, *Jasnowidz Krzysztof Jackowski ma portret mordercy, który oskórował Katarzynę Z., studentkę z Krakowa*, „Super Express”, 18.10.2011.
- <sup>92</sup> K. Jackowski, K. Janoszka, *Jasnowidz na policyjnym etacie*, Kraków 2018, s. 44–45.
- <sup>93</sup> Tamże, s. 45–46.
- <sup>94</sup> G. Krzywak, D. Baraniec, D. Serafin, *Wiemy, kim jest zatrzymany*, dz. cyt.
- <sup>95</sup> M. Koźmin, *Jasnowidz Krzysztof Jackowski...*, dz. cyt.
- <sup>96</sup> I. Michalewicz, *Zbrodnie prawie doskonałe*, dz. cyt. s. 154.
- <sup>97</sup> A. Pustułka, *Przed i po spowiedzi. Oto 7 naiwnych pytań o grzechy*, „Dziennik Zachodni”, 21.12.2019.
- <sup>98</sup> J. Sidorowicz, *Nowe metody i nowe tropy w sprawie „Kuśnierza” sprzed lat*, „Gazeta Wyborcza”, 16.01.2012.
- <sup>99</sup> Tamże.
- <sup>100</sup> P. Litka, B. Michalec, M. Nowak, *Polskie Archiwum X...*, dz. cyt., s. 174.
- <sup>101</sup> M. Paluch, *Okrutne zabójstwo sprzed lat. Śledztwo trudniejsze niż łamigłówka*, „Gazeta Krakowska”, 26.06.2014, [www.gazetakrakowska.pl/okrutne-zabojstwo-sprzed-lat-sledztwo-trudniejsze-niz-lamiglowka/ar/3486633](http://www.gazetakrakowska.pl/okrutne-zabojstwo-sprzed-lat-sledztwo-trudniejsze-niz-lamiglowka/ar/3486633), [dostęp: 7.10.2022].
- <sup>102</sup> P. Litka, B. Michalec, M. Nowak, *Polskie Archiwum X...*, dz. cyt., s. 51.
- <sup>103</sup> D. Wantuch, J. Sidorowicz, *Nauczyciel Roberta J.: Lubiałem pracować z trudną młodzieżą...*, dz. cyt.
- <sup>104</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 121.
- <sup>105</sup> M. Paluch, *Kraków: Policjanci z archiwum X...*, dz. cyt.
- <sup>106</sup> D. Serafin, *19 lat temu oskórował...*, dz. cyt.
- <sup>107</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 121.
- <sup>108</sup> E. Sitek, *Jak w „Milczeniu owiec”*, „Policja 997”, wydanie specjalne nr 10–11, grudzień 2017.

- <sup>109</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 122.
- <sup>110</sup> ŁK, *Tajemnica makabrycznej śmierci studentki sprzed 20 lat. Superwizjer ujawnia horrendalny przebieg śledztwa*, gazeta.pl, 6.04.2019, [www.wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/7,114883,24622341,tajemnica-makabrycznej-smierci-studentki-sprzed-20-lat-superwizjer.html](http://www.wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/7,114883,24622341,tajemnica-makabrycznej-smierci-studentki-sprzed-20-lat-superwizjer.html), [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>111</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 122.
- <sup>112</sup> M. Paluch, *Okrutne zabójstwo...*, dz. cyt.
- <sup>113</sup> <https://www.lasy.gov.pl/pl/edukacja/lesnoteka-1/drzewa/sosna-zwyczajna>, 4.02.2020, [dostęp: 21.08.2022].
- <sup>114</sup> G. Zawadka, *Przez 3D do zabójcy*, „Rzeczpospolita”, 1.12.2013, [www.rp.pl/kraj/art5270281-przez-3d-do-zabojcy](http://www.rp.pl/kraj/art5270281-przez-3d-do-zabojcy), [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>115</sup> Tamże.
- <sup>116</sup> *Miał torturować i brutalnie zamordować studentkę. Jest areszt dla 52-latka*, TVN24, 6.10.2017, [www.tvn24.pl/krakow/krakow-robert-j-z-zarzutem-zabojstwa-ze-szczegolnym-okrucienstwem-ra778958-2460945](http://www.tvn24.pl/krakow/krakow-robert-j-z-zarzutem-zabojstwa-ze-szczegolnym-okrucienstwem-ra778958-2460945), [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>117</sup> M. Paluch, *Kraków. Śledczy na tropie morderstwa studentki UJ*, [www.krakow.naszemiasto.pl](http://www.krakow.naszemiasto.pl), 15.11.2015, [www.krakow.naszemiasto.pl/krakow-sledczy-na-tropie-morderstwa-studentki-uj/ar/c1-3571309](http://www.krakow.naszemiasto.pl/krakow-sledczy-na-tropie-morderstwa-studentki-uj/ar/c1-3571309), [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>118</sup> I. Michalewicz, *Zbrodnie prawie doskonałe*, dz. cyt., s. 127.
- <sup>119</sup> M. Paluch, *Okrutne zabójstwo...*, dz. cyt.
- <sup>120</sup> Taż, *Kraków. Policjanci z archiwum X...*, dz. cyt.
- <sup>121</sup> R. Kulig, „Skórownik” z Krakowa zatrzymany?, <https://wiadomosci.wp.pl/skorownik-z-krakowa-zatrzymany-6031328066855553a>, 18.02.2014, [dostęp: 21.08.2022].
- <sup>122</sup> Tamże.
- <sup>123</sup> T. Barriga, *Płaszcz z ludzkiej skóry znaleźli w Wiśle. Przełom w sprawie bestii*, 29–30.10.2016, <https://tvn24.pl/magazyn-tvn24/plaszcz-z-ludzkiej-skory-znalezli-w-wisle-przelom-w-sprawie-bestii,67,1417>, [dostęp: 28.08.2022].
- <sup>124</sup> Imię zmienione na prośbę bohaterki.
- <sup>125</sup> R. Zalewski, *Polski Hannibal Lecter, Interwencja*, Polsat, 17.10.2016, <https://interwencja.polsatnews.pl/reportaz/2016-10-17/polski-hannibal-lecter-1527084/>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>126</sup> P. Piotrowska, *Morderstwo studentki UJ. Nim zginęła, była jeszcze torturowana*, „Gazeta Krakowska”, 15.10.2016, <https://krakow.naszemiasto.pl/morderstwo-studentki-uj-nim-zginela-byla-jeszcze/ar/c1-3887940>, [dostęp: 10.10.2022].
- <sup>127</sup> P. Litka, M. Fuja, *Zabita i oskórowana*, dz. cyt.
- <sup>128</sup> M. Fuja, Ł. Frątczak, *Dowód w sprawie oskórowanej studentki*, dz. cyt.

<sup>129</sup> P. Piotrowska, *Morderstwo studentki UJ. Nim zginęła, była jeszcze torturowana*, „Gazeta Krakowska”, 15.10.2016.

<sup>130</sup> M. Baczyński, J. Schwertner, *Brunon Kwiecień: Nie płakałbym po zamachu*, Onet, 7.06.2017, [www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/brunon-kwiecien-nie-plakalbym-po-zamachu/s6yf86n](http://www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/brunon-kwiecien-nie-plakalbym-po-zamachu/s6yf86n), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>131</sup> Ten i kolejne cytaty w tym rozdziale za: M. Fuja, Ł. Frątczak, *Dowód w sprawie oskórowanej studentki*, *Superwizjer*, TVN.

<sup>132</sup> P. Litka, M. Fuja, *Zabita i oskórowana*, dz. cyt.

<sup>133</sup> G. Krzywak, D. Baraniec, D. Serafin, *Wiemy, kim jest zatrzymany*, dz. cyt.

<sup>134</sup> D. Serafin, *Zatrzymanie Roberta J. ws. morderstwa sprzed 19 lat*, Onet, 4.10.2017, <https://wiadomosci.onet.pl/krakow/zatrzymanie-roberta-j-ws-morderstwa-sprzed-19-lat/r1lzmr5>, [dostęp: 10.10.2022].

<sup>135</sup> Tamże.

<sup>136</sup> *Miał torturować i brutalnie zamordować studentkę. Jest areszt dla 52-latka*, TVN24.

<sup>137</sup> J. Sidorowicz, *Robert J. zostaje w areszcie, ale sąd ma wątpliwości*, „Gazeta Wyborcza”, 8.12.2017, <https://krakow.wyborcza.pl/krakow/7,44425,22756800,robert-j-zostaje-w-areszcie.html?ga=2.239349376.2023983614.1665415945-503598222.1665415945>, [dostęp: 10.10.2022].

<sup>138</sup> M. Banasik, *Sprawa „Skóry”. Sąd postanowił, że Robert J. pozostanie w areszcie*, „Dziennik Polski”, 8.12.2017, <https://dziennikpolski24.pl/sprawa-skory-sad-postanowil-ze-robert-j-pozostanie-w-areszcie/ar/12749828>, [dostęp: 10.10.2022].

<sup>139</sup> R. Włodarczyk, *Rozwój i współczesne możliwości...*, dz. cyt., s. 122.

<sup>140</sup> *Robert opisał mnie w swoim pamiętniku*, dz. cyt.

<sup>141</sup> D. Serafin, *Morderstwo Katarzyny Z. Poeta, który łączył wszystkich*, Onet, 18.10.2017, <https://wiadomosci.onet.pl/krakow/morderstwo-katarzyny-z-poeta-ktory-laczyl-wszystkich/5vls6kp>, [dostęp: 10.10.2022].

<sup>142</sup> Tamże.

<sup>143</sup> *Robert opisał mnie w swoim pamiętniku*, dz. cyt.

<sup>144</sup> *Śledczy nie mogą wyjaśnić makabrycznej zbrodni sprzed 20 lat. Ekspertyzy pochłoną miliony złotych*, „Newsweek”, 8.05.2018, [www.newsweek.pl/polska/spoleczenstwo/morderstwo-katarzyny-z-sparalizuje-prace-polskiej-policji/kh9w97v](http://www.newsweek.pl/polska/spoleczenstwo/morderstwo-katarzyny-z-sparalizuje-prace-polskiej-policji/kh9w97v), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>145</sup> D. Serafin, *Zwrot w sprawie morderstwa Katarzyny Z. Są nowe dowody*, Onet, 13.11.2018, [www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/krakow-sprawa-oskorowanej-studentki-nowe-dowody/hkyj1vx](http://www.wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/krakow-sprawa-oskorowanej-studentki-nowe-dowody/hkyj1vx), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>146</sup> Tamże.

<sup>147</sup> M. Banasik, *Kraków. Oskarżony o oskórowanie zabójstwo studentki pozostanie w areszcie*, „Dziennik Polski”, 19.09.2019, [www.dziennikpolski24.pl/krakow-oskarzony-o-oskorowanie-i-zabojstwo-studentki-pozostanie-w-areszcie/ar/c1-14434943](http://www.dziennikpolski24.pl/krakow-oskarzony-o-oskorowanie-i-zabojstwo-studentki-pozostanie-w-areszcie/ar/c1-14434943), [dostęp: 9.10.2022].

<sup>148</sup> ŁK, *Tajemnica makabrycznej śmierci studentki*, dz. cyt.

<sup>149</sup> D. Serafin, *Morderstwo Katarzyny Z. Śledczy przeszukali mieszkanie i piwnicę Roberta J.*, Onet, 10.10.2017, <https://wiadomosci.onet.pl/kraj/morderstwo-katarzyny-z-sledczy-przeszukali-mieszkanie-i-piwnice-roberta-j/b6l1rmq>, [dostęp: 10.10.2022].

<sup>150</sup> Tamże.

<sup>151</sup> D. Kowalska, *Bogdan Michalec: Kłamstwo to podstawowy ślad na ludzkiej duszy*, polskatimes.pl, 24.12.2021, <https://i.pl/bogdan-michalec-klamstwo-to-podstawowy-slac-na-ludzkiej-duszy/ar/c15-15968779>, [dostęp: 10.10.2022].



Tłumaczenie fragmentu artykułu: Agnieszka Szling.  
Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska  
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska  
Redakcja: Emilia Radzyńska  
Korekta: Małgorzata Denys, Alicja Laskowska

Projekt okładki: Paweł Sky  
Zdjęcie wykorzystanie na okładce: fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-8318-387-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**